

C. J. Cherryh

Czas Ciężenia

(Heavy Time)

Przekład Marek Pawelec

ŚWIAT SOJUSZU / UNII

Jeśli ktoś snuje opowieść, to pojawiają się pewne związki i zależności, te zaś związki są źródłem pomysłów. A kiedy ktoś ma do czynienia z rzeczywistą przestrzenią i prawdziwymi gwiazdami, tak jak w moim przypadku, w moim sposobie pracy, to prosty fakt, że historie zdarzają się w tym obszarze, powiedzmy, w odstępie wieku czy podobnych ram czasowych, sugeruje, że być może istnieje jakiś inny rodzaj powiązań i dlatego wyłaniają się inne pomysły, dzięki czemu znajdujemy coraz to nowe związki.

W taki sposób narodził się zarówno Sojusz, jak i Unia.

Dość wcześnie zdałam sobie sprawę, że odnajduję takie związki, wspólne mianowniki pisanych przeze mnie opowieści, i mając na uwadze ścieżkę wytyczoną przez innych twórców światów (między innymi Poula Andersona i Gordona R. Dicksona) pomyślałam sobie, że może wielką i dobrą rzeczą byłoby spisać daty i zacząć sporządzać systematyczne zapiski. Zaczęłam więc rozwijać komputerowy wykaz od około 2000 do 5000 roku po Chrystusie. Sądząc, że to mi da pole do popisu, podjęłam decyzję o kilku fundamentalnych i, moim zdaniem prawdopodobnych, odkryciach w naukach ścisłych, a następnie zaczęłam zastanawiać się, jak długo trzeba będzie czekać na owoce zmian społecznych i politycznych.

Nie wierzę w stan monolityczny. Ludzie w całej swej historii byli zbyt marudnymi i kłótliwymi istotami, a rozwój silnej klasy parającej się handlem nieuchronnie doprowadził do powstania odosobnionych siedlisk. Takie odosobnione siedliska, nawet przy dobrej komunikacji, różniły się w doświadczeniach życia codziennego od doświadczeń rządu centralnego i dlatego różniły się również pod względem politycznym. A zatem ludzie przyszłości też będą się różnić między sobą.

Sojusz rozwija się na bazie handlu. Statki kupieckie, tj. frachtowce rozwijające prędkość większą niż światło to ogromne statki, z których największe są prawdziwymi kosmicznymi arkami, zarządzanymi przez hierarchię kapitanów, po jednym na każdej zmianie, a jeśli chodzi o styl życia, to każdy statek jest jednostką etniczną samą w sobie i może posiadać odrębną mowę różniącą się od powszechnego języka. W pewnym punkcie mojej historii rozgrywającej się w przyszłości, statki kupieckie utworzyły sojusz, który stał się rządem z kwaterą główną najpierw na planecie Pell, a następnie na Haven.

Unia rozpoczyna się, kiedy Ziemia próbuje ograniczyć emigrację i kontrolować swobodne przemieszczanie się ludności w jej koloniach. Unia, założona przez dysydenckich naukowców i inżynierów, sztucznie powiększa swoją populację, aby zbudować bazę przemysłową szybciej niż Ziemia uważa to w ogóle za możliwe.

Trzecią siłą jest sama Ziemia. Starożytna, skomplikowana i (według standardów

zachowania obowiązujących w Sojuszu i Unii) niestabilna w swej polityce. Ziemia jest zarówno wielbiona za ideały, które reprezentuje, jak i nienawidzona za nieustanne fermenty polityczne. Ziemia często nie potrafi sobie poradzić z problemami stworzonymi przez własne korporacje wielonarodowe, które, o czym przybysz z zewnątrz przekona się wcześniej czy później, posiadają ogromne wpływy polityczne. Waśnie i rozgrywki pomiędzy korporacjami mają doniosłe znaczenie na Ziemi, ale takie układy, kompromisy i ustępstwa niestety nie rozumieją albo nie zależy im na tym, aby zrozumieć wszystko, co obce, którym Ziemia próbuje rządzić.

Prawie wszystkie moje książki *science fiction* osadzone są w tej przyszłości, a ja jestem dwuręczna – zatem niektóre są pisane z perspektywy Sojuszu, a inne z punktu widzenia Unii, a jeszcze inne ze strony outsiderów. Nie zostały one napisane w jakiejś konkretnej kolejności i nie ma tak ich czytać – jak w prawdziwym życiu, ktoś pojawia się w historii w momencie urodzenia i musi doczytać, co się wydarzyło wcześniej. Tak więc, każdy moment wejścia do moich historii jest odpowiedni i jakikolwiek porządek rozumowania jest dobry. Tak czy inaczej, wszechświat będzie ukazywał swoje oblicze w odpowiedni sposób.

Jak do tej pory książka „Czas ciążenia” jest najwcześniejsza. „Hellburner” pojawia się bezpośrednio po niej. Sojusz jeszcze nie istnieje, ale Unia tak i pogłoski o niej zatrważają kapitanów statków kupieckich, którzy przybywają na Ziemię jak do swojej ojczyzny i legalnej władzy.

C.J. Cherryh, 1992 r.

Rozdział 1

To było samotne miejsce, daleko w głębi Pasa. Jeśli tu przytrafiło się coś złego, najczęściej było po tobie. A najbardziej samotną, poruszającą duszę rzeczą w tej pustce był cienki, miarowy pisk, który oznaczał statek w kłopotach.

Czasem był słyszalny, chwilami zanikał.

– Obraca się – skomentował Ben, gdy pierwszy raz go usłyszeli, ale Morrie Bird pomyślał: „raczej koziółkuje”. A kiedy Ben wprowadził do maszyny prawdopodobne dane obiektu i poprosił o analizę, komputer potwierdził jego diagnozę. Podał to w liczbach, ale Bird zobaczył w nich obraz. Spędził trzydzieści lat znacząc skały i słuchając cienkiego, numerycznego szumu znaczników, radiolatarni i zanikających sygnałów odległych statków wiedział takie rzeczy. Równie dobrze mógł odczytać obraz zanim wyliczył go komputer.

– Musi być martwy – powiedział Ben Pollard. Jego twarz miała ten ostry i głodny wyraz, który przybierała wtedy, gdy obliczał coś, na czym szczególnie mu zależało.

Nerwowo facet, ten Ben Pollard. Miał dwadzieścia cztery lata i był nienasycony. Młody pasiarz – zaledwie dwa lata po ukończeniu Instytutu ASTEXu, gdy przyszedł do Birda z czekiem na 20 tysięcy w rękę. Niezłe osiągnięcie, biorąc pod uwagę, że pieniądze wypłacone z polisy na życie jego matki dodatkowo zapewniły mu utrzymanie i opłaciły szkołę. Ben wkupił się na *Trinidad* płacąc za wyposażenie i zaciągnął się jako człowiek od liczb. A w czasach, kiedy prawie każdy nowy pomocnik wykazywał ciężki przypadek „nastawienia” i oczekiwał czegoś za nic, Ben rozbroił starszaka swoim „spróbujmy jeszcze raz” albo „Bird, wydaje mi się że..”.

Słuchając tego sygnału awaryjnego nietrudno było dojść, na co liczył Ben. Zadawał sobie te same pytania, które z głębi obciążonej hipoteką duszy męczyły starego człowieka: Jak daleko? Kto ma kłopoty? Czy żyją? A na końcu, kto ma prawo do wraku?

Wezwali więc bazę i powiedzieli Mamuśce, że odebrali Mayday i zapytali czy słyszała cokolwiek?

Baza nie słyszała, co było dosyć dziwne. Nie słyszały go satelity na synchronicznej wokół Studni, nie wyłapał go ECSAA spośród wszystkich sygnałów i odbić, znaczników i statków w całym Pasiu. Baza zużyła trochę czasu na myślenie, po czym zatwierdziła nowy kurs i rzuciła im mapy nowych sektorów. Na punkcie map Mamuśka była bardzo wrażliwa. Powiedziała:

– Zezwalam na użycie radia i postępujcie ostrożnie. Powodzenia, dwa dwadzieścia dziewięć Tango.

Było to naprawdę dziwne, że Baza nie słyszała sygnału – a zwłaszcza to, że według niej pochodził z pustego sektora. Ktoś musiał mocno zejść z kursu. Podczas

bezsennej nocy przypominały się imiona, które się znało, imiona ludzi którzy mogli tam być właśnie w tej chwili. Między nimi dobrzy przyjaciele. I ciężko było przestać myśleć, co się tam mogło wydarzyć. I kiedy.

Skały odbijały sygnał. Zaginione statki mogły się paskudnie zgubić. Ten transponder powinien mieć standardowe 5 watów, ale taki zdychający mógł oszukiwać.

Zasada była taka, że Baza obserwowała wszystko, co się ruszało w okolicy. Jeżeli radio padło, wysyłałeś sygnał Mayday na sygnalizatorze alarmowym i czekałeś, aż Mamuśka prześle Ci informację, jak zamierza cię z tego wyciągnąć – nie liczyłeś na to, że ktoś po ciebie przyleci. W tych czasach nikt nie opuszczał swojego cholernego, przydzielonego sektora bez zgody Mamuśki na zmianę kursu i nikt nie używał długodystansowego radia do pogawędek z przyjaciółmi. Jeśli się zgubiłeś w ciemności, w próżniowcu, postępowałeś ściśle według regulaminu i wrzeszczałeś o pomoc do Mamuśki.

Ten upiorny sygnał robił akurat dokładnie to co należało, owszem, ale Mamuśka go nie słyszała... a wedle wszelkich reguł powinna była. Baza twierdziła, że ten sygnał może być naprawdę słaby – próbowali to wyliczyć z dopplera. Mamuśka oznajmiła, że sygnału nie słyszy, chyba że z ich przekazu, a to sugerowało, że źródło jest gdzieś bardzo blisko.

Inną ewentualnością było, że Baza ma jakieś problemy techniczne z odbiornikami. Mogło to na przykład oznaczać jakąś awarię software'u przy dużych antenach, ale o takich sprawach Mamuśka nie rozmawiała z górnikiemami.

Mamuśka nie rozmawiała z górnikiemami o bardzo wielu sprawach.

– Pamiętasz tych piratów? – zapytał Ben, budząc się podczas wachty Birda.

– Jasne – odpowiedział, konserwując serwowator. Dokręcił śrubkę i dodał: – Znałem Karla Nouri.

– Chyba żartujesz.

– Och, to było przed dwudziestu laty. Cholera, piłem z nim. Miły gość. On i jego partner.

Bena ruszyło. Wsunął się z powrotem do swojej wirówki g– I i uruchomił ją, ale po chwili wyłączył mechanizm i wylazł. Wciągnął na siebie stymbinezon i ubranie, po czym usiadł do śniadania, nieogolony i z cieniami pod oczami.

Birdowi było wstyd, że przerwał młodszemu koledze odpoczynek, ale na wspomnienie Nouriego również jemu przeszła ochota na sen.

Obecnie nikt już nie piracił w Pasie – Kompania wymiotła Nouriego i jego towarzyszy, wysyłając dwu z nich do piekła, na które bez wątplenia zasłużyli. Piraci ściągali pomoc fałszywym sygnałem awarii i zabijali załogi, wyciągając z dzienników informacje o cennych znaleziskach, a statki odzierając z części zamiennych i paliwa.

Przez jakiś czas działalność Nouriego uchodziła niezauważona, do czasu, aż

ludzie zrobili się podejrzliwi i zaczęli zadawać pytania. Jak to jest, że Nouri i jego przyjaciele mają tyle szczęścia? Zawsze wracają ze znaleziskami, ich sprzęt nigdy się nie psuje a ich statki zużywają tak mało paliwa?

– To staranna obsługa – tłumaczył Nouri. – Robimy co do nas należy i jesteśmy w tym dobrzy.

Ale podejrzliwy gliniarz z Kompanii sprawdził numery seryjne na częściach w statku Nouriego i znalazł kondensator. Bird to pamiętał. Cholerny kondensator wart 50 dolców, z numerem, który należał do statku biednego Wally'ego Leavitta.

Wysłali Nouriego i jego pięciu kompanów sądzić w dół, na Ziemię, zasłaniając się przepisami wewnętrznymi, ale tu na górze było wielu takich, co chętnie zobaczyliby, jak Nouri osobiście schodzi do Studni.

Ale w tamtych czasach gorsza od strachu była w głębokim Pasię podejrzliwość, z jaką wszyscy patrzyli na siebie w bazie. Czy jesteś jednym z Nich? Albo czy myślisz, że ja jestem?

Sprawą, która podzieliła pasiarzy, i o którą kłócili się do dzisiaj było to, czy Jidda Pratt i Dave Marks byli winni razem z resztą. Kompania głosiła, że byli. Twierdziła, że posiada niezbite dowody ich winy i wsadziła młodych Pratt i Marksa do tej samej szufladki co Nouriego.

Po tej sprawie wolni strzelcy – górnicy i załogi niezależnych statków pomocniczych – nie mieli już żadnych praw. Kompania i tak nigdy nie lubiła pracować z niezależnymi. Czyniła ich życie coraz trudniejszym, od kiedy przestali być niezbędni, a sprawa Nouriego była punktem zwrotnym. Nigdy więcej dzikiej eksploracji. Teraz trzeba było udokumentować każde kichnięcie. Mówiłeś Mamuśce dokładnie, co znalazłeś w każdej próbce. Prześwietlali cię dokładnie, kiedy przechodziłeś przez cło i prowadziłeś skrupulatne zapisy do dziennika pokładowego na wypadek oskarżenia choćby o złe prowadzenie się. Broń Boże nielegalne operacje bądź nielegalny handel. Jeśli pomogłeś koledze: przehandlowałeś baterię, znacznik czy transponder z powrotem w bazie, spisywałeś datę i godzinę i wypełniałeś wszystkie te cholerne formularze do ostatniej kropki. Prosiłeś kolegę, żeby pokwitował spinacz wart pięćdziesiąt centów, jeśli tylko miał na sobie numer seryjny, a popularny (niezbyt zabawny) żart głosił, że Kompania pracuje nad specjalnym formularzem kwitującym wymianę papieru toaletowego.

Niedozwolone było obecnie przechowywanie map po zadokowaniu; agenci Mamuśki wchodzili na pokład i czyścili twoje pamięci magnetyczne, a celnicy mogli cię przeszukać w poszukiwaniu kart danych, jeżeli tylko mieli na to ochotę. Nie było możliwości wyboru sektora, w którym miało się pracować przy następnej wyprawie. Brałeś zadania z przydziału, żadnych wyjątków, a Mamuśka nie wysyłała cię nigdy w poblizze sektora, w którym pracowałeś poprzednio. Nielegalne było pozdrowienie

sąsiada na trasie. Spędzało się trzy miesiące wdychając nawzajem swój pot, dwóch ludzi w przedziale załogowym długości pięciu metrów i szerokim na trzy. Tak ciasno i samotnie, że można było słyszeć myśli tego drugiego odbijające się od ścian. Jednak jeśli próbowało się odezwać do innego górnika w sąsiednim sektorze, obaj wolni strzelcy łądownali z oskarżeniem o nielegalny handel szybciej, niż mogli o tym pomyśleć. Nawet jeżeli nic materialnego nie zmieniło właściciela – nielegalna była również wymiana informacji. Kompania rezerwowała sobie do niej prawo, twierdząc, że to jej górnicy sprzedają dane, a ona ma prawo wykorzystać je w dowolny sposób. Czyli przekazać zatrudnionym u siebie górnikom. Nikogo nie zdziwiło, że sąd stanął po stronie Kompanii. Według jego interpretacji niedozwolone było pozdrowienie innego statku czy wspólne wypicie butelki. Także wymiana jedzenia czy jakiegokolwiek inne przyjacielskie handelki. Nouri położył im kres.

Kiedy więc zameldowali bazie, że chcą opuścić swój sektor z powodu prawdopodobnego statku w niebezpieczeństwie, upłynęła bardzo długa, nerwowa chwila, zanim Mamuśka dała im zezwolenie. AP – Administracja Pasa – była w najlepszym razie wredną suką i nigdy nie próbowało się jej wmówić, że chce się zrobić coś całkowicie altruistycznego. Mamuśka nie wierzyła w takie rzeczy z zasady, o nie. Mamuśka była podejrzliwa i sprawdziła kartotekę Morrisa Birda i Benjamina Pollarda oraz statku górniczego *Trynidad*, by stwierdzić czy któryś z członków jej załogi nie zachowywał się ostatnio podejrzanie lub nie dokonywał dziwnych inwestycji.

W międzyczasie mogli użyć radia do nawiązania kontaktu ze źródłem sygnału. Na to Mamuśka zezwoliła.

Najwyraźniej też uwierzyła w końcu w to, co słyszą przez mapy które im przysłała, przebiegała linia strzału pchacza. To mógł być powód wypadku; równocześnie czyniło to człowieka mniej chętnym do pchania się w tamten rejon. Było już jednak za późno na wycofanie się. Mieli mapy, byli w pobliżu i nie mogli się wycofać. Stawką było ludzkie życie, a Mamuśka uruchomiła trybiki, żeby sprawdzili co się dzieje.

Dobra.

Oczywiście Mamuśka nic nie mogła dla nich zrobić, gdyby okazało się, że pakują się w jakieś kłopoty. Zaznaczyła wyraźnie, że nie posiada informacji o żadnych statkach, których kursy przebiegałyby w pobliżu, co też było cholernie dziwne. Następną oczywistą myślą było wojsko, ale Mamuśka przekazała jedynie brak potwierdzenia z dowództwa floty.

A sygnał piszczał w najlepsze.

W efekcie Mamuśka przekierowała wiggikę z przekaźnika R2-8 i pchnęła ich kursem, który według jej map był bezpieczny. Polowali na sygnał z mapami, które im

przekazała, intensywnie wypatrując kamieni i innych obiektów wzdłuż drogi. Za wykazanie błędu w mapach Mamuśki dostawało się sporą nagrodę, oczywiście jeśli miało się te mapy legalnie. Takie było prawo.

Z drugiej strony, przy tej szybkości należało tylko się modlić, żeby czasem ten błąd nie pojawił się dokładnie na kursie.

Jednak gdy przechodzili przez kolejne sektory, dookoła była jedynie pustka. Przez całą długą podróż nie widzieli kompletnie nic, oprócz kilku kamieni ze znacznikami Kompanii i jednego należącego do wolnego strzelca. Mapy Mamuśki były wręcz idiotycznie dokładne... za wyjątkiem źródła pisku, który wydawał się być bardzo słabym sygnałem. Taka była aktualna opinia Mamuśki.

A to znaczyło, że byli blisko.

To było czternaście długich, nerwowych dni. Cały czas ze świadomością, że w każdej chwili mogą skończyć w wielkiej, jasnej eksplozji, zupełnie bez ostrzeżenia.

Oczywiście kiedy radar wreszcie wydobył z siebie *blip!* w reakcji na coś nie zaznaczonego na mapie, było to w środku kolacji/śniadania i na dodatek podczas zmiany wachty. Bird poparzył się kawą.

Ten błysk, kiedy wreszcie mieli go w zasięgu, pokrywał się ze źródłem sygnału awaryjnego.

– Zapytamy mamuśkę o instrukcje? – zapytał Ben.

Bird zagryzł wargi, myśląc o ludzkim życiu, notorycznie opóźnionych i asekuranckich odpowiedziach Mamuśki oraz rozważając wszelkie przepisy, które mogłyby mieć zastosowanie w tej sytuacji.

– Ustalmy na razie szczegóły. Jak dotąd nie mamy nic nowego. Robimy to, co Mamuśka nam kazała. Wygląda na to, że wyhamujemy bez jej pomocy, różnica prędkości jest niewielka. I naprawdę nie chcę żadnych rad od Mamuśki podczas pracy nad tym cholerstwem. I bez tego będzie paskudnie.

– Dobra jest – stwierdził Ben, nieco spokojniejszy. Położył palce na klawiaturze i zabrał się za swoje liczby.

* * *

– Wygląda, jakby zderzył się z kamieniem – powiedział Ben, wskazując głęboki cień w module, który powinno być zewnętrznym zbiornikiem numer jeden.

– Owszem – Ben był w radosnym nastroju od kiedy tylko optyka pozwoliła zidentyfikować kształt jako statek górniczy. – Na oko zdrowy to on nie jest.

– Na pewno nie wygląda dobrze. Spróbujmy jeszcze jednego zdjęcia, może uda się nam wydobyć numer tego nieszczęśnika.

– Dobra – odparł Ben.

Przysunęli się bliżej. Wykorzystując pozwolenie Bazy kontynuowali wywoływanie drugiego statku, ale jedyną odpowiedzią był wciąż ten sam, modulowany przez koziółkowanie statku, pisk sygnału awaryjnego.

To co zobaczyli, kiedy w końcu mogli użyć reflektorów, nie było przyjemnym widokiem.

– Piekielnie silne uderzenie – zamruczał Ben. – Może skała z dużym v .

– Możliwe. Boże, oba zbiorniki dziurawe, o tutaj, widzisz? Ten dostał równo wzdłuż.

– Ci faceci nie mieli szczęścia.

– Nagle. Zły kąt. Ostre przyspieszenie.

– Z jednej strony walnięcie. Z drugiej eksplozja. A może to eksplozja rzuciła ich na skałę?

– Nie mam pojęcia. Wystarczyłoby jedno.

– Cholernie gwałtowne zetknięcie z przeszkodą. Przerabia bużkę na cacy.

– Nie wiedzieli nawet co ich trafiło.

– Myślisz, że to pchacz trafił ich odłamkiem?

– Możliwe. Kosmiczny pech, przy całej tej pustce wokół. Gadaj, że nie było im pisane. Jakie to prawdopodobieństwo?

– Dla nich? Sto procent.

Jeszcze jedno ujęcie. W kamerach błysnęła biel, ruch odbitego światła, namalowany numer seryjny.

– Cholera, to jedyńka! Jeden osiemdziesiąt cztery Zebra...

Nie z ich bazy. Nawet spoza ich strefy. Obcy. Obrót kadłuba wprowadził w ich światła wąż wejściowy.

– Wygląda nieźle – zauważył Bird.

– Nie masz żadnego powodu się tam pchać.

– Ta...

– Bird, na miłość boską, to nie jest odpowiedź!

– Może odbiornik im wysiadł. Może stracili radio. Może walnęło ich zbyt mocno, by mogli odpowiedzieć.

– Może są martwi. Nie musisz tam wchodzić!

– Tak. Ale zamierzam.

– Ja nie.

– Prawo do wraku, Ben, przyjacielu. Myślałem, że jesteśmy partnerami.

– Cholera.

* * *

Zatrzymywanie obrotu obiektu poruszającego się w kosmosie było dla górnika rutyną, większość skał się obracała. Ale koziółkujący obiekt o wrzecionowatym kształcie, tych samych co ich statek rozmiarów i o zbliżonej masie – to była piekielnie trudna operacja.

Wysuwali ramię i szorowali nim, utrzymując kontakt do czasu kiedy wygasła kolejna składowa ruchu, podczas gdy żyroskopy kontrolowały wartości odchylenia i skoku, spalając forsy przy każdym uruchomieniu silników. Jednak Bird robił to niezliczoną ilość razy przez trzydzieści lat i miał wyczucie. W którymś momencie uderzył w nich kabel holowniczy, śmiertelnie przerażając Bena. Upłynęło mnóstwo czasu, zanim wyhamowali ruch wraku i jeszcze więcej, nim mogli zetknąć swoje śluzę. Ale po Wszystkich wcześniejszych trudnościach to było już proste.

Zaciski zetknęły się i zaskoczyły.

– Jest – odetchnął Bird – Mamy go.

Słysząc było długie westchnienie i nabożne słowa Bena:

– Jest nasz.

– Tego nie wiemy.

– To jest wrak, do cholery!

– Jesteśmy pierwsi w kolejce do niego, zaraz po banku.

– No, no. Nawet jeśli w całości należy do Kompanii, dostaniemy połowę.

– Chyba, że ktoś wciąż nim steruje.

– Do diabła, na pewno na to nie wygląda.

– Nie dowiemy się, póki nie sprawdzimy, nie?

– Daj spokój Bird – cholera, nie musimy tam wchodzić, prawda? To idiotyczne.

– Tak. I tak – Bird odpiął pas, łagodnie wysunął się ze swojego stanowiska, nacisnął jeden z klawiszy konsoli i pozełował do schowka.

– Idziesz?

Ben ponuro odzepił się i podryfował, podczas gdy jego partner wyciągnął już kombinezony i zaczął się ubierać. Nie przestawał jednak psioczyć pod nosem. Skoncentrował się na swoim wyposażeniu. Zawsze myślał o nim, nie o tym gdzie szedł; nie o tych paskudnych rzeczach, które z pewnością czekały po drugiej stronie śluzę.

Ale przede wszystkim nie pozwalał sobie na rozmyślania o tym, jaka jest rynkowa wartość tego znalezionej statku.

– Pięć do dziesięciu, że statek jest martwy – zaoferował Ben. – Zakład?

– Mogło im rozwalić transmiter. Mogło się przydarzyć mnóstwo rzeczy, Ben. Powstrzymaj swój entuzjazm jeszcze chwilę. Nie wydawaj pieniędzy, dopóki nie są nasze.

– Tam będzie piekielny bałagan. Diabli wiedzą jak jest stary. Może nawet

pochodzić z czasów Nouriego.

– Nadajnik wciąż działa.

– Nadajniki mogą działać długo.

– Nie, jeżeli systemy podtrzymania życia ciągną energię. Góra sześć miesięcy.

Zresztą, baterie i paliwo ludzie Nouriego brali w pierwszej kolejności.

W powietrzu między nimi przedryfował hełm Bena, złapany po chwili przez właściciela.

– Zabieram łom. Będzie nam potrzebny żeby wejść do środka, założysz się?

Bird złapał unoszący się za jego plecami hełm i założył go. Cuchnął starym plastikiem i środkami dezynfekcyjnymi. Czuć go było długimi godzinami paskudnych, zimnych sytuacji. To mógł być początek kolejnej, oni dwaj wciskający się do przypominającej trumnę śluzy, która mogła przyprawić o klaustrofobię. Była zaprojektowana dla jednej osoby.

Tak naprawdę to nie miało sensu, żeby wchodzić tam obaj. Mogło to być nawet niebezpieczne – odcinać się zamkniętą śluzą od systemów sterowania. Ale po całych dniach poszukiwania źródła upiornego sygnału, dręczyły ich koszmary o tych nieznanym nieszczęśnikach. Musieli tam wejść, żeby oczyścić się z paskudnych wizji i egzorcyzmować dręczące ich upiory. I jeśli się miało zamiar o tym później opowiadać kumplom tam, w bazie (a każdy chciał), to trzeba było odczuć tę atmosferę na sobie, a także mieć świadka, który by przysiągł, że mówi się prawdę.

A poza tym, można było poczuć się niepewnie, gdy zbyt podekscytowany nagrodą partner upierał się, że są już właścicielami tego statku.

Od czasów Nouriego i załamania, od którego Kompania stała się tak cholernie drażliwa dobrze było mieć świadka, który mógłby przysiąc w sądzie, czego dotknąłeś i co zrobiłeś na pokładzie cudzego statku.

Bird zamknął wewnętrzny właz i nacisnął przyciski uruchamiające wypompowywanie powietrza. Zapaliło się czerwone światło z napisem „DEKOMPRESJA”, a strzałka manometru zaczęła wędrówkę w kierunku zera.

– Wrak – powiedział Ben głosem zmienionym przez komunikator kombinezonu.

– Może da się naprawić, jak myślisz? Jeżeli te zbiorniki stanowią większość zniszczeń, to w końcu tylko beczki. Nie mogą być aż takie drogie. Moglibyśmy go wziąć na hipotekę, naprawić bank chyba weźmie nadający się do naprawy statek jako zabezpieczenie, jak myślisz?

– Myślę, że powinniśmy uważać, gdzie jesteśmy. Tu już miał miejsce jeden wypadek, nie spowodujemy drugiego.

Wskaźnik wyświetlił CIŚNIENIE WYRÓWNANE. Ben, zaczepony stopą, nerwowo odbijał się od ścian, w przód i w tył. Ale nie spieszyli się z otwarciem. Tu płaciłeś za tlen. Za wodę. W przestrzeni, nawet z całą działającą maszyną, płaciłeś

też za ciepło. Te pompy i zawory należało traktować jakby były ze złota. I chociaż blokady bezpieczeństwa mogły przyjąć prawie zero za wartość dozwoloną i zezwolić na otwarcie drzwi, to jeśli tak zrobiłeś, na zewnątrz wylatywały pieniądze.

Przypominałeś sobie o tym przy następnym rachunku za utrzymanie statku, cholernie mocno sobie przypominałeś. – Wskaźnik spadł poniżej 5 mb, tak blisko całkowitej próżni jak tylko potrafił wyciągnąć kompresor. Ben wcisnął przycisk otwarcia zewnętrznej kłapy, zamek się odblokował i odsunął drzwi ukazując im odrapaną, pokrytą pyłem powierzchnię wjazdu drugiego statku. Jego manometr, pokazujący ciśnienie wewnątrz kadłuba, był nieczytelny. Bird wyczyścił go rękawicą.

– 760 mb. Pełny. Przynajmniej nie mieli przebiccia.

Ben bezdźwięcznie walnął łomem w drzwi statku i przyłożył do nich swój hełm.

– Nie ma żywej duszy, mówię ci, Bird.

– Zobaczymy – Bird zabrał łom i rozbił osłonę na dźwigni zewnętrznego dostępu.

Nic się nie stało. Brak mocy w systemach statku.

– Nie mają szczęścia – powiedział Ben beztrosko – martwy jak kamień.

Bird wydłubał gniazdo kabla zewnętrznego zasilania.

– Podłącz nasz, dobrze?

– Cholera, Bird!

– Nerwy?

Ben nie odpowiedział. Cofnął się do śluzi i wyciągnął kabel zasilający z gniazda. Przewód wił się jak wąż, gdy dryfował z nim z powrotem. Bird schwycił końcówkę kabla i wsunął ją do gniazdzka w panelu wraku. Kadłub stęknął i zaczął wibrować pod rękawicą.

– Działa.

– Wrak – wysyczał Ben przez zaciśnięte usta.

– Nie dziel go jeszcze.

Słychać było rytmiczne posapywanie w słuchawkach skafandra, podczas gdy pompa wibrowała wewnątrz statku.

– Hej, Bird, ile jest wart cały statek?

Człowiek próbował zachować zdrowe zmysły i rozsądek. Nie myśleć o biednych draniach wewnątrz. Uczciwy facet przerwał swoje obiecujące poszukiwania i ruszył polować na źródło słabiutkiego sygnału, próbując koncentrować się na ratowaniu ludzkiego życia i nie myśleć o tym, ile w tym statku jest metalu. I jak posiadanie drugiego pojazdu ustawiłoby jego i Bena na całe życie. Lista oczekujących na wynajem w Rafinerii Dwa była dość długa, by żaden statek nie siedział w doku dłużej, niż wymagały konieczne przeglądy.

– 130 mb. 70, 30, 10 – wskaźnik ciśnienia spadał.

Drgania pod rękawicą zmieniły ton. Zawory zaskoczyły. Przed ich *oczami*

zabłyły kryształki lodu na warstewce zaschniętego pyłu. Lód utworzył się i błyszczał na powierzchniach wewnętrznych drzwi – wilgoć tam, gdzie jej nie powinno być.

– Nie wygląda kwitnąco – zauważył Ben.

Bird przesunął palcem i złapał uchwyt wewnątrz śluzy, zaraz obok panelu kontroli zaworów. Jego rękawica ślizgała się na lodzie. Za nim wsunął się Ben, mówiąc:

– Wolne.

Bird uruchomił przełącznik zamykania wjazdu.

– Chwilę to potrwa – zerknął w górę swojego kasku, żeby dzięki odbiciu widzieć, jak za ich plecami powoli zamykają się zewnętrzne drzwi.

– Jesteś pewien tej baterii? – zapytał Ben.

Bird wcisnął CYKL POWROTNY. Pompy zawibrowały.

– Kiepski moment na pytanie o to.

– Jesteś pewien?

– Robię w tym od trzydziestu lat, cholera, oczywiście że sprawdziłem... popatrz tutaj.

Wyświetlacz HUD na osłonie kasku zabłyśnął żółtą lampką i pojawił się na nim strumień wyświetlanych na zielono danych. Wyświetlacz na ścianie śluzy świecił przymuloną czerwienią.

ZANIECZYSZCZENIA. Ben wypuścił niepewne syknięcie powstrzymanego oddechu.

– Tam nie będzie ładnie... Bird, czy musimy przez to przechodzić? Tam nie ma nic żywego.

– Już tu jesteśmy. Mógłbyś zasnąć nie mając pewności?

– Mógłbym. Śpię cholernie dobrze. Nie chcę tego oglądać, Bird. Dlaczego u diabła mam to oglądać?

– Daj spokój. Wszyscy skończymy tak samo. Węgiel i azot, woda...

– Przestań!

– Z prochu powstałeś, w proch się obrócisz. – Manometr pokazał 740/741 mb i CIŚNIENIE WYRÓWNANE. – Kiepski kompresor – zauważył Bird i wcisnął przycisk otwierający wewnętrzny wjazd. Zaświszczało powietrze, wyrównując ciśnienia między wnętrzem kadłuba i śluzą. Drzwi cofnęły się powoli, ze zgrzytem słyszalnym przez zewnętrzne mikrofony. Jego HUD wskazał temperaturę 10°C i niezbyt balsamiczne powietrze.

– Ogrzewanie wysiada. Ono zawsze siada przedostatnie. Wiesz, co siada na końcu, nieprawdaż, przyjacielu?

– Cholerny sygnał awaryjny – Ben szczękał zębami i Bird był pewien, że włączenie ogrzewania skafandra by mu nie pomogło. Oddech chłopa świszczał

nierówno w mikrofonie. – Czyli Mamuśka dostanie swój wrak. Tylko że tym razem on będzie należał do nas. Bird, spadajmy stąd. Co będzie, jak wyskoczy kabel zasilający służę?

– Wtyczka nie wyskoczy.

– Niech cię szlag, Bird!

Wewnętrzne drzwi zdołały się otworzyć do połowy. Bird chwycił ich krawędź i wcisnął się przez szczelinę do kiepsko oświetlonego wnętrza.

W powietrzu dryfował kombinezon próżniowy bez hełmu, ciągnąc za sobą kabelki i rurki, owinięty nimi jak w kokonie. Jeden z kabli biegł z baterii kombinezonu do panelu – ostatni, żalosny wysiłek. Załoga wiedziała, że jest w kłopotach i miała czas, by przeładować zawartość głównych baterii i zasilania mechanizmu wyjściowego. A na koniec samego kombinezonu.

Kawałki i części wyposażenia dryfowały wewnątrz pomieszczenia w przyćmionym świetle, błyskając światłem odbitym z lamp ich kombinezonów: kable, klamry – wszystko co mogło się uwolnić na skutek wstrząsu. Płyny tworzyły małe księżyce i planety.

– Bałagan – zauważył Ben – nie?

Bird złapał wąż i pociągnął łagodnie, by usunąć z drogi kombinezon, po czym sprawdził zawartość schowka na stroje próżniowe.

– Jednego brakuje.

– Wyłączam ten piekielny sygnał, dobra? – powiedział Ben.

– W porządku.

Wszędzie unosiły się sprzęty. Kable, w świetle błyszczały mały rój różnorodnych klamer i zaczepów. Kulki płynów świeciły bursztynowo i lśniły oleistą czernią. W powietrzu unosił się sweter i pojedyncza skarpetka, wirując w upiornym tańcu.

– Panel kontroli systemów podtrzymania życia wysiadł – zauważył Ben. Drzwi schowka trzasnęły w zewnętrznych głośniczkach, gdy sprawdzał wirówki w poszukiwaniu mieszkańców. Puste, tak jak i kabina prysznicowa.

Przedryfowała koło niego bateria. Można się było tylko domyślać, że to jedna ze zużytych zapasów. Kropla cieczy rozlała się na szybce hełmu Birda, zostawiając łańcuch ciemnoczerwonych kropek.

– Chodźmy stąd, Bird. Zamknijmy go i wynośmy się stąd. Nie ma ich. Martwy statek, to wszystko. Nie pytaj o te dryfujące płyny. Utylizatory wysiadły.

Dryfujący wężyk. Więcej klamer. Kupka koców pod konsolą numer dwa uchwycona w lampie kombinezonu Bena przyciągnęła jego uwagę.

– Wygląda na to, że jeden jest tutaj.

– Boże! Zostaw go, Bird!

– Węgiel i woda. Po prostu węgiel i woda – Bird chwycił skraj konsoli i odsłonił

koc.

Ciało przedryfowało obok krzesła i obróciło się swobodnie, podczas gdy koc odpłynął tańczyć ze swetrem.

Młody człowiek w zapaskudzonym kombinezonie. Proste ciemne włosy i bezwładnie unoszące się kończyny dryfowały w powolnym obrocie, w który wprowadził je wcześniejszy ruch.

Niezbyt zarośnięty.

Bird złapał rękaw, wyhamował obrót i zobaczył brudną twarz, zamknięte oczy i otwarte usta. Odwodnienie wysuszyło skórę i spowodowało pęknięcia na wargach.

– Nie dotykaj go! – zaprotestował Ben – Boże, nie dotykaj go!

– Golił się, może ze trzy dni temu.

– Jeden Bóg wie kiedy to było. On jest martwy, Bird. To zwłoki.

Bird przesunął szczęką przełącznik w hełmie i uaktywnił czujniki po czym powiedział:

– Lewa. Ręka.

HUD wskazywał na temperaturę dużo wyższą niż 10 stopni otoczenia. Żyjąca tkanka.

– To nie zwłoki, Ben. Ten facet żyje.

– Cholera. Ale nie steruje tym statkiem, prawda?

* * *

Długie, powolne zamykanie drzwi, z nieprzytomnym człowiekiem zapełniającym całą dostępną przestrzeń w ciasnej śluzie i z silnikami pracującymi przy niedostatecznym zasilaniu, grożąc awarią. Potem mogli uruchomić awaryjny tryb powrotny w ich własnej śluzie, mieszając powietrze i utrzymując ciśnienie z powodu pasażera.

– Idź i zablokuj te za nami – powiedział Bird – zostaw wszystko bez zmian na wypadek, gdyby Mamuśka miała jakieś wątpliwości.

– Boże, mamy teraz alarm ZANIECZYSZCZENIA w naszej śluzie. Dlaczego u diabła nie mamy torby transferowej? Ten facet jest cały pokryty jakimś paskudztwem.

– Pomyślimy o tym następnym razem. No, idź już, zrób to.

Ben zaklął, w denerwująco powolny sposób zabezpieczył drzwi wraku po czym wyciągnął wtyczkę zasilania i trzasnął w przycisk zamykający śluzę na ich panelu, wysyłając jedynekę osiemdziesiąt cztery Zebra w elektroniczny sen. Wciąż szcepioną z ich statkiem, z ostatnią baterią na granicy wyładowania.

– Facet był kompletnym idiotą – zamruczał Ben. Powinien był ściągnąć całe

zasilanie do skafandra, a nie w drugą stronę. Powinien pozwolić mu umrzeć.

– W zasadzie masz rację – zgodził się Bird.

– A gdzie jego partner?

– Jeden Bóg wie. Wciśnij NAPEŁNIANIE, nie mogę dosięgnąć przycisku.

Ben wyciągnął rękę za jego plecami i rozbitkiem po czym wcisnął odpowiedni klawisz. Wystartował ich własny kompresor, stabilny i szybki, zdrowe wibracje odczuwalne przez pokład. A potem cała komora rozbłysła czerwonymi błyskami, z białymi literami na panelu ostrzegającym przed WEWNĘTRZNYM ZANIECZYSZCZENIEM.

– Gówno – jęknął Ben.

– Masz całkowitą rację.

– Kiepski żart, Bird. To świństwo zapcha nasze filtry!

– Och, po prostu wyłącz blokadę. Powiedz jej że żałujemy, ale nic na to nie poradzimy.

Ben wciskał już przycisk, mówiąc:

– Nie potrzebujemy żadnego cholernego trupa psującego nam powietrze, niezależnie od tego ile czasu jeszcze potrzebuje żeby się nim stać. Do diabła, Bird, ten statek należy do nas!

Spokojnie, tylko nie myślmy o tym tutaj – Bird poczuł drobne poruszenie w swoich ramionach. Objął rozbitka mocniej myśląc: biedaczek. Trzymaj się. Jeszcze chwilę. Wytrzymaj jeszcze chwilę. Mamy cię, będzie dobrze.

– Rusza się – powiedział do Bena.

Ben głośno nabrał powietrza.

– Wiesz, moglibyśmy wsadzić go tam z powrotem. Kto się dowie?

– Kiepski żart, Ben. – Zapaliło się CIŚNIENIE WYRÓWNANE. – Przycisk włązu, no chodź, pomóż mi. Nie mogę się obrócić.

– Nie stać nas na to, do cholery – protestował Ben. Bank zabierze wszystko, co...

– Ben, na miłość boską, po prostu naciśnij ten cholerny klawisz!

Ben wcisnął co należało. Właz otworzył się, zwalniając napór na plecy Birda, umożliwiając mu obrót i wejście do środka. Ostrożnie wciągnął rozbitka i pozwolił mu dryfować, podczas gdy sam pożegłował z powrotem i umieścił kabel zasilający w swoim gnieździe. Potem wsunął się do środka i zamknął wewnętrzną klapę.

Ben ściągał już swój hełm, robiąc zde gustowaną minę i klnąc. Ich czujnik jakości powietrza uruchomił syrenę alarmową i światła ostrzegawcze – było źle. Chwyił ich gościa za kołnierz i zaczął go rozbierać.

Bird również pozbył się hełmu i zostawił go w powietrzu, po czym zdjął rękawice i pomógł koledze w rozbieraniu nieprzytomnego mężczyzny, cały czas starając się nie oddychać. W miarę, jak ściągali stymbinezon i ubrania, starał się je zwijać tak, aby

jak najmniej stykały się z powietrzem. Zawahał się, czy wyrzucić je do śmieci czy też pralki, ryzykując równocześnie zanieczyszczenie ich zapasu płynu piorącego do końca podróży. Pralka była bliżej. Wcisnął rzeczy do środka, zamknął drzwiczki i uruchomił mechanizm. Brud przyłgął do jego dłoni, a ubranie miał umazane żółtymi i czerwonymi smugami.

Usłyszał słaby, nie należący do Bena głos, protestujący niespójnie. Obrócił się i zobaczył, że Ben otwiera drzwi prysznicu, a młody człowiek próbuje się mu opierać. Ben wepchnął chłopaka do środka i zasunął drzwi. Kolano, które blokowało im drogę zostało wciśnięte do środka. Młodzieniec słabo dobijał się od środka przez plastikowe drzwi.

– Cholera, bądź odrobinę ostrożniejszy, Ben.

Młodszy z partnerów pociągnął zewnętrzną dźwignię blokującą i wcisnął przycisk startu, pilnując zamkniętych drzwi. Włączył się prysznic. Ich gość jeszcze raz uderzył pięścią w drzwi po czym odpłynął w głąb kabiny, odepchnięty strumieniem wody.

– Jaka jest temperatura kąpielii?

– Taka jaką zostawiłeś.

– Nie pamiętam jaką zostawiłem! Wyłącz to Ben, on ma już dość.

– Nic mu nie będzie, do cholery! Wydajemy dość na tego durnia, nie będę żył w tym smrodzie! To również moje pieniądze, Bird, na wypadek gdybyś zapomniał. Wydajemy moje pieniądze równo z twoimi, goniąc za tym gościem. To moimi pieniędzmi płacimy za filtry, a ten smród sprawia, że chce mi się rzygać!

– W porządku, już dobrze. Uspokój się.

– To wszystko spada na nas!

– Zamknij się Ben, słyszysz?

Syrena czujnika powietrza ciągle wyła, co doprowadzało ich do szału. Mieli pusty przebieg, niemal nic w zasięgu. Spędzili długie, nerwowe godziny łącząc się z tym statkiem. Teraz Ben był tak blisko nagrody, że niemal mógł poczuć zapach pieniędzy. Nabrał delikatnie powietrza. Wyglądał, jakby nadal ciężko było mu się kontrolować, jakby zawisł w pół drogi między załamaniem się a połamaniem czegoś.

Ben przesunął się do konsoli sterowania urządzeń podtrzymujących życie i wyłączył alarm. Cisza wręcz ich ogłuszyła. Tylko szum prysznicu i ich własne oddechy.

Chłopak ciężko pracował, czasem zbyt ciężko. Bird powtarzał sobie, że Ben jest cholernie dobrym partnerem, że w Pasie jest samotnie i nerwy czasem puszczają. Dwóch ludzi, uwięzionych na miesiące w stalowej puszce pięć na trzy, w końcu musiało sobie ustępować – po prostu musiało.

– Musimy wyczyścić te ubrania, Bird – odezwał się Ben, przez zaciśnięte wargi,

ale przytomnie. – Musimy się pozbyć tego smrodu. Zniszczy nam filtry, niech to szlag.

– Nie zniszczy filtrów – spokojnie zapewnił go partner, ale przesunął się i wyciągnął z szafki pojemnik pełen ręczników. Prysznic wszedł w fazę suszenia. Mężczyzna wewnątrz unosił się bezwładnie, z zamkniętymi oczami. Może odpoczywał, może stracił przytomność. Bird sięgnął do drzwi.

Ben przytrzymał blokadę i jeszcze raz uruchomił urządzenie.

– Ben – zaprotestował Bird – facet ma dość. Chcesz go utopić?

– Nie będę żył w tym smrodzie!

Mężczyzna – tak naprawdę jeszcze chłopak, wyglądał młodziej niż Ben – podryfował do ściany prysznic i wisiał tam. Znowu się poruszył, aczkolwiek słabo. Może było tchórzostwem nie zmuszać Bena do wysłuchania argumentów, ale na tak małym statku nie było miejsca na walkę. Zwłaszcza o coś, co prawdopodobnie dzieciakowi nie szkodziło. A może nawet pomagało. Można było wdychać kropelki wody, można było pić detergent prosto z dozownika i nie mieć żadnych dolegliwości. A biorąc pod uwagę jak był odwodniony, odrobina czystej wody raczej nie mogła mu zaszkodzić, zwłaszcza ciepłej. Możliwe, że był to również najszybszy sposób na ogrzanie go.

– W porządku Ben – powiedział wreszcie. Otworzył paczkę z ręcznikami dezynfekującymi, wyczyścił sobie ręce, klatkę piersiową, ramiona i dalej, w dół.

– Wciąż go czuję – powiedział Ben drżącym głosem, czyszcząc swoje ubranie – nawet po starciu, dalej czuję ten smród.

– To tylko środki dezynfekcyjne.

– Niech mnie szlag, jeśli rzeczywiście.

Bird pomyślał, że Ben nie radzi sobie z tym najlepiej. Nalegał, żeby chłopak poszedł razem z nim i może to był błąd. Ben nie miał wiele ponad dwadzieścia lat i możliwe, że nigdy nie był jeszcze postawiony w podobnie przerażającej sytuacji. Przejmował się tą sprawą przez cały czas, zwłaszcza po tej dyskusji o piratach.

Z drugiej strony, stary wyjadacz z Ziemi i dzieciak z Pasa cztery lata po szkole, mogli nigdy się nie porozumieć na wszystkich poziomach.

Zrzucili ubrania. Zużyli trzy czwarte zapasu ręczników.

– Facet równie dobrze mógłby zostać w kabinie prysznic – powiedział Bird, będąc już w stanie spokojnie myśleć – do czasu aż będziemy mogli go gdzieś wsadzić. Jego ciuchy niedługo wyschną.

Uruchomił prysznic jeszcze raz, złożył swoje ubranie i zawisł przy suszarce kończącej cykl roboczy. Rzeczy były trochę wilgotne na szwach i zajeżdżały środkami odkażającymi. Czujnik wilgotności suszarki wymagał wymiany, jak i tuzin innych rzeczy z dołu jego listy spraw do załatwienia. Przeczytał nadrukowaną na

ubraniu plakietkę.

– Nasz człowiek ma nazwisko. Tu jest napisane Dekker, P.

– Świetnie. Więc jakoś się nazywa. Ja chciałbym wiedzieć, co się stało z jego partnerem.

Chyba to właśnie najbardziej gnębiło Bena – za dużo historii o Nourim i jego piratach.

– On sam nie radził sobie najlepiej, nieprawdaż? Dekker dryfował w kabinie prysznic, czasem poruszając się nieznacznie. Bird otworzył drzwi, tym razem bez ingerencji ze strony Bena i cicho odezwał się do mężczyzny: – Dekker, nazywam się Bird, Morrie Bird. Mój partner ma na imię Ben. Z tobą wszystko w porządku. Ubierzemy cię teraz. Nie chcemy żebyś się zaziębił.

Dekker uchylił powieki, może z powodu zimnego powietrza, a może w reakcji na głos. Wyszarpnął rękę, kiedy Bird pociągnął go na zewnątrz.

– Cory? – zapytał, w panicznym odruchu zapierając się dłonią i kolaniem o drzwi prysznic – Cory?

– Uważaj na niego! – krzyknął Ben, ale to właśnie on dostał w twarz nieskoordynowanym uderzeniem z backhandu. Dekker dźgnął go jeszcze łokciem odsuwając się, po czym wykonał ruch, by przesunąć się za nich, ale nie miał już na to siły ani oparcia. Bird zablokował mu drogę ucieczki i objął ramieniem. Dekker szszarzał, oklapł i powiedział: – Cory...

– To musi być jego partner – zauważył Bird.

– Boże jedyny. Chcę się wykapać, Bird. – Ben ściągnął z siebie na wpół mokre ubranie i chwycił ramię Dekkera. – Do diabła ze stymbinezonem, owińmy go czymś zanim rozwali nam jakąś konsolę.

– Przytrzymaj go – odparł Bird chwytając unoszący się obok stymbinezon, rozprostowując elastyczną tkaninę i rozplątując nogawki. Złapał ramię Dekkera i odezwał się do niego: – Daj lewą nogę, chodź synu, to czyste ubranie. Chodź, pomóż nam trochę. Lewa noga.

Dekker próbował pomóc na tyle, na ile był w stanie współdziałać człowiek co chwila tracący przytomność. Jego skóra rozgrzała się pod prysznicem, a teraz stygła raptownie w chłodnej kabinie. Niestety, Ben miał rację: dostatecznie trudno było wciągnąć stymbinezon samemu, niemal niemożliwe było włożyć go na bezwładnego człowieka. W końcu zrezygnowali. Zanim ubrali go w kombinezon i zapięli, dygotał z zimna, na wpół świadomy.

– Niezbyt z nim dobrze, co? – wyraził wątpliwość Ben. – Cholerna strata czasu. Facet sam się wypisze.

– Jest w porządku – odparował Bird. – Boże, Ben, uważaj co mówisz.

– Chcę się tylko wykapać. Wsadźmy gościa do łóżka. Weźmiemy prysznic,

wywołały Mamuszkę i powiemy jej, że mamy statek!

– Skończ z tą gadką o statku, Ben!

Długi, ostrożny wydech.

– Jesteśmy obaj zmęczeni. Zapomnijmy o tym do czasu, aż to przetrawimy, dobra?

– W porządku – Bird, wykazawszy się własnym temperamentem, podryfował w stronę wirówek, zabierając ze sobą Dekkera. Obrócił się ostrożnie, złapał chłopaka i zaczął wpychać go w otwarty koniec cylindra. – Spokojnie synu, kładziemy cię do łóżka, bez kłopotów.

Dekker znowu się odezwał:

– Cory..

– Cory to twój partner?

Dekker otworzył oczy, zamglone i mętne. Chwycił krawędź wirówki i potrząsnął głową, odmawiając wejścia do środka.

– Dekker? Co ci się stało, synu?

– Cory – powiedział i odepchnął się. – Nie chcę. NIE!

Przypłynął Ben, chwytając po drodze kołnierz Dekkera i wepchnął go do połowy do wirówki, pomimo aktywnego oporu. Bird przeturlał się, odepchnął i chwycił Dekkera za nogę, podczas gdy ten cały czas opierając się wołał Cory.

– Trzymaj go! – krzyknął Ben i Bird go posłuchał, przytrzymując Dekkera od tyłu do czasu, aż tamten uwolnił z zaczepu na ścianie kawałek kabla, podpłynął, i przywiązał chłopaka za rękę do rury.

– Cholerny czubek – wydyszał Ben. – Przytrzymaj go jeszcze, przyniosę następny.

– To jest brutalne, Ben.

– Będzie gorzej, jeśli ten dureń walnie w konsole. Trzymaj go, cholera!

Ben wykonał salto do szafek z wyposażeniem, podczas gdy Bird łapał oddech przytrzymując wolną rękę Dekkera i poklepując go jednocześnie po ramieniu.

– W porządku, synu, wszystko będzie dobrze. Zabieramy cię do domu. Jestem Bird, a to jest Ben. Jak na ciebie mówią?

Kilka płytkich oddechów. Szarpnięcia zredukowane do dreszczy. – Dek.

– Tak lepiej – poklepał Dekkera po ramieniu. Oczy chłopaka były otwarte, ale Bird wątpił, by ten wiedział gdzie jest i co się z nim dzieje. – Wytrzymaj jeszcze trochę, synu. – Drzwi składziku trzasnęły otwierając się na zewnątrz. Wpłynął zza nich Ben z rolką taśmy.

– Nie wydaje mi się, żeby to było konieczne – powiedział Bird. – Facet jest po prostu trochę wystraszony.

Ben go zignorował, chwycił ramię Dekkera i zaczął przyklejać je do rury.

– Całkiem postradał zmysły.
Chłopak spróbował go kopnąć, cały czas mamrocząc:
– Mój partner, gdzie jest mój partner?
– Obawiam się, że mieliście wypadek – powiedział Bird, trzymając ramię Dekkera. – Kombinezon zniknął. Szukaliśmy. Na statku nie było nikogo więcej.
– Nie!
– Pamiętasz co się stało?
Dekker potrząsnął głową, szcękając zębami – Cory.
– Czy Cory był twoim partnerem?
– Cory!
– Gówno – Ben potrząsnął Dekkerem i spoliczkował go łagodnie. – Twój partner nie żyje. Brak jego kombinezonu. Zostałeś wyciągnięty. Mój partner i ja, wyciągnęliśmy cię. Słyszysz?
Nie pomogło. Chłopak ciągle mruczał o Corym, aż Ben oznajmił:
– Idę spać *zaraz* po prysznicu.
– Przeraża mnie myśl, że mogliśmy zostawić kogoś na tamtym statku.
– Nikogo tam nie zostawiłeś, Bird, do cholery; nie otworzymy znowu tej śluzy!
– Nie jestem taki pewien.
– Szukaliśmy ich, Ben. Jeśli tam był jakiś Cory, to zniknął, to wszystko. Razem z kombinezonem. Zrobiliśmy dla tego faceta wszystko, co mogliśmy. Straciliśmy dla niego nasz czas. Nasze paliwo. Ryzykowaliśmy karki dla tego faceta...
– Nazywa się Dekker.
– Niech się nazywa Dekker, Cory czy Budda, nie mnie to nie obchodzi. Postradał rozum. Nie mamy żadnego bezpiecznego miejsca, żeby go zamknąć. Nie wiemy co się stało z jego partnerem. Nie wiemy czemu Mamuśka go nie zna i to mnie martwi, Bird, bardzo poważnie.
To trzymało się kupy. Wszystko co powiedział Ben miało sens – kombinezon próżniowy zniknął. Przeszukali wirówki i schowki, nie było innych miejsc żeby się schować. Ale nic w tej sprawie nie było oczywiste.
– Słyszysz mnie? – zapytał Ben.
– Już dobrze – odparł Bird – idź, weź ten prysznic i zajmijmy się obliczeniami. Musimy się odezwać. Przepisy. Musimy to rozegrać zgodnie z przepisami.
– Nie żałuj go. Słyszysz, Bird? I nie myśl więcej o powrocie na tamten statek.
– Nie będę. Nie myślę. W porządku.
Ben przyjrzał mu się z zaniepokojeniem, po czym obrócił się i odepchnął w stronę prysznicu.
Bird przesunął się w stronę lodówki, otworzył ją i wyciągnął opakowanie Citrisalu, lemonkę, cytrynę... to wszystko było koszmarnie paskudne w smaku, ale

zawierało mikroelementy, sole i cukry proste.

To było najlepsze co mógł dla niego zrobić. Przedryfował do uratowanego chłopaka, wyciągnął tubkę i przyłożył ją do jego ust.

– Napij się, to zielenina.

Dekker pociągnął łyk, skrzywił się i obrócił głowę.

– No, jeszcze jeden.

Młodziak potrząsnął głową. Trudno go było o to winić, pomyślał Bird. Na pewno nie chcieli nikogo z kłopotami żołądkowymi w zero-g. Sprawdził, czy linka i taśma nie były zbyt ciasne i zdecydował, że przez chwilę chłopakowi nic nie będzie. – Uwolnimy cię, kiedy przejaśni ci się w głowie. Wszystko jest w porządku, słyszysz? Dostarczymy cię z powrotem do bazy. Do medyków. Słyszysz mnie?

Dekker lekko pokiwał głową, z zamkniętymi oczami.

Bird zdecydował, że gość jest po prostu wyczerpany. Klepnął go łagodnie po ramieniu.

– Prześpij się. Statek jest stabilny.

Dekker wymruczał coś pod nosem. Zgoda – pomyślał Bird. Miał taką nadzieję. Czuł się niepewnie, był osłabiony i marzył, by byli o wiele bliżej bazy niż znajdowali się w tej chwili.

Ten facet bardzo mocno potrzebował szpitala. A od tego dzielił ich co najmniej miesiąc drogi. Kiepska podróż. Musieli zainwestować swój czas i pieniądze, ta wyprawa już ich sporo kosztowała. Półroczny dochód, licząc tylko obowiązkowe przydziały.

Może Ben miał rację i rzeczywiście mieli prawo do uratowanego statku – Ben był dzieciakiem po college’u i znał sztuczki oraz prawne kruczki Kompanii. Wiedział, gdzie kryją się luki, a może faktycznie takie były zasady. Jednak Birdowi nie podobał się taki sposób myślenia i sytuacja, w której zostali postawieni. Jeżeli statek, który mieli na holu, należał do Kompanii i to ją mieli wydoić za ich rachunki – to była czysta sprawa. Ale ta łajba, ze swoim tanim wyposażeniem, nie była wystarczająco odpicowana na statek Kompanii. To oznaczało wolnego strzelca. Czyli był to dorobek życia jakiegoś biedaka, Dekkera lub jeszcze kogoś. Dostać zwrot wydatków, to owszem, ile tylko się da, ale obrabować jakiegoś biedaka ze wszystkiego co posiada... To nie było coś, o czym Bird chciałby myśleć.

Za to Ben mógł, i to go przeraziło. Pracowało się z człowiekiem dwa lata w takiej puszczy i wydawało się, że zna się go całkiem dobrze. Jednak tylko Bóg znał prawdę, a doświadczenie dowiodło tego nie raz – w przestrzeni było się samotnym. Kawał drogi od cywilizacji i nigdy nie poznałeś wszystkich dziwactw faceta, zanim coś nie nacisnęło odpowiedniego guzika.

Rozdział 2

Starszy człowiek oddalił się. Dekker słyszał odgłosy poruszania się po statku, jego lub jego partnera. Poprzez szum wentylatora i pomp tłoczących coś przez rury, do których był przywiązany, słyszał działający prysznic. Statek był stabilny. Nie spodziewał się, że jeszcze kiedyś zazna tego uczucia. Przyciemnił światła, wyłączył co tylko się dało i opiekował się statkiem na ile był w stanie. Do czasu, aż wysiadła regeneracja i woda przestała nadawać się do picia.

Teraz był tutaj. Uwolniony od stymbinezonu, lekki jak wietrzyk i podatny na chłód i brak ciężenia. Nie kontrolował się, wiedział o tym. Wystraszył ludzi, którzy go uratowali. Zdawał sobie z tego sprawę i próbował tego nie robić, ale przerazili go. Rozmawiali o przejęciu jego statku. Mogli go zabić. Po prostu pozwolili mu umrzeć a potem powiedzieli Kompanii, że żałują, ale nie byli w stanie pomóc.

Może nie mogli. Może nie powinno mu już zależeć. Był zmęczony i poraniony, na ciele i duszy. A życie wymagało więcej wysiłku niż – jak sądził – był w stanie z siebie wykrzesać. Nie miał pojęcia, ile jeszcze potrzeba czasu i odległości na dotarcie do domu. Nie wydawało mu się, żeby był w stanie znieść takie traktowanie całą drogę. Wszystko śmierdziało środkami dezynfekującymi. I czasem był na swoim statku, a czasem na ich.

Ale Cory ani razu nie podpowiedziała mu gdzie był i chwilami wiedział, że nie zrobiłaby tego.

Podpłynął do niego starszy z nich, wsunął mu w usta słomkę i kazał pić. Posłuchał go. Smakowało miedzią. Starszy człowiek spytał go, co stało się z jego partnerem. Przypomnił sobie – jak mógłby zapomnieć? – była na zewnątrz, był ten statek, widział jak się zbliża...

– Nie! – krzyknął i skrzywił się, gdy przyszło uderzenie, wiedział że walnie, alarm kolizyjny ryczał na cały statek. Wrzeszczał do mikrofonu: – Tam jest mój partner! – to była jedyna rzecz, którą mógł im powiedzieć, jedyne co przychodziło mu do głowy.

– Twój partner nie żyje! – ktoś wrzasnął do niego, podczas gdy inny, gniewny głos odezwał się:

– Do cholery, zamknij się, Ben! Jeśli masz jakieś ludzkie odruchy, daj mu szansę. O Boże!

Wciąż żył i nie rozumiał, jak do tego doszło. Dogramolił się do radia i trzymał się tam pomimo gwałtownych obrotów tak długo, na ile starczyło mu sił.

– Cory – wywoływał na częstotliwości kombinezonu, wciąż i wciąż na nowo, podczas gdy statek koziółkował. Może odpowiedziała. Dzwoniło mu w uszach tak, że nie słyszał nawet wentylatorów i pomp. Ale wciąż wywoływał jej imię, żeby

wiedziała, że żyje i szuka jej, że w jakiś sposób jej pomoże...

Jak tylko zdoła odpalić silniki.

Albo jak połączy się z bazą i zmusi ten statek do odpowiedzi...

* * *

– Należą się nam prawa do wraku. Niezależnie od tego czy jest to statek Kompanii, czy wolnego strzelca. Nie ma różnicy w prawie. Takie są przepisy firmy. Pokażę ci... – perorował Ben.

Bird odezwał się ostrożnie, pragnąc by Ben dobrze go zrozumiał:

– Dostaniemy odszkodowanie.

– Prawo morskie od...

– Jest różnica między prawem i sprawiedliwością, Ben.

– Według prawa jesteśmy właścicielami tego statku. On nim nie sterował, więc prawo stanowi na naszą korzyść.

Ben stracił oddech krzycząc. Bird odezwał się, spokojnie i beznamyślnie:

– Usiłuję ci wytłumaczyć, że sytuacja nie jest taka prosta. Uspokój się. Mamy jeszcze całe tygodnie zanim dotrzemy do bazy, mnóstwo czasu żeby dojść z tym do ładunku. I będziemy o tym rozmawiać. Ale do cholery jasnej, nigdzie się nie ruszymy, jeżeli nie będziemy mieć naszych liczb i nie powiemy Mamuśce, żeby nas stąd zabrała. I to szybko.

– A więc, ile zamierzasz wydać na tego gościa? Miesięczny przydział żywności? Medykamenty? Będziemy zaciskać pasa i ryzykować dla niego nasze wyposażenie?

Na to Bird nie miał odpowiedzi. Nie potrafił wymyślić nic, co zakończyłoby dyskusję.

– To również moje pieniądze, Bird. Wydajesz moje pieniądze. Może i jesteś właścicielem tego statku, a ja mam w nim tylko część udziałów, ale mam tu coś do powiedzenia – Ben machnął ręką w kierunku Dekkera na rufie. – Przeżyje albo nie. Przed upływem miesiąca się wyjaśni. I niezależnie od tego, jak bardzo chciałbym się go pozbyć, nie ma sensu zbytnio się spieszyć. Mamy do ruszenia podwójną masę Bird, i niech mnie piekło pochłonie jeśli miałbym wywalić ładunek.

– Spokojnie, nie pozbedziemy się ładunku. Ani naszego, ani jego, jeżeli tylko zdołamy tego uniknąć.

– I nie będziemy przeciążać konstrukcji. Nie ma sensu narażać karków. Ani naszych, ani jego. Albo przeciążać lin i masztów, to w końcu nie jest sprawa życia i śmierci, nie zdołamy aż tak skrócić czasu. I niech mnie diabli jeśli chciałbym dostać skałę, jak ten facet.

To miało o wiele więcej sensu niż reszta rzeczy, o których mówił Ben. Bird wziął

to za dobry znak i potwierdził.

– Idę na to. Ostre pchnięcie jemu też mogłoby nieźle zaszkodzić.

– Ten facet i tak umrze.

– Nie umrze – zaprotestował Bird. – Na miłość boską, zamknij się, on cię słyszy.

– A jeśli nie, to co? Po miesiącu wydobrzeje, dopchamy się do stacji a wtedy on, wyglądając kwitnąco zaczyna twierdzić, że świetnie sobie radził z tym statkiem...

– Daj spokój, Ben!

– Zamierzam zrobić zdjęcia.

– A zrób sobie – Bird potrząsnął głową żałując, że nie może mu zabronić, żałując, że nie ma sposobu na przekonanie Bena. Ale do diabła, jeżeli zrobienie nagrania wideo miało go uszczęśliwić, to niech je sobie robi.

– Mamy stan tego statku, mamy zapisy dziennika pokładowego...

– Mapy! – wykrzyknął Ben, jakby dopiero na to wpadł.

– Nie ruszymy jego dziennika. Nie ma mowy. Tę część prawa znam.

– Nie o tym mówię. Posłuchaj, mam pomysł.

Pomysły były miłe widziane. Bird z powątpiewaniem przyglądał się, jak Ben stuka w schemat sektora, wskazując na ekranie pchacz i jego linię strzału do studni. Właśnie to przerażało ich zbyt mocno, by się nad tym głębiej zastanawiać.

– Tam jest lekarz, ale rządzi pchaczem pieprzony kapitan z Kompanii. Po prostu poprosimy Mamuskę, żeby pokierowała nas odrobinę zaraz za granicę i oni oficjalnie przejmą sprawę.

– Przejmą, akurat. Kompania nie prowadzi działalności dobroczynnej.

– To statek z R1. Są zobowiązani go przyjąć. Nie mają wyboru. Prawo mówi, że pchacz to baza: mogą go nam zarejestrować, a to w końcu znalezisko, nieprawdaż? Tak jak skała. Oddamy go, pieniądze do banku i możemy popracować z ich statkami przez resztę naszego rejsu to są cholernie dobre pieniądze. Pewne pieniądze. I mamy pretekst.

– Ben, mówisz o kapitanie pchacza. Oni niczego nie muszą robić. Chcesz, żeby nam powiedział, iż mamy zawrócić i zabrać nam tego gościa do bazy, może nawet prosto do R1, jeśli taki będzie miał kaprys? Może to zrobić. Chcesz mu powiedzieć, żeby przechował nam osiemdziesiąt cztery Zebra, a potem odrzucić w sądzie jego roszczenia, kiedy za trzy lata pojawi się z olbrzymim rachunkiem za opłaty transportowe? Musimy zapłacić za tę wyprawę, musimy odpowiedzieć na poważne pytania, bo kupa rzeczy jest tu nie w porządku. I nie zamierzam podejmować ryzyka przed sądem śledczym w bazie, kiedy wszystkie dowody siedzą sobie gdzieś na pchaczu, który – z tego co wiemy – nie pojawi się tam jeszcze przez trzy lub cztery lata. Jeśli chcesz mówić o prawie, to chociaż miej trochę rozsądku! Ben zamknął usta.

– Pchacz robi dokładnie to, na co ma ochotę. Opłaty za trzy lata w doku,

zakładając, że są na początku trasy. Opłaty transportowe za trzy lata. Chciałbyś wtedy spróbować odrzucić żądania Kompanii? I to nie wspominając o koszcie dostania się tam. Mamy skromne zapasy. Chcesz usłyszeć jak mówią nam, żebyśmy jednak sami go dostarczyli? Podwójną odległość? Albo zostać na stałe wciągniętym do załogi pomocniczej? Masz pojęcie, ile sobie liczą od wolnych strzelców za paliwo?

Podczas całej tej przemowy Ben przyglądał mu się poważnie. Zagryzł wargi.

– A więc to odpada. Wiesz, moglibyśmy stuknąć tego faceta w głowę.

Rozwiązałyby to wszystkie problemy.

I to powiedział Ben, którego śmiertelnie przeraziło samo patrzenie na trupa.

– Tak, pewnie – mruknął Bird.

– Która godzina? Która jest godzina? – dobiegło ich z rufy.

– Czego on chce? – Ben zerknął w tył.

Bird sprawdził na zegarku:

– 23.10 – odkrzyknął do tyłu.

– Chcę mój zegarek.

– O Boże – jęknął Ben – cztery tygodnie czegoś takiego?

– Chcę mój zegarek!

Zamknij się, do cholery – wrzasnął Ben – i tak nie pójdziesz na żadną randkę.

– Cierpliwości – odezwał się Bird, ale Ben odepchnął się już w stronę Dekkera.

Bird pożeglował za nim i dotarł na miejsce akurat, by usłyszeć jak Dekker mówi cicho:

– Potrzebuję swojego zegarka.

– Nie potrzebujesz zegarka – odparł Ben – nigdzie się nie wybierasz. Jest dziesięć po cholernej dwudziestej trzeciej, powinieneś spać, a tymczasem zużywasz nasze powietrze, paliwo i czas, więc zamknij się.

– Ben, uspokój się.

– Zamknę mu gębę na kłódkę.

– Ben.

– No dobra, już dobra – Ben znowu odpłynął.

– Nie widzę mojego zegarka – odezwał się Dekker.

Bird przesunął się w miejsce, z którego mógł widzieć tarczę zegarka Dekkera.

– 20.14. Spóźnia ci jakieś trzy godziny.

– Nie.

– Tak mówi zegar.

– Jaki dziś dzień?

– Dwudziesty maja.

– Kłamiesz!

– Bird – złowieszco odezwał się Ben i podpłynął, sięgając ku Dekkerowi, ale

Bird powstrzymał go.

– Nie zniosę czterech tygodni z nim na pokładzie, Bird, przysięgam. Ten facet już mi się ciężko naraził.

– Pozwól mi się odprężyć, dobrze? Uspokój się. Przestań, słyszysz?

– Miałem już do czynienia z czubkami – zamruczał Ben – widziałem ich dość.

– Doskonale. Wyciągniemy go z tego. Rąbnęło go w głowę, jest w szoku. Ben, myślisz, że ty wyglądałbyś inaczej gdybyś przeszedł przez to co on?

Ben gapił się na niego złowieszczo, z zaciśniętymi szczękami i obraźliwym wyrazem twarzy. Ben znajdował się w środku swojej nocnej wachty. Był zmęczony, wystraszony i nie potrafił zrozumieć słabości u kogoś innego.

To poważna wada osobowości, pomyślał Bird, niebezpieczna. Patrzył jak współnik bez słowa oddala się do swojej pracy.

Na swój sposób to dobry partner. Cholernie wydajny i dobry w pracy ze skałami. Ale inny. Przede wszystkim – urodzony w Pasi. Nigdy nie rozmawiał o swojej rodzinie czy krewnych. Wychowany przez korporację do pracy dla korporacji.

Jeśli powiedzieć mu o Szekspirze, spytałby:

– Na której zmianie pracuje?

Powiedzieć:

– Pochodzę z Kolorado.

Zapytałby:

– Czy to miasto?

Tak naprawdę jednak, Ben nie wiedział nawet, czym jest miasto. Trudno było wyczuć jak Ben odbierał świat.

Powiedzieć mu, że było się na weekend w Denver, a on spojrzałby na ciebie ze zdziwieniem, bo weekend to kolejna rzecz, której nie rozumiał. Nie zapytałby jednak, bo Ben tak naprawdę wcale nie chciał wiedzieć – nie zamierzał spędzać weekendów na Ziemi, a to ograniczało jego zainteresowanie.

Ale wystarczy zapytać Bena o analizę spektralną albo skład i jakość dowolnego kawałka skały, a usłyszysz się trzydziestodwujęciominutowy monolog.

Cholernie dziwny kształt przybierał światopogląd dzieciaków z Pasa. Czasem Bird zastanawiał się nad tym. W tej chwili jednak myślał o tym, że może nie chceć mieć ze sobą Bena podczas następnej podróży. Ben był świetnym geologiem i można było polegać na tym, że będzie potrafił kontrolować statek na tyle, żeby utrzymać go w miejscu. I na swój sposób był szczery. Ale krył w sobie również przerażające, ciemne plamy.

Może czas mógł nauczyć Bena czym jest miasto, ale jeden Bóg tylko wiedział, czy dałoby się go nauczyć jak w nim żyć.

* * *

Bird był poważnie wkurzony. Ben doszedł do tego sam i ta świadomość równocześnie doprowadzała go do szału i sprawiała, że czuł się niepewnie. W zasadzie szanował Birda i jego opinie. Bird znał się na swojej robocie. Spędził w Pasie trzydzieści lat i nie miał łatwego życia. Jeśli chodzi o Bena, to nim skończył 14 lat wiedział już, że nie miało się szans na dojście do czegokolwiek dzięki pracy dla Kompanii, jeśli nie było się w zarządzie lub nie pracowało jako starszy pilot. Nie miał koneksji na to pierwsze ani wystarczającego refleksu na to drugie, więc została jeszcze opcja wolnego strzelca. Pracowało się wtedy tylko dla siebie i wykształcenie mogło robić różnicę.

Opuścił instytut z podstawową licencją pilota i pieprzoną wiedzą teoretyczną. Znał się na liczeniu, miał wiedzę i wszystko co się z tym wiąże. Firma nie była szczęśliwa, że jeden z ludzi po instytucie, zamiast wykonywać niewolniczą pracę w biurach lub robić obliczenia dla kompanijnego górnika, odszedł pracować na własną rękę. Zresztą, większość bachorów po instytucie nie miałyby odwagi zrobić tego co on – skąpić i oszczędzać, żyjąc w koszarach dla dłużników, po czym postawić wszystko na wyposażenie wolnego strzelca. Większość dzieciaków, które przewijały się przez instytut nie miała dość dyscypliny, by zrezygnować z lepszego jedzenia, rozrywek i eleganckich apartamentów, o które można było się starać. Zazwyczaj nawet nie byli w stanie opuścić instytutu bez długu, Bogu niech będą dzięki za polisę mamy. A nawet zakładając, że dokonaliby tego wszystkiego, większość nie miałaby dość zdrowego rozsądku, by wiedzieć, że sprawa nie polega na zaciągnięciu się z jakimś świeżo licencjonowanym pilocikiem firmy, który miał braki jak stąd do Ziemi. Nie, do diabła. Rzecz polegała na tym, by upolować w bazie dane starego górnika, który potrafił wiązać koniec z końcem przez trzydzieści lat, przez tłuste i chude czasy.

Czyli Morrisa Birda.

Praca na własny rachunek była jedyną formą hazardu dostępną w Pasie. A wolni strzelcy, mając takie a nie inne pochodzenie, nie posiadali przewagi wiedzy wprost z instytutu i Biura Oznaczeń. Jednak biorąc pod uwagę trzydzieści lat pracy Morrisa Birda, jego stare, rozmieszczone po wszystkich możliwych orbitach i oznaczone na mapach kawałki były większe niż znajdowało się współcześnie. Kompania wypłacała mu za nie opłaty lokalizacyjne i nie podawała w wątpliwość jego praw do znaczników. Te stare skały wciąż pojawiały się na nowo, w sposób typowy dla obiektów okrążających Słońce z różnymi prędkościami. Czasami te dwudziestocztero – i dwunastoletnie kawałki zmieniały orbitę i jeśli chciało się odeprzeć cudze roszczenia do odkrycia, to po tych wszystkich latach trzeba było mieć naprawdę

solidne liczby. A poza tym, żeby znaleźć pozostawioną tam sondę trzeba było czegoś więcej niż talent do zgadywania. Taką właśnie gadkę wstawił Morriemu Birdowi pewnego dnia, na koniec trzeciej zmiany w barze na trzecim pokładzie. Właśnie to miał mu do zaoferowania, razem z dwudziestoma tysiącami nieobciążonych dolarów na sfinansowanie wyposażenia, którego Bird rozpaczliwie potrzebował. Dlatego właśnie Bird powinien zabrać żółtodzioba jako człowieka od liczb, podczas gdy mógł wybierać spośród doświadczonych górników – kompanijne szkolenie, wiedza i matematyka oraz pełne mapy Pasa, które przechodziły przez Biuro Oznaczeń. I cholernie dobrze radzili sobie jako zespół. Cholernie dobrze – do czasu, aż dostali jeden z tych absolutnie beznadziejnych przydziałów, które czasami dawała Mamuśka – sektor, w którym nie było do znalezienia nic, oprócz kilku należących do firmy znaczników na należących do niej skałach.

Tak więc w tej chwili przechodzili kryzys ekonomiczny i Bird znalazł się pod presją. Był człowiekiem wrażliwym na pewne sprawy, a Ben wciąż nie był w stanie ich zidentyfikować. Ewidentnie we wszystkie trafił Dekker ze swoim zwariowanym zachowaniem i tym ślicznym, chłopięcym wyglądem. Dekker siedział gdzieś tam, w ich kącie sypialnym, mamrocząc coś o stracie partnera (cholerna nieostrożność z jego strony!) a Bird był wściekły na niego. Tak jakby jego winą było, że ten facet żył, komplikując sytuację, która mogła ich przecież ustawić do końca życia.

Możliwe – myślał – że Bird chce tego statku równie mocno jak on, możliwe, że jest równie zdenerwowany faktem, że ten gość żyje – Bird, z tą jego etyką pomagania bliźnim. Bird mógł pogubić się w swoich uczuciach.

Niebezpieczna postawa do rozpowszechniania, ten interes z dobroczynnością – myślał Ben – i nie w porządku, skoro Bird ewidentnie myślał o zrzeczeniu się statku na rzecz jego właściciela, a nie na odwrót, i to na koszt swojego partnera.

To była metoda na wykorzystanie Birda, a człowiek tak łatwo pozbywający się majątku potrzebował pomocy od przyjaciela, który pomógłby mu utrzymać się w jednym kawałku.

– Bird – zawołał ze stanowiska roboczego – mam wstępne obliczenia. Żadnych komplikacji oprócz tego pchacza i naszej masy.

Bird podsunął się do niego, powiedział mu żeby skończył i wezwał Mamuśkę. Po czym położył rękę na jego ramieniu w kłopotliwie przyjacielskim geście i powiedział:

– Prześpij się.

– Ty. Ja jestem podpięty – odparł, bo pomyślał, że to poprawi nastrój Birda. Na dnie jego motywów spoczywała myśl, że trochę czasu spędzonego obok ciągle mamroczącego o Cory i zegarku Dekkera, może uczynić Birda trochę mniej łaskawym dla obcych.

Jednak Bird zaprotestował.

– Ty go bardziej potrzebujesz.
– A to co ma oznaczać?
– To co znaczy. Jesteś zmęczony. Zapracowałeś się na śmierć. Odpocznij trochę.
– Nie sądzę, żebym usnął. Ten facet mnie denerwuje. Cała ta sytuacja mnie denerwuje.

– Zły dzień.

Zdecydował, że Bird odzyskał zmysły. Ulżyło mu.

– Wiesz – powiedział – moglibyśmy po prostu wyciągnąć oświadczenie od tego faceta. Wiesz, oprócz zdjęć. Zamierzam nagrać całe to przedstawienie z „która jest godzina”, żeby pokazać z czym musieliśmy sobie radzić. Może być dowodem w tej sprawie.

Bird potrząsnął głową.

– Bird, na miłość boską.

– Ben – powiedział z naciskiem.

On nie rozumiał. Po prostu nie rozumiał.

– Traktuj go łagodnie – dodał Bird.

– Więc czym on dla nas jest?

– Istotą ludzką.

– To cholernie kiepska rekomendacja – zamruczał Ben. Ale zdecydowanie nie należało dyskutować z Birdem w jego obecnym nastroju. W końcu statek był jego własnością. Ben potrząsnął głową.

– Zrobię te zdjęcia.

– Ty nic nie rozumiesz, prawda?

– Nie rozumiem czego?

– Co by było, gdybyś to ty był tam, na zewnątrz?

– Nie znalazłbym się w tak cholernym bałaganie Bird! I ty też nie.

– Taki jesteś pewien?

– Jestem.

– Ben, wybacz, że zapytam, co się stało z twoją rodziną?

– A co to ma do rzeczy?

– Czy oni czasem nie popełnili błędu?

– To nie moja matka pilotowała. Ten statek tutaj to nie przykład z podręcznika, biorąc pod uwagę przebiecie. Środek masy też nieźle przesunięty. Będę musiał testowo uruchomić silniki, dobra? Nie chcę się opierać na domysłach.

– Dobra. Nic ostrego. Pamiętaj, że mamy pasażera. Ben zmarszczył brwi, ale nie skomentował. Bird odezwał się, chcąc wyjaśnić sprawę:

– Wyjaśnijmy sobie od razu Ben – nie obrabujemy tego biednego drania. Ma dość kłopotów. Słyszysz? Nawet o tym nie myśl.

– To nie rabunek, to całkowicie legalne. Masz prawa takie same jak on. Z których on skorzystałby, gdyby sprawy potoczyły się inaczej. Cały system jest ustawiony, żeby działać właśnie w taki sposób.

– Jest różnica między tym co legalne, a tym co jest w porządku.

– To nie jest twój przyjaciel! Nie jest nawet przyjacielem nikogo z twoich znajomych. Bird, na miłość boską, złapałeś wielką szansę. Takie szanse nie wpadają tak po prostu w ręce, i są nic nie warte jeśli nie zmusisz ich żeby dla ciebie pracowały. Po to są prawa – żeby wyrównać szanse, żebyś mógł pracować z ludźmi takimi jakimi są, Bird. A nie z takimi, jakimi chciałbyś, żeby byli.

– Ale czasem trzeba spojrzeć w lustro.

– A co ma do tego lustro?

– Jeśli coś się nam należy, to na pewno zwrot wydatków.

– Wydatki, cholera! Należność za transport, leki, chemikalia i co najmniej gruba opłata za uratowanie statku. Należy nam się cały ten cholerny statek, tak właśnie, Bird.

– To się nie uda.

– Niech mnie diabli, jeśli miałyby się nie udać! Pokażę ci przepisy, Bird.

Wyglądało na to, że przygasił Birda.

– Znam przepisy.

Zachowanie Birda było dla niego kompletną zagadką. Zaryzykował pytanie.

– Bird... czy zrobiłem coś nie tak?

– Nie. Tylko ostrzeż mnie przed tym odpaleniem. Chcę zaaplikować naszemu pasażerowi trochę antybiotyków i ułożyć go odrobinę wygodniej.

– Tylko zapisz w rejestrze co mu dajesz, jeśli tak chcesz to rozegrać – rzucił Ben wracając do tematu, świadom, że argumentację lepiej odłożyć na później.

– Nie ma żadnego cholernego rejestru! Przestań myśleć jak komputer. Ten chłopak może mieć uszkodzone nerki i wątrobę, może mieć złamania i wstrząs mózgu. Możesz wyliczyć miłe, łagodne odpalenie, skoro tym się zajmujesz. Nie będziemy z nim robić żadnych gwałtownych ruchów.

– W porządku. Powoli i łagodnie – Ben stuknął piórem po klawiszach, czując jak z oddalającym się Birdem rośnie jego gniew. Tak naprawdę, jeśli się zastanowić, czuł się głęboko skrzywdzony. Postukał kilka razy w bok konsoli, w końcu odepchnął się stopą od podłoża doganiając wycofującego się Birda.

– Bird, do cholery, co ja do diabła zrobiłem?

Bird popatrzył na niego, jakby coś liczył w głowie.

Może, pomyślał Ben, może on po prostu nie lubi jeśli się z nim kłóci? A może to ta śliczna chłopięca twarzyczka Dekkera? Dekker był typem człowieka, którego serdecznie nie cierpiał. Dla pewnych ludzi nie istniał żaden rozsądny powód, żeby

wyświadczać im przysługi, niezależnie od tego czy byli głupi jak but, czy mogli zabić dla zysku – ludzie wierzyli im, bo dobrze wyglądali i ładnie mówili. Zaświtało mu nagle, że Bird zachowywał się tak głupio wobec tego faceta bez żadnego rozsądnego powodu. I zdecydował, że może mimo wszystko nie było dobrym pomysłem, żeby to Bird opiekował się Dekkerem. Odezwał się, szybko i cicho:

– To bank mnie martwi. I zamiary tego gościa. Nie jest we właściwej strefie. Jest daleko poza nią. Nie znamy go. Może rzuciło go tutaj, a może nie. Nie wiemy skąd jest. Może to jakiś wyrzutek od rebeliantów...

– Nie ma żadnych piratów Ben. I nie jest żadnym cholernym rebeliantem. Co miałby szpiegować? Statek, który można zobaczyć z daleka mając przyzwoitą optykę? Nasłuchałeś się za dużo historyjek.

– Dobra, dobra. Jest jednym z tych dobrych facetów. Chcesz go dociągnąć całego i zdrowego. Trzeba mu dać jakiś szerokozakresowy antybiotyk i trochę witamin. Zajmę się tym. Ty przygotuj odpalenie.

– Już zacząłeś się tym zajmować.

– Powiedziałem, że ja się nim zajmę!

* * *

Ben podryfował w stronę szafki medycznej, a pierwszą myślą Birda było, że może jednak wzbudził w Benie jakieś ludzkie uczucia. A potem, cynicznie, że może przynajmniej doszedł do tego, że lepiej teraz uważać i w tej chwili zabezpiecza swój tyłek tym co robi. Człowiek nie zmienia się tak szybko.

Zobaczył jak Ben napełnia strzykawkę i nagle pomyślał: O Boże, nie mógłby!

Bird kopnięciem odepchnął się od zaczepu i poszybował do Bena.

– Ja to zrobię.

– Zajmę się tym.

Bird sięgnął po unoszącą się swobodnie butelkę. Spojrzał na etykietkę i przekonał się, że Ben rzeczywiście wciągnął do strzykawki antybiotyk.

Ben wykrzywił się do niego.

– Zachowujesz się, jakbyś był niespełna rozumu, Bird. Wiesz o tym?

– Ja się tym zajmę – odparł – poczekaj na to odpalenie jeszcze kilka minut.

Ben odepchnął się i z nachmurzoną miną popłynął z powrotem do konsoli.

Dotknięty – pomyślał Bird, pełen równocześnie wyrzutów sumienia i irytacji, niepewny prawdziwych intencji Bena. Ben nie miał cierpliwości czy współczucia ani dla Dekkera, ani dla nikogo innego, a przynajmniej tak myślał.

A może zachowanie Bena wynikało z zazdrości?

Ben przypiął się przy konsoli i nie patrzył w stronę Birda, bardzo zdecydowanie

nie patrzył w jego stronę.

Bird odepchnął się nogą i podryfował do Dekkera, który wyglądał na śpiącego. Ben miał nadzieję, że to rzeczywiście tylko sen. Przynajmniej przestał pytać o godzinę. Poklepał go w plecy wierzchem dłoni.

Dekker obudził się od razu, protestując.

– Polybact – powiedział Bird pokazując mu strzykawkę – masz jakieś uczulenia?

Tamten nieprzytomnie potrząsnął głową. Bird zrobił mu zastrzyk po czym wyłowił spomiędzy rur tubkę citrisalu umieszczoną tam przez prądy powietrza, odetkał ją i wsunął w usta Dekkera.

Pociągnął raz i drugi. Obrócił głowę.

– To wszystko.

– Zamierzamy testowo odpalić silniki. Potem zrobimy 140, będziemy łapać wiązkę do domu. Zrozum, to musi być nasza baza, chyba że dostaniemy inne instrukcje. Jesteśmy z R2.

Dekker patrzył na niego nieprzytomnie.

– Nie. Nie szpital. 79, 709, 12. Tam byliśmy. Znaleźliśmy coś. Duże znalezisko. Duże. Przepiszę go na ciebie. Tylko leć tam. Weźcie mojego partnera.

– Twój partner był na zewnątrz w chwili wypadku?

Dekker kiwnął głową.

– Co się stało? Dostaliście kamieniem? – To się zdarzało. Zwłaszcza nowym załogom.

Kolejne kiwnięcie. Dekker miał problemy ze skupieniem wzroku.

– Kilometr długości. Z żelazem w środku.

Wolni strzelcy nie znajdowali skał żelazowo-niklowych takiej wielkości. Tak wielkie kamienie zostały zmapowane optycznie – od dawna miały przypisane numery i należały do Kompanii. Jeśli były bogate, miały swoje pchacze, były przeżuwane na kawałki, które wysyłano do strefy przechwyty nad studnią. Ale Bird nie klócił się teraz o to. Dekker w tej chwili nie wyglądał na zbyt przytomnego. Powiedział jedynie:

– Cały kilometr długości. Jesteś tego pewien?

– To prawda – odpalił Dekker. – Mieliśmy na nim znacznik. Skała nie umieszczona na mapach. Możesz go mieć, jeśli tam wrócisz i ją znajdziesz.

– Cory to ona.

– Cory. Tak – znów odpływał. – Boże, wróć. Wróć tam, słuchaj, cokolwiek chcesz...

– Chcesz jeszcze pociągnąć? – zapytał Bird, ale Dekker znowu odszedł. Bird odpłynął przezabinę, by przejąć konsolę od Bena, ale ten zaprotestował.

– Już się tym zająłem. Powiedział 79, 709, 12? Nie ma stamtąd żadnego sygnału,

tylko ten pchacz.

Tylko pchacz – pomyślał Bird. Boże.

– Słyszysz jakiś znacznik?

Ben potrząsnął głową.

Bird zagryzł wargi w zastanowieniu. Zastanawiał się, od jak dawna ten konkretny pchacz tam jest. Co najmniej chwilę, to pewne. Ale Mamuśka mówiła im tylko to, co niezbędne. Można było dojść reszty z tym, czego dowiedzieli się używając uszu i radaru, ale kto tego chciał?

Kto chciałby, w sprawie między znacznikiem Kompanii i prywatnym roszczeniem? Niskim głosem odezwał się Ben.

– Myślisz, że ten głupiec chciał obrobić firmę na kamieniu tej wielkości?

Bird pomyślał, że chce się stąd wydostać. Ale odpowiedział:

– Po prostu nie pytajmy. Nic nie wiemy i jest cholernie pewne, że nie będziemy pchać się im w drogę. Ktokolwiek go znalazł, to ten kamień już ma przy sobie pchacza.

– A to sprawia, że inne roszczenia stają się nieco dyskusyjne, nieprawdaż?

– Nawet nie pytaj.

Prerogatywy Kompanii, tajne kody i bezpośredni dostęp – statki firmy mogły rozmawiać w obie strony do woli, można było się założyć.

Należało ponadto wziąć pod uwagę, że pchacz był uzbrojony – jeżeli uznało się kilometrowej długości akcelerator masy za broń – a Bird osobiście tak właśnie uważał. Nie kłóciło się o pierwszeństwo na kursie czy o prawo własności z kapitanem pchacza. Byli z ASTEXU aż do szpiku kości; i osobną rasą – następnymi po Bogu.

– Mówiłem ci, że powinniśmy byli zostawić go po drugiej stronie śluzy. Jeszcze nie jest za późno – powiedział Ben.

– Skończ z tym żartem. Nie był zabawny nawet za pierwszym razem.

– Bird, w tym jest o wiele więcej niż on mówi. Wielkie znalezisko, jak diabli. Podebrali roszczenie Kompanii.

– Nie wiemy tego.

– Może. Ale to wszystko co chcę wiedzieć. Nagle jestem cholernie zadowolony, że nie odezwaliśmy się do tego pchacza. Nie podoba mi się to jak cholera.

– Ja nic nie wiem, ty nic nie wiesz. Nie zaglądaliśmy do jego dziennika, Bogu dzięki. A teraz po prostu się stąd wynieśmy.

– Moglibyśmy zaoferować dostarczenie dowodów.

– Nie wiemy, co byśmy przysięgali, bo nie wiemy, co się wydarzyło.

– Możemy zajrzeć do tego dziennika.

– Jasne. Podbieracz będzie logował swoje ruchy. I co napisze? 10.25, właśnie zniszczyliśmy chip ze skały kilometrowej długości? Jeśli dotkniemy panelu w tamtym

statku, zostawimy po sobie ślad w pamięci, a jakoś nie wydaje mi się to dobrym pomysłem. Wyrażam się jasno? Nie bądź głupi.

– Mogę poprawić ten zapis. Myślę, że mogę ominąć rejestrację dostępu, jeśli naprawdę chcesz wiedzieć.

– Nie polegaj na tym. „Myślę” nie wystarczy. Nie. Nie pójdziemy na takie ryzyko. Najlepiej będzie, jeżeli będziemy mogli oświadczyć, że nie widzieliśmy tych zapisów i nic nie wiemy. Nie będziemy mieć problemów, jeśli zostaniemy czysti. Żadnych podejrzanych spraw. Nic. Czysto, Ben.

– Stuknij tego faceta w głowę – zamruczał Ben – będziemy pewni, że nie będzie pytań. Wtedy nie będzie problemu.

Boże, pomyślał. Czy tego właśnie uczą młode pokolenie?

* * *

Statek szarpnął.

Dekker krzyknął głośno, próbując się uwolnić. Jakiś głos – teraz już znajomy – wrzasnął żeby się zamknął. Inny, łagodniejszy, powiedział:

– Ustawiamy się na pozycji, Dekker. Spokojnie.

Potem miał kolejną dziurę w pamięci. Obudził się z koszmaru czując rosnące przyspieszenie, nie wiedząc jakie jest jego źródło i kiedy się skończy. Coś wgniało się w jego plecy i pomyślał: – Boże, wirujemy...

– Cory! – krzyknął.

– Zamknij się do cholery!

– Dekker – tym razem łagodnie, z dotykiem na ramieniu. Zapach podgrzewanego jedzenia. Nieważkość. Zamrugał i popatrzył na człowieka z włosami przyprószonymi siwizną, który zdejmował foliowe opakowanie z czegoś unoszącego się przed jego twarzą.

– Jesteśmy na pozycji – mężczyzna odezwał się do niego. Nie pamiętał jego imienia, jednak przypomniał sobie. Bird. Bird był tym dobrym, który nie chciał go zabić.

– Zamierzamy jutro złapać naszą wiązkę i wracamy do domu. Wygląda na to, że Mamuśka uważa, że nam się nie spieszy, niech ją szlag. Uwolnię cię, jeśli będziesz się kontrolował – kolejne klepięcie w ramię. – Wiesz, trochę straciłeś głowę.

– Która godzina?

– Ciii.. – wymruczał Bird. – Przestań o to pytać.

– Chcę wiedzieć...

Bird zasłonił jego usta dłonią.

– Nie rób tego – powiedział patrząc mu w oczy. – Nie musisz wiedzieć,

naprawdę. Twój partner przepadł, to wszystko. Dawno temu. Nie można dla niej nic zrobić.

Nie chciał w to wierzyć. Nie chciał znów się budzić, ale Bird złapał pakiet dryfujący przed jego twarzą i przysunął tubkę do jego ust, nalegając.

Pociągnął odrobinę. To było ciepłe – zupa, słona jak diabli. Odwrócił głowę, nie zatrzymany przez Birda, uwalniając całą konstelację kuleczek zupy stygnących w powietrzu, dryfujących z prądem. Bird wyłapał je dłonią, którą następnie wytarł w spodnie.

Krew, wszędzie błyszczące ciemne krople...

Wszystko stabilne. Czysto i cicho. Tu nic złego nigdy się nie wydarzyło. Nie zamykał oczu, bojąc się ukrytej za nimi ciemności i spróbował jeszcze jednego łyka tego, co oferował mu Bird, podczas gdy pierwsza porcja właśnie docierała do żołądka wywołując efekt, którego jeszcze nie był pewien.

Zadawał sobie pytania: dlaczego tu jestem? Co to za miejsce? To nie mój statek. Gdzie lecimy?

Może robił to na głos. Nie kontrolował się.

– Do Rafinerii Dwa – powiedział Bird.

Potrząsnął głową. Wciągnął powietrze i pomyślał, że Cory wciąż jest na statku, zostawili Cory na statku...

Napomniął się, mógł to teraz robić czując tylko dziwny, zimny spokój: nie, Cory nie żyje. Wciąż o tym zapominał, choć powtarzał to jak mantrę. Nie mógł zapamiętać.

Ona ciągle tu była. Zastanawiała się, co mu się stało. Ufała, że postąpi właściwie, sprytnie. Czekala, żeby ją zabrał...

Ten ciemnowłosy, młodszy, o imieniu Ben, pojawił się przed nim trzymając kawał cienkiego kabla i zatrask. Zawisł na wysokości jego twarzy i sięgnął mu do szyi ręką z kablem.

– Do diabła! – krzyknął i użył kolana, ale Ben chwycił kombinezon i cios nie sięgnął celu.

Pomyślał wtedy, patrząc w twarz Bena, że on mógłby go zabić.

Z boku odezwał się Bird.

– Spokojnie synu, to tymczasowe. Nie rzucaj się.

Myślał, że Bird jest w porządku. Ale Bird trzymał go nieruchomo, podczas gdy Ben owijał mu kabel wokół szyi. Kliknął zatrask.

– Teraz – odezwał się Ben – możesz sięgnąć toalety... sięgnąć wszystkiego na statku oprócz klawiszy. I tak naprawdę wcale ich nie chcesz dotykać, prawda?

Wpatrywał się w oczy Bena i zastanawiał się, czy ten będzie chciał go zabić, jak tylko Bird uśnie. Słyszał jak rozmawiali. Zastanawiał się, czy Ben go teraz uderzy.

– Rozumiesz mnie? – zapytał Ben.

Potwierdził kiwnięciem, przerażony i z umysłem nagle rozjaśnionym i skupionym – efekt pobudzenia adrenaliną. Tkwił nieruchomo, gdy Ben zaczął uwalniać jego lewy nadgarstek, przymocowany taśmą do rur. Nie myślał o niczym. Był tylko on i Ben, i starszek trzymający go ciasno za bark i mówiący:

– Przepraszam cię za to, synu. Ale nie możemy ci pozwolić kręcić się tutaj w twoim stanie. Ben nie jest złym człowiekiem.

Pamiętał co podsłuchał. Myślał, że Bird chce go utrzymać przy życiu, ale teraz nie był pewien czy którykolwiek z nich był przy zdrowych zmysłach.

Ben uwolnił jego lewą rękę. Bird odwiązał prawą. Poruszanie nimi wywoływało ból w klatce piersiowej, w plecach, w całym ciele ból tak silny, że z oczu pociekły mu łzy.

Ben oddalił się na dziób. Bird został za nim i kładąc rękę na jego ramieniu odezwał się:

– Z tego co widziałem, nie ma różnicy między naszą i twoją konfiguracją. Standardowe umeblowanie. Możesz użyć wszystkiego w zasięgu ręki. Nie używałbym wirówki z tym kablem na szyi, rozumiesz, ale miałeś swoje g kiedy twój statek koziołkował. Jeden Bóg wie, prawdopodobnie więcej niż potrzeba. Twój stymbinezon jest czysty, ale nie zaszkodzi ci posiedzieć dzień lub dwa bez niego. Pewnie jesteś obolały jak diabli? Tylko nie próbuj używać prysznicza, przez ten kabel drzwi się nie zamkną i mielibyśmy wszędzie wodę. Z wszystkiego innego możesz korzystać do woli. Jasne?

– Tak.

Bird zebrał kilka pętli kabla ściskając je w dłoni.

– Jak będziesz poruszał się po kabinie, bądź tak miły i trzymaj to przy sobie. Nie chcemy, żeby coś ci się stało. Słyszysz? Nie chcemy, żeby ten kabel cię skrócił o głowę. Nie będziemy odpalać silników bez ostrzeżenia, ale ty też uważaj. Trzymaj się tego.

Za dużo mu się przydarzyło. Nie mógł dojść, jaka jest jego sytuacja i czego oni chcieli. Odsunął się, oddryfował od ściany i chwycił opakowanie zupy które unosiło się obok. Zahamowanie ramieniem o rurę było niemal ponad jego siły. Zmieszany, puścił linkę i uderzył się w głowę.

Ktoś złapał go za stopę i delikatnie pociągnął. Kiedy został ściągnięty na dół, okazało się, że to Bird, trzymający własne opakowanie zupy.

– Jest stałe jedzenie – powiedział – jak tylko będziesz w stanie sobie z nim poradzić. Możesz brać z kambuza co chcesz. Byłeś nieźle odwodniony.

Nienawidził tego czasu przeszłego, implikującego dłuższy czas, którego nie pamiętał. Chwilami mówił sobie, że Cory już nie ma i za każdym razem czuł panikę. Zahaczył się stopą w uchwycie, zatrzymał i pociągnął łyk zupy, przyglądając się

jedzącemu Birdowi. Ciągłe myślał, że oni kłamią. Wcale nie zabierają mnie do domu...

W końcu zapytał Birda:

– O jakim pchaczu rozmawialiście?

Z dołu odezwał się Ben.

– Nic mu nie mów Bird, do cholery. Nie zasłużył sobie.

Przeniósł spojrzenie z Bena, w dół przy konsoli komputera, do Birda odpoczywającego przy grodzi.

– Ben jest pobudliwy – wytłumaczył kolegę. – Po prostu zjedz swoje śniadanie. Lub kolację, cokolwiek to jest.

Ale Ben już płynął w ich kierunku. Zahamował pchnięciem o przewody.

– Chciałbym wiedzieć – odezwał się – czym zamierzasz zapłacić za podróż. Żresz nasze jedzenie, oddychasz naszym powietrzem, zużywasz nasz czas i paliwo. Przerwaliśmy dla ciebie naszą trasę. Na dobrą sprawę dopiero ją rozpoczęliśmy, a już wracamy do bazy, niemal kompletnie wyzerowani, na twoje konto, facet. Masz jakieś aktywa, żeby za to zapłacić? Czy tylko długi?

– Mamy pieniądze – odparł, choć wiedział, że nie powinien tego mówić tym ludziom. Desperacko próbując złapać wcześniejszy tok myśli, mając nadzieję że niczego nie stracił, zapytał ponownie:

– Więc co to za pchacz?

– Ile pieniędzy? – padło pytanie.

– Ben – zaprotestował Bird.

– Chcę – powiedział ostrożnie – chcę, żebyście wywołali tego pchacza i zapytali ich o moją partnerkę.

– O co mamy zapytać na jej temat? – zapytał Ben.

– Zapytaj czy... – zająknął się na tę myśl. Nigdy się nie jąkał, a mimo to nie mógł tego z siebie wydobyć – czy ją p-podjęli.

– A dlaczego mieliby to zrobić? Co tu robiliście, kłusując w strefie innej rafinerii?

– Nie by-byliśmy. – Cholera, nie mógł się wysłowić. To było...

– Co ma znaczyć to „to było”?

– Ben! – wtrącił się Bird, a potem powiedział do niego: – Zapomnij, że pytał.

Nie rozumiał. Był tak słaby, że chwilami tracił kontrolę nad tym co mówili, a wrogie środowisko, brak ciężenia i jedzenie do którego nie był przyzwyczajony dodatkowo dezorientowały go i wytrącały z równowagi. W głowie miał ciągły szum, który narastał i opadał jak głos wentylatora. Chwilami wiedział, że Cory wciąż żyje i myślał o czasie, chciał sprawdzić swój zegarek by mieć pewność.

Ale to było szaleństwo. Zaczynał to sobie uświadamiać. Jedyłą szansą na ratunek

jaką miała Cory, był ten pchacz. Może oni ją podjęli. Może to zrobili.

– Zmienił swoją śpiewkę – odezwał się Ben. – Facet kłamie. Zderzenie ze skałą, powiedział. Eksplozja rozwalila cały cholerny zbiornik. Drugi został walnięty tak, że w dziurze można by zaparkować holownik. Człowieku, *chcesz zobaczyć nagranie wideo? Mogę ci pokazać taśmę.*

– Nie uderzyliśmy w skałę – odparł, potrząsając głową. Nie miał pojęcia do czego zmierzał. Nie wiedział, o co go oskarżali, czy nagrywali to co mówił i czego od niego chcieli.

– Więc czemu miałyby eksplodować?

– Pchacz nas trzasnął.

– Skierowany na zewnątrz od Studni? W czyjej strefie byliście?

– R1.

– Pchacz, do diabła. Bzdura, po prostu walnęliście w skałę.

– Nie.

– Ben – wtrącił się Bird – facet jest skołowany.

– Nie przejmuj się – wiesz, niektórzy ludzie z kłopotami zasłużyli sobie na nie.

– Nic nie wiemy na pewno – zaprotestował Bird. – Po tym co przeszedł, jego pamięć nie jest jeszcze całkiem sprawna.

– Wygląda dostatecznie zdrowo. Wygląda cholernie zdrowo, dzięki naszemu powietrzu i naszemu żarciu. Wygląda, jakby mu się naprawdę poprawiło.

Ben mówił o przejęciu jego statku, przypominał to sobie – chodziło im o statek i twierdzili, że zabierają go do R2, nie do domu. Teraz mówili o innych długach...

54;

Mówili tak, jakby chcieli zmusić go do pracy dla nich. Słyszał o Nourim. To już się zdarzało w Pasie. W Pas wychodzili różni ludzie, a kiedy będą gotowi wrócić do bazy, mogą nie chcieć zabrać dowodów ze sobą.

Boże – pomyślał i spojrzał w pustkę. Jedynym statkiem w pobliżu był ten pchacz. Jeśli nie zameldowali o znalezieniu Cory... Wskaźniki... coś pędzącego na niego z przestrzeni...

Eksplozja uderzyła w nich jak pięść. Przyspieszenie. Sięgnął do kontrollek silników.

Brak mocy. Nic...

Ben go zostawił. Bird też. Widział jak ze sobą rozmawiają, Bird trzymając Bena za ramię, ale nie słyszał co mówili.

Nagle Ben krzyknął:

– Ten statek należy do nas!

– Tylko się uspokój, Ben. Przestań, na miłość boską!

Znowu zaczęli się kłócić, wrzeszcząc na siebie na temat pieniędzy, na temat tego

co na niego wydają, a Bird w kółko powtarzał:

– Decyzja nie należy do ciebie, Ben!

Przyglądał się, obrócony tak by widzieć, wciąż na nowo tracąc i odzyskując świadomość, z szumem wentylatora w uszach i zupą mdlącą go w żołądku.

W pewnym momencie nawet bał się, że Ben uderzy starszego mężczyznę i zostanie panem statku.

Kłótnia zakończyła się. Zemdlał na jakiś czas. Oprzytomniał mając przed oczyma jakiś obiekt i spojrzał wprost w cyklopowe oko trzymanej przez Bena kamery, skierowanej na jego twarz. Wystraszyło go to. Gapił się na niego, zastanawiając się czy Ben jest naprawdę rąbnięty, czy po prostu jest hobbistą. Bał się protestować. Po prostu gapił się i starał nie zwymiotować.

W końcu Ben wyłączył kamerę ze słowami:

– Mam cię, sukinsynu – i oddryfował.

Pomyślał – ten facet jest szalony, całkowicie szalony... Ben chciał jego statku. Pragnął jego śmierci. Miał wokół szyi kabel założony przez Bena. Po epizodzie z kamerą bał się już spać, w obawie, że Ben zrobi coś jeszcze dziwniejszego, a adrenalina pozwoliła mu się przez chwilę skupić. Ale świadomość znowu zaczęła go opuszczać i znów ogarnęła go wirująca ciemność, z ciśnieniem rosnącym w głowie, a potem znowu miał przed sobą Bena z tą soczewką skierowaną na jego twarz, i Ben wariujący coraz bardziej i bardziej...

Nie miał pojęcia ile to trwało, albo czy nie przyśniła mu się ta sprawa z kamerą. Kiedy patrzył, Bird spał w prowizorycznej sieci zamocowanej od strony dziobu, a Ben siedział przy konsoli komputera, jakby nigdy się stamtąd nie ruszał, jakby nigdy nie robił niczego dziwnego. Przez chwilę przyglądał się Benowi, zastanawiając się czy miał halucynacje, dociekając, czy bezpiecznie było poruszać się podczas snu Birda. Zaczynał odczuwać gwałtowną potrzebę udania się do toalety, ale bał się zrobić cokolwiek przeciwko czemu Ben mógłby zaprotestować.

W końcu bardzo powoli odepchnął się i nogami do przodu popłynął w kierunku prysznica/toalety.

Ben obejrzał się na niego. Dotknął drugiej ściany i złapał drzwi kabiny, a Ben wydawał się nie przejmować tym faktem.

Nie używać prysznica, to pamiętał – trzymał przewód w lewej ręce w sposób zademonstrowany przez Birda, ale na moment znowu stracił orientację gdzie się znajduje. Potem znalazł się wewnątrz prysznica, gdzie znajdowała się ubikacja i załatwił to po co przyszedł. Przez pełną paniki chwilę pomyślał – oni kłamią, cały czas jestem na naszym statku. Był tu nawet ten sam prążkowy wzór na zielonej ścianie kabiny. Czuł go pod palcami, równie realny, jak wszystko co znał. Pomyślał, że Cory nie może być martwa, że nie jest martwa, że nie ma żadnego innego statku...

Ale był ten przewód wsuwający się przez drzwi, był zacisk który nie chciał puścić – spróbował zaprzeć się stopami i ramionami, jednocześnie odciągając osłonę zacisku, by rozewrzeć szczęki gołymi rękami. Ale nie mógł złapać dźwigni, a w tym czasie Cory była na zewnątrz, nie mając jak wrócić...

Spojrzał na swój zegarek. Wskazywał na 6.38. Wyświetlał 12 marca. Pomyślał, że ten cholerny zegarek się zepsuł, nie może być 12 marca. Jestem znów tam, gdzie zacząłem, Cory zginie. O Boże...

Palec zjechał mu z osłony zacisku i wbił się w sprężynę. Zagryzł wargi, by nie ulec bólowi i cały czas myśląc, że musi pozbyć się tego, odzyskać kontrolę nad statkiem, dostać się do radia...

Rozejrzał się za jakimś uchwytem, za czymkolwiek co mogłoby posłużyć jako dźwignia i pozwolić zwolnić szczęki zacisku. Spróbował zaczepić się o dozownik mydła wcisnął tam mały panel po czym obrócił się do góry nogami. Zaparty stopami o ścianę odsunął osłonę sprężyny palcami i zaczepił nią o końcówkę dozownika, pchając panel z całych sił w dół, próbując się uwolnić nie ześlizgując się...

Rozdział 3

Od strony prysznicza dobiegł odgłos głuchego uderzenia, a wtedy Ben zdał sobie sprawę, że facet siedzi tam za długo.

Wysunął się z pasa, którym był przypięty do siedzenia i rzucił się w tamtym kierunku hamując na rogu kabiny. Przez półprzezryste drzwiczki uchwycił rozmazany obraz Dekkera unoszącego się do góry nogami w poprzek kabiny.

Co u diabła, pomyślał. Szarpnął drzwi, by je otworzyć – nie widział sensu w akrobacji Dekkera. Ale wtedy dostrzegł zakrwawione odciski palców na drzwiach i kął pod jakim wygiął się Dekker usiłując wykorzystać dozownik mydła do otwarcia blokady klamry. Dekker zniechęcony zrezygnował, z głośnym trzaskiem płytki wracającej na swoje miejsce i odepchnął się od ściany rzucając na niego. Próbował owinać kabel wokół jego gardła.

Wrzasnął, odwinął się i chwycił przewód, który Dekker chciał zacisnąć na jego szyi. W zmaganiach obaj zostali owinięci węzowymi splotami. W czystej panice uderzył Dekkera, uwięzionego kablem i walił go z całych sił, nie przestając.

– Ben! – wrzasnął Bird. Ledwie go słyszał. Wciąż uderzał, tracąc czucie w pięści, z oddechem tak zdławionym, że nie potrafiłby powiedzieć, czy jego gardło uwięzło w pętli czy nie. Bird zablokował mu ramię, krzycząc:

– Zabijesz go! Ben, do cholery, przestań!

Zdał sobie sprawę, że Dekker już nie walczył. Bird uwolnił go z uścisku. Dekker unosił się bezwładnie. Bird potrząsnął głową odzywając się:

– Oszalałeś?

– Współczucie dla cholernego szaleńca – żadnych podziękowań za powstrzymanie Dekkera od próby zabicia ich. Trząśnięcie z przerażenia, w które wprawił go Dekker – czuł ból od jego ciosów – i z powodu Birda, który wziął stronę Dekkera.

– Ten sukinsyn usiłował podważyć zatrząsk i uwolnić się. – Wyrwał się z uchwytu Birda, złapał Dekkera, doholował go z powrotem do miejsca gdzie wystawały rury i wyciągnął z kieszeni rolkę taśmy. Dekker wciąż był bezwładny, gdy zaczął przyklejać jego nadgarstek do rury z zimną wodą, ale spieszył się na wypadek, gdyby ten odzyskał świadomość.

– Przestań! – krzyknął Bird nadlatując i odpychając go. Bolała go ręka, a Bird brał stronę szaleńca. Oddalił się do magazynku i wyciągnął sobie piwo – nie odzywał się do partnera, w tej chwili nie ufał sobie dość, by powiedzieć cokolwiek. Bolała go szczeka, jeden z zębów był poluzowany i miał rozciętą wargę. Nigdy nie walczył w szkole i nie miał ochoty na bójki w tym wieku, ale facet chciał go zabić. Wrzasnął w górę do Birda.

– Nie pozwól sukinsynowi poruszać się swobodnie! Nie rób tego, Bird!

Wciąż trzęsąc się łyknął piwa. Jego kończynami wstrząsały dreszcze a oddech miał tak nierówny, że miał kłopoty z piciem. Nie był przestraszony, ale wściekły. Cholernie wściekły. Facet próbował ich zabić, a Bird odsunął go i zaczął wykazywać współczucie gościowi, który chciał pograżyć ich obu. Bird był właścicielem statku i to on wydawał rozkazy. I sądził, że mogą ufać temu sukinsynowi...

– Rzuć mi tu zamrażacz – powiedział Bird.

Zrobił to. Sięgnął do apteczki i wysłał go do Birda, który nawet na niego nie spojrzał.

* * *

Bird zgasił latarkę. Źrenice Dekkera miały tę samą wielkość i obie reagowały, to było wszystko o czym wiedział, że może sprawdzić. Dekker krwawił z nosa małymi kropelkami. Przeczyścił powietrze swoją chusteczką, by trzymać je z dala od filtrów, przetarł mu policzek po czym złapał zamrażacz i zaaplikował go na rany twarzy i karku Dekkera.

Dekker zaczął wykazywać oznaki życia, zmieszany, przez chwilę siłując się z taśmą, nim sięgnął swoją wolną ręką i zaczął ją zdzierać. Bird złapał jego rękę, powstrzymując go i odezwał się cicho, tak by tylko Dekker mógł go usłyszeć.

– Spokojnie. Bądź cicho, wszystko w porządku. Nie przejmuj się – nic dobrego z tego nie wyniknie. Przestań, słyszysz?

Dekker ciężko oddychał, gapiąc się na niego albo przez niego, nie miał pojęcia. Dekker chciał się uwolnić – nie mógł go za to winić, ale nie był również pewien, czy jest przy zdrowych zmysłach. Jeden Bóg wiedział, co działo się z Benem. Dekker szarpnął ręką, którą go przytrzymał.

– Um-um – wydobył z siebie. – Nie ruszaj się. Nie zrywaj tej taśmy przez jakiś czas. Słyszysz? Niech zostanie.

– Kłamca – powiedział Dekker.

– Jasne – gdy szedł spać, sytuacja była prawie unormowana, a budząc się zastał dwu mężczyzn próbujących się pozabijać i to nie za bardzo miało sens.

– Krwawisz w nasze filtry. Nie ruszaj się... Cholera! to w reakcji na zakrztuszenie się i kichnięcie Dekkera, które wysłało w przestrzeń kulki krwi. Złapał je w chusteczkę i jedną ręką przycisnął ją do twarzy mężczyzny.

– Nie wiem co zrobiłeś, synu. Zrobiłeś coś, żeby wkurzyć Bena?

Dekker potrząsnął tylko głową – zaprzeczenie, odmowa – nie miał pojęcia. Dekker wypluł krew w chusteczkę, wciągnął bulgotliwy oddech i wyszeptał:

– Cory. Wezwijcie Cory.

– Raczej nie odpowie – przesunął rękę Dekkera do jego twarzy – trzymaj to. Złapał zamrażacz, który powracał właśnie po zderzeniu ze ścianą i jego też wręczył mężczyźnie.

– Trzymaj to w zimnie. Jeśli będziesz krwawił, zbieraj krew do chusteczki, dobra? Nie dmuchaj w nią. Niech tak zostanie.

Dekker popatrzył na niego przez zakrwawioną chusteczkę i pakiet zamrażacza. Możliwe, że chwilowo się uspokoił. Lub był zbyt poobijany i bez sił, żeby wariować, przynajmniej na jakiś czas.

Zebrał się w sobie, z bólem głowy i resztkami cierpliwości, odepchnął się i podpłynął do Bena. Wyglądało na to, że Ben nie zamierza z nim porozmawiać, więc obrócił się i zmienił kurs, zahaczając o szafkę. Nabrał już wprawy w odczytywaniu nastroju Bena, nawet po kształcie pleców, pochyleniu głowy. Ben był skwaszony, rozstrojony i usiłował ignorować fakt, że Bird się w niego wpatruje – po prostu pił swoje piwo i próbował być gdzieś indziej.

– Mam problem – odezwał się do niego. – Ben?

– Obaj mamy problem – odparł krótko tamten, jakby nie zamierzał mówić nic więcej. Jednak potem dodał: Facet chciał nas zabić. Prawie udało mu się zdjąć zatrzask, używając krawędzi konsoli jako dźwigni. Jak myślisz, co chciał zrobić, Bird? Chwytasz to?

– Dobry Boże. Uspokój się. Mamy długą drogę z powrotem.

– Uspokój się – przedrzeźniał go Ben. – Słuchaj, oszczędzałem i odejmowałem sobie od ust przez całe życie, żeby zebrać te 20 tysięcy, rozumiesz? Nikt nigdy mi nie odpuścił, nigdy nic nie dostałem w prezencie, a tutaj mamy największą szansę jaka mogła się trafić komukolwiek...

– To nie znaczy, że statek należy do nas. Nie należy.

– Boże, Bird...

– Poradzimy sobie – na tym poziomie był w stanie zrozumieć panikę Bena: nie było łatwo zebrać 20 tysięcy, prawda, życie nie było łatwe.

– Nie zejdziemy pod krechę.

– Zejść pod krechę! Jesteś dość stary żeby lepiej wiedzieć, Bird. Włożyłem w tę sprawę oszczędności całego życia!

– Ja też – odparł ostro i przepchnął się niżej, równocześnie obracając się tak, by widzieć twarz Bena we właściwej pozycji. – I to ponadtrzydziestoletnie. I posłuchaj – nie uderzysz go znowu. Jego głowa nie wytrzyma więcej.

– Więc kim on jest. Kim on jest, żebyś był mu winny cokolwiek Bird? Czy może jest coś o czym powinienem wiedzieć? Gdzieś już go spotkałeś?

Znów patrzył na Bena z poczuciem, że się nie rozumieją. Słuchał przepelnionego pretensjami głosu z nieprzyjemnym wrażeniem, że być może będzie musiał zamknąć

go pod kluczem.

Mniej więcej w momencie, kiedy spodziewał się, że Ben naprawdę eksploduje, ten niespodziewanie wykonał to swoje wzruszenie ramionami i machnięcie ręką.

– W porządku, dobra. Wchodzimy w to, przerywamy naszą trasę – zapomnij, że cokolwiek mówiłem.

– Jaki dziś dzień? – zapytał Dekker poprzez kajutę. Cory? Cory?

– Dwudziesty pierwszy – odezwał się starszy – dwudziesty pierwszy maja.

Ben przecesał włosy palcami i rzucił Birdowi zdeglustowane spojrzenie.

– Chcę się go pozbyć. Bóg wie, co się stało z jego partnerką. Jeśli w ogóle była jakaś partnerka.

– Cory?

– Zamknij się! – Ben wrzasnął na Dekkera. – Po prostu się zamknij!

Bird zagryzł wargi, ale nie odezwał się. Były chwile, kiedy można było dyskutować do znudzenia, ale i takie, kiedy lepiej było się nie odzywać, a w tej chwili Ben z pewnością nie zachowywał się w sposób pozwalający na dyskusje.

– Wydostań od bazy nasze potwierdzenie – powiedział Bird i odważył się na klepięcie kolegi w ramię. – Już w porządku Ben. Słyszysz?

– Zrób coś, żeby się zamknął – poprosił Ben. – Ucisz go choć na chwilę.

* * *

Dekker walczył z taśmą na nadgarstku na miarę swoich skromnych możliwości – palce miał spuchnięte, bolały go żebra i nie rozumiał, jak znalazł się w tej sytuacji ani czym zasłużył sobie na bycie bitym i unieruchomionym w ten sposób. Kompletnie nie pamiętał niczego oprócz prysznic, zielonego, prążkowanego prysznic i zegarka. To był ten dzień, coś się miało stać z Cory – to był ten dzień... ale Bird powiedział: maj, nie marzec.

Styczeń ma trzydzieści dni. Nie, trzydzieści jeden. Luty dwadzieścia osiem. Marzec...

Trzydzieści dni miały wrzesień... kwiecień, marzec i listopad...

– Kwiecień, maj i listopad – zamknij się!

Dwunasty marca. Trzydzieści jeden dni, trzydzieści jeden bez dwunastu.

Nie. Zacznijmy od stycznia. To trzydzieści, nie, trzydzieści jeden, i dwadzieścia osiem – albo dwadzieścia dziewięć, jeśli to rok przestępny – czy to rok przestępny?

– Nie jest przestępny!

Dwadzieścia osiem i dwanaście – nie, zacznijmy od nowa. Trzydzieści dni w styczniu...

– Jest maj, Dekker, pieprzony dwudziesty pierwszy maja!

Obliczanie wstecz – dwadzieścia jeden dni w maju...

Niemożliwe. Nie mogło być...

– Przetawiliście mój zegarek, niech was piekło pochłonie! Chcecie żebym zwariował!

Zbliżył się do niego Bird, położył mu rękę na ramieniu i złapał unoszący się pakiet zamrażacza, po czym znowu mu go zaaplikował. Odezwał się spokojnie, nie mając pojęcia o co chodziło Dekkerowi.

– Czas teraz nie ma znaczenia, synu. Uspokój się. Jesteśmy gotowi złapać wiązkę, za chwilę usłyszysz stawianie żagla.

– Rafineria Dwa – powiedział. Pamiętał. Miał nadzieję, że pamiętał. Miał nadzieję, że to się nie stanie jeszcze raz.

– W porządku. – Kolejne klepięcie w ramię. Bird mógł być równie szalony jak Ben, ale wyczuł w nim jakąś przyzwoitość. Pozwolił Birdowi obrócić swoją głowę i zająrzeć w prawe oko, to które było spuchnięte i łzawiło.

– Bird, zrób mi przysługę.

– Kiepsko stoisz z przysługami w tej chwili. O co chodzi?

– Wezwij moją partnerkę.

– Robimy co możemy.

Nie wierzył w to. Zwłaszcza kiedy Bird wyciągnął jeszcze jeden zwój kabla z kieszeni i zgarnął jego drugą rękę. Opierał się. Próbował odepchnąć Birda, ale kiedy się nateżył poszarzało mu przed oczami i stracił oddech.

– Puść mnie – poprosił Birda tak cicho, żeby nie usłyszał Ben. Boże, jak bardzo bolały go żebra. – Uwolnij mnie.

– Nie mogę tego zrobić, synu. Nie dzisiaj. Może nawet jeszcze przez jakiś czas. Ben mówi, że rozwalaleś przedmioty. – Kabel owinał się wokół nadgarstka ze szczęknięciem klamry.

– Ben kłamie! – Nie. Nie chciał iść tą drogą. Próbował to naprawić. Zaskoczył drugi zatrask – powlekana stalowa linka owinięta wokół rury czy czegoś innego. Próbował nie poddać się panice. Próbował być całkowicie rozsądny. – Ma rację. Straciłem na chwilę kontrolę. Ale już jestem w porządku. Powiedz mu, że żałuję. Więcej tego nie zrobię.

– Powiem mu – Bird łagodnie ścisnął jego bark. – Nikt nie zamierza cię krzywdzić synu. Nie chcemy, żeby stała ci się jakaś krzywda. Po prostu mamy trzech ludzi w małym statku, a tobie trochę się pomieszało. Spróbuj być cicho przez chwilę. Wszystko będzie dobrze.

Brakowało mu tlenu. Próbował nie ulec panice. Nie chciał, żeby mówili mu, że mu się pomieszało.

– Bird – powiedział, zanim ten się oddalił – tam gdzie byłem jest pchacz, czyż nie

tak?

– Nie wiedziałbym synu. Nie jestem pewien, gdzie byłeś.

– 79, 709, 12.

Bird wolno pokiwał głową.

– No dobrze. Tak. Jest tam w pobliżu pchacz.

Coraz bardziej brakowało mu powietrza. Odezwał się, spokojnie, przytomnie, bo wreszcie znalazł coś, z czym obaj się zgadzali.

– Dobrze. Chcę, żebyście go wywołali. Zapytajcie o moją partnerkę.

– Jesteś pewien, że miałeś partnerkę, synu?

Rzeczywistość ciągle mu umykała. Umykał mu czas i przestrzeń oraz to, co się wydarzyło. Skupił wzrok na poszarzałej twarzy Birda, jako jedynym dostępnym punkcie odniesienia.

– Po prostu wywołajcie go. I zapytajcie, czy podjęli moją partnerkę. To wszystko o co proszę.

– Synu... szczerze mówiąc, nie mam pojęcia co mogłeś robić tam, w rejonie przypisanym pchaczowi. Rozumiesz mnie?

Nie rozumiał. Potrząsnął głową.

– Jak długo jesteś w Pasie, synu?

– Kilka lat. – Nie był już pewien nawet tej liczby. Nie był pewien niczego, co miało związek z czasem. Znów pomyślał o spojrzeniu na zegarek, by umiejscowić się jakoś w czasie.

– Wolny strzelec?

– Tak.

– Zarobiłeś kiedyś jakieś pieniądze na górnictwie? ten rodzaj pytań zadawał Ben.

– Może.

– Nie robiłeś nigdy żadnego podbierania?

Serce mu skoczyło. Energicznie potrząsnął głową pragnąc, by Bird mu uwierzył.

– Nie.

Nie potrafił przypomnieć sobie, o czym rozmawiali przed chwilą, dlaczego Bird zadawał mu takie pytania.

– Jesteśmy tak cholernie blisko linii strzału tego pchacza, zrozum, a skoro był już jeden wypadek, to nie chcemy następnego, rozumiesz mnie?

Na chwilę wszystko pociemniało. Bird dał mu więcej zupy, powiedział, że to śniadanie i że wszystko jest w porządku. Chciał tak myśleć, ale nie wierzył już w to. Słyszał koło siebie głosy. Wydawało mu się, że pamięta Birda zadającego mu następne pytania. Nie był pewien. Śnił, że odpowiadał i że Bird puścił go na chwilę do toalety. Ale może to było innym razem.

Od czasu do czasu przypominał sobie zderzenie. Napinał mięśnie, ale

przypominało mu się wtedy, że już po wszystkim i że ciągle żył.

– Która jest godzina? – spytał, a Bird złapał go za szczękę i zmusił do skupienia oczu na jego spojrzeniu.

– Synu, nie wchodź więcej w drogę Benowi. Nie pytaj go o czas. Nie pytaj mnie. Twoja przyjaciółka nie żyje. Nie żyje, rozumiesz co mówię?

Chwył Birda bolał. Bird był zły, a on nie wiedział dlaczego.

– Mamy potwierdzenie z bazy – krzyknął Ben.

– Dobra – odkrzyknął Bird i poklepał Dekkera po twarzy – masz powietrze z tej kratki. Przyniosę ci koc, otulę... za moment złapiemy wiązkę.

– Dobrze – odparł. Znowu mu się pomieszało. Wydawało mu się, że Bird mówił, że to jeszcze potrwa. Ale zrezygnował z wiedzy, gdzie się znajdują. Przez jakiś czas wisiał tam, czyli nigdzie, nasłuchując poruszeń Birda. Słyszał pracującą hydrauliczkę i tę charakterystyczną serię trzasków i stuknięć oznaczającą stawianie żagla. Pomyślał, że w takim razie wchodzi. Tak naprawdę nie wierzył w to. To nie powinno się dziać. To już nie było możliwe. Nie powinien był z tego wrócić. Wciąż i wciąż widział przed sobą ścianę prysznicową, nie kończącą się pętlą, może dlatego, że rzeczywiście był martwy...

Wrócił Bird z naręczem koców i wcisnął jeden między jego głowę i rury, a drugi pod plecy.

– Nie zgub go – powiedział i oplótł go pajęczyną przewodów, przywiązując do niego koce oraz tłumacząc, że to dla jego bezpieczeństwa. Ale przestał wierzyć Birdowi. Pomyślał o Stacji Sol. O mamie wracającej z pracy. O spotkaniu z Cory w doku Rafinerii Jeden.

– Cześć – powiedziała. – Jestem Cory. – W ten sposób osoba, która dotąd była górą listów, nagle przyjęła postać z krwi i kości...

Jeśli dotrze do doku, jeśli dowiozą go tak daleko, ona tam będzie... Jeśli dostanie się do dwunastego, ona znów tam będzie...

Odszedł od matki, Cory uciekła od swojej. Jego matka po prostu pozwoliła mu odejść. Matka Cory słała listy, które wiecznie tkwiły w jej skrzynce pocztowej czekając na nią... Mówił jej, żeby ich nie czytała, ale ona i tak to robiła. Potem przez całe dni dręczyło ją poczucie winy i wychodziła sama, by siedząc przy jakimś wynajętym komputerze pisać cholerny list do domu – ale nie on. Było mnóstwo rzeczy, które powinien był powiedzieć, kiedy jeszcze miał szansę. Ale to Cory nie miała więcej żadnych szans i to nie było fair.

– Przygotuj się – krzyknął do niego Bird. – Dekker, słyszysz mnie? Zaraz złapiemy wiązkę. Wszystko z tobą w porządku?

Wydawało mu się, że odpowiedział. Myślał o tym, że nie zabierają go do domu. Nigdy już nie zobaczy domu. Znowu będzie sterta listów czekających na Cory, ale

ona nigdy ich już nie przeczyta. Po prostu powiedzą jej matce... a ona go zabije.

– Dekker! Uważaj do diabła! – głos Bena. – Odpowiedz!

– Dobrze – odparł.

– Dekker!

Powtórzył to głośniejszym głosem. Przyspieszenie przygniotło go do koców, które Bird wcisnął między niego a rury. Taśma blokowała krążenie i palce na tej ręce straciły czucie. Zaczął się gubić: statek był niestabilny – wszystko wróciło do niego – eksplozja, wirowanie statku, przedmioty unoszące się w kabinie...

– Cory! – krzyknął. A może zrobił to wtedy. Już nie wiedział. Ktoś mu powiedział, żeby się zamknął i przypomniał sobie, że został uratowany, ale nie miał pojęcia dokąd zmierzali, ani czy będzie żył.

W końcu presja opadła i wisiał z pulsującą głową oraz wracającym z wolna czuciem w palcach. Kiedy zaczął dociekać co się z nim dzieje i gdzie jest, ciśnienie w zatokach i za oczami skumulowało się w oślepiający ból głowy.

– Która jest godzina? – zapytał, ale nikt nie zwracał na niego uwagi. Zapytał jeszcze raz, łamiącym się głosem: – Która godzina? – a wtedy podpłynął do niego Ben, łapiąc najpierw za kolano, potem za kołnierz i uderzył go w twarz.

– Zamknij się! – wrzasnął na niego. Próbował użyć kolana i obrócić głowę żeby się osłonić. Ben uderzał jeszcze i jeszcze, aż zbliżył się Bird i odciągnął go, krzycząc na Bena żeby ten przestał.

– Wracaj spać, Ben.

Ben odkrzyknął:

– Jak mogę spać z tym „która jest godzina”? Która jest godzina? Która godzina? Boże, uduszę go nim minie godzina. Naprawdę zabiję drania!

– Ben – Bird odezwał się spokojnie, łapiąc Bena za bark. – Ben, spokojnie. W porządku. Dekker... zamknij się, do diabła!

Po tym, to mógł być następny dzień, następny tydzień, kilka godzin – nie miał pojęcia – zbliżył się Ben, łapiąc go za kołnierz, mocno ściskając i spokojnie odezwał się:

– Teraz to mój zegarek, słyszysz? Jesteśmy sami. Dekker, słyszysz mnie?

Pokiwał głową. Spojrzał w znajdujące się w bezpośredniej bliskości oczy Bena i na wszelki wypadek powiedział:

– Tak.

– Chcesz wiedzieć która jest godzina, Dekker?

Zaprzeczył ruchem głowy. Pamiętał, że to wkurzało Bena. Ben zacieśnił chwyt na kołnierzu, odcinając krew płynącą do mózgu.

– Jeśli zapytasz o godzinę choćby jeden cholerny raz, złamię ci kark. Rozumiesz mnie, Dekker?

Potwierdził. Krawędź jego pola widzenia rozmywała się. Ben wciąż mu się przyglądał, z mordem w oczach.

Pamiętał – nie był pewien – jak Ben robił mu zdjęcia podczas gdy był nieprzytomny. A teraz myślał, że ten człowiek jest szalony. On jest szalony i nie ma pewności co do Birda...

– Słyszysz mnie? – zapytał Ben.

Próbował powiedzieć tak. Wszystko szarzało. Statek wirował. Ben puścił go i oddalił się. Wciągnął kilka pełnych oddechów i zaczął się trząść. Marzył, żeby obudził się Bird, marzył, żeby wiedzieć gdzie teraz leciał i czy Cory czeka na niego w doku. Mówili Rafineria Dwa, ale równie dobrze mogli mówić Mars albo Księżyc. Miejsca się różniły, a nie wiedząc gdzie się zmierza nie miało to znaczenia, nawet jeśli znało się nazwę.

Taki był Pas. Zawsze taki był. Zmieniały się reguły, Kompania starała się ich orznać, ale Cory zawsze kombinowała. Cory była po studiach, znała liczby, a on nie. W tej chwili nie miał pojęcia, co jest prawdziwe.

* * *

Dekker znów postradał zmysły, mruczając coś do siebie, odrobinę poniżej poziomu szumu wentylatorów i pomp. Ben zasłonił dłonią ucho od jego strony i usiłował skupić się na mapach, wyciągając z nich wszelkie użyteczne informacje. Wielka Mamuška nie lubiła mówić wolnym strzelcom nic ponad to co niezbędne – ale z wolnymi, nielegalnymi danymi przedsiębiorczy i umiejący trzymać język za zębami wolny strzelec, mógł zdecydowanie poprawić swoją sytuację. Znając mapy Mamuški można było spojrzeć na sektory, które oferowała i wiedzieć które brać za wszelką cenę, a które odstąpić do wynajmu, jeżeli tylko miało się jakiś wybór.

Więc bardzo uważali, kiedy byli na trasie, nasłuchiwali w sektorach przez które przechodzili na ślepo i używali radaru na tyle, na ile to było możliwe, podczas gdy lecieli trasą, którą Administracja Pasa (jak przysięgała) określała jako bezpieczną drogę do domu. I zapisywali każdy kawałek informacji jaki tylko wpadł im w ręce, nasłuchując starszych znaczników, zaznaczając na mapie nowe, kombinując gdzie mogły się gromadzić dobre skały i oznaczając całą masę ruchomych cząstek dookoła. Bo kiedy Jowisz przemiatał Pas w swoim dwunastoletnim cyklu, spowalniając bądź przyspieszając kamienie i wciąż na nowo zmieniając ich orbity o milion lub więcej kilometrów, wyrzucając niektóre poza Pas, te bardzo ważne liczby zmieniały się. Kości należały do Słońca, ale to Jowisz czynił grę interesującą, a wolni strzelcy z najlepszymi liczbami i zapisami byli tymi, którzy przeżywali. Kamienie ciągle się zderzały, pomocnicze statki pchacza mogły stać się nieostrożne. I od czasu do czasu

okazywało się, że duży kawał skały na niskiej, starej orbicie, rozwalony był już na kawałki, w sposób jaki robiły to sobie nawzajem kamienie lub przez ładunek pchacza wystrzelony w stronę Studni, z wstrząsającym skutkiem. Czasem też zdarzało się, że pojawiały się dziwne kamienie, może kawałki komet, śmieci z obłoku Oorta jeden Bóg wiedział. Każdy kamień miał swoją trajektorię, wszystkie tańczyły ze Słońcem, ale niektóre były odległymi towarzyszami – a z masą którą teraz ciągnęli, należało mieć nadzieję, że Mamuśka ich lubi i dała im porządne liczby.

– Niełatwo nas będzie zatrzymać – powiedział Birdowi.

– Moglibyśmy wyhamować – odparł Bird.

– Jasne. Taszczymy więcej masy, niż to na co obliczone są te liny.

– To się nie zdarzy – zaoponował Bird.

Takie myślenie doprowadzało go do szału. Myśl o awarii sprzętu, myśl o – w najlepszym razie – wyjściu na zewnątrz w celu naprawienia, w najgorszym – o całym żaglu uszkodzonym w sposób nie kwalifikujący się do naprawy... *Trinidad* obierająca kurs na długi, długi spadek do Studni – to doprowadzało go do szaleństwa. I bez tego trzymał swoje nerwy na wodzy pazurami, a Bird wyskakuje teraz z tym swoim „to się nie stanie”.

Miał fantazje o zabijaniu Dekkera. Czy może Birda.

Ale to było równie zwariowane, jak majaki Dekkera.

Wciąż wchłaniał informacje. Powiększał i poprawiał swój prywatny zapis.

Ignorował Dekkera na ile potrafił. Ciekawostka o nieważkości – nie był w stanie utrzymać palca w uchu, nie bez wysiłku. Pomyślał o zatyczkach do uszu leżących w jego szafce, ale one zbyt mocno go uspokajały.

Rzucił spojrzenie Birdowi, śpiącemu tak spokojnie w swoim hamaku, zawieszonym pomiędzy kambuzem i konsolą numer jeden, z Dekkerem będącym wciąż zbyt blisko wirówek. Dekker mógł zwariować już dawno temu – a Bird mógł być na tyle miękki, by uwolnić go na swojej wachcie. To było wszystko czego potrzebowali – dopuścić Dekkera blisko grodzi, albo, nie daj Boże, pozwolić mu wziąć w ręce coś ostrego.

Cała ta krew na statku, te wszystkie czerwone plamy na ubraniach – czy cięcie na czole może aż tak krwawić?

Wymusił na Birdzie zgodę. Musieli trzymać tego faceta związanego – obojętne jak, ale konieczne. Nie mogli spać w hamakach przez miesiąc, potrzebowali wirówek. Ale myśl o sześciogodzinnym pobycie w wirówce, nie wiedząc co dzieje się na zewnątrz i zastanawiając się, co robi Dekker na wachcie Birda, wywoływała u niego mdłości.

I, do diabła, zapisywał każdy ruch, wszystko co robili, wszystko co robił Dekker, każde cholerne „która godzina”?

Dekker może dostać swój czas. Dobrze. Zalogowany i wylogowany.

Spisał wszystkie wydatki, dokładnie w sposób o którym wiedział, że zaakceptowałby go zarząd – bo Benjamin J. Pollard nie zamierzał pozwolić, żeby miękkie serce staruszka obrabowało ich w ten sposób. Do diabła, nigdy.

Rozdział 4

Rafineria Dwa była tylko odrobinę ładniejsza od skały, ale i tak jej widok uradował ich oczy. Miała nieco ponad kilometr średnicy i wyglądała jak ledwie widoczny, pokryty sadzą pierścień. Ale z tego co wiedział Bird, większość wracających załóg włączała optykę na długo przed osiągnięciem minimalnego dystansu, na którym przepisy nakazywały nawiązać kontakt optyczny. Wisiała tam, powiększona przez teleobiektyw, wirując z szaleńczą zawziętością, ze swoimi masztami sterczącymi jak wrzeciona i powierzchnią nieruchomego centralnego masztu upstrzoną drobnymi plamkami, które na zbliżeniu okazywały się być holownikami i statkami pomocniczymi, promami pasterzy i tym podobnymi. Kilka, niewiele więcej niż dziesięć w dowolnie wybranym momencie – wliczając łajby Kompanii czekające na zmianę załogi stanowiły statki bardzo podobne do *Trynidadu*. Dokładnie jak *Trynidad*, jeśli wzięło się model B wyposażenia i wybrało zielony wystrój kabiny prysznic.

Zresztą większość armatury wewnątrz Rafinerii Dwa była dokładnie taka sama jak na *Trynidadzie*, może za: wyjątkiem znajdujących się na dolnych poziomach mieszkań Korporacji, ale szansa na to, że wolny strzelec osobiście je obejrzy była taka sama, jak na to, by dostał wycieczkę z przewodnikiem po bunkrze Kompanii na Mimas.

Pasiarze żyli i umierali, a Rafineria Dwa kręciła się dalej, wielki pierścień z fabryką w samym jej sercu, jedyne miejsce o grawitacji zbliżonej do ziemskiej, do którego mogli wrócić górnicy i piloci ze strefy R2. Połykała to, co zebrali pasterze, czkała metanem i wydalała sztaby, wiązki i płyty spienionej stali. Sama zużywała swój plastik, albo pluła nim w stronę Marsa, w te lata, kiedy Jowisz sprawiał, że było to równie wygodne dla tego świata jak dla Stacji Sol. Ale nikt nie wiedział, co wędrowało na Mimas. Niektórzy mówili, że to co tam się znajdowało samo potrafiło się naprawić i miało tyle serca, ile dowolny kierownik firmy – ale to była płotka i nie chciało się w nią wierzyć. Niektórzy mówili, że to wcale nie jest centrum operacyjne, jak się powszechnie sądziło, na wypadek gdyby na dole Studni coś poszło nie tak – mówili, że to bunkier ostatniego ratunku dla kierownictwa. Ale w cywilizowanym społeczeństwie nie wymawiało się również słowa „wojna” i unikało się myślenia o tym wielkim stalowym szkielecie oblepionym przez rój statków konstrukcyjnych i pomocniczych. Obły, metalowy potwór, który przybierał tutaj swój zasadniczy kształt, w centrum produkcji stali i plastyku, nim wyruszał na Sol do wykończenia. To co działo się tam, w Poza, nazywali robotą, uderzeniem podatkowym albo cholernym idiotyzmem, ale jeśli miało się choć odrobinę rozsądku, nie rozmawiało się o tym ani nawet nie myślało, bo Mamuśka mogła usłyszeć. Amen.

– No – westchnął – wciąż tu jest. Oświetlony ganek i otwarte drzwi.
Ben nie zapytał co to jest ganek. Nigdy nie dawał się podpuścić w ten sposób.
– Siadałem na nim na zewnątrz w nocy – odezwał się Bird. – Patrzyłem na gwiazdy. Wiesz co to jest spadająca gwiazda, Ben, kumplu?
– Nie. – Ton jakim to powiedział sugerował, że nie był w tej chwili zainteresowany rozmową. Pilnował podejścia, tak blisko, jak tylko pozwalała mu na to jego licencja drugiej klasy. – Jestem już gotowy do przekazania. Odbierzesz?
– Jasne.
– Szef doku powiadamia o potwierdzeniu naszej prośby o medyków. Są w drodze.
– To dobrze. – Spojrzał na Bena wściekle stukającego przy komputerze – Mam to przejęcie. Nie przejmuj się.
– Nie przejmuj się. Mamy ekipę medyczną i celników kłębiących się tam na dole. Musimy mieć idealny zapis.
– Wszystko jest w idealnym porządku. Sprawdziłem. Ty też. Jesteś pewien, że potwierdzili tę masę?
– Tak. Kazałem im powtórzyć. – Ben przegryzał się przez odczyt. Żadnych papierów. Wszystko było przepływem danych. AP chciała formularzy i wszystkie one były przesyłane jako dane cyfrowe, nie jak dawniej, kiedy jeśli źle się wypełniło coś w którymś z formularzy firmy, miało się szansę przeczytać go jeszcze raz powoli i poprawić błąd. Obecnie, w tym pozbawionym papieru społeczeństwie strumień danych chwycił odpowiedzi i rzucał w człowieka pustymi polami tak szybko, że brakowało czasu na zastanowienie się, czy odpowiedzi mają sens.
– Masz to wszystko – powiedział Bird. – I witaj. Boże. Jak ja nie cierpię formularzy.
– Żaden problem.
Ben miał niezawodny instynkt do poprawnych odpowiedzi. Przysięgał, że to sposób myślenia. Wprowadził coś i odezwał się.
– Cholera, ucisz go!
Dopiero wtedy Bird uzmysłowił sobie, że Dekker mówił, mamrocząc coś pod nosem w tym swoim nieustannym słowotoku.
– Ledwie go ciągle słyszę, wszystko w porządku.
– Ale ja go słyszę! Cholernie dobrze go słyszę – Gdzie jesteśmy? Która godzina? Mówię ci...
– Spokój.
– Byłem spokojny. Ale zabiję go zanim zadokujemy. Przysięgam.
– Nie, nie zrobisz tego. Jest cicho. Po prostu zostaw go samego.
– Tracisz słuch. Nie słyszysz tego?

– Nie przeszkadza mi.

– Facet zwariował. Całkiem oderwał się od rzeczywistości. Jedyna dobra rzecz w całym tym interesie.

– Ben... skończ z tym Ben. Nerwy na koniec trasy, to wszystko. Mógłbyś z tym skończyć?

Zapadła ciężka cisza, przerywana tylko stukiem klawiszy. I głosem Dekkera który, jeśli zwracało się na to uwagę, rzeczywiście był dostatecznie głośny, by go słyszeć. Długa cisza, jeśli nie liczyć odgłosów przyrządów i kontroli podchodzenia komunikującej się z nimi, przeprowadzając ich przez specjalne procedury.

– Przepraszam – odezwał się Ben sztywno.

Może dlatego, że byli teraz bliżej cywilizacji. I zdrowego rozsądku.

– Gdzie jesteście? – głos Dekkera.

– Boże! – krzyknął Ben i obrócił się na siedzeniu. Wrzasnął w stronę Dekkera: – Jest dwudziesty szósty czerwca i zbliżamy się do Bazy Marsjańskiej, nie pamiętasz? Na przyjęciu będzie Prezydent Kompanii!

– Nie rób tego – wtrącił się Bird – zostaw tego biedaka w spokoju.

– Zostawiłem go. Ma spokój, ma pełno cholernego spokoju. Jeszcze tydzień i bylibyśmy równie stuknięci jak on.

Kolejne wywołanie z bazy.

– Dwa dwadzieścia dziewięć Tango *Trynidad*, tu kontrola podejścia ASTEX. Holowniki są na przechwytywającej. Gotowość do wtórnej deceleracji.

– Kontrola podejścia, tu dwa dwadzieścia dziewięć Tango. Potwierdzamy hamowanie. Wchodzimy. – Wyłączył swój mikrofon i wrzasnął: – Dekker! Przygotuj się na hamowanie, słyszysz?

– Niech złamie ten cholerny kark – wymruczał Ben.

Nie było czasu na dyskusje. Namierzała ich wiązka.

Kontrola podejścia podała ostrzeżenie i odpaliła. Ciśnienie sięgnęło zagła, a ciała sięgnęły granicy wytrzymałości – z powodu spiętego z nimi drugiego statku nie mieli optymalnej orientacji wobec wiązki i dostali mocne pchnięcie. Dekker głośno wrzeszczał – może z bólu. Obłożyli go i owiązali wszystkimi miękkimi rzeczami jakie mogli znaleźć, ale to był tylko substytut.

Przeciążenie trwało całą wieczność. W końcu Dekker ucichł. Należało mieć nadzieję, że nie uaktywnił się znowu jego bezustanny krwotok z nosa.

– Dwa dwadzieścia dziewięć Tango *Trynidad*, tu kontrola podejścia ASTEX. Odczepcie hol.

– Kontrola podejścia, tu dwa dwadzieścia dziewięć Tango. Potwierdzamy zwolnienie. Poprawka przy 29240 kilo do końcowej przy 1015 mps, zamykam. Omega.

Bird otworzył osłonę przycisku i wduśił go, uwalniając zatrzaski z lekkim wstrząsem kadłuba. Jedynekowa osiemdziesiąt cztery Zebra uwolniła się – wciąż poruszając się równo z nimi. 29240 kilometrów do ich rendez vous ze zbliżającą się rafinerią – mieli jeszcze chwilę sunąć z drugim statkiem, do czasu aż zbliżające się holowniki będą mogły podejść i podjąć ich ogon.

– Mam wszystko, czego celnicy mogą chcieć na temat tamtego statku.

Wyliczyłem też wszystkie opłaty – wymruczał Ben.

– Zostaw to, Ben.

– Chcę tego statku Bird. Chcę go mieć. Boże, mamy dowód, mam wszystkie dowody jakich mogą pragnąć...

– Ben...

– Zrozum, oni zrobią oficjalne dochodzenie. Ale ten facet jest niekompetentny. Był niekompetentny kiedy weszliśmy na pokład. Co zrobi? Zapyta ich o godzinę? Prawo jest po naszej stronie – Ben znów był w pogodnym nastroju. – Mamy to Bird, mamy to.

– Zostaw gościa w spokoju – powiedział – zapomnij o tym statku, do cholery!

– Nie zapomnę o nim. Niech mnie diabli jeśli o nim zapomnę. Zgłosimy się po niego. Albo ja to zrobię. Będziesz mógł odebrać swoją część, współniku.

– Istnieje coś takiego jak pragnąć czegoś za mocno. Nigdy nie możesz sobie pozwolić na pragnienie czegoś tak bardzo. To niezdrowe.

– Zdrowe, do diabła. Ja się nami zaopiekuję. Wszystko co musisz zrobić to siedzieć spokojnie i patrzeć jak to załatwiam, współniku. Znam prawo.

– Są inne rzeczy poza prawem, Ben. Wrzuć tu mapy, słyszysz?

– Nie wrzucę.

– Przecież nas przeszukają do cholery, odłóż te cholerne rzeczy do skrytki albo je wyrzuć, nie wyciągniemy ich tym razem...

– Chłopcy szmuglują je cały czas, celnicy w ogóle się nie przejmują – wystarczy powiedzieć, że to gra wideo. Nawet nie ładują, żeby sprawdzić.

– Ben, do cholery!

– Nie przeszedłem przez to wszystko, żeby teraz stracić mapy. Przejadą się po statku z mikroskopem, Bird.

– Przez trzydzieści lat nikt nie znalazł tej kryjówki, ani celnicy, ani załogi podnajmujące. Wrzuć je tam. Myślisz, że rozbiorą nam statek na części z powodu akcji ratunkowej?

– Dwa dwadzieścia dziewięć Tango *Trynidad*, tu kontrola podejścia ASTEX. Holowniki za dwadzieścia minut czternaście sekund, punkt.

– Kontrola podejścia, tu dwa dwadzieścia dziewięć Tango. Potwierdzamy: dwadzieścia minut czternaście sekund. Żadnych problemów, hol zdjęty. Postępujemy

zgodnie z instrukcją.

Ben odezwał się:

– Masz uprzedzenie do tej podróży. Nie rozumiem tego, przysięgam Bird, że nie rozumiem.

– Znasz Szekspira, Ben?

– Nie spotkałem go.

* * *

Dokując wciąż rozmawiali. Ledwie.

– Mamy go – powiedział Ben.

Kilka znaczących oddechów później dodał:

– Przepraszam, Bird.

– Szekspir to pisarz – odpowiedział Bird.

– A, jeden z tych.

– Tak.

– Masz go na taśmie?

– Jest taśma. Ale niełatwa.

– Fizyka? – zapytał Ben.

– Dwa dwadzieścia dziewięć Tango *Trynidad* tu administracja doku ASTEX.

Sprawdźcie ciśnienie. Potrzebujecie linii?

– Potwierdzam 880 mb, dok B. Bez linii, mamy 796.

– *Trynidad*, potwierdzamy 796. Jednostka medyczna czeka w doku. Czekać na kontrolę systemów podtrzymania życia.

– Cholera – zaklął Ben – zatrzymają nas na medycznym. Lepiej żeby nie znaleźli żadnego cholernego bakcyła, bo obedrę go ze skóry.

– Nie znajdą żadnej bakterii. Przygotuj nasze dane, dobrze?

Dotknęli dziobem masztu dokującego. *Trynidad* *zatrzął* się i zadudnił, kiedy zaskoczyło rusztowanie. Wysyczał odrobinę swojego powietrza do próbnika.

Odezwał się ASTEX:

– *Trynidad*, witaj w *bazie*. Dobra robota. Czekać na wyniki tej próbki.

* * *

Powietrze w doku drapało w gardło, lodowato zimne i pachnące paliwem, wywołując kłucie w zatokach. Smakowało jak zimna woda i olej, przeciskało się przez okrycia i rękawice tak jak zimno i czystość rozcinały smród, który Bird czuł we śnie i który wyobrażał sobie w smaku potraw. Wracił z trasy i ciągłego patrzenia na

jedną twarz, a kiedy spoglądając wokół widział całą tę przestrzeń i prawdziwych, żywych ludzi, twarze, które nie były tą jedną twarzą – nabierał nagle tego dziwnego uczucia odrealnienia, wrażenia, że ogląda film, dryfując tam, tylko z pętlą i małym silniczkiem odrzutowym między sobą i przyprawiającą o zawrót głowy perspektywą w dół masztu. Gorszą, niż EVA w głębokim Pasie, o wiele bardziej przyprawiającą o zawrót głowy. Małpy z doku szybowwały dookoła ze wszystkich stron, odczytując wskazania przyrządów, pobierając próbki, mówiąc w przestrzeń. Słuchawka w uchu Birda informowała go o ekipie medycznej wewnątrz statku, odbiorze manifestu i formularzach celnych i właściwych biurach...

– Morris Bird – zabrzmiało w słuchawce, cienki głos przebijający się przez odgłosy uderzeń gdzieś w rdzeniu.

– Tu oficer Wills, z Bezpieczeństwa. Rozumiem, że znaleźliście rozbitka.

Nienawidził bycia zaskakiwanym, nienawidził urzędników zaskakujących człowieka i sprawiających, że rozglądał się szukając pomocy – o ile byli osobiście, a nie dzwonili. Obrócił się i zobaczył trzech, w zieleni Bezpieczeństwa ASTEXU, żeglujących w jego stronę wzdłuż liny.

– Tak jest – odparł, zanim do niego dotarli. – Szczegóły już poszły do AP. Jakiś problem?

– Tylko kilka pytań – odpowiedział Wills. Jeszcze zanim do niego dotarł.

Rozdział 5

– Ma pan jakąś teorię na wyjaśnienie tego, co zaszło? – zapytał Wills. Gliniarze wisieli koło niego twarzą w twarz, wszyscy utrzymywali pozycję dzięki uchwytom na linie bezpieczeństwa, ale trzeba było użyć słuchawki by słyszeć pytanie poprzez hałas grzmiący od serii ładunków pędzących w dół rdzenia. Bird, świadom Optexa noszonego przez Willsa wzruszył ramionami, potrząsnął głową i powiedział, niemal całkiem szczerze:

– Mogli dostać kamieniem. Cholerne rąbnięcie na jednym boku. Z drugiej strony uderzenie mogło być wtórne. Może pracował bardzo blisko jednego i nie zauważył zbliżania się innego kamienia. Nie wiem, naprawdę, nawet nie wiem czy łatwo to będzie stwierdzić. Nie wychodziliśmy na zewnątrz, obejrzelśmy tylko na monitorach. Zrobiliśmy nagranie.

– Będziemy chcieli je dostać. I wasz dziennik. Czy zabraliście coś z wraku?

– Zabraliśmy rozbitka i rzeczy które miał na sobie. Nic innego. Wypraliśmy je i ciągle je nosi. Miał swój zegarek i puste kieszenie. Zegarek wciąż ma na rękę. Wszystko inne zostawiliśmy na pokładzie, nawet jego ubrania i dokumenty. Nie chciałoby się tego otwierać bez ekipy odkażającej. Tam jest naprawdę paskudny bałagan.

– Jakiś pomysł, gdzie jest jego partner?

– Wyraźnie była na zewnątrz w chwili wypadku. Wciąż próbował ją wywoływać, robił to kiedy tracił nad sobą kontrolę – przypuszczam, że wywoływał ją aż nie mógł myśleć o niczym innym. Oni są z R1. Miała na imię Cory, to wszystko, do czego doszliśmy. Jego systemy podtrzymania życia niemal wysiadły, a statek nieźle koziołkował. Zebrał sporo uderzeń. – Miał cholerną nadzieję, że osłoni tyłek Bena w sprawie siniaków. Robiąc to czuł się zbrukany, ale czułby się gorzej gdyby nie spróbował. – Chłopak był mocno chory od wdychania tych świństw, ciągle miał halucynacje na temat wzywania swojej partnerki – wyraźnie zrobił wszystko co mógł żeby ją odnaleźć, pomimo swojego stanu. – Usiłował pokazać również Dekkera w jak najlepszym świetle, przysługa za przysługę. – Kiedy się do niego dostaliśmy, przypuszczam że właśnie zdał sobie sprawę z tego, że ona odeszła. Przyplątała się gorączka, przez większość czasu nie był świadomy, ciągle tylko pytał o współniczkę, w kółko to samo. I to wszystko.

– Co mówił?

– Tylko jej imię. Czasem krzyczał „Uważaj!”, jakby kogoś ostrzegał. Chłopak jest wyczerpany. Jak wtedy, kiedy człowiek zrezygnuje i wypala się adrenalina.

– Jasne – skomentował Wills. – Nie powiedział czasem, czemu byli poza swoją strefą?

- Nie wiedział, że ją opuścił.
- Czyli jednak mówił coś jeszcze.
- Musieliśmy mu wyjaśnić, czemu zabieramy go do R2. Nie podobało mu się to.

Był zagubiony i zdezorientowany. Widocznie wypadek nastąpił po tamtej stronie granicy.

Gliny nigdy nic nie mówiły. Wills chrząknął i zakręcił się pomiędzy kablami przy władze, jakby zamierzał wejść do środka. Pozostali oficerowie ruszyli za nim. Ale w wyjściu pojawił się jeden z ubranych na niebiesko sanitariuszy wypychając na zewnątrz nosze z Dekkerem, a pozostali szli za nim. Gliniarze zatrzymali ich na zewnątrz wjazdu, przyjrzeni się pacjentowi, zamienili kilka słów z lekarzem i zapytali o coś Dekkera. Wszędzie pełno było hałasu maszynierii – musieli coś załadowywać lub wyładowywać – i nie usłyszał *co* powiedzieli, ani jak brzmiała odpowiedź. W końcu pozwolili sanitariuszom zabrać Dekkera, trasą przebiegającą tuż koło niego.

Zawinęli go w koce i przymocowali do noszy, a Dekker wyglądał na strasznie zużytego i chorego jak diabli. Ale miał otwarte oczy i rozglądał się. Sanitariusze wstrzymali nosze, pozwalając im dryfować i zapytali:

- Chcesz się pożegnać?

To była jedna z tych twarzy, które mogły nawiedzać człowieka, to zagubione, roztargnione spojrzenie – ale wydawało się, że Dekker go zauważył.

- Bird – powiedział słabym głosem przez hałasy doku – gdzie oni mnie zabierają?

Wyglądał na przerażonego. Bird pragnął, żeby to się już skończyło, chciał zapomnieć Dekkera i jego koszmary, smród i zimno tamtego statku, nie dbając w tej chwili wcale czy dostaną cokolwiek za swój wysiłek oprócz zwrotu kosztów wyposażenia. Z pewnością nie pragnął dalszego związku. Ale to pytanie czepliło się go, i sam siebie zaskoczył kładąc rękę na ramię Dekkera.

- Do szpitala. To wszystko synu. Jesteś w doku R2. Wszystko będzie dobrze.

Bird popatrzył na sanitariuszy, po czym machnął ręką, żeby ruszyli zanim Dekker wywoła jakąś scenę.

– Bird? – krzyknął jeszcze Dekker, głosem który przeszywał nerwy, nawet przy panującym tam hałasie.

- Westchnął i potrząsnął głową, bardzo mocno pragnąc dostać się do baru.

Z wjazdu wyłonił się Ben, trzymając ich identyfikatory. Zatrzymali go policjanci i odebrali je stanowczo, uziemiając ich w ten sposób. Zadali mu jakieś pytania kiedy tam dryfował i usłyszał, jak w odpowiedzi Ben mówił:

– Facet stracił rozum. Nie było wiadomo co za chwilę zrobi. Cały czas wrzeszczał. Myślał, że jest na swoim statku. Musieliśmy uważać, żeby nie dobrał się do konsol albo czegoś.

- Wykrzywił się w ostrzeżeniu do Bena, ale nie w oczywisty sposób – Wills

nagrywał Optexem każdy grymas ich twarzy. Ben patrzył tylko na policjantów.

Powiedział, żeby wyjaśnić swoją mimikę:

– Też stracilibyście rozum, gdyby was tyle razy rąbnęło w głowę.

– W wypadku – dokończył Wills.

– To cud, że przeżył w statku koziółkującym w taki sposób – powiedział. – Nie mógł pomóc partnerce. Wygląda na to, że jedyne co mu zostało to nadajnik awaryjny, a kiedy wybuchł ten zbiornik, to nie poszło wprost widzicie, środek masy jest tutaj, a ten zbiornik tu z tyłu...

Gdy zaczynało się mówić zbyt technicznie, ci ze stacji bardzo szybko zmieniali temat. Wills odezwał się, przerywając mu:

– Zachowajcie to dla Sądu Śledczego. Spiszemy te dokumenty. Zostawcie je, odeślemy je wam do mieszkań. Wasze numery identyfikacyjne?

– Tu, na plakietce – Ben wskazał swój pakiet – 1347283-689 to mój. Birda to 688-687-257. Statek jest otwarty. Zaglądjacie, gdzie chcecie.

– Możecie odejść.

Od gliniarza Kompanii trudno było oczekiwać podziękowań. Bird wzruszył ramionami, spojrzął na Bena, po czym obaj ruszyli przez kable do windy orczykowej. Brzęczyk ostrzegł przed poruszającym się ramieniem dźwigu. Czerwone światło splamiło ściany. Ale alarm dotyczył przeciwległego końca okrągłego, wyglądającego jak wielka rynna tunelu, który był wnętrzem masztu załadunkowego. Można było stracić orientację jeśli popatrzyło się na sam rdzeń i choć przez chwilę pozwoliło sobie na myślenie w kategoriach góry i dołu. Bird skupił się na zbliżającym się uchwycie, ignorując ruchomą powierzchnię w tle pola widzenia. Złapał go i poczuł, ciągnięty, pierwszy od miesiący nacisk na całe ciało. Ben złapał następny – obejrzał się, by to sprawdzić.

– Mam nadzieję, że celnicy rozmawiali z glinami.

– Żadnych problemów. Nie mamy nawet naszych identyfikatorów. Gliniarze mają wszystko. Dali nam to potwierdzenie, widzisz? – Wolną ręką poklepał się po kieszeni. – Do diabła, jesteśmy tylko nic nie znaczącymi pionkami. Co moglibyśmy mieć? Przejdziemy jak burza. Tylko patrz.

– Zrobią nam piekło.

– Więc nie mów im, że był spoza strefy. Zgłosiliśmy to zgodnie z przepisami. Mamy swoje prawa. W międzyczasie dostaniemy się między ludzi, nie ma powodu żeby nas sprawdzać, czy nie?

– Prawa – wymruczał – mamy takie prawa, jakie Mamuśka zechce nam przyznać, to wszystko co mamy. Co mówiłeś temu gliniarzowi o Dekkerze? Powiedziałeś im, że zwariował?

– Nie potrzebowali mojej pomocy, żeby do tego dojść. Sanitariusze solidnie go

związali, zanim wynieśli na zewnątrz.

– Co im powiedziałaś?

– Powiedziałem, że nie miał pojęcia gdzie jest. Spytałem o siniaki, więc powiedziałem, że się zerwał, jasne? Powiedziałem, że usiłował się dostać do sterów i że jest szalony. Pomimo tego walczył z nami, kiedy chcieliśmy go opanować i dostał w głowę.

– To było kilka razy Ben, na miłość boską...

– Hej, a co im miałem powiedzieć? Mieliśmy go związanego w baleron, ma sińce na całym ciele w różnych stadiach rozwoju, a ja miałem im wciskać, że przez cały miesiąc balangowaliśmy?

– Jasne – odpowiedział i zamknął się, bo rynna zasysała kolejną porcję ładunku, a tu w dole można było słyszeć odgłosy pracującej hydrauliki. Zrobiło mu się niedobrze. Było mu niedobrze przez cały ostatni tydzień, od kiedy stało się jasne, że nie można polegać na świadectwie Dekkera. Mógł powiedzieć cokolwiek, oświadczyć, że spotkali UFO albo widzieli Boga. To by było na tyle, powiedział Ben, kiedy Dekker usiłował przejąć konsolę sterowania silników. Wsadzili go wtedy do łóżka związanego, z rękami i nogami sklejonymi taśmą. Darł się wtedy przez godzinę, a Ben to nagrał.

Chciał skasować to nagranie. Dekker i bez tego będzie miał dość problemów z Kompanią – mógł stracić licencję, statek i wszystko co miał, więc nie chciał dawać AP dowodów na to. Ale Ben powiedział, że Dekker nie jest ani trochę bardziej rozsądny niż on. Dekker zginąłby w ciągu kilku dni gdyby go nie znaleźli i mimo wszystkiego co dla niego zrobili, nie wyglądał jakby potrzebował czegoś więcej niż biletu do Studni i długiego, naprawdę długiego okresu rehabilitacji.

– Biedny drań – odezwał się.

– Krzyżyk na drogę – odpowiedział Ben, a kiedy zmarszczył się na niego, dodał: – Do diabła, Bird. Widziałem już wariatów. Widziałem ich wystarczająco wielu. – W jego głosie kryła się głęboka gorycz. Nie miał pojęcia o co chodzi albo co się za tym kryło, ale Ben nie zdradził nic więcej. Pomyślał, że Ben mówił o szkole albo internatach, w których spędził to co inni ludzie nazywali dzieciństwem. Teraz nie miało to znaczenia. Podróż się skończyła, Dekker był w szpitalu, całą sprawą zajmował się ktoś inny a Ben wiedział, że Szekspir nie był fizykiem. Punkt dla niego. Naprawią swoje stosunki i zażyją trochę czasu ciężkości, gdy wyczarterują *Trynidad* komuś innemu, kto zapłaci im siedemdziesiąt pięć procent plus naprawy i uzupełnienie wyposażenia. Mogli to robić cały czas jeśli chcieli, ale trudno było się wzbogacić z siedemdziesięciu pięciu procent siedząc na stacji i wydając większość z tych pieniędzy.

Należałoby zrezygnować z części jedzenia i spania, jak zwykły żartować.

Ben powiedziałby, jak zwykle uważny, gdy mowa była o pieniądzach, że potrzebują przerwy.

Zeszli z liny na cle, wyjaśnili, że nie mają dokumentów bo zostały zabrane przez policję oraz że nie mają żadnej rudy w kieszeniach, ani żadnych nielegalnych nośników magnetycznych. Wszystkie zapisy są na statku, tak, kontaktowali się z innym statkiem, przywlekli tu faceta, nic nie zabrali. Obiecali lekarzowi skontaktować się w przypadku jakichś dolegliwości czy gorączki, lekarz już wcześniej im to powiedział.

Nie zdradzili celnikom, że statek pochodził spoza strefy, tak sir, zgłosiliśmy kontakt, nie, to było na polecenie bazy. Pytania były czysto rutynowe i wykrywacz kłamstw nie zapiszczał ani razu.

Celnicy zatwierdzili ich karty i wpisali ich jako aktywnych mieszkańców R2. Ruszyli liną w kierunku wind.

Kiedy poruszali się obok siebie, ciągnięci przez orczyk, Ben odezwał się tonem pogawędki:

– Możesz przestać martwić się o mapy. Mam tę kartę w kieszeni.

Serce skoczyło mu do gardła.

– Niech cię cholera, Ben!

– Do diabła, wszystko poszło gładko.

– Mówiłem ci, żebyś ją zostawił!

– Tam gdzie gliny mogły ją znaleźć?

– Mogłeś mi powiedzieć. O Boże!

– Hej. Kiepski z ciebie kłamca. Miałem niszczyć twój spokój? Przeszedłeś przez wykrywacz, ja też, w porządku?

Ben rzeczywiście mógł wytrącić go z równowagi. Wykrywacze bazowały na stresie.

– Jesteś cholernie nerwowy, Bird.

– Mogłeś zostawić ją pod tą płytą, niech cię. Mogłeś zrobić to, o co cię prosiłem...

– Jeśli chcesz żeby cię złapali, to zrób to właśnie w ten sposób – ukryj coś przed glinami. Nie schowałem tego. Po prostu wsadziłem do kieszeni. Na Boga, wszyscy to robią. Jeśli chcą nas przybłokować, dlaczego pozwalają nam na zabieranie kart z grami? Albo wideo? Czemu tego nie sprawdzają? Mógłbym zakodować te dane na taśmie wideo!

– Jeśli zbyt wielu ludzi zacznie się podniecać, uważaj na nich. Jakiś wścibski kierownik zorientuje się i wdepniesz w to głęboko. Ben, nie wywiniesz się ze wszystkiego.

– Jak dotąd ze wszystkiego.

– Cholera – wymruczał. Zbliżali się do końca liny, gdzie miało się trzy łatwe szanse na spokojne uwolnienie się od liny i złapanie poręczy, zanim osłonięte bufory zrzuciły zawstydzonego pasażera przed nawrotem liny.

Ben był pierwszy przy barierze, przeskoczył ją i wcisnął pokład ósmy na panelu kontrolnym windy zanim go dogonił.

– Zjadę z tobą.

– Więc, gdzie jeszcze się wybierasz?

– A jak myślisz?

– Cholera, Ben.

– Ktoś to musi zrobić. Pewnie jest kolejka wierzycieli do tego statku. Ale dostaniemy przynajmniej pięćdziesiąt procent. Niech mnie szlag, jeśli nie.

– Prosisz się o kłopoty z kręgosłupem i nic więcej. Znajdą jakiś przepis.

– Mam młode kości. Nie zostanę długo. I tak naprawdę nie masz wyboru, Bird, musisz to zgłosić tego dnia kiedy dotarłeś. Taki jest przepis.

– Więc zgłoś w biurze na osi.

– Zaufać tym draniom? Nie ma mowy. Pokład biurowy, to jedyne miejsce.

– Postradałeś zmysły – wymruczał, kiedy przybyła kabina. Wpłynęli do środka, złapali uchwyty. Kabina zamknęła się, stuknęła i dokonała swojego hałaśliwego połączenia z wirującą częścią osi po czym ruszyła w dół połączenia. Przestał klócić się z Benem. Jeśli Ben miał wolę iść poniżej piekładu godzinę po dokowaniu i stać w jakiejś kolejce, by zarejestrować żądanie przejęcia statku tego biednego drania, nie wiedział co jeszcze mógłby zrobić. Westchnął tylko i patrzył ponuro na drzwi oraz czerwony wskaźnik pokazujący zbliżanie do następnego przystanku.

– Bird, musisz bardziej o siebie dbać. Co ci zostanie na starość?

– Już jestem stary i nie planuję jej przeżyć – kabina wskoczyła do szprychy, ruszyli nią mając złudzenie wspinania się, aż do tych kilku sekund kiedy odległość od osi obrotu R2 zrównała się z momentem obrotowym kabiny, przynajmniej z punktu widzenia błędnika. Wtedy nagle ucho odkrywało gdzie jest dół, a podłoga odkrywała to pół uderzenia serca później. Kości i mięśnie zaczynały uświadamiać sobie, że stymbinezon w którym pracowali, wirówki w których spali i połykane pigułki, które jedli jak cukierki, nie do końca potrafiły zrekompensować tygodnie w nieważkości. Czuły to kolana i plecy. Czerwony wskaźnik ukazujący odległość od rdzenia zmierzał w stronę poziomu ósmego.

Meg i Sal były na szóstym – dowiedział się tego po drodze. Zostawił dla nich wiadomość na tablicy i liczył na towarzystwo dziś wieczorem. Plus drink i długa, długa kąpiel. Może z Meg, jeżeli odpowie na wiadomość.

Jeżeli właśnie nie zabawiała się z kimś innym.

Pojazd zatrzymał się. Nogi czuły zmęczenie nawet w niskiej grawitacji ósmego,

mięśnie znużone walką z elastycznością stymbinezonu i teraz z utrudniającą wszystko grawitacją. Ben również wysiadł, mówiąc:

– Spotkamy się w „Bow”.

Nawet nie zwolnił. Po prostu wcisnął guzik najniżej gdzie schodziła winda, na poziom trzeci.

Bird potrząsnął głową i oddalił się w głąb pokładu ósmego – niech go szlag, jeśli zajrzy do poczty zanim siądzie przy barze w „Starbow”. Poczta sprowadzała się do informacji z banku i kilku notek od przyjaciół dotyczących tego, kiedy wyruszali i wracali z tras. Jego brat z Kolorado pisał do niego dwa razy do roku – opłata pocztowa za list wynosiła tyle co tygodniowe zakupy spożywcze, a Sam nie był bogaty. To raczej nie był czas na jeden z tych listów, a poza nim raczej nie należało spodziewać się niczego ciekawego w poczcie. Więc pieprzyć to. Chciał mieć wreszcie szansę zapomnieć o kłopotach, spotkać kilka znajomych kobiecych twarzy, jeśli los będzie łaskawy i nie myśleć o tym, czym podniecał się Ben. Nie było statków bez długów, prawdopodobnie ten miał wielu właścicieli, nie wspominając o banku, a firma na pewno mogła wyciągnąć jakieś techniczne niuanse, by wchłonąć dochody które mogliby w ten sposób uzyskać, aż stałby się wart mniej niż porządny kamień. Plus wydatki. Ben doprowadzi się kiedyś do zawału, jeśli wcześniej nie rozłożą go wrzody.

* * *

Lekarze mówili, a instytut uczył, że pewne efekty zerowej grawitacji wzrastały z każdą ekspozycją. Kości ulegały resorpcji, nerki wylapywały wapń i tworzyły kamienie, a ciało uczyło się reagować – wskakiwało w to szybciej i z większą wprawą, jak wierzył Ben. Nauka wymyśliła sposoby na oszukanie stworzonych w warunkach grawitacji ludzkich układów, więc łykało się hormony, spędzało czas snu w wirówce i nosiło ten cholerny stymbinezon jak talizman. A przede wszystkim miało się nadzieję na dobre geny. Opowiadano makabryczną historię o górniku, którego kości całkiem zanikły, był też w jednym z barów piekładu facet, mający w sobie tyle metalowych i plastikowych części, że alarmy policyjnych wykrywaczy broni wariowały, gdy przechodził obok. Nie zamierzał skończyć w ten sposób, o nie, planował skończyć w miłym biurze wynajmu, zbierając siedemdziesiąt pięć procent z udziału w dwóch statkach, wolny i bez długów, pozwalając żeby inni wymieniali sobie części. Nie miał obiekcji do Morrisa Birda siedzącego w tym biurze jako wicedyrektor odpowiedzialny za czarter, jeśli o to chodziło. Bird miał wycucie do ludzi, które mogło sprawić, że interes by się kręcił. Nie mógł też wiecznie pracować jako górnik. Już miał wymienione oba biodra.

Bird poszedł więc na łatwe przystosowanie się na ósmym pokładzie w ślepym zaufaniu, że Mamuśka zrobi wszystko jak należy: oceni ich próbki z lotu i zbierze dane, które przesłali do biur zbliżając się do stacji. Podczas gdy ten z nich, który przez dwa lata pracował dla Mamuśki i wiedział w jaki sposób działała, podjął od razu podróż na trzeci poziom, naprzeciw koszar, w których kiedyś mieszkał. W tej okolicy spotykało się osobliwości – można było, rozglądając się uważnie, wypatrzeć człowieka ubranego od stóp do głów na fioletowo, który nie był wariatem. Przynajmniej można było się założyć, że nie będzie twierdził, że to przez firmę. Nie pytał też co pięć minut o godzinę.

Boże, nienawidził wspomnień o tym miejscu. Ale wciąż trzymał tu bardzo tania szafkę ze zmianą odzieży.

Bo jeśli chciało się iść egzekwować długi, należało się ubrać. Nic radykalnego lub rab, po prostu klasyka. Dobry sweter, dobre spodnie, swobodne okrycie. Prawdziwe buty. Żeby załatwić to co chciał, musiał wyglądać wiarygodnie. Biorąc pod uwagę sytuację, jego nogi były w niezłym stanie – przewidział to – brał pigułki i ćwiczył przez całą drogę powrotną. Spalając pragnienie uduszenia Dekkera, jak zapewne sądził Bird na temat jego niezwykle długich sesji na rowerze i odbijaczach.

Ale przynajmniej mógł chodzić. Mógł ściągnąć z siebie kombinezon próżniowy i pozbyć się skóry stymbinezonu, wykapać w publicznej sali ćwiczeń, ubrać się w stylu mieszkańców stacji i zejść przez piekłąd na poziom pierwszy, gdzie ważyło się tyle, co na Ziemi. Może poruszał się jak starzec, ale jeszcze na statku zażył środki przeciwbólowe i była to wyłącznie kwestia ostrożności. Pójść tam, gdzie, jak doskonale wiedziała Mamuśka, nie miał ochoty iść żaden próżniowiec wprost z trasy. Co zresztą było powodem, dla którego tak wiele chytrych przepisów Kompanii wymagało osobistego podpisania formularza w dniu przybycia w biurach na osi, jeśli chciało się dać czas Mamuśce, lub w głównych biurach, jeśli chciało się załatwienia sprawy ekspresowo. Biorąc pod uwagę liczbę prawników na wewnętrznych pokładach, większość próżniowców nawet nie wiedziała, że można było żądać ekspresu.

Na przykład można było złożyć żądanie przejęcia wraku w oparciu o Kompanię – należało iść do biura, sprawić, żeby kompania uruchomiła procedury i czekać. Jednak to rzucało sprawę w trybiki administracyjne ASTEXU, które miały podanie powoli i kładły ją w ręce działu prawnego, który zawsze potrafił znaleźć jakieś „t” bez kreseczki czy „i” bez kropki. Tam w górze, można było zgłosić roszczenie zwrotu wydatków, ale dostało się je dopiero po tym, jak Mamuśka osądziła prawa własności. Chyba że potrafiło się uniknąć trudności. Można było rościć sobie prawa do wraku, ale trzeba było znać właściwe słowa i upewnić się, że użyje ich urzędnik wypełniający formularz – ale połowa z nich nie potrafiła literować, nie mówiąc już

o pomocy prawnej.

Ale najlepiej było zadzwonić do starej koleżanki z czasów szkolnych w instytucie, ominąć kolejkę i dostać na swoje podanie słowa wprost z podręcznika.

Ósmy pokład był przejściowy – szary i pusty. Można tu było spotkać garstkę górników wracających ze swoich tras, obsługę rdzenia, pilotów holowników i wszystkich, którzy pracowali w nieważkości. Czasem spotykało się pasterza czy załogę pchacza w drodze do swoich własnych, wymyślnych udogodnień i pełno hałaśliwej obsługi statków pomocniczych rafinerii, składów, fabryk i doków (na ósmym pokładzie widać było zawsze aktywność rafinerii) – a w tych dniach zdarzało się czasem spotkać nawet wojskowych na przepustce. Ale nie było tu niczego w stylu sklepów błyskających neonami, czy obsługi z piekładu. Poruszanie się tutaj stanowiło kompromis między odbijaniem się i unoszeniem; należało uważać na szybkość ruchu – kruche kości i osłabione mięśnie mogły bardzo źle znieść gwałtowne zetknięcie ze ścianą czy inną przeszkodą. Trzeba też było czasu, by umysł na nowo przywykł do góry i dołu. Jeśli miało się rozum, przywykało się powoli.

Publiczna część ósemki była całkowicie zautomatyzowana, nawet sypialnie. Żadnych zarabiających na sobie wolnych sklepikarzy, nawet na krótkich zmianach, na których Zdrowie & Rehab pozwalały pracować mieszkańcom stacji na ósmym poziomie. To było terytorium robotów – po prostu wsuwało się swoją kartę do czytnika i dostawało pokój w noclegowni, kanapkę czy pomyje, które uchodziły tutaj za bourbona. Ale to wystarczało na początek – wszystko było tańsze niż na piekładzie, a zmysł smaku i tak miało się wyłączony. Na początku trzeba było przyzwyczaić się do powietrza rafinerii.

Nie było tu żadnych luksusów, które nie pochodziłyby z automatów, chyba że pracowało się dla Kompanii. Wtedy jednak miało się dostęp do zupełnie innej kategorii noclegów, a przynajmniej tak twierdziły reklamy. Twierdziły, że wszystko co wychodziło z automatów po tamtej stronie drzwi było o klasę lepsze – ale Bird nigdy tego nie widział. Załogi pchaczy i pasterze nie potrzebowali przystanków niezbędnych górnikom. Jeśli dotarli tutaj, to wyłącznie w poszukiwaniu odmiany, na godzinnej przerwie po załatwieniu jakiejś sprawy na osi. Zazwyczaj jednak parli prosto na piekład, gdzie oficerowie wielkich statków mieli swoje małe kluby i darmowy alkohol. I dostęp, z wszelkimi udogodnieniami firmowych komputerów.

Reklamy twierdziły, że nawet górnik mógł przynajmniej liźnąć tych przywilejów – jeśli tylko pozwoliło się przejść firmie statek i zostać jej pracownikiem. Ale to znaczyło również, że firma decydowała, kiedy jest się za starym, lub że twoje kwalifikacje stały się niewystarczające – a wtedy wylatywało się – do widzenia i powodzenia, a jakiś żółtodziób przejmował twój statek. I niech Bóg ma w swojej opiece tych, których Mamuśka uznała za mniej przydatnych i skierowała na trzy lata

do pomocniczej pracy przy pchaczu. Uziemiało to praktycznie wszystkie załogi zmianowe w rafinerii, bez żadnych przywilejów, z koniecznością pracy w fabryce plastyku. Pracuj dla Kompanii, a spędzisz czas czyszcząc zbiorniki w oddziale chemicznym, gdzie się zestarzejesz. A wtedy dadzą ci emeryturkę i pozwolą zmywać podłogi w którejs z fabryk, by dorobić na życie.

Do diabła, nie. Nie on.

Wracał ma ósemkę przez wiele lat i widział zmiany kiedyś ten pokład wydawał mu się tętniący życiem. Ósemka pobrzmiwała dzisiaj echem kroków, nie muzyką i gwarem głosów. Kolorowe plakaty znikły lata temu, w miesiącu w którym firma przeszła na przechowywanie danych bez papieru. Firma preferowała farbę w kolorze szarym lub zielonym, jedynym wyjątkiem były rury, pomalowane w ostrzegawcze żółte i czarne linie.

Kiedyś można było tu dostać nieoficjalne biuletyny, afisze które pojawiały się z dnia na dzień, z nazwami jak TOWNEY LIES czy FREE PRATT & MARKS – Mamuśka nie lubiła ich nawet w najlepszych czasach. Biuletyny wykrzykujące hasła równego dostępu, czy bibuły które rozprawdzały nieocenzurowane wiadomości. Teraz ich nie było z powodu braku papieru.

Nadal można było trafić na stary znak przekreślonego koła, napisy jak Pokój czy Wolna Emigracja wydrapane w plastiku na ścianie sypialni, zaraz obok rysunków, które już neandertalczyki mogli rysować na ścianach swoich kamiennych łazienek. W ubikacjach, pomiędzy sprośnymi sugestiami widywało się hasła jak Minim, RABRAD i Pieprzyć Kompanię – o wiele częściej niż na piekładzie. Prawdopodobnie dlatego, jak sądził Bird, że pokrywanie ścian w niskiej grawitacji uwalniało cholernie dużo pyłu, a farba w spraju była do niczego. Albo bezpieczeństwa nie zaglądała tu zbyt często, a obsługa techniczna sama przykładła rękę do napisów. Hasła i slogany zostawały więc w łazienkach, nie pokryte nawet farbą, podczas gdy ósmy pokład stawał się coraz bardziej zaniedbany i brudny, ujawniając swój wiek, jak pewni górnicy których znał.

Był w kiepskim nastroju. Może to gliny, a może głupie ryzyko Bena z tą kartą danych, albo po prostu miał dość tego łajna i wyzysku Kompanii, która robiła wszystko żeby samej wysłać się do piekła. Był zły, że gliny zatrzymały ich dokumenty, co oznaczało ugrzęźnięcie w stymbinezonie i nieświeżym ubraniu do czasu, aż policja uwolni ich zestawy. I niech go cholera jeśli miał kupić nowe ochraniacze na kolana i łokcie po cenach oferowanych przez automaty.

Kupił jednak butelkę aspiryny, tani zestaw kosmetyczny i zdecydowanie zbyt drogą wodę kolońską. Nie miał już bioder, włosy przeredziły się i posiwiały, ale to co najważniejsze nadal działało i pozwalało mieć nadzieję. Wszedł do baru znajdującego się od frontu czegoś, co ambitnie nazwano Starbow Hotel i wsuwając

swoją kartę do szczeliny w kontuarze wcisnął Podwójny i Goście z dostępem.

Nagle ktoś chwycił go od tyłu i obrócił, odrywając od podłoża.

– Hej! – wrzasnął, podczas gdy obrót postawił go twarzą w twarz z ciemnoskórą Sal Aboujib, która trzymała go tak, jak ta druga z tyłu...

To musiała być Meg Kady.

Poklepał Sal po plecach w tym niestabilnym tańcu niskiej grawitacji.

– Cholera, obie jesteście głupie! – powiedział. Jednak z całej duszy cieszył się, że odebrały jego wiadomość. I przyjęły zaproszenie.

* * *

– Dobry przyjaciel Marcii Hager – powiedział Ben przy kontuarze w rejestracji. – Czy jest u siebie?

Urzędnik podniósł wzrok, zerknął na niego, popatrzył na kolejkę rozciągającą się za drzwiami i odezwał się niepewnie:

– Może...

– Dzięki – odpowiedział ciepło i uśmiechnął się, wciąż na prochach, zdeterminowany nie pokazać bólu. Przeszedł za kontuar, terytorium urzędnika, i wszedł w korytarz za jego plecami. Ludzie w dobrych ubraniach nie czekali w kolejce. Ben Pollard doszedł do drzwi z tabliczką M. Hager, kierownik techniczny, wytarł pot z czoła, zastukał, uchylił drzwi i zajrzał do środka.

– Witaj piękna.

Marcie Hager podniosła wzrok znad biurka, przez chwilę wyglądając na kompletnie zmieszaną, po czym odezwała się:

– Ben Pollard. Boże, myślałam, że wybrałeś się na Marsa albo jeszcze dalej.

– Mogę usiąść?

Odezwała się, po chwili konsternacji:

– Oczywiście, wejdź. Kawy? Wszystko z tobą w porządku? Jesteś całkiem blady.

– Pierwszy dzień po powrocie. Przyszedłem wprost z ósmego. Ty wyglądasz doskonale.

– Ostatni raz kiedy cię widziałam, byłeś w oznaczeniach – Marcie podniosła się i przygotowała dwie kawy rozpuszczalne. – Biała? Z cukrem? Skąd wróciłeś?

– Biała, bez cukru. W oznaczeniach byłem przez jakiś czas. Później wkupiłem się na statek.

Marcie uniosła brwi. Z pewnością wzrosła ocena stanu jego finansów. I jej zainteresowanie.

– Rodzinna tradycja?

Uśmiechnął się, usiadł z filiżanką kawy i napił się, świadomie rozciągając tę

chwilę.

– Miałem trochę szczęścia. Pomyślałem, że mogłabyś mi pomóc.

Szkoła Kompanii pozwalała nauczyć się, czym kupować, co i od kogo. Niektórzy byli tani, inni kosztowali więcej niż wolny strzelec byłby w stanie zapłacić. Ale zawsze należało utrzymywać kontakty z kolegami z klasy i czasem, na prośbę, robiło się komuś przysługę, taką jaką teraz mogła uczynić Marcie Hager. Przysługi odpłacano przysługami, a to znaczyło na przykład, że nie trzeba było stać w kolejce.

– Doprawdy? – Marcie usiadła i napiła się kawy. Brzmi interesująco.

Co oznaczało, że Marcie uważała iż ktoś kto cztery lata po szkole miał już udział w statku, mógł być przydatny dla kierownika technicznego rejestracji. Nawet biorąc pod uwagę, że praca na własną rękę była inwestycją o wysokim stopniu ryzyka, to była to żywa gotówka z wysoką stopą zysku w krótkim terminie. I stanowiła kapitał, na którym kierownik techniczny z rejestracji nie mógł położyć rąk nawet ze wszystkimi swoimi przywilejami w dostępie...

Oczywiście, Marcie nie miała zamiaru zażądać za przysługę żywej gotówki. Z jej pozycją, pod nadzorem Kompanii, nie wolno było zostawiać śladów.

– Tylko małe popchnięcie. Roszczenie do uratowanego statku. Nie chcę być na końcu listy wierzycieli. Facet wiele nam zawdzięcza, naprawdę dużo.

Lewa brew Marcii podniosła się.

– Na przykład – uratowanie?

– Uratowanie statku – odchylił się w fotelu, rozluźnił bolące mięśnie pleców i pociągnął kolejny łyk kawy. Numer jedynekowa osiemdziesiąt cztery Zebra.

– Mmmm. Nie z tej strefy, Benje. To mocno wydłuży procedurę. Gdzieś ty, do diabła był?

– No wiesz, tego.. – Uruchomił swój najmiłszy uśmiech. Zasada pierwsza: nie omawiać sprawy wprost. Zasada druga: ostrożnie z gotówką. Zasada trzecia: nie prosić o przysługę drani – ale Marcie z pewnością do nich nie należała.

– Tak tylko pytam – odparła nie zmieszana, uruchamiając terminal. Jej pomoc mogła nie być wyceniona w gotówce, ale wklepując swoją piramidę haseł zapytała:

– Nie wiesz czasem, co się dzieje z Angie Windham?

– Nie wiem. A wiesz, że Theo Pangolius splajtował? Wpakował wszystko w sklep – mogli mu powiedzieć, że to ryzykowne w tamtym miejscu.

Twarz Marcii wykrzywił grymas niesmaku. Nie takiej oferty oczekiwała. Prowadzili w tej chwili poważne negocjacje i przestała stukać w klawisze.

– Z drugiej strony – odezwał się – mam kontakt z Harmonem Philipsem.

– Naprawdę?

– Wiesz, jest w ekipie Aby Torrey. Na górze w personalnym.

– To interesujące – skomentowała Marcia. – Masz przygotowane liczby?

* * *

To były pomyje, ale było tu przynajmniej dość ciężenia, by utrzymać je w szklance i człowieka na krześle jeśli siedziało się spokojnie. I było dobre towarzystwo dwie najlepsze dziewczyny w całym Pasie, jak przysięgał Bird. Soheila Aboujib, z uśmiechem na ciemnej twarzy i uszami oraz palcami błyszczącymi jej prywatną rezerwą bankową zaśmiała się, szturchając Meg łokciem w żebra.

– Za długo go nie było.

– Opowiem wam – powiedział i zrobił to, w luźnym ruchu przewijających się przez bar „Starbow” klientów: dokerów, załóg holowników i statków pomocniczych. Poziom muzyki z głośników dostosował się, pozwalając na odrobinę prywatności ludziom przy stoliku w kącie baru.

– Jej – skomentowała Meg, znając już zarys historii. Więc Ben jest teraz na dole w administracji?

– Jeśli nie złamał nogi – odparł. – Powiem wam, że martwię się o niego. Od kiedy połączyliśmy się z tamtym statkiem, zachowywał się jak wariat.

– No nie wiem – Meg była z tych, których młodzi nazywali rab, a jej fryzura przez jego pokolenie została nazwana wyzywającą: wygolone boki, z czerwonym czubem i masą loków spadających na plecy oraz garścią kolczyków w każdym uchu. W przypadku Meg nigdy nie było się pewnym tego co się zobaczy, czasem były to warkocze, a czasem włosy zmieniały kolory. Taka była. Pół Węgierka, pół Irlandka ze Stacji Sol, tak mówiła. Ale czasem byli to Szkoci, a raz usłyszał w barze, że Portugalczyk z Marsa. Bóg jeden wiedział jak było z Sal Aboujib, która miała cerę koloru kawy i także oczy. Włosy miała spięte w warkocze, całe setki warkoczków z metalowymi spinkami, ale to też nie była stała fryzura – jej włosy również przybierały różne style i kolory.

Obie były zbyt ładne na ten posiwały wrak z kruchymi kośćmi, który sobą reprezentował. Musiało im chodzić o jego mózg, tego był pewien: upić go i zadawać pytania, postawić kolację i wyciągnąć szczegółowe koordynaty z ponurego Birda, zjedną nogą w grobie – żadna z tych metod nie była zbyt skuteczna. Ale nigdy nie wiadomo, co czyni ludzi przyjaciółmi: po prostu kontaktował się z nimi i odkrywał komu można ufać. A jeśli trafił na dobrych ludzi, rozwijał te kontakty. To wszystko. Nie pamiętał, jak spotkał tę dwójkę. Było to na długo przed Benem, w czasach, gdy pracował z wynajmowanymi pomocnikami. Ale miało to coś wspólnego z wymieszaniem alkoholi (dawno był pod krechą i one też) oraz z grą w rzucanie pensówki w ćwierci g, z tłumem równie napranych robotników.

Za nic nie pamiętał, kto w końcu zapłacił rachunek.

– Zza granicy? – zapytała Meg, odnosząc się do zbłąkanego statku, a on odpowiedział:

– Jedynkowiec. Czysto mówiący dzieciak, naprawdę młody, dwadzieścia, może dwadzieścia dwa lata. Partnerka zginęła. Zbiornik wybuchł, gdy była na zewnątrz.

– Paskudny pech – odpowiedziała Sal potrząsając swoimi warkoczykami. – Poważnie masz prawo do tego statku?

– Tak myśli Ben. Jest dość przekonany, by ryzykować kolana. Pracował nad tym przez całe tygodnie. Domyśliłem się, że zamierza przepchnąć tę sprawę, ale myślałem, że przynajmniej pójdzie najpierw do hotelu.

Meg spytała:

– Chcesz, żebyśmy go odszukały? Kręciłyśmy się bez pośpiechu po szóstym, czekając na przyjaciela, który miał się pokazać. Mogłyśmy zejść na trzeci dwa dni temu. Możemy zejść niżej...

– Wróci. Jeśli nie, zadzwonię do szpitala.

– Kłóćcie się?

– Ben trochę za mocno się tym przejął.

– Jasne, rozumiem. Cały Ben. Ale jeśli to zadziała, jeśli dostaniecie prawo do tego co uratowaliście – możecie przejąć statek?

– To się nie uda. Firma znajdzie jakiś haczyk. Zobaczycie.

– Que sab? – powiedziała Meg. – Ale jeśliby się udało...

– Meg, odbiło mu. Od kiedy tylko znaleźliśmy ten statek. Mówię ci, bałem się... – Zbyt długo nie miał kontaktu z alkoholem. Nie odważył się odpuścić sobie w drodze powrotnej i teraz uderzył go niczym młot. Prawie powiedział „bałem się go”, ale to mogło trafić do Bena. Tego nie chciał. Zamiast tego powiedział: – Ben naprawdę ciężko pracuje. Ale czasem zapatrzy się bardziej na to gdzie zmierza, a nie na to co robi.

Meg sięgnęła w jego stronę, kładąc mu dłoń na ramieniu.

– No cóż, cher, chcesz, żebyśmy z nim porozmawiały?

– Nie. To sprawa między nami. Niech sam do tego dojdzie. Jedyne co znajdzie, to plik rachunków na koncie tego statku. Pewnie jest nawet zastawem pod ostatni rachunek na paliwo. Będę szczęśliwy, jeśli dostaniemy zwrot kosztów.

– Trudno winić go za to, że próbuje – skomentowała Sal. – Mogłabym zabić za taką szansę.

Czasem trudno było zgadnąć, kiedy Sal żartuje.

– Słuchaj – odezwała się Meg ściskając jego nadgarstek – a może wypniesz się na przepisy medyczne, skasujesz rezerwację i przeniesiesz się z nami na szósty?

– Meg, moje stare kolana...

– Stare, do diaska. Mamy miłą przystań w Liberty Bell. Zostań tu i zgnij Bena

kiedy dotrze. Będziemy dziś imprezować. Przegonimy zmyły. Wiedziałyśmy, że dzisiaj ktoś przyleci.

– Jasne – potwierdziła Sal – daj nam chwilkę na posprzątanie pokoju.

– Sprzątanie? Na miłość boską, kim jesteśmy, pieprzonymi obcymi?

Meg szturchnęła go wstając.

– Hej, musimy tylko wyrzucić z niego parę rzeczy. Kobięca próżność.

Potrząsnął głową i napił się swojego bourbona. Kilka rzeczy z pokoju. To byli prawdopodobnie faceci. Ale łaskawie tego nie zasugerował.

Równie możliwe było, że Meg i Sal odprawiały w pokoju jakieś kobiece czary. I nie było zaskoczeniem, że Meg i Sal mogły wyrzucić jakiegoś okazynego znajomego, czy dwu, na korzyść jego i Bena – były dla nich *simpatico*, Bóg jeden znał przyczynę. Znajdowały się również na liście załóg czarterujących *Trynidad*, choć w tej chwili same dopiero co wróciły z kursu i przepisy nie pozwalały im wynająć statku przez kolejny miesiąc lub trzy.

– Zobaczmy się na dole – powiedziały i wyszły.

Ładne kobiety jak one, jeszcze tej nocy mogłyby zaciągnąć go na piekielny, gdyby należały. Ładne kobiety jak one...

Kłamały równie dobrze, jak prawnik Kompanii.

Meg była kiedyś pilotem promu, pochodziła ze Stacji Sol (lub Marsa) – oskarżono ją o agitację polityczną (lub aresztowano za szmugiel, w zależności od tego ile wypila). Obie te sprawy mogły wystarczyć na zesłanie jej w dół Studni, gdyby istniały dowody, których jednak ewidentnie udało się jej pozbyć. W każdym razie Kompania poprosiła ją (jak twierdziła Meg), by opuściła miejsca położone niebezpiecznie blisko źródła luksusów. Meg związała się z Sal jak tylko dotarła tutaj. Sal z kolei została wyrzucona z instytutowego kursu pilotów – nigdy nie mówiła za co, ale to nie miało znaczenia. Była cała lista rzeczy, które mogła zrobić Sal i samemu można było wybrać sobie przyczynę. Sal była sprytna, miała licencję trzeciej klasy i, na ile się orientował, umiała to, czego wymagało się od dobrego człowieka od liczb. Umiała prześwietlić liczby na wskroś i zobaczyć Pas, takim, jaki był naprawdę. Brakowało jej tylko formalnego wykształcenia i doświadczenia, a sposób w jaki go nabierała w Szkole Ostatniej Szansy – dawał nadzieję, że pożyje dość długo.

Był pewien, że ta para czasem podbierała – po prostu przestawiała odrobinę znacznik górnika, którego nie znały osobiście.

Ale nie od przyjaciół. Ale jeśli to robiły – doszedł do tego – odpłacały kiedy miały czym zapłacić i nigdy nie mówiły, że ukradły. Takie były, nawet Sal, która naprawdę luźno podchodziła do wielu spraw, a on uważał to za uczciwe. Każdy bywa czasem wystarczająco zdesperowany. Sam tak zrobił raz czy dwa lub trzy. I odpłacił facetom którym to zrobił, nie mówiąc im za co. Rozumiał ten rodzaj moralności.

Więc wynajmował *Trynidad* Meg i Sal od czasu do czasu – statek wyższej klasy niż zazwyczaj mogły dostać, z wyposażeniem którego inne nie miały. Uczyły się. Przyjmowały rady. Wynajęłyby im tym razem, gdyby były gotowe lecieć – lubił je, a to był wystarczający powód.

Ale znienacka pojawił się ten drugi statek. Widział jak ten pomysł rozjaśnia ich oczy – że jeśli dzięki jakiemuś kosmicznemu szczęściu rzeczywiście dostaną drugi statek, to komuś będą musieli go wynająć, czy nie tak? Może nawet z prawem pierwszeństwa. Z pewnością nie zamierzał sprzedać go Kompanii. Bóg jeden wiedział, jak daleko mogła je zaprowadzić wyobraźnia.

Do diabła. Co za urok tkwił w tym statku, zadawał sobie pytanie, który sprawił, że Ben zwariował, a teraz Meg i Sal zaczęły myśleć o czymś, na co nie były nawet wystarczająco dobre, żeby o to prosić?

Podczas gdy nikt nie poświęcił żadnej myśli temu biedakowi w szpitalu, który został oskubany ze wszystkiego co miał, że nie wspomnieć właścicieli i załóg podnajmujących tam w R1, którzy również mogli być oskubani.

Czasem myślał, że jest zbyt stary i zbyt daleko od swoich korzeni. Czasem śnił o sosnach, szałwi i zachodach słońca.

Ale równie realistyczne były sny o ubóstwie – przypominał sobie jak oszczędzał i odkładał, by dostać się w kosmos do szkoły, a potem dzięki desperacji i szybkiemu mówieniu wkręcił się do Asteroid Exploration Inc., do programu, który pozwalała wziąć statek w leasing. Tak bardzo byli wtedy zdesperowani, by ściągnąć pilotów, szukając ich wszędzie na początku obecnej fali.

Większość z tych, którzy przybyli wtedy, była już prawdopodobnie martwa – znał tych z R2 i był z nich ostatnim. Robotnicy ze stacji, którzy pracowali w rafinerii i przy obróbce – Bóg wie, może większość z nich też była martwa. Pamiętał młode twarze i rozmowy o tym co mieli znaleźć i jak wszyscy mieli się wzbogacić na pensjach Kompanii.

Jasne. A teraz, kiedy mapowanie było niemal zakończone, a Kompania miała swoje pchacze pracujące bez przerw, firma nie chciała już wolnych strzelców. Ekonomia, mówili. Wolni strzelcy nie pasowali do systemu jaki się rozwinął: wszystko prowadzone przez Kompanię, z ASTEXEM rządzącym wedle woli. Nie można było narzekać i nie było drogi ucieczki, bo to wymagało pieniędzy, których nikt nie miał. Można było odsprzedać statek Kompanii i po opłaceniu przejazdu wylądować na stacji Sol z 50, może 60 tysiącami w kieszeni, w miejscu startu, tym razem mając pięćdziesiąt lat i kruche kości. Ale te 60 tysięcy ledwie wystarczyłoby na emeryturę i lekarzy.

Ale czytał listy od brata i nie miał wątpliwości, że trzydzieści lat to zdecydowanie zbyt długi okres nieobecności dla kogokolwiek. Zmieniła się Ziemia, zmieniły się

przekonania. Ludzie przejmowali się teraz rzeczami, które były mu obojętne i na odwrót. Ziemia była w stanie wojny ze swoimi koloniami, Ziemianie kłócili się o to, czy inteligentne istoty z Pell miały duszę i obwiniali rząd o krach gospodarki, wywołany strajkiem kupców z powodu wprowadzenia cholernych wiz. Ulice pełne były rabów błyszczących wygoloną skórą i biżuterią, bo społeczeństwo zmierzało ku upadkowi, ciągnąc za sobą całą ludzkość. Byli izolacjoniści, którzy chcieli zamknąć stacje przy odległych gwiazdach i nie rozmawiać z nikim poza Ziemią, Marsem i Pasem. Byli federacjoniści i separatyści, pacyfiści, neonacjoniści i Nowi Ewangelicy, a wszyscy uważali, że ich pomysł na zreformowanie ludzkości jest najlepszy. Byli eukonomiści i antygenetycy oraz ci, którzy twierdzili, że istnieje w kosmosie eliksir wiecznej młodości, na który rząd nałożył embargo, ale bogaci i tak mogli go dostać. Były różne departamenty obrony w Narodach Zjednoczonych i Zjednoczona Międzynarodówka, budujące swoje olbrzymie statki wojenne do narzucania własnych praw rebeliantom z kosmosu. Równocześnie partia Wolnego Handlu, która wygrała wybory w Unii PanAzjatyckiej, chciała znieść wszystkie te prawa, embarga, skasować wize i pozwolić ludziom iść tam, gdzie chcą. Ale tu w górze wszystko było w ciągłym ruchu, coraz szybciej i szybciej; za tym tempem nikt już nie mógł nadążyć. Nie urodził się jeszcze, gdy na Cyteen odkryto napęd Szybszy Niż Światło i od nowa napisano podręczniki. Niech to diabli, jeśli rozumiał fizykę lub zasadę działania SNS, ale Kompania budowała swoje statki z metalu, który on znalazł w Pasie. Jeszcze zanim się urodził, uzbrojono kupców Wielkiego Kręgu, a teraz budowano nadświatłne statki bazy, by dać koloniom nauczki. Wszystko toczyło się już od ponad stu lat, ale teraz rozwijało się z prędkościami SNS. Wystrzelali reformatorów z rab pod drzwiami Kompanii w piętnastym, wprowadzili wize i rozdzielili Kompanię Ziemską na pół setki mniejszych firm takich jak ASTEX, co rozdzieliło księgi podatkowe firmy do rozmiarów przekraczających możliwości kontroli przez jakikolwiek ziemski rząd i nikt nie był za nic odpowiedzialny. W zeszłym roku stłumili zamieszki na Stacji Sol, zginęło czterech dzieciaków i posadzili dwóch ze szczytów władzy, jak mówiły plotki, za fałszowanie dostaw wojskowych. A tu w Pasie byli robotnicy i te wielkie stalowe szkielety, o których nie należało rozmawiać i które w końcu, po kilku latach, włączały silniki i wyruszały w stronę Stacji Sol na wykończenie. To wszystko działo się naprawdę. Ale jeśli spojrzeć na ekran ścienny zastanawiając się, co jeszcze się działo, o czym nie miał pojęcia – dział nowości i rozrywki Kompanii wyświetlał program o uprawach hydroponicznych.

Cholernie zwariowane było życie. Czasem siedział w Pasie z jakimś drugim facetem i zastanawiał się, co by się z nimi stało gdyby ludzkość nagle oszalała i wysłała się do piekła. Ostatnio słuchał niespokojnie wiadomości, które skąpo

wydzielała Mamuśka i próbował dojść do tego, kto właściwie rządził w rodzimej Studni, bo piekielna kompania nie zamierzała tego powiedzieć wprost. ASTEX, Asteroid Explorations, była częścią Kompanii Ziemskiej, która trzymała na smyczy całe Zjednoczone Dowództwo Obrony. Wokół roilo się od skrótów karteli i instytucji: ASTEX, OZ, SS, ZM, MEX i FN, żeby tylko zacząć wyliczankę i wszyscy spali w więcej niż jednym łóżku, mówiąc po rządowemu...

Czego on wolał nie robić. Może dzieciaki o kolorowych włosach, pomalowane świecąca farbą i z kolczykami w nosach, miały rację. Może ludzkość zmierzała do samounicestwienia. Może pasiarze przeżyją i rozmnożą się w nową rasę ludzką...

Ci, którzy myśleli, że Szekspir to fizyk.

Podniósł się i obciążył swoją kartę drinkiem, po czym skasował rezerwację dla siebie i Bena w „Starbow”, skoro już stał przy czytniku, oddając klucz którego nie zdążył użyć. Poważnie zastanawiał się, czy jego plecy wytrzymają na szóstym poziomie.

– Bird?

No cóż, więc Ben przeżył. Jego głos drżał z podniecenia. Obrócił się w stronę wyhamowującego Bena i złapał równowagę chwytając się dystrybutora.

– Bird, mamy szansę. Naprawdę mamy szansę – nabranie oddechu – pędziłem na złamanie karku – kolejny oddech. – Statek jest zarejestrowany na dwie osoby, w Rafinerii Jeden. Paul Dekker i Corazon Salazar. To jego partnerka, Cory, a statek jest zupełnie nieobciążony.

– Żartujesz. To przecież dzieciaki.

– Nie wiem kim ona była, ale statek należał do nich. I jest czysty – żadnych zastawów, pożyczek, nic. Bird, mamy go! Jesteśmy jedynymi z roszczeniami do tego statku, pierwsi w kolejce!

Wyjął swojego drinka z dystrybutora i trzymał go w trzęsącej się dłoni. Nie myślał dotąd o takich rzeczach, nawet nie chciał zacząć myśleć. Ale wiedział, że czekają na nich rachunki do zapłacenia, a przy firmie tak wolno wypłacającej roszczenia...

Niech Bóg wybaczy, zaczął się wtedy zastanawiać: jeśli Dekker zwariował i ten statek naprawdę im się należał...

* * *

– Nazywasz się Dekker? – zapytali lekarze. Pamiętał ich. Ale nie pamiętał, jak się tu znalazł. Nie wiedział od jak dawna tu jest. Nie wiedział, jak długo był nieprzytomny. Zadawał pytania, ale odpowiedzi nie na wiele mu się zdały.

Czasami myślał, że jest nadal na własnym statku, że wszystko wokół to

halucynacje.

– Bird? – pytał czasem. Chwilami bał się, że zbliży się Ben i uderzy go.

Innym razem myślał, że Bird i Ben byli tylko wytworem jego snów, i nie mógł dojść jak się tu *znalazł*, chyba że Cory w jakiś sposób naprawiła statek i dowiozła go tutaj. Uspokajał się. Myślał: jestem w szpitalu. W bazie. Jesteśmy w domu, bezpieczni...

– Gdzie jest twoja partnerka? – ktoś go zapytał.

Rozchylił powieki i podniósł głowę tak wysoko, na ile miał sił. Zobaczył biały fartuch, mężczyznę piszącego na płytce.

– Gdzie twoja partnerka? – zapytał go lekarz. – Pamiętasz?

Czerń. Wyjął alarm. Statek skoczył i zawirował. Walczył z masą swojej ręki by sięgnąć pulpitu, zastanawiając się czy autopilot potrafiłby wyprowadzić ich z tego i czy może już zaczął to robić. Nie wiedział. Uderzył w przełącznik, coś pchnęło statek, rzucając go na konsolę...

– Panie Dekker, przypomina pan sobie co się stało? Prysznic z zieloną ścianą. Zegarek wskazujący dwunasty marca.

– Jaki dziś dzień? – zapytał. Ale nie odpowiedzieli mu. Usiłował spojrzeć na swój zegarek, ale nie mógł ruszyć rękami.

– Bird, która godzina? Na miłość boską, która godzina?

Mężczyzna w bieli zapisał coś na swojej płytce i zapytał:

– Która jest według pana?

– Dajcie mi mój zegarek. Gdzie jest mój zegarek? Nie miał go na nadgarstku.

Okłamał go. Albo była to jego jedyna droga powrotu..

– Gdzie jest mój zegarek do cholery! Chcę mój zegarek!

Mężczyzna wyszedł. Weszli inni i wstrzyknęli mu coś w ramię. Mógł po tym słyszeć swoje serce, bijące coraz wolniej i wolniej, podczas gdy tonął w ciemności.

– Bird? – zapytał, myśląc że Ben miał z tym coś wspólnego. – Bird, obudź się. Pomóż mi Bird, błagam obudź się i pomóż mi!

Rozdział 6

Na szóstym pokładzie, w „Liberty Bell”, szkło stuknęło o szkło.

– Za przyjaciół – wzniosła toast Sal, a Bird, myśląc że jest zdecydowanie za wcześnie na snucie planów na przyszłość, zdecydował się nic nie mówić Meg i Sal. Okazało się to nic nie warte w chwili, kiedy tylko zobaczyły radosną, uśmiechniętą twarz Bena.

– Dostałeś go! – wykrzyknęła Meg, zanim jeszcze zamówili drinki.

– W każdym razie jesteśmy na dobrej drodze – odparł Ben. – Zamierzają wysłać roszczenie.

Całe doświadczenie życiowe nie pomogło Birdowi zrozumieć, jak Ben radzi sobie z urzędnikami. Ale wyraźnie tak było.

A więc byli tu, w drodze do takiego stanu ciała, kiedy nie czuje się bólu, niech szlag trafi 0,7 g.

Meg i Sal nie opuściłyby ich następnego dnia, gdyby sprawa nie przeszła. To nie był ten typ. Najwyraźniej czerpały przyjemność z imprezy.

Przyjemność mieli też po imprezie, ułożeni w dwu sąsiadujących pokojach „Liberty Bell” – właściwie towarzystwo się przemieszczało, dwukrotnie musieli wyrzucać za drzwi robotników, którzy narzekali, że byli zaproszeni.

– Nie, nie byliście – zaprotestowała Sal Aboujib ze śmiechem, zamykając drzwi i blokując je. Meg zbyt się śmiała, by jej pomóc, więc podnieśli ją mimo jej słabych protestów i obaw, że upadnie na głowę.

W końcu opadli na łóżka, co w niskim ciężeniu oznaczało powolne obijanie się o siebie, przy mocno zaburzonym poczuciu góry i dołu, co było normalnym efektem nadużycia alkoholu.

– Rety – powiedział Bird padając ponownie na coś, co powinno być materacem – urznąłem się.

Przerwała mu Meg długim namiętym pocałunkiem i przestał przejmować się, problemem, gdzie jest dół, a gdzie góra.

Po przebudzeniu okazało się, że była to koja Bena i Sal, ale nie miało to znaczenia, Ben i Sal poszli do pokoju obok. Za to mieli do odpokutowania grzechy poprzedniej nocy – kac w obniżonej grawitacji, z wariującymi zatokami i błędnikiem, był iście piekielną nagrodą.

* * *

– Cory? – zapytał Dekker. – Cory? – Nie znajdował się na statku, a pomiędzy białymi ścianami z ubranymi na biało lekarzami, którzy wciąż na nowo pytali go:

– Co się stało z Cory? – a on już zupełnie nie wiedział, co było rzeczywistością. Albo co chcieli, żeby powiedział. Prosił o Birda, a oni pytali kto to jest, jednak raz usłyszał jak ktoś wyjaśniał, że to człowiek, który go tu dostarczył.

Skąd? Próbował przypomnieć sobie gdzie zostawił Birda, albo co się stało, ale zawsze docierał tylko do prysznicza i zegarka wskazującego datę... dwunastego marca. Mógł wybierać, co stało się tego dnia...

Znów spał. Kiedy się obudził, czuł się lepiej. Miał wolne ręce. Pozwolili mu usiąść i dali sok owocowy. Przyszedł jakiś mężczyzna z dużym notatnikiem elektronicznym, usiadł przy łóżku i z szybkością karabinu maszynowego zaczął zadawać pytania.

– Ile ma pan lat? Czy ma pan jakichś krewnych? Rodzaj pytań zadawanych osobom po wypadku, te o najbliższych krewnych. Wystraszyło go to. Prysznic w tym pokoju nie był tym, który pamiętał, przez drzwi przeświecały białe ściany wnętrza. Nie było z nim Cory, a on siedział w szpitalu zmuszony przechodzić przez te pytania, jak jakiś aktor na filmie. To nie mogło dziać się naprawdę. Boże, nie chciał, by jego matka dowiedziała się, że leży w szpitalu gdzieś, gdzie nie mogła mu pomóc; dość już zepsuł. Powiedział jedynie, że pochodzi ze Stacji Sol i przestał odpowiadać na dalsze pytania.

– Co pana łączy z Corazon Salazar? – zapytali go wtedy, zimno i bezosobowo. Niemal rytualnie oparł:

– Jest moją współniczką.

Ale gdyby odpowiadał dalej, zapisaliby to jako prawdę i zostałby tu na zawsze, nie mógł wrócić do prysznicza, wyszedłby z pętli i nie miałby szansy tego naprawić. Cory byłaby martwa. Bezpowrotnie.

– Czy był pan z nią związany? – zapytał mężczyzna.

Wściekł się.

– Nie pański interes.

– Kłóciliście się?

– Nie.

Mężczyzna zaznaczył coś w swoim notesie.

– Co pan zainwestował w ten statek?

Nie zrozumiał tego pytania. Potrząsnął głową.

– Włożył pan w niego jakieś pieniądze?

Jeszcze jedno po trzaśnięcie.

– To nie działało w ten sposób. Cory miała pieniądze. – Cory również kierowała przedsięwzięciem, ale nie przyznał tego przed obcym. Cory była osobą, która jasno

wiedziała czego chce od życia. Ale mężczyzna nie zapytał o to, tylko:

– Co się tam stało?

Nie mógł teraz wrócić do prysznicza. Żadnych zielonych ścian, tylko białe.

Zastanawiał się, co powinien mu odpowiedzieć. Ale mężczyzna nie dał mu zacząć:

– Czy to pana niepokoi? Powiedział pan, że Salazar pracowała na zewnątrz statku. Dlaczego?

Odpowiedział, niepewny co mógł im przekazać:

– Pracowaliśmy nad znacznikiem.

– Czy to Salazar zawsze pracowała na zewnątrz?

– Jestem pilotem – dwie poprawne odpowiedzi. Czuł się teraz pewniej.

– Rozumiem. A więc wynajęła pana. I dała równy udział w jej statku. Za nic.

Potwierdził.

– Gdzie się spotkaliście?

– Pisywaliśmy do siebie listy, bardzo długo. Kiedy byliśmy jeszcze dziećmi.

Kolejna notatka.

– A więc to było coś więcej, niż wspólne interesy?

– Przyjaźń.

– Utracił pan świadomość, nieprawdaż?

Popatrzył na zegarek. Zabrali mu go.

– Kłóciliście się? – zapytał ten człowiek.

– Nigdy się nie kłóciliśmy.

– Zawsze robiła co chciała? Czy tylko tym razem?

Nie rozumiał. Potrząsnął głową. Pomyślał o prysznicu, ale obraz tym razem nie był wyraźny. Nawet zieleń wydawała się zanikać.

Mężczyzna dalej zadawał pytania:

– Dlaczego przekroczyliście granicę? Żeby ukryć to, co zrobiliście?

Nie rozumiał do czego zmierzali. Ponownie potrząsnął głową i rzucił ukradkowe spojrzenie na nadgarstek, pamiętając, że nie wolno mu tego robić. To ich denerwowało. Na przykład Bena. To bardzo denerwowało Bena...

– Niech pan powie prawdę – naciskał nieznajomy. Co tam robiliście?

– Mieliśmy znacznik – odparł – pracowaliśmy nad nim.

Nagle pokój znikł. Było ciemno, błyskały tylko światła konsol. Próbował wrócić do bezpiecznych, białych ścian.

– Zostawił ją pan tam? – usłyszał pytanie. Nie pamiętał, co sam przed chwilą powiedział, przed oczyma miał jedynie pulpity. Ktoś go trzymał. Uwolnił jedno ramię. Ludzie krzyczeli. Czasem widział biały pokój, twarze nad nim, i wszyscy oni go trzymali. Wrzasnął:

– Puście mnie! – i poczuł ostry ból w barku, ale wciąż go trzymali ciągle

powtarzając, żeby się uspokoił.

– Uspokoję się, będę spokojny, nie chcę już więcej środków uspokajających – powiedział tracąc oddech.

Bo kiedy usypiali go lekami nie wiedział gdzie jest, ile mija czasu i gdzie dociera w tej ciemności... Ponownie otworzył oczy, czując się jak z ołowiu, jakby ważył zbyt wiele i nie mógł się obudzić – ale wiedział gdzie jest, był w szpitalu. Przytrzymało go dwu silnych mężczyzn, pytając go jak się teraz czuje.

Wyszedł z czerni. Kiedy zdołał zaczerpnąć oddechu, odpowiedział im:

– W porządku. Czuję się dobrze, ale nie dawajcie mi już więcej zastrzyków, dobrze?

– Będiesz z nami rozmawiał? Będziesz się zachowywał poprawnie?

– Tak – odpowiedział.

Mężczyzna w bieli sięgnął wtedy do niego, ujął za nadgarstek i zapytał:

– Nadal martwi się pan o swój zegarek?

Jego serce zamarło, wprawiając go w zmieszanie. Ale domyślił się, że to test. Nie powinien pytać o godzinę. Bili go, kiedy to robił. Albo robili mu zastrzyki. Potrząsnął głową, chcąc pozostać przytomny.

– Zamierzamy dokonać kilku odczytów w trakcie rozmowy – powiedział lekarz.

– Zgadza się pan?

Kolejny test. Zdecydował wtedy, że nie ma znaczenia, jaka jest prawda. Jeśli nie da im właściwych odpowiedzi, będzie dostawał zastrzyki. Miewał już w życiu kłopoty te były poważne. Był w szpitalu i myśleli, że zwariował.

Doktor zapytał go znowu:

– Wciąż martwi się pan o swój zegarek?

Ciemność. Wycie syreny. Słyszał jak coś dziko piszczy. Włączył się alarm, a on nie pamiętał z jakiego powodu. Widział jak lekarz krzywi się na niego. Usiłował skupić się na lekarzu, zdając sobie sprawę, jak bardzo jest to ważne. A kiedy wreszcie mu się udało, piszczenie przycichło.

– Tak lepiej – skomentował doktor. – Dobrze się pan czuje? Powie mi pan, co się wydarzyło?

Nabrał powietrza. Odpowiedział spokojnie, starając się nie zwracać uwagi na piski.

– Cory była na zewnątrz. Pracowaliśmy nad tym znacznikiem...

– Po której stronie granicy?

– Po tej – głupie pytanie. Brzęczyk oszalał na chwilę razem z jego sercem. Zdołał je uspokoić.

– Pracowaliśmy nad znacznikiem. Duże znalezisko. Kilometr długości...

– Jest pan pewien, panie Dekker?

– Tak, był tak duży. I byliśmy tam. Wstrzeliliśmy nasz znacznik, ale nie złapał dobrze. Cory powiedziała... częstotliwość pisków znów się zwiększyła, więc skupił się wpatrując w ścianę, przypominając sobie Cory mówiącą „nie pozwolimy tym draniom...” – musieliśmy go poprawić. Ona chciała tam iść...

– Nie mogliście poradzić sobie ze skałą tej wielkości.

– Była stabilna. Nie było tak źle. – Znów piski. Odezwał się zanim stracił wątek.

– Ale ten cholerny pchacz – nie było go na mapach nie zwalniał. Powiedziałem „Cory chodź tu, on wciąż nie odpowiada na moje sygnały, wracaj do środka...”

– Dajcie uspokajacz – powiedział lekarz. Pisk wcale teraz nie ustawał. Brzmiał jak alarm kolizyjny. Błyskały światła.

– Krzychałem do nich – kontynuował – wyzywałem od sukinsynów, mówiłem że mój współnik jest na zewnątrz, mój partner tam jest, nie mogę się wycofać...

Wstrzyknęli mu lekarstwo. Dwu z nich go trzymało, ale wciąż krzychał:

– Nie mogę się wycofać, sukinsynu!

– To nie działa – powiedział ktoś.

Lekarz uniósł mu powiekę i zajrzał z bliska, po czym patrząc w inną stronę zawołał:

– Zawołajcie szefa – podczas gdy jego oddech stawał się coraz krótszy, lecz przez pisk czujnika nadal krzychał w panice:

– Nie wpisali go – powiedział – on nie nadawał...

Głos doktora:

– Przygotujcie następną dawkę. Pięćdziesiąt milimetrów.

– Nie było go na tych cholernych mapach...

– Spokojnie – powiedział lekarz. – Rozumiemy cię. Wyłączcie ten jazgot!

Pisk ucichł. Odetchnął spokojniej.

– Dobrze. Dobrze. – Po czym kolejny raz w ciemność.

Ktoś miał wypadek, statek z R1 pojawił się w strefie R2. Prawdopodobnie wypadek z pchaczem – czym powinni się zająć w AP, ale sprawa pojawiła się na biurku Williama Payne’a, prosto z biura Craytona z głównego zarządu.

Notka brzmiała: *Załatw to. Nie chcemy rozgłosu.*

Payne przejrzał plik. Pilot z wolnych strzelców w szpitalu – z dzikimi oskarżeniami na temat kapitana pchacza naruszającego przepisy...

Boże. Stowarzyszenie Pasterzy robiące szum wokół sprawy i Kompania usiłująca uniknąć strajku – Payne potrząsnął głową. Niezupełnie jego działka, ale w oczywisty sposób była to sprawa związana z kontrolą informacji, a to był jego departament. Dyrektor Wykonawczy Informacji Publicznej. Można by nawet, będąc paranoikiem, podejrzewać spisek niezależnych, ale wyglądało na to, że stan fizyczny pilota nie był udawany. No i zginął górnik.

To cholernie zły moment na taką sprawę.

Pytanie, jak daleko rozeszły się już plotki. Uratowali go wolni strzelcy, to jeden z problemów. Wiadomości i Rozrywka mogły puścić kolejny program o bezpieczeństwie, podać szanse spotkania z asteroidem lecącym z dużą szybkością, przypomnieć, że istniała taka możliwość – albo lepiej nie podnosić tej sprawy. Stowarzyszenie Pasterzy chciało tematu. To była walka o publiczność. W międzyczasie policja zajęła się wrakiem, węsząc dookoła – to było coś, z czym departament informacji publicznej całkowicie mógł sobie poradzić. Najlepiej trzymać to z dala od dzienników, tak na wszelki wypadek.

Oświadczenie pilota byłoby najlepszym rozwiązaniem. Najwyraźniej AP wpuściła już ekipę techniczną do wraku. Jeśli to była jakaś usterka mechaniczna, załatwią tym sprawę i nie będzie problemu. Jeśli będzie trzeba ustalić odpowiedzialność, dostaną oświadczenie pilota...

Ale sytuacji prawnej, która postawiłaby przed sądem Stowarzyszenie Pasterzy jako świadków, nie chciał z pewnością szef Kompanii. Na pewno nie to miał na myśli Crayton pisząc o *załatwieniu sprawy*.

* * *

Czyjaś dłoń dotknęła twarzy Dekkera, wywołując dreszcze. Nie mógł z tym nic zrobić. Nawet nie potrafił jeszcze otworzyć oczu.

– Panie Dekker, mógłby mi pan coś wyjaśnić? Jest coś, czego nie rozumiem.

Wciągnął powietrze. Jeden oddech, drugi. Odrobinę rozchylił powieki. – Tak?

– Dlaczego zegarek?

– Pilnował czasu.

– Panie Dekker.

Jaśniej i jaśniej. To znów był ten lekarz. Uczynił wysiłek by usiąść, i w efekcie znalazł się na poduszce o cały cal wyżej.

– Jak się czujemy, panie Dekker?

– Jak gówno.

– Rozmawialiśmy o zegarku.

Pisk.

– Panie Dekker, proszę mi wyjaśnić sprawę z tym zegarkiem. Dlaczego tak to pana denerwuje?

Pomyślał, że chciałby znać odpowiedź na to pytanie. Doktor stał tam przez dłuższy czas. W końcu pomyślał może ten wreszcie zechce mnie wysłuchać.

Niepewnie powiedział:

– Mieliśmy trochę urządzeń podpiętych do głównego panelu, *Way Our* był stary.

Ramię nie działało poza główną konsolą. Powinien mieć trzyosobową załogę, niektóre starsze statki były tak projektowane...

– Niech pan mówi, panie Dekker. Zegarek.

– Pracując z ramieniem nie widziało się zegara pokładowego. Pracując, bardzo łatwo można stracić poczucie czasu, a nie ufaliśmy wskaźnikom jej kombinezonu. Więc używaliśmy mojego zegarka. – Jego głos drżał. Bał się, że doktor mu przerwie, a potem, jeśli straci wątek, wstrzyknie mu środki uspokajające. I nie był pewien, czy to co mówi ma sens dla jego słuchacza.

– Alarm dało się nastawić tylko na godzinę, cholernie ciężko się go ustawiało, więc przestawiliśmy go na pierwszego stycznia. – Jaki dziś dzień?

– Piętnasty lipca, panie Dekker.

Rozważył rozplakanie się. Nie zrobił tego. Nie mógłby. Lekarz robił się niecierpliwy. Zrobił kilka głębokich oddechów, żeby się uspokoić.

– Nie róbcie mi żadnych zastrzyków. Muszę się doliczyć, jak to dawno...

– Niech się pan nie denerwuje.

Styczeń ma trzydzieści jeden dni. Luty dwadzieścia osiem. Marzec dwanaście. Siedemdziesiąt jeden.

Tam, w kosmosie. Siedemdziesiąt jeden dni. A powietrze skończyło się jej po czterech godzinach. O Boże...

– Panie Dekker.

– Marzec ma trzydzieści dni. Czy trzydzieści jeden?

– Trzydzieści jeden.

Z trzydziestu jeden odjąć dwanaście to dziewiętnaście. Dziewiętnaście dni w marcu, kwiecień...

Trzydzieści dni miały wrzesień... kwiecień, czerwiec i listopad...

Doktor poklepał go po ramieniu. Wrócił jeden z pomocników.

– Nie! – krzyknął. – Prawie się doliczyłem, cholera!

I tak zrobili mu zastrzyk.

– Uspokój się – powiedzieli – uspokój się. Nie próbuj teraz mówić.

Czterdzieści dziewięć. Znaleźli mnie dwudziestego pierwszego. Czterdzieści dziewięć i dwadzieścia jeden. Czy nie liczę dwunastego podwójnie?

Gubię się... jeszcze raz.

Ale czy mogę ufać swojej pamięci?

* * *

Wciąż byli na szóstym pokładzie, i nadal była to gra w czekanie. Codziennie Ben jechał na dół i sprawdzał listy. I za każdym razem sprawa była oznaczona „w

zawieszeniu”. Zaś *Trynidad* wciąż był zamknięty z powodu śledztwa – nie mieli możliwości go wynająć, chociaż niemal tuzin załóg zgłosił swoje oferty. Nie mogli go nawet oporządzić, a każdy dzień postoju w doku oznaczał wydawanie pieniędzy, zamiast ich zarabiania. Bird polował w sklepach na części, targując się o kilka drobnych elementów, które były im potrzebne. Ale nie miał dostępu do statku nawet na tyle, by naprawić tę cholerną suszarkę do ubrań.

– Nie pogonisz policji – powiedział Ben, próbując stawić czoła sytuacji – to nie może trwać dużo dłużej.

Sal, odzywając się między przysiadami – ćwiczyli właśnie w sali gimnastycznej:

– Myślałam, że możesz załatwić wszystko.

– Nie ten poziom kontaktów – odpowiedział, denerwując samego siebie. –

Naciskanie bezpieczeństwa byłoby upraszaniem się o dokładniejsze śledztwo.

– Do diabła – powiedział Bird, wycierając twarz z potu po ćwiczeniach – mogliby coś wreszcie zdecydować. Moje serce nie zniesie już zbyt wiele tego dobrobytu.

Meg nie powiedziała nic oprócz:

– Spokojnie, Bird.

– Nie, do diabła, po prostu nie odpowiadaj – powiedział Payne. – Powiedz Salvatore... nie, nic nie mów, sam z nim porozmawiam.

Koszmary dzień. Załoga tendra i załoga pasterzy pokłóciły się w barze, był ranny przechodzień, a teraz to...

Jakiś urzędnik w RI odesłał pocztę tej Salazar, z adnotacją „Zmarła, zwrócić nadawcy”, a wzmiankowany nadawca, matka Salazar sięgnęła po telefon żądając informacji o córce. Operator w ASCOM, nie wiedząc o niczym połączył ją z personalnym. Zmieszany urzędnik, który odebrał telefon nie mógł znaleźć pliku Salazar i upierał się wobec rozwścieczonej matki, że nie ma takiej osoby. W tym czasie jego szef usiłował uzyskać wykładnię polityki z poziomów administracyjnych RI. Po czym zorientował się, że sprawa przerasta jego kompetencje i próbował przepchnąć ją na wyższy poziom, w efekcie czego połączenie odbijało się od departamentu do departamentu, aż sekretarka w dziale prawnym ustawiła połączenie na oczekujące i kobieta rozłączyła się.

Na miłość boską, matka Salazar siedziała w Radzie Korporacji Marsjańskiej. Nikt mu o tym nie powiedział. Nikt nie powiedział Towneyowi. Nikt nawet nie zasugerował, że martwy górnik może być problemem...

Kolejny telefon Alice Salazar trafił na biurko prezesa. Nie Towneya, w ASTEKSIE, tylko Hansforda, w kwaterze głównej Kompanii Ziemskiej na Stacji Sol. Hansford zadzwonił do Towneya, Towney musiał wypuścić plik ze sprawozdaniem, a biuro Hansforda miało przekazać szczegóły Kompanii Marsjańskiej.

Alice Salazar odkryła, że Dekker żyje i natychmiast oświadczyła, że to z pewnością nie był wypadek. Ten łajdak uwiódł jej córkę, porwał ją w Pas i zabił dla pieniędzy.

Których okazała się być spora sumka, przed odliczeniem kosztów. Była też wiążąca klauzula przeżywającego współnika...

A Alice Salazar była wściekła, cholernie wściekła... i teraz jej prawnicy rozmawiali z prawnikami Kompanii, przy bardzo wysokich kosztach połączeń.

– Pan Crayton na linii – powiedziała sekretarka Payne’a.

Boże...

– Panie Crayton...

– Dostał pan list? – przerwał Crayton.

– Tak, mam go przed sobą.

– Jeden poszedł do bezpieczeństwa.

O Boże...

– Przepraszam sir, ja z pewnością nie...

– Nie z pańskiego biura. Od pani Salazar. Ona chce głowy tego chłopca. Rozumie pan implikacje? Potrzebujemy uporządkowania tego bałaganu. Nie chcemy sprawy w sądzie. Chcę, żeby pan to naprawił, wyprostował fakty. Musimy mieć na to odpowiedź.

* * *

Wciąż brak zwolnienia od policji. Aż pewnego popołudnia w Bell, gdy Ben siedział w barze czytając jakieś podręczniki, na krzesło naprzeciw wsunęła się Meg i kładąc ręce na stole powiedziała:

– Benje, *cher*, chodź, porozmawiamy.

W pierwszej chwili pomyślał, że Meg jest po prostu znudzona, bowiem Birda praktycznie nie było przez ostatnie kilka dni. Nie był całkiem zaskoczony, kiedy w jej pokoju trafili do łóżka, pośrodku zmiany. Nie był to pierwszy raz dla niego i Meg, ale wciąż było to niezwykle, nawet pomimo pewności, że Bird nie miałby o to pretensji. Podniecała go jej częściowo wygolona skóra. Końce włosów na czubie i plecach były o kilka tonów jaśniejsze niż reszta i ponad wszelką wątpliwość był to ich właściwy kolor. Miała też jakieś stworzenie wytatuowane na nodze – Sal powiedziała mu kiedyś, że to wąż. Bird wyjaśnił mu jaki to rodzaj i że jego ugryzienie sprawiało, że po trzech minutach człowiek był martwy. Pomyślał, że to nieźle pasuje do Meg, jeśli ktoś znalazł się po niewłaściwej stronie barykady.

Ale nie był po niewłaściwej stronie. Domyślił się też, że Meg miała własne, ukryte motywy. I chociaż nie była typem kobiety, która odpycha mężczyznę podczas

gdy ten ma problemy – przysięgłby, że nie może nic zrobić zanim ona nie wyjaśni mu co się dzieje. Meg dowiodła jednak, że się mylił. Miała go całkowicie, zanim zaczęła mu zadawać pytania o statek, Dekkera, o to jak Bird martwi się i niepokoi...

– Bird jest poważnie zaniepokojony – powiedziała Meg. – Myślisz, że jest szansa na ten statek? Bo jeśli nie, musisz z nim porozmawiać.

– Dekker stracił rozum. Bez wątpienia. Mamy realną szansę z tym statkiem, bardzo dużą szansę.

– Bird mówi, że dostać coś możesz tylko w sądzie. Mówi, że nie wygrasz. Że to wszystko strata czasu. Ale nie zachowuje się jakby myślał inaczej... Czy jest coś, z czym może wyskoczyć Kompania? To znaczy, czy nie przekroczyliście tam poważnie przepisów...

A więc to martwiło Meg. Ona i Sal już teraz powinny szukać statku do wynajęcia na następny kurs, jeśli nie wypali sprawa ze statkiem Dekkera. Meg i Sal nie angażowały się nigdzie indziej, zrozumiał to nagle i nadszedł czas na podjęcie decyzji.

– Nie będzie żadnego sądu. Obiecuję. Wiesz, jaki jest problem Birda? Jest przerażony, że zarobi pieniądze. Za każdym razem, kiedy do niego o tym mówię – po prostu patrzy w inną stronę. Gdybym nie zajął się zgłoszeniem roszczenia do tego statku, myślisz że zrobiłby cokolwiek? Do diabła, nie. Poczekaliby, aż zaadaptuje się do ciężenia, po czym stwierdziłby, że cóż, jest już za późno, są inni w kolejce. Może ty mi powiesz, co się dzieje w jego głowie? Ja nie mam pojęcia.

– Ziemianin.

– Więc? – Jedna z wersji historii Meg głosiła, że ona też urodziła się na Ziemi. Ale dzisiaj wyraźnie nie przyznawała się do tego. – Czy oni wszyscy są tacy? To coś w wodzie?

– Bird dorastał biedny.

– A ja dorastałem jako sierota. I jaki to ma związek z czymkolwiek?

– To u niego odruch: jeśli ma wystarczająco forsę na przeżycie – to mu wystarcza. Niczego więcej nie chce od życia, nie chce być bogaty. Po prostu chce mieć minimum.

To nie miało sensu, a w każdym razie nie jako przyczyna zachowania Birda. Potrzymał tę myśl przez chwilę, obrócił ją, obejrzał od spodu i zdecydował, że nie rozumie.

– Cóż, to nie jest dla mnie satysfakcjonujące wyjaśnienie. Jego minimum to dla mnie za mało.

Meg westchnęła.

– Ja nawet nie wiem, ile wynosi to minimum.

– To kurewsko zmniejszone racje – powiedział. – Do tego sprowadza się Birdowe

„dość”. A to człowieka nie nakarmi, kiedy odmówią pracy nogi i plecy. Nie zapewni ubezpieczenia.

– Ubezpieczenie – zaśmiała się Meg. – Boże, *jeune fils*...

– To konieczność, do cholery! Zapytaj mnie gdzie bym był, gdyby nie miała go moja mama.

– No cóż, dobra – zmieniła temat. – Ona była pilotem Kompanii, prawda?

– Technikiem. – Przetoczył się na drugą stronę. Nie lubił rozmawiać o ludziach, którzy nie wrócili. Oni się nie liczyli. Ale ich przykład tak.

– Niczego bez niego nie dostaniesz, gdyby coś się stało. Ubezpieczenie, moje kompanijne szkolenie, Bird wiedzący komu wynająć sta...

– Na przykład nam?

A więc o to chodziło. Meg przypatrywała mu się z podbródkiem wspartym na dłoniach, stawiając go pod ścianą bez wsparcia ze strony Birda. Nie chciał poróżnić się z Meg i Sal – zwłaszcza z Sal. Nie należały może do najlepszych górników w Pasie, ale miały inne zalety, nie tylko łózkowe. Wciąż zadawał sobie pytanie, czy zachowuje się rozsądnie wdając się z nimi w zażyłą komitywę, ale może i byli lepsi górnicy od nich, za to niewielu dotrzymywało zawartych umów.

Cierpiało na tę przypadłość również kilku znajomych Birda.

– Przypuśćmy – odezwała się Meg – że porozmawiałbyś z Birdem i wyjaśnił mu, że jesteśmy dobrym wyborem. Mogłybyśmy zapracować na swój udział.

Nie codziennie ktoś tak twardy i przezorny jak Meg chciał coś od niego – bardzo poważnie czegoś chciał. Podliczył, jakie mogą być długi, jaka odpłata. Jeśli chciało się mieć długą karierę w wynajmowaniu statków, trzeba mieć parę zaufanych wspólników znajdujących się na rachunkach. Zwłaszcza Sal miała perspektywy – jeśli potrafiłaby zapanować nad swoim temperamentem i pozbyć się swojej pozy „tumiwisizmu”. Sal miała jednak użyteczne kontakty. Podczas gdy Meg...

Odezwał się po, jak miał nadzieję, niezbyt długiej przerwie:

– Mogę z nim porozmawiać. Od czego ma się przyjaciół?

– Obudź się – ktoś potrząsnął go za ramię. – Wstawaj, Dekker, wyjdź z tego.

Tym razem nie chciał wracać. Więcej białych fartuchów. Widział to przez półprzymknięte oczy. Ale zobaczył też ciemną zieleń i błysk srebra. To nie pasowało.

Lekkie uderzenie w twarz.

– Obudź się, Dekker. Już lepiej. Chcesz soku pomarańczowego?

To nie był sok pomarańczowy, to kuzyn tego cholernego Citrisalu. Ale miał sucho w ustach, więc kiedy wsadzili mu słomkę w wargi i unieśli oparcie łóżka, pociągnął łyk. Wyglądało na to, że panuje teraz wyższe ciążenie. Pomyślał, że to inne miejsce.

– Jak się pan czuje? – głos lekarza.

Nieoczekiwanie zobaczył kompanijnych policjantów, uświadamiając sobie znaczenie uniformu.

– Paul Dekker? – odezwał się policjant. – Chcemy panu zadać kilka pytań.

Znów usłyszał ten pisk. To on. Gliny słuchały bicia jego serca, przerażonego i gwałtownego.

– Znaleźliście ją? – zapytał. Gliny zawsze przychodziły ze złymi wieściami. Nie chciał usłyszeć tego, co mieli mu do powiedzenia.

Ale jeden z nich usiadł na brzegu łóżka, po czym zapytał:

– Co zrobiłeś z ciałem?

– Czym ciałem? – przez chwilę kompletnie nie miał pojęcia o czym mówią, a monitor pozostał cichy. Zaraz jednak jego puls przyspieszył. – Czym ciałem?

– Twojej partnerki.

Piski stały się histeryczne. Ściągnął ich tempo w dół, odpowiadając spokojnie:

– Nie mogłem jej znaleźć. Trafili nas. Nie mogłem jej potem znaleźć.

– Panie Dekker, proszę z nas nie robić idiotów. Jesteśmy z panem szczerzy, niech pan będzie szczerzy z nami.

– Ten statek na nas wleciał...

– ...i nie było go na mapach. Panie Dekker, niech pan da spokój. Obaj wiemy, że miał pan motyw. Dziewczyna z college'u dociera tutaj z oszczędnościami całego życia i spotyka pana – brak stałej pracy, ani grosza przy duszy. Jak się pan tu dostał? Jak opłacił przelot?

– Cory i ja byliśmy przyjaciółmi. Z dawnych czasów.

– A więc to ona dała współudział, ona nalegała, żeby statek był własnością wspólną, z przekazaniem na wypadek śmierci...

– Nie.

– Czy to był pański pomysł?

– Nie wiem o czym pan mówi.

– Podpisał pan to. Mamy pański podpis dokładnie na końcu dokumentu.

– Nie czytałem tego. Cory powiedziała „podpisz”, więc podpisałem!

Oficer sięgnął po swój notatnik. Wcisnął kilka klawiszy.

– Mamy tu raport z pańskiego portu macierzystego, od niejakiej Natalii R. Frye, że pan i pani Salazar kłóciliście się o pieniądze w tygodniu poprzedzającym wylot...

– Niech mnie piekło, jeśli rzeczywiście!

– Cytat: „Cory była wściekła z powodu rachunku za jakąś kurtkę, czy coś takiego...”

– Kupiłem kurtkę. Ona uważała, że przeplącałem. Cory nosiła ubrania aż do ich rozpadnięcia...

– A więc kłóciliście się o pieniądze.

– O kurtkę. O cholerną kurtkę za trzydzieści osiem dolarów. Kłóciliśmy się, w porządku, ale chyba wszyscy się kłóca.

– Pani Frye powiedziała też: „Cory sypiała z innymi. Dekowi to się nie podobało”.

– Pieprzyć Natalię! Nie była naszą przyjaciółką. Cory nawet by na nią nie napluła.

– Czy pani Salazar sypiała z innymi?

– Spała z kim chciała. Ja też, i co z tego?

– Cóż, nikogo by to nie obchodziło, gdyby wróciła.

Tempo pisków wzrosło, nie z szoku – nawet idiota domyśliłby się dokąd wiodły te pytania. Zaczął się trząść z wściekłości, ale gdyby rzucił się na tego drania zaraz wstrzyknęliby mu środki uspokajające.

– Cory zginęła w przestrzeni – powiedział. – Uderzył nas statek...

– Panie Dekker, nie było drugiego statku w tym sektorze.

– To kłamstwo. To cholerne kłamstwo. – Rozpaczliwie sięgnął do rzeczy, którym nie mogli zaprzeczyć. Bird potwierdzi, że on tam był. Ben też. Rozmawialiśmy o tym. To był pchacz, nic innego i nie było go na moich mapach...

Oficer odezwał się, śmiertelnie spokojny:

– Bird i Ben?

– Faceci, którzy mnie wyciągnęli! – Wystraszył się, że powiedzą mu, iż to również nie miało miejsca. Ale ktoś go wyciągnął.

– Wywoływałem sukinsyna, mówiłem mu, że jesteśmy na jego kursie, krzyczałem, że moja partnerka jest na zewnątrz...

– Jest pan pewien, że skała nie blokowała waszego sygnału?

– Nie! Jestem pewien! Miałem go na radarze. Dlaczego u diabła on mnie nie widział?

– Nie wiemy, panie Dekker. Po prostu pytamy. A więc widział pan, że się zbliża. Wezwał pan swoją partnerkę?

Doprowadzali go do szału zmieniając reguły. Nagle mu wierzyli. Chwilami się gubił.

– Czy nie powiedział pan, że uderzyliście w skałę? Czy nie tak brzmiała pańska wersja wydarzeń wcześniej?

Czuł się zagubiony i chory, a leki mu nie pomagały. Częstotliwość pisków wzrosła. Nie był pewien, czy to jego serce czy coś z komunikatorem.

– A więc kiedy wymyślił pan tego pchacza, panie Dekker?

– On tam był.

– Oczywiście, że tam był – powiedział oficer – miał go pan na mapach. Pański dziennik pokładowy go pokazał. Jak moglibyśmy w to wątpić?

Był kompletnie zagubiony. Zasłonił uszy dłońmi próbując dojść czy alarm, który słyszy dobiega z głośników, czy z wnętrza jego głowy.

– Wywołajcie tego pchacza, na miłość boską! Zapytajcie, czy podnieśli Cory.

– Czy pan go wzywał?

– Tak, do cholery, wzywałem, wzywałem, ale on nie odpowiadał. Może rozwaliło mi antenę. Nie wiem. Wzywałem pomocy. Czy ktoś to słyszał?

– Usłyszał pana statek, który pana wyciągnął.

– Inny. – Był zmęczony. Chciał objaśniać systemy komunikacyjne i lokalizatory awaryjne kompanijnym gliniarzom. – Wywołajcie tego pchacza.

– Jeśli tam jest jakiś pchacz – powiedział gliniarz zapytamy. Ale jeśli uratowali pańską partnerkę, czy nie powiadomiliby bazy? Czy nie sądzi pan, że poinformowaliby nas o tym?

Zastanawiał się nad odpowiedzią. Myślał o sposobie, w jaki ten statek zignorował jego ostrzeżenia. O braku odpowiedzi na sygnały. Pomyślał – to nie godziny minęły od tamtego zdarzenia, to już miesiące.

Znów włączył się alarm. Chciał się uspokoić, bo jeśli tego nie zrobi w określonym czasie, dadzą mu środek uspokajający, a on chciał być przytomny dla policji.

– Nie wiem, czy mnie słyszeli. Skontaktujcie się z nim.

– Zamierzamy skontaktować się z wieloma ludźmi panie Dekker – gliniarz podniósł się z jego łóżka. – Będziemy się rozpytywać.

Podeszli do drzwi, a lekarz z nimi. Leżał tam, usiłując zachować spokój. Pamiętał Birda i Bena. Był prawie pewien, że dotarł tu na ich statku. Ale chwilami bał się, że Cory mogła nigdy nie istnieć. Że był tu od zawsze. I to było dopiero szaleństwo.

Rozdział 7

Jeśli ósmy pokład był szary i w pełni zautomatyzowany, to na szóstym były zielone ściany i kilka sklepów oraz restauracji z ludzką obsługą. Ale czas i tak się im dłużył. Ćwiczyli w salach odnowy, odwiedzali sklepy aż poznali na pamięć ich zawartość i skakali w dół na trzeci pokład, a czasem nawet na drugi, na godzinę – dotąd aż kolana odmawiały posłuszeństwa, a serce protestowało. Pierwsze kilka tygodni po powrocie z trasy było przeważnie beczynne. Nie miało się ochoty dłużej pracować. Wydawało się, że człowiek ma energię, a potem nagle się okazało, że jednak nie. Pozostawała beczyność, rozmowy, wypełniało się czas gramami wideo i karcianymi, a jeśli odzyskało się zdolność chodzenia, okazyjnie rozstrzygało spory grając w piłkę czy kibicowało jednej z drużyn podczas rozgrywek Kompanii na trzecim poziomie. Ale głównie ćwiczyło się, aż do utraty sił, nawet jeśli wiązało się to z owijaniem kolan bandażami i łykaniem tabletek – i to właśnie robił Bird, bo młodszy chcieli jak najszybciej zejść na dół, do czasu ciężenia który się liczył, w dół do neonów piekładu. Do 0,9 g drugiego pokładu, które było normalnym ciężeniem dla próżniowców – a dokładniej do „Black Hole”, miejsca w którym najbardziej lubili przebywać. I kiedy tylko Mike Arezzo zadzwonił i powiedział, że ma dwa wolne pokoje obok siebie, wrzucili swoje rzeczy do toreb i wynieśli się.

Meldowanie się w „Hole” było jak powrót do domu stare znajomości, stały przepływ znajomych twarzy. Mike, który był właścicielem baru, utrzymywał rozsądny poziom hałasu i nie pozwalał na walki, noże i nielegalne substancje. Wszyscy się zgadzali, że to spokojne miejsce. Piekład mógł podupać od czasów swojej świetności. Koszary robotnicze ograniczyły jego wielkość mniej więcej do pasa półtorakilometrowej długości, nie licząc modnych miejsc odwiedzanych przez urzędników. Ale w „Hole” nie było żadnych urzędników jedzących kolację, nawet robotników z fabryki, którzy wpadliby na piwo. „Hole” była terytorium pracujących w nieważkości: mały dokowe, ładowacze, załogi ciągników i tendrów, wolni strzelcy, załogi konstrukcyjne ze stoczni i okazjonalnie pasterz. Inni też tu zaglądali – ale nie zostawali długo: nastrój robił się odrobinę chłodniejszy, głowy się odwracały i opadał poziom szumu.

Inaczej się działo, kiedy wracała zbłąkana owieczka.

– Hej, Bird! – zawołał Alvarez, kiedy weszli i wszystkie głowy obróciły się w ich stronę. Mężczyźni robili pikantne uwagi i gwizdali na Meg, która podeszła do baru i powitała barmana:

– Cześć Mike.

Mike przewidział dokładnie ich zapotrzebowanie:

– Wódka, bourbon, wódka z cytryną, gin z bąbelkami... – a wyliczając stawiał

równocześnie drinki na blacie.

Z pewnością byli z powrotem w domu. Najbliżej jak się dało.

– Jak leci – zapytał Mike. – Perky mówił, że odebraliście sygnał awaryjny.

Wyciągnęliście jakiegoś faceta.

– Tak. Młody dzieciak, jego partner zginął. Prawdziwy wstyd.

Alvarez zapytał:

– A o co chodzi z *Trynidadem* zdjętym z listy? Gliny go zatrzymały?

To była kolejna rzecz, o którą łatwo na piekądzie – plotki.

– Nie nasza wina – szybko odezwał się Ben. – Ale Mamuška ma swoje przepisy.

Skontaktujesz się ze statkiem zza granicy...

– Zza granicy...

Niektóre części opowieści zostawiało się na później, dla większego efektu. Byli warci drinków, może kolacji.

– Czekaj – przerwał mu Alvarez. – Mamud i Lal siedzą w „Pacific”, zadzwonię tam. Zaczekaj na nich.

* * *

„Masz tu uziemionego ptaszka” – Bird używał tego żartu, kiedy przychodziło do chodzenia w 0,9 g: o ile nieważkość była trudna dla ciała, to chodzenie po piekądzie przyprawiało o frustrację – dotarcie gdziekolwiek zajmowało mnóstwo czasu, a kolejka zawsze była zapchana. Plusem było to, że nie uciekało jedzenie i picie. Ale z początku zawsze miało się wrażenie, że jest się nagim – człowiek tak się przyzwyczajał do poruszania w stymbinezonie, którego elastyczność utrudniała każdy ruch, że bez niego ciągle trzeba było sprawdzać, czy na pewno jest się ubranym. Podczas chodzenia czuło się powietrze owiewające skórę. Jak poznać próżniowca w eleganckiej restauracji? To łatwe. To ten dureń, który porusza łyżką tylko po to, żeby popatrzeć, jak nie ulatuje w powietrze. Albo ten, który puszcza coś w powietrzu i wygląda głupio, gdy mu to spadnie na pokład.

Był też tym biednym draniem w kolejce do banku, sprawdzającym swoje konto, żeby przekonać się, czy Oznaczenia i Operacje Górnicze wrzuciły jakąś dolę na jego konto. Lub, jak w jego przypadku – na dole w biurze bezpieczeństwa, by sprawdzić czy wyjaśniono sprawę i jakiś cholerny urzędnik był wreszcie uprzejmy zwolnić ich statek.

Nie.

Wciąż nie.

Na miłość boską, dwudziesty ósmy lipca, a gliny nie zakończyły swoich poszukiwań. A kiedy zdecydował się zatrzymać przy banku i sprawdzić stan konta,

by przekonać się czy nadeszły już rachunki z szóstego pokładu okazało się, że mają duży debet.

Ruszył w długą, powolną drogę do biur rozszczeń, aby stanąć w kolejce w nędznie urządzonej pomieszczeniu i dowiedzieć się, jak wygląda stan zgłoszeń dokonanych przez *Trynidad* i jego znaczników. Ben ubrał elegancki strój i zniknął za horyzontem przywitać się ze znajomymi z oznaczeń, którzy mogli przyspieszyć analizy i miał głęboką nadzieję, że to nie zadziała odwrotnie.

– Dwa dwadzieścia dziewięć Tango – powiedział urzędnikowi, który odparł:

– *Trynidad*, tak, Bird i Pollard, zgadza się?

– Zgadza się.

Urzędnik wcisnął kilka klawiszy.

– Nie chciałbym tego mówić...

– Proszę mi nie mówić, że macie SS. Nie chce mi pan tego powiedzieć.

– Oczywiście. Podam panu numer.

– Mam swoją listę – odparł, wyłowił kartę z kieszeni i wcisnął ją do czytnika na kontuarze.

– To numer T-29890.

– Cholera! – wyrwało mu się i zaraz zagryzł wargi. Starał się nie przeklinać w obecności życzliwych urzędników. Ale to był ich drugi najlepszy znacznik, jak na obecne czasy całkiem duża skała. Żelazo. I był z nią ostrożny. Przeczesał ręką włosy i odezwał się:

– Przepraszam. Ale strata jest bolesna.

– Może jutro będą lepsze wieści. Kamienie wracają.

– Jasne – powiedział. – Dzięki.

A więc stracili znacznik. Zdarzało się. Znalazło się skałę, pobierało próbki i robiło pobieżną analizę, a jeśli wyniki były dobre i mogły się spodobać Mamuśce, wywoływało się ją i mówiło, że ma się potencjalną pracę dla pchacza. Dostawało się dużą nagrodę jeśli drugi, dokładny raport z oznaczeń potwierdził wstępne wyniki. I wypłacano pewną miesięczną stawkę tylko za to, że skała została umieszczona na mapach. Ale nie dostawało się procentu od zawartości minerałów do czasu, aż jakiś pchacz nie wysłał jej w kawałkach, Pasterze wyłapali, a rafineria nie zgłosiła, że naprawdę go ma. Dalej wszystko działało się według harmonogramu firmy, górnikom pozostawało czekanie.

A kiedy miało się Stratę Sygnału ze znacznika, znaczyło to, że Mamuśka musi zatrzymać dane, ponownie go wyszukać, oznaczyć i nadać temu priorytet, albo zostawić do następnego okrążenia. To była paskudna robota, której Mamuśka nie lubiła, a tymczasem tylko znacznik pozostający na miejscu był tym, za który dostawało się nagrodę. I mogło się zdarzyć, że jak osobiście nie dopilnowało się

liczb, a oznaczony kamień zmienił orbitę, co się zdarzało, to traciło się wszystko – chociaż pozostawała jeszcze możliwość walki o niego w sądzie roszczeń.

No cóż, ten kamień był zbyt dobry, by pozwolić mu uciec albo zostawić przypadkowi. Może odrobina pracy na komputerze pozwoli go znaleźć. Istniała niewielka szansa, że został po prostu przesłonięty przez coś, czego też nie było na mapach – Strata Sygnału dawała czasem Odzyskom kolejne znalezisko, a w takim wypadku zasługa przypadała właścicielowi znacznika. Zdarzało się tak kiedyś. Ale zazwyczaj kamień, ze zwykłą dla nich perwersją, obracał się niewłaściwą stroną i ustawiał tak, że transmiter był skierowany na te trzy procent kosmosu, którego nie pokrywały odbiorniki Mamuśki. Albo padał nadajnik – one też nie działały wiecznie, zwłaszcza te śmieci, które sprzedawali obecnie.

Więc kolejna wyprawa do Odzysków i konieczność zapłacenia kilku kolejnych kredytów technikowi za wyciągnięcie pliku i próbę wyznaczenia prawdopodobnej pozycji oraz usiłowanie nawiązania kontaktu z nadajnikiem, zanim przejdą do innych procedur. A w międzyczasie bank nie wypłaci pieniędzy za coś, czego Mamuśka nie przyjęła. I to było przyczyną, że obecnie wyciągało się pieniądze z banku najszybciej jak się dało, każdy cholerny grosz.

„Dziwnie ukształtowana skała” napisał na formularzu i wysłał dane do bazy Mamuśki. Plus zdjęcia i spektrogram masy. I raport z Oznaczeń o pobranych przez nich próbkach.

Urzędnik z Odzysków odebrał raport, przejrzał go i uniósł brwi.

– Szczegółowy. Ułatwia pracę. Możemy mieć naprawdę sporą szansę na obudzenie tego maleństwa. Albo naprowadzenia na niego pchacza, zanim wyjdzie z zasięgu. Naprawdę ładny kawałek.

To poprawiło mu nastrój. Opłacało się sprawiać, żeby ludzie w Odzyskach byli zadowoleni, bo dzięki temu mogli się odrobinę bardziej przyłożyć do pracy i trochę ją przyspieszyć. Nie jak ci faceci, którzy pobierają tylko jedną próbkę, i to z jedyne go dobrego miejsca na całym kamieniu.

Wielu nowych górników oszukiwało w ten sposób naciągnęli Mamuśkę na mnóstwo drogich znaczników na śmieciach, odbierali nagrody, po czym czyścili konto kupując lepszy sprzęt. Bardzo niewielu podejmowało ryzyko i z miejsca weryfikowało próbki. A czasem się to opłacało – niedbała praca, która szła w parze z tego typu zadaniami prędzej czy później owocowała naganami i karami. Niejedna załoga wróciła do bazy z trasy, by przekonać się, że jej konto zostało oczyszczone podczas ich nieobecności – Mamuśka już nie prosiła o wypisanie czeku. Zgodnie z Nowym Porządkiem po prostu zabierała wypłacone wcześniej pieniądze i można było się procesować, jeśli uważało się, że oszukiwała. Jeśli oczywiście miało się za co wynająć od Kompanii prawników.

I nie było sensu tłumaczyć się, że to pchacze zaniżyły masę, którą wysłały. I nie kłóciło się z rafinerią, że oszukała na zawartości procentowej minerałów.

Kapitanowie pchaczy i szefowie rafinerii nigdy, przenigdy nie robili takich rzeczy.

Ale opłacało się uzyskać reputację osoby drobiazgowej i dokładnej, pobierającej wiele próbek, posiadanie czystych akt i taka praca, by pchacze i załogi pomocnicze wiedziały, że po jego znaczki warto się wybrać. Znać oznaczoną masę.

Sfotografować ze wszystkich stron, również po umieszczeniu znaczka. I przede wszystkim znać zawartość – skały były indywidualnościami, zdolnymi niemal same zaświadczyć w sądzie, kim byli ich rodzice.

Zaden podbieracz nie lubił się kręcić koło jego roszczeń, o nie – bo Morris Bird był w dobrych stosunkach z niemal całym piekładem, a kiedy miał odrobinę w czubie lubił opowiadać, w jaki sposób trzymał wypadki z dala od swoich skał, i jaki był podejrzliwy, gdy któryś jego znaczek zamilkł.

Znalazło się paru dość nieprzyjemnych gości, by wypomnieć mu, że sypianie z dwójką dziewczyn, które najprawdopodobniej podbierały, mogło mu zaszkodzić. Ale zawsze wstawiał się za Meg i Sal.

Myślenie o tym sprawiało mu przyjemność...

Sprawiło, że roześmiał się myśląc, że prawdopodobnie zrobił więcej by zreformować Meg Kady, niż wszyscy ewangelicy i Zreformowani Islamiści, którzy rozdawali swoje ulotki na piekładzie.

Z drugiej strony, pomyślał, zreformowanie Sal było zupełnie inną sprawą.

* * *

Na piekładzie można było spotkać pełne spektrum ludzkie, ale nie chodziło się po nim w garniturze, jeśli nie chciało się być wyśmianym w „Hole”. Dlatego Ben zostawił go w szafce, którą trzymał na trzecim pokładzie, założył swoje codzienne ubranie i buty, po czym bezpiecznie mógł wrócić do domu.

Zmiana ubrania, zmiana stylu – Ben Pollard mógł iść na R2 gdziekolwiek chciał i nikt te uznałby go za kogoś nie na miejscu.

Ale faktem było, że najbardziej lubił przebywać na piekładzie – zanurzony w ogłuszającym hałasie i światłach neonów. Jak każdy urzędnik z firmy był przerażony, kiedy pierwszy raz go zobaczył, mając czternaście lat, nawet pomimo tego, że jego matka tu należała. Ale już w tym wieku wiedział, że nigdy nie będzie dysponował dźwignią, by wydostać się poza niższą kadre Kompanii. Nauczył się, jak to naprawdę działało: reklamowy ideał, którego nauczała Kompania mówił, że pochodzenie klasowe nie ma znaczenia. Ale zabawna rzecz – dzieciaki bez pieniędzy kończyły tak jak Marcie Hager, na średnich kondygnacjach, gdzie miało się drobne

przywileje, ale nigdy dużych pieniędzy. I nigdy nie awansowało się wyżej, a zdolności czy oceny z instytutu miały z tym cholernie mało wspólnego. Z drugiej strony, syn prezesa Towneya był najgłupszym z tych, którzy kiedykolwiek opuścili instytut – ale umieścili go na stanowisku wiceprezesa w instalacji odzysku metanu... podczas gdy Ben Pollard, dzieciak pasterzy, otrzymał wykształcenie w pilotażu (nie radził sobie z tym szczególnie dobrze) i geologii (w której był dobry) i specjalizację z matematyki. Ale nie mógł dostać się do administracji, a w każdym razie nie na intratne stanowisko. Te trafiały się krewnym szefów. I typom karierowiczów, którzy zapłacili komu trzeba, albo zrobili to ich rodzice, albo którzy dostali certyfikat kompanijnego konformizmu.

Do diabła z tym. Wykonał kilka tanecznych kroków na drodze z biura oznaczeń, a na piekądzie nikogo nie dziwiła odrobina radości – jeśli człowiek był szczęśliwy, to widocznie miał powód, a w społeczeństwie żyjącym ze szczęścia każdy chciał się o kogoś takiego otrzeć, bo zawsze istniała szansa, że jemu też się to udzieli.

W dobry nastrój wprawiła go trzymana w kieszeni karta, która poświadczała, że mieli kilka niezłych kawałków skał i że pieniądze z całą pewnością pójdą do banku. Oznaczało się kawałki, co do których nie było żadnej pewności kiedy jakiś pchacz się nimi zainteresuje, ale to co mieli teraz w portfelu to pieniądze, i to całkiem sporo.

Świetnie!

– Gdzie Meg i Sal? – zapytał Mike’a przy barze, kiedy dotarł do „Hole” – wiedział, gdzie najprawdopodobniej był Bird – przez ostatni tydzień siedział tam zawsze o tej porze dnia.

Mike odpowiedział:

– Nie ma ich, ale były gliny.

Przez chwilę wpatrywał się w Mike’a. Nie potrafił się tak nagle przestawić.

– Gliny?

– Nie mieli mundurów, ale mieli blachy. Jest coś o czym powinienem wiedzieć?

Westchnął, ale cóż, w razie kłopotów dobrze było mieć świadków po swojej stronie.

– W porządku Mike. Ten facet, którego uratowaliśmy w Pasie. Zgłosiliśmy roszczenie do jego statku. On był właścicielem, jedyny który przeżył. Facet zwariował. Bóg wie, co im naopowiadał. Policja prawdopodobnie nas sprawdza, żeby się upewnić, że jesteśmy czyści.

Po tym co usłyszał, Mike zrobił się odrobinę bardziej przyjazny.

I zainteresowany.

– Roszczenie do statku?

Stuknął kluczem w bar.

– Raczej bardzo długa historia. Ale to zatailiśmy. Tobie ufamy. Pozwól, że pójde

i to sprawdzę.

Wrócił do wyjścia i przez hol udał się do korytarza z pokojami sypialnymi, po czym otworzył pokój, który zajmował (przynajmniej według księgi meldunkowej) z Birdem.

– Cholera! – taka była jego pierwsza reakcja.

Nie, żeby mieli zbyt wiele do rozwalenia, ale gdyby weszli tu złodzieje, zostawiliby pewnie po sobie mniejszy bałagan. Minęły ledwie cztery dni po tym jak wydostali swoje rzeczy z rąk policji, a teraz wszystko co posiadali leżało wywalone na podłodze, szafki otwarte, bielizna porozrzucana po łóżkach. I duża samoprzylepna kartka na lustrze z napisem: „To pomieszczenie zostało przeszukane w poszukiwaniu przemytu przez Bezpieczeństwo ASTEXU, działające z upoważnieniem. Proszę sprawdzić, czy niczego nie brakuje i zgłosić wszelkie brakujące lub uszkodzone przedmioty czy niezabezpieczone drzwi do rzecznika Wydziału Bezpieczeństwa ASTEXU pod numer...”

Ściągnął nalepkę z lustra. Papier grubszy niż chusteczka był wart swojej masy w złocie. Dosłownie. Można go było złożyć i zapisać jakieś ważne, tajne wiadomości na brzegach, oczywiście jeśli miało się ołówek, co było równie trudne do zdobycia, jak papier.

Cholera!

Otworzył boczne drzwi prowadzące do pokoju Sal i Meg – technicznie była to czwórka. Taki sam bałagan, tylko jeszcze większy. Meg i Sal miały więcej ubrań.

Meg i Sal będą chciały ich zabić. To była jedyna myśl, która przychodziła mu do głowy. I wściekłość – poczucie naruszenia prywatności, które sprawiało że tracił oddech i miał ochotę coś zniszczyć.

Czego oni u diabła szukali? Czegoś z tamtego statku? Karty danych?

Dopadła go nagła, zimna myśl na temat map. Ale miał tę kartę danych w kieszeni, gdzie zawsze ją nosił. Poklepał się po kieszeni, żeby się upewnić.

Szlag!

Wyskoczył z pokoju, zamknął drzwi i poszedł przez hol do baru, do Mike’a, który zapytał go:

– Coś nie tak?

– Nic o czym bym wiedział. Wrócę za chwilę – wyszedł i wsiadł do najbliższej kolejki na trzeci poziom.

Przez całą drogę w górę i marsz do szafki miał to okropne, zimne uczucie. Trzęsły mu się ręce, kiedy używał osobistej karty do otwarcia drzwi szafki. Dotarło do niego nagle, że gdziekolwiek użyje tej karty może zostać wyśledzony. Tak jak w instytucie. Nie mają niczego czego mogliby...

Otworzył drzwi, pomacał kieszeń marynarki...

Karta z mapami była na miejscu. Był tak podniecony raportem z oznaczeń, że zapomniał ją przełożyć przy zmianie ubrania.

Ale, na Boga, gdzie ona będzie teraz bezpieczna?

W pokoju, który już przeszukali?

A może tego właśnie się po nim spodziewają. I możliwe, że szukali określonych rzeczy, ale jeśli znajdą coś nielegalnego...

Szlag!

* * *

Dekker na chwilę rozchylił powieki słysząc kogoś w pokoju i zobaczył, że to lekarz pochyla się nad nim. Oszołomienie wywołane lekami opadło do poziomu lekkiego szmeru.

– Cholerny najwyższy czas – powiedział.

Lekarz podniósł jego powiekę i poświecił latarką, przyglądając się. – Mmm – wydobył z siebie. Nazywał się Pranah, jak przeczytał Dekker na jego plakietce.

– Doktorze Pranah, nie chcę już więcej środków uspokajających. Chcę stąd wyjść. Czego dowiedziała się policja?

Pranah podniósł się i schował latarkę do kieszeni.

– Nie wiem. Przypuszczam, że śledztwo wciąż trwa.

– Jak długo?

– Co jak długo?

– Jak długo trwa śledztwo?

– Czas. Czy wciąż pan się nim przejmuje?

To „wciąż” szarpało mu nerwy. Ale był w stanie potrząsnąć głową i powiedzieć – czując się nielojalnym:

– Wiem, że Cory prawdopodobnie nie żyje. W tej chwili chcę wiedzieć dlaczego?

Twarz doktora Pranaha przybrała dziwnie pusty wyraz. Popatrzył na podłogę, unikając spojrzenia na Dekkera i zaczął wprowadzać coś do swojego notatnika.

– Nie miał pan wiadomości od policji – powiedział Dekker. Było mu ciężko mówić. Wciąż miał w sobie tyle środków uspokajających, że z łatwością mógłby zamknąć oczy i usnąć, ale walczył o pozostanie przytomnym. Pranah nie odpowiedział mu, a on nalegał.

– Jak długo to trwa?

– Pańska partnerka jest martwa. Nie ma żadnego prawdopodobnie. Zaprzeczenie jest normalnym etapem żalu. Ale im prędzej przejdzie pan przez to...

– Nie wiemy na pewno, że nie żyje. Wiem, że ten statek mógł ją podjąć. Chcę zadzwonić...

– Niech się pan uspokoi.
– Chcę zadzwonić, do cholery!
– To jest w aktach. Uderzyła was skała, wybuchł zbiornik.
– Nie było żadnej skały...
– Mówił pan, że była. Zmienia pan swoją historię?
– Niczego nie zmieniam! Tam był pchacz. Nie odpowiadał na nasze wezwania, wleciał prosto na nas...

– Zaprzeczenie – cicho powiedział Prana. – Złość. Przeniesienie. Rozmawiałem z prowadzącym śledztwo. Nie ma żadnego pchacza. Nigdy nie było żadnego pchacza w pobliżu. Takiego, który by tam pracował. Możliwe, że był to kamień o dużej szybkości. Kamyk.

– Kamyk, do diabła! Chcę rozmawiać z policją. Chcę wiedzieć, co mówi kapitan tego pchacza. Chcę zadzwonić!

Doktor podszedł do drzwi, wyjrzał na zewnątrz i zamieniwszy z kimś kilka słów wyszedł.

– Chcę rozmawiać z kimś z zarządu! – wykrzyczał do pustych drzwi. – Do cholery, chcę rozmawiać z kimś, kto wie co tu się dzieje!

Ale jedyne co przeszło przez drzwi to para pielęgniarzy z dawką środka usypiającego.

Przeklinał kiedy go chwycili i zrobili mu zastrzyk, przeklinał cały czas kiedy ponownie zsuwał się w czerń. Czuł na twarzy łyżę, a gardło zaschło mu od krzyku. Pomyślał o Cory, Cory potrząsającej głową i patrzącej tak jak patrzyła wtedy, kiedy czegoś nie dało się naprawić.

Nie zrobisz tego, Dek.

A on powiedział sobie i Cory: – Niech mnie piekło pochłonie, jeśli nie.

* * *

Ben miał dla Birda dwie wiadomości, kiedy ten wszedł do „Hole”, i choć dobra była naprawdę dobra, to zła wszystko popsuła.

– Mamy SS na tym dużym kamieniu – wymruczał Bird, siadając na łóżku. Powiedział to zupełnie bezbarwnie, bo ta wiadomość w obecnej sytuacji straciła na ważności. – Jesteś pewien, że to gliny?

– Zostawili notatkę. Samoprzylepną. – Ben pokazał mu wyciągniętą z kieszeni, złożoną karteczkę.

– Było jeszcze gorzej. Część już posprzątałem – głównie rzeczy Meg i Sal.

– Do nich też się dobrali.

– Też.

– Cholera. – Potrząsnął głową. To było jedyne, co mógł w tej chwili powiedzieć.
– Może – odezwał się Ben – tylko nas sprawdzają. To znaczy, formalnie mają prawo przeszukać co zechcą, a my mamy teraz to roszczenie...

– Formalnie nie jestem pewien, czy mogą – powiedział Bird z zaciśniętymi szczękami. – Ale do biura zażaleń jest stąd dalej niż do piekła. – Pomyślał o pluskwach i zasygnalizował Benowi ręką, żeby się uciszył, wstał i zabrał go do stołu w barze. Zanim tam doszli Ben domyślił się dlaczego. Siadając wyglądał na zmartwionego.

– Dwa piwa – powiedział Bird do Mike’a Arezzo, po czym przyniósł je do stolika i usiadł. Powiedział do Bena: – Mogli tam założyć podsłuch. Ale jeśli się przeniesiemy zaczną pytać dlaczego i zainteresują się nami bliżej.

– Po pierwsze, nie wiem czego od nas chcą – powiedział Ben. – To ten cholerny Dekker, jestem pewien, że to on. Nie wiadomo jaką historyjkę im wcisnął.

– Tego nie wiemy.

– Ale cholernie dobrze byłoby wiedzieć. Mogę porozmawiać z kimś w...

Położył dłoń na ramieniu Bena.

– Nie próbuj w tym grzebać. Nie obchodzi mnie kogo znasz, to teraz zbyt niebezpieczne.

– Niebezpieczne, do diabła! Nie zrobiliśmy nic oprócz uratowania karku tego faceta!

Ben naprawdę wierzył w pewne rzeczy. Na przykład w system i zasady, na które regularnie narzekał.

– Pamiętasz, pytałeś mnie o Nouriego i jego bandę. A ja powiedziałem, że to wcale nie było tak dawno. Policja może zrobić każdą cholerną rzecz, na jaką ma ochotę. Robili to wtedy i nadal mogą. Twoja kompanijna edukacja ci to mówi?

– Są przepisy, których muszą przestrzegać...

– Świetnie. Są przepisy których czasem nie przestrzegają. Pamiętasz Nouriego? Nie było w dokach miejsca, którego by nie przeszukali i nie mówiło się wtedy, że mamy jakieś prawa. Kompania miewała okresy prosperity i recesji. Obaj pamiętamy czasy, kiedy papier toaletowy nie miał w sobie środków chemicznych, które zapobiegają zrobieniu z niego masy papierowej – po to, żeby nie dało się wydrukować ulotki. Teraz używa się tych cholernych kart, które wsadza się w pieprzone czytniki łączące się diabli wiedzą z czym. Pamiętam czasy, kiedy statki mogły pracować poza sektorami; można się było połączyć i wypić z tamtymi butelkę. Teraz wystawiliby ci grzywnę tak wielką, że nie dałbyś rady zobaczyć całej. Pamiętam czasy, kiedy nie przejmowali się tą głupią wojną z ludźmi, którzy są tak piekielnie daleko stąd i którzy, jak teraz bębnią w wiadomościach, przylecą tu i zrobią nam piekło. Kiedyś nawet nie było tak, że bank mógł zabrać SS z twojego konta, jeśli

zapłaciłeś za poszukiwanie. Nie zanim Odzysk wystawił opinię, że absolutnie nic nie da się zrobić. Widziałem piekielnie dużo zmian, przyjacielu. Słyszałem jak Kompania musi zrobić to i musi zrobić tamto, a jeśli się zorganizujemy i postawimy, to będzie musiała się poddać. Do diabła, nie jesteśmy pasterzami, Kompania nie musi się poddać. Kompania może nas zastąpić i gdyby nie zapis w Karcie, który mówi, że muszą postępować z niezależnymi na „uczciwych i równych warunkach”, wyróżniliby nas już dawno. Uczą tego w szkołach Kompanii?

– Mimo wszystko są zasady. Liczą się dla wyższych urzędników.

– Jasne, liczą się. Jedyną istotną rzeczą, która się liczy jest bilans. Nie powinniśmy byli zgłaszać się po ten statek, Ben. Nie powinniśmy byli tego robić.

– To co mówisz nie ma sensu. Takie są przepisy Kompanii. To oni ustalili zasady rozszczeń. A ty mówisz, że nie będą ich przestrzegać?

– Ben, te zasady nie są po to, żeby wpędzać Kompanię w koszty. To jest zasada ponad zasadami. Od początku miałem złe przeczucia na temat tego interesu. Nie wygrywa się z gigantem. A już na pewno nie za dużo.

– Jeśli się nie pohamujesz, to jest cholernie pewne, że nic nie wygrasz!

– Jesteś taki młody i naiwny. Też byłem taki dawno temu. – Nabrał pełne usta piwa i przełknął je. – Pamiętam też, kiedy zaczęli robić to świństwo. Nie chciałbyś widzieć kadzi z których to wychodzi.

– Jasne. Pewnie wszystko co pamiętasz było lepsze. Może wszystko teraz jest nie nie warte. Albo zawsze było tak jak teraz.

– Nie zawsze mieliśmy Kompanię na karkach. Nie zawsze wydłubywali nam każdego centa, na którym mogą położyć łapę i nie zawsze był ten wojskowy dok tuż obok, który sprawia że jesteśmy na celowniku. Ben, nie zawsze wyświetlali nam te cholerne radosne historyjki w telewizji, podczas gdy wiemy, że w domu nie dzieje się nic radosnego! – Powiedział już zbyt wiele, nawet jak na bar, w którym raczej nie spodziewali się pluskiew. To było nawet zbyt wiele, by o tym myśleć. Ben wyglądał na zmieszanego.

– Tutaj jest dom, Bird. Tu jest dom.

– Jasne – powiedział – mój też. Ale czasem chciałbym mu skopać tyłek.

W drzwiach pojawiły się Meg i Sal. Musieli im wyjaśnić sytuację.

– Sukinsyny – skomentowała Sal i miał nadzieję, że dotyczyło to policji. Ale na pewien sposób Meg i Sal były sprytniejsze od Bena. Nie skomentowały tego, za to powiedziały, że kolacja może poprawić nastroje.

Zabawne, pomyślał, że w ogóle nie pomyśleli, iż gliny mogły szukać czegoś związanego z tym, co zrobiły Sal i Meg. Przecież niemal na pewno były podbieraczkami, w dodatku niemal prosto z trasy. Ale firma nigdy nie zważała na to, jak Sal odbierała mężczyznom pieniądze – ona po prostu nie robiła darmowych

przysług, chyba że swoim wspólnikom. I było widać, że wydostała coś od Bena, po sposobie w jaki dostali zapłatę za swoją kolację. Szczeniaki z Kompani rozumiały się nawzajem.

Dziewczyny nawet nie wyglądały na złe, po prostu rzuciły to z siebie i potrząsnęły nad nimi głowami, jakby oczywiste było, że grzebanie się w cudzych kłopotach mogło sprowadzić na nich policję. Albo po prostu starały się podtrzymać ich na duchu, z kobietami nigdy nie wiadomo. Mogły być wściekle jak diabli i mieć ochotę połamać im nogi, ale przemyślały to i doszły do wniosku, że za coś takiego Bird i Ben byli im dłużni. I to znacznie więcej niż kilka piw.

Tak więc powiedziały, że idą posprzątać, podniosły się i wyszły. Ben posiedział jeszcze chwilę kończąc swoje piwo, po czym powiedział że pójdzie do banku upewnić się, że pieniądze zostaną właściwie zaksięgowane. Co było oczywistą wymówką. Jeden Bóg wiedział, gdzie naprawdę wybierał się Ben.

– Niczego nie próbuj – powiedział Bird.

Ben uprzejmie potwierdził i wyszedł.

Może powinien był ostrzec dziewczyny o podsłuchu. Prawdopodobnie wyzywały się teraz na nim i na Benie. Ale może to lepiej, że rozmawiały w pokoju, upewniając tego, kto zainstalował pluskwy, że niczego nie podejrzewali. Wiedziały o statku, w porządku. Ale nie wiedziały o co jeszcze powinni się martwić.

Jak na przykład pchacz w miejscu, skąd pochodził ten statek.

Pchacz przezuwający to co znaleźli górnicy – ekstrahujący, sortujący i wysyłający ładunki w stronę starego Jowisza, który spowalniał ich bieg tak, że pasterze mogli je przechwycić, by stały się blachami, sztabami i podobnymi wyrobami. Mamuśka zawsze przydzielała sektory w odniesieniu do rozkładu jazdy pchacza, więc wiedziało się, że jest gdzieś niedaleko, ale zawsze między tobą a Studnią, ze swoim aktywnym końcem skierowanym w drugą stronę. Za każdym razem na myśl o zbliżeniu się do trajektorii strzału pchacza trzeba było porównać w myślach, jaki on jest wielki, a ty jaki mały, i jak szybko porusza się to co on wyrzuca – nawet nie zauważyłoby się co cię trafiło. Trajektorie pchaczy były jedynym kawałkiem informacji, który Mamuśka dawała za darmo i to na cztery czy pięć sektorów dookoła, nawet pomijając granicę stref między R1 i R2. Każdy strzał pchacza musiał być załogowany i zgłoszony Mamuśce, z podaniem dokładnego czasu. Nie można było ruszyć pchacza bez zgody Mamuśki. I na pewno nie dało się go ukryć.

Czyżby więc Mamuśka po prostu zapomniała umieścić pchacz na mapach Dekkera? To były te mapy, które wysłała na *Trynidad* – dokładnie tam, gdzie Dekker podał im koordynaty wypadku.

Cholera, nieprzyjemne myśli.

Ostatnio na Mamuskę wywierano spore naciski. Dużo wariackich decyzji z górnych piętér ASTEXU, jak obowiązkowe nadgodziny w fabrykach, próba zmiany kontraktu z pasterzami, by pozwolili umieścić na swoich statkach załogi kompanijne – nawet ślepy mógłby dostrzec, do czego to zmierzało. Żadna z wielkich zmian nie miała sensu, ale mogli zrobić niemal wszystko, jeśli stała za tym Kompania Ziemska. Oni mogli zmieniać wszystkie reguły, mogli zmieniać prawo jeśli im przeszkadzało. KZ miała w kieszeni mnóstwo senatorów i utrzymywała tak wielu ludzi – zwłaszcza teraz, z tym rozkwitem budowy statków. Na dodatek tak wielu żyjących na planetach nie miało pojęcia o przestrzeni i polityce kosmicznej...

Żyjących na dnie rodzimej Studni, tak jak jego brat, który raz do roku pisał mu trochę na temat żony, dzieciaków i dwie strony (przy obowiązujących cenach poczty do Pasa) na temat sadzenia fasoli tej wiosny. Boże. Czy ludzie naprawdę myśleli o takich rzeczach?

* * *

– Proszę to podpisać – powiedzieli i podsunęli mu pod rękę płytkę. Unieśli go i podparli poduszkami, ale wciąż był pod wpływem leków i ciężko mu było się skupić. Tym razem znajdował się w wysokiej grawitacji. Miał trudności z oddychaniem.

– Co to jest? – zapytał, bo nikt tutaj nie chciał mu pomóc i nikomu z nich nie ufał. Mogli mu podsunąć zgodę na pokrojenie go, albo podanie mu diabli wiedzą jakiego leku. Są głupcami, jeśli myślą, że podpisze nie przeczytawszy, w tym miejscu z ciężeniem jak pierwszy pokład.

Powiedzieli – ci, którzy czasem przychodzili i wychodzili: lekarze, gliny, pielęgniarki – nie myślał dość jasno, by dojść do tego teraz:

– To po to, żebyśmy mogli pana wypuścić. Chce pan stąd wyjść, prawda?

– Odejdźcie – powiedział niewyraźnie, walcząc z mdłościami.

– Nie chce pan wyjść? – Upuścił pisak. Włożyli mu go z powrotem w dłoń.

Próbował więc się temu przyjrzeć. Odczytanie liter wymagało od niego dużego wysiłku, w stanie w jakim się znajdował. Było tam AFFIDAVIT. Dokumenty prawne. W końcu dotarło do niego, że to raport z wypadku.

Wypadek, do diabła.

Rzucił tym. Może zniszczył. Uderzyło w ścianę i opadło na podłogę z dźwiękiem pękającego plastiku. Pomyślał, że nie byłoby tak na wyższych poziomach.

– Niczego nie podpiszę bez prawnika – oświadczył.

* * *

Zostawili po sobie piekielny bałagan. Meg najbardziej złościła się z powodu biżuterii. Usiadła rozplątując kolczyki i przeklinając.

– Powinnyśmy powiedzieć, że czegoś brakuje. Dołożyć glinom.

Na co Sal, przekopując się przez stos kredek do makijażu odpowiedziała:

– Stępiony każdy czubek. Cholerne kompanijne świnię.

– Niczego nie zrobiliśmy. – Wymagało to trochę skupienia, ale o to chodziło.

Meg rozplotła drobne łańcuszki i poczuła dotyk mdłości w żołądku. – Sukinsyny. Dlaczego zrzucili to na jedną kupkę...

Przyszła Sal i opierając się na pięści opadła na łóżko. Zasygnalizowała szybko „ostrożnie”. Co wcale nie pomogło Meg na żołądek. Jeśli mieli pluskwy i sprawy toczyły się tak, jak się tego obawiała, to pluskwy mogły je nie tylko podsłuchiwać, ale i podglądać.

Nie potrzebowały tych kłopotów. Chciały dostać szansę z tym statkiem, ale nie odpowiadały im takie kłopoty i to, czym śmierdziały kłopoty ich facetów.

Mogły się wynieść. Były inne noclegownie oprócz „Hole”. Mogły pocałować Bena i Birda na do widzenia i znaleźć jakiś inny statek do wynajęcia. Ale jeśli ten drugi statek trafi w ręce Birda...

Mogłyby sobie poderżnąć gardła, ot co. Bird i Ben byli inwestycją, z którą miały w tej chwili największe szanse, a żadnych w pracy dla Kompanii. Nie za wielkie szanse również dla Sal. Z aktami w policji można było pracować jako wolny strzelec, ale nie miało się żadnych ulg i nie latało się dla Kompanii. Na dodatek, jeśli wydarzyło się coś na pokładzie, na którym przebywała taka osoba, to zawsze była pierwsza na policyjnej liście podejrzanych.

Najwyższy czas, żeby dla odmiany coś się udało. Miały już dość pecha.

Jak sektor, który właśnie zaliczyły. Dał im mnóstwo lodu i jeden kamień, którym Mamuśka kompletnie się nie zainteresowała. To był ten rodzaj przydziału, jaki załogi wynajmujące często ostatnio dostawały: były w Pasie chude miejsca, i te właśnie im się dostawały, a te dobre brali właściciele statków, nawet jeśli musieli naruszyć przepisy zdrowotne, by wylecieć powtórnie.

Cóż, do diaska. Trzymały się tego. Podbierały, kiedy nie miały innego wyjścia. Meg Kady przysięgła sobie jedno: nie umrze splukana i nie zamierzała dać się wyprowadzić z równowagi przez jakiegoś gliniarza z Kompanii rozrzucającego jej rzeczy.

Jej dłonie świetnie sobie radziły z łańcuszkami. Poczuła, że na jej usta wypełza uśmiešek. Zna-jo-me terytorium. Amen.

– Gliny na Sol mają więcej klasy – powiedziała do Sal, naprawdę serdecznie. – Ci schizole nie brali żadnych kursów ze staranności, nie?

– Łajzy – potwierdziła Sal. – Prawdziwe łajzy.

* * *

Salvatore zanurzył się w swój fotel, odsuwając na bok stos cudzych problemów, wyciągnął z szuflady biurka inhalator i głęboko wciągnął aerozol. Dość, by się zdystansować. Zrobił głębszy oddech. Lek wypełnił płuca i przeniknął do krwi, z nią rozszedł się po całym ciele i dotarł do nerwów, nakazując im uspokoić się. Nienawidził scen. Nienawidził młodych głupców stwarzających ochronie dodatkowe problemy i lekarzy, którzy domagali się specjalnego traktowania.

A najbardziej nienawidził odkrywania, że w sprawie siedzi więcej, niż powiedziała mu administracja.

Zabrzączał telefon. Wziął kolejny głęboki wdech i zostawił go – niech odbierze sekretarka, i miał nadzieję, że...

– Panie Salvatore – przez interkom odezwała się jego sekretarka. – Pan Payne na linii.

Trzeci telefon z IP tego dnia. Nie tego chciał Salvatore, a wiedział, co usłyszy od Payne'a. O Boże, nie był na to gotów.

Wcisnął klawisz i odezwał się:

– Słucham, sir.

– Powiedziano mi, że mamy problem – zabrzmiał młody głos w słuchawce. Biuro Salvatore'a nie było wyposażone w wideotelefony i bardzo się z tego cieszył. Payne był juniorem, bystrym młodym człowiekiem z kierownictwa – wiceprezes odpowiedzialny za informację publiczną i Public Relations, bezpośrednio pod Craytonem, który z kolei podlegał samemu Towneyowi. Nie było najmniejszej wątpliwości, że ktoś tam pociągnął za sznurki i to niedawno, zdecydował Salvatore. Więc Payne zepchnął żal na swoich podwładnych, na bezpieczeństwo.

– Ten głupiec będzie się zapierał, aż sprawa trafi do sądu. A to nikomu się nie spodoba.

– Rozumiem.

– Sprawa trafi na wyższy poziom, to też pan rozumie?

– Rozumiem to, oczywiście...

– Zrobi się z tego cholerny bałagan, mówię panu. Matka tej dziewczyny chce go dorwać i cała Kompania staje na uszach. Musimy dotrzymać kontraktów. Mamy terminy. Potrzebujemy tego zwolnienia. Musimy zamknąć tę sprawę.

– Radzę mu żeby podpisał, panie Payne. – Salvatore zrobił głęboki wdech, tym razem czystego, biurowego powietrza. Boże, do kogo ten Payne mówił? – Pracujemy nad tym. Istnieje pewna możliwość, tak jak to widzę zrobił kolejny wdech, by

oczyścić umysł i zaryzykował: – Istnieje wskazówka, że dzieciak nie był wcale tam, gdzie wykazuje to ich dziennik pokładowy. To mogła być pomyłka, mogło to być celowe. Myślę, że mogli podbierać. Przez dłuższą chwilę po drugiej stronie połączenia panowała cisza. Boże, miał nadzieję, że mówiąc to nie popełnił poważnego błędu.

– To, co tu mamy – usłyszał w końcu cichy głos Payna – to drobny wypadek zabierający zdecydowanie zbyt wiele czasu Kompanii.

– Tak jest, sir.

– Nie mogę tego postawić jaśniej. Nie chcemy niezależnych w sądzie, zwłaszcza dzieciaka z filmową prezencją. Mam dane na biurku, prześlę je panu. Nie było żadnego pchacza. Mamy dziennik pokładowy. Nie ma takiego zapisu. Powiem panu co się tam stało, kapitanie: dwójka dzieciaków miała pecha, prawdopodobnie podbierali, wystraszeni jak diabli i mocujący się ze skałą o wiele za dużą na wyposażenie jakim dysponowali. Dekker albo coś spieprzył i doprowadził do wypadku, w którym zginęła jego partnerka, albo trafiła się jakaś awaria, sam pan może wybrać coś z listy naruszeń przepisów na ich statku. Może powinniśmy ich oskarżyć o niedopełnienie obowiązków i prawdopodobieństwo podbierania, ale mogę panu powiedzieć, że oficjalne stanowisko działu prawnego jest takie, że nie będziemy się procesować. Chłopak przeszedł przez piekło, nie ma szansy żeby mógł coś wiarygodnie zaświadczyć, a mógłby skomplikować sprawę przez stawianie przed sądem jakichś bzdurnych oskarżeń. Więc nie chcemy go tam stawiać, na pastwę prawników Salazar. Choć są na stacji ludzie, którym bardzo by to odpowiadało, rozumie mnie pan, kapitanie?

– Rozumiem, sir.

– Więc niech pan to posprząta. Słyszysz mnie pan? Chcę tego zwolnienia. Wysyłam panu raport powypadkowy, rozumiemy się? Mamy tu element, który bardzo chętnie wykorzystaliby kogoś takiego jak Dekker. Nie chcę, żeby rozdmuchano tę sprawę do bezsensownych rozmiarów. Trzeba temu zapobiec.

Pomyślał o magnetofonie leżącym na biurku. Zawahał się z palcem na przycisku. Przemyślał to posunięcie jeszcze raz. Ale chciał zmusić Payna do powiedzenia tego.

– Mam zatrzymać śledztwo?

– Niech je pan zdejmie z ognia, panie Salvatore. Mamy tu sytuację kontroli uszkodzeń. Chcę zneutralizowania problemu. Słyszysz mnie pan?

– Tak jest, sir – odpowiedział Salvatore, co było bezcelowe, bo Payne zdążył już się rozłączyć. Wcisnął przycisk interkomu i powiedział do swojej sekretarki:

– Daj mi do telefonu Willsa. Już!

Cholera, jeśli dzieciaki podbierały, obciążyć je. Za podbieranie Kompanii – uziemienie. Kropka. Matka dziewczyny upierała się, że jej córka nie wzięłaby udziału

w niejasnym interesie. Bez żadnych wątpliwości, Dekker zamordował jej córkę z powodu konta bankowego.

Słusznie, ale musiałby być cholernie zdesperowanym zabójcą, który niszczy swój statek i doprowadza się na skraj szaleństwa tylko po to, żeby mieć alibi. Wiedział, że górnicy robili czasem szalone rzeczy, prowadził kiedyś sprawę od której do dziś nawiedzały go koszmary, ale bez wątplenia nikt nie trzymał Corazon Salazar na muszce i nie było żadnych wskazówek, żeby Dekker działał dla pieniędzy. Wszystko czego się dowiedział to, że dziewczyna po skończeniu szkoły podjęła pieniądze z funduszu powierniczego, zapłaciła za przelot Dekkera na RI i włożyła wszystko co miała w przestarzały statek i wyposażenie.

Można było się zastanawiać jakim cudem wrócili z pierwszej wyprawy – i jeśli ktoś tu był porwany, to już bardziej Dekker... który miał cholerne szczęście, że go znaleźli. Fizyka zajęła się tym statkiem. Drugi zbiornik był przebity, dzieciak z całą pewnością nie miał tego jak zaaranżować i tylko Bóg oraz komputery wiedziały czemu statek pozostał w płaszczyźnie ekliptyki. Nie wyglądało to dla niego na dobry plan.

„Do diabła, Dek nie zajmował się pieniędzmi” powiedział jeden z przesłuchiwanym przez policję świadków w RI. „On tylko pilotował statek. Ciągłe się koło niego kręcił...”

Towarzystwo? Jasne, byli z Cory razem, ale on zajmował się głównie grami wideo i takimi tam – zazwyczaj wygrywał na pokrycie rachunków z baru. Naprawdę miły gość. Czasem lubił się powygłupiać, pokazać się, zaimponować, takie rzeczy, ale zawsze uderzało mnie jaki jest nieśmiały. Gry były jego ucieczką. W tłumie Cory zawsze była w centrum, dyskutując o kamieniach i fizyce, a on siedział cicho w kącie. Taak, dziwną byli parą, inną, wyglądało jakby to Cory była od myślenia, a Dek...

Tak, miał humory. Ale Cory też. Nie należało jej naciskać.

Tak, spali razem, ale nie wyłącznie. Pilnowali własnej prywatności. Nie zbliżali się za bardzo do nikogo. Jeśli ludzie usiłowali wykorzystać to, że są tak młodzi, potrafili się postawić... Właściwie Cory nawet bardziej niż Dek. Ona wyznaczała granicę, a on ją wspierał. Nie jakiś mięśniak, starsi próbowali czasem go rąbnąć, ale potrafił się oprzeć, przekonali się.

Szczerze? Nie słyszałem, żeby byli zamieszani w jakiś ciemny interes, o którym bym wiedział...”

Był tam pchacz. Miał dokładne mapy. Według zapisów Kompanii dotarł tam dwudziestego czwartego marca, a wypadek zdarzył się dwunastego. Ale dzienniki były ukryte za przepisami AP, a pamięć magnetyczną skasowano. Bardzo szczegółowe przeszukanie obu statków nie wykazało żadnego niedozwolonego ładunku, a Wills nie znalazł żadnych kart danych w pokojach górników.

Co nie znaczy, że żadne karty nie wyszły ze statku. Piekielnie kiepski przypadek niedokładności celników. Administracja mogła za to zażądać głów.

Ale nikt nie powiedział mu na początku, że był jakiś problem z mapami, a on w konsekwencji nie powiedział Willsowi. A teraz dowód diabli wzięli. Jeżeli rzeczywiście istniał. W tej pracy należało zachować trochę poczucia sprawiedliwości. W szpitalu tkwił chłopak, który miał kłopoty, jego głowy chciała kobieta, która miała dość pieniędzy, by ściągnąć go na Sol i postawić przed sądem. A tam pieniądze, niezadowoleni wojskowi kontrahenci i różne organizacje robotnicze i pacyfistyczne mogłyby zrobić z tego sprawę przez naprawdę duże S.

Salvatore rozumiał, o co go proszono. Zastanawiał się w jaki sposób nie będąc zdegradowanym, a jedynie przenoszonym na równorzędne stanowiska można byłoby wylądować gdzieś na uboczu, na przykład w jakiejś radzie doradczej, której nikt nie słuchał, zupełnie poza ścieżką awansów.

Miał żonę. I córkę w szkole, na zarządzaniu – córkę, która szukała u ojca kontaktów. Jilly była bystra, cholernie bystra. I jak miałby powiedzieć jej – albo Mariko że ten chłopak znikąd był wart jej szans na przyszłość?

Wciągnął jeszcze jedną dawkę z inhalatora i pomyślał, że Dekker nie był aniołem. Był notowany na Sol, młodzieńcze sprawy. Matka go wykupiła. Nie zrobił nic, czego by można dowieść... Ale dzieciaki nie wiedzą co robią. Dzieciak nie potrafi użyć zdrowego rozsądku, nie wobec siebie.

Poczuł delikatne zawroty głowy będące efektem działania inhalatora: „proszę go nie nadużywać” powiedział lekarz i wydzielał je na receptę. Ale doktor nie miał na karku Williama Payne’a. Albo żony i córki, których życie mógłby zrujnować krnąbrny dzieciak.

Gdyby Dekker używał głowy, nie siedziałby teraz w szpitalu. Salvatore znał dzieciaki. Dzieciaki nie robiły błędów, były na to zbyt sprytne – ale ten zrobił błąd, wpadł po uszy. Jego współniczka nie żyła i wokół tego narosło wiele poczucia winy u Dekkera. Lekarstwem byłoby wypuszczenie go. Żaden dzieciak nie był w stanie zrozumieć polityki, związków zawodowych i budżetu obronnego. Dekker nie miał nic do wygrania w ten sposób, a zyskać mógłby jedynie żal. Dać mu wymówkę, zaofiarować mu sposób na uwolnienie się od winy.

Zanim jego słowa pogrążą go w prawdziwych kłopotach.

* * *

Departament Statystyki informuje, że tegoroczny wzrost wskaźnika urodzin jest odbiciem wzrostu liczby kobiet w populacji i trend ten będzie się utrzymywał. Komentując to, rzecznik szpitala imienia Jamesa R. Reynoldsa powiedział dzisiaj, że

Kompania powinna umieścić środki antykoncepcyjne na liście bezpłatnych towarów ogólnodostępnych. Średnia liczba przepracowanych godzin przez ostatnie pięć lat spadła o dziesięć procent, podczas gdy poziom życia wciąż się podnosi...

– Pieprzyć ich – powiedziała Meg.

– Właśnie chcą, żebyś tego nie robiła – odparła Sal.

...Obserwowany w ostatniej dekadzie piętnastoprocentowy wzrost populacji...

– Więc dlaczego u diabła wprowadzają nadgodziny?

...Prezes Towney oświadczył, że R2 stoi przed kryzysem populacyjnym i nakłania kobiety, by starannie rozważyły swoją sytuację ekonomiczną. Statystycznie dowiedziono, że kobiety które odłożą macierzyństwo do wieku ponad trzydziestu lat będą się cieszyć standardem życia wyższym o dwadzieścia pięć procent. Prezes Towney przypomina wszystkim pracownikom, kobietom i mężczyznom, że ci którzy pragną awansować powinni być ostrożni...

– Myślisz, że nas awansują jeśli będziemy ostrożne? parsknęła Meg.

– Może powinniśmy pójść i powiedzieć im, że czekamy na awans – odpowiedziała Sal.

Telewizja narzucała im się w sali ćwiczeń. Nie dało się przed nią uciec. Siedziały tam ociekając potem, nabierając oddechu przed kolejną porcją ćwiczeń na urządzeniach, a Towney znów błyszczał.

Z drugiej strony...

Meg przyjrzała się swoim paznokciom. To było jej hobby, hodowanie paznokci podczas czasu ciąży. Obcinała je kiedy miały robotę, albo łamały się same w suchym powietrzu.

Przede wszystkim jednak nie chciała być zauważona przez człowieka, który pojawił się w drzwiach. To Sal chciała ćwiczyć w tej sali. A ona się zgodziła, mając ochotę na drobną odmianę.

– Sal.

– Dobra, widzę go.

Meg spojrzała ostrożnie spod czoła, z mocno bijącym sercem starając się wyglądać jak mebel.

Wysoki mężczyzna w typie nordyckim, z podgolonymi włosami. Miał na imię Mitch, był szefem technicznym pasterzy i przyjacielem Sal. Nie Meg, zdecydowanie nie jej. Dostrzegł je, wykonał drobny gest i odszedł w stronę atlasa.

– Lepiej będzie jak się zmyję – powiedziała do Sal.

– Siedź.

W zasadzie były na terytorium pasterzy, w małej sali blisko końca piekarni. Do tej sali Sal zawsze miała prawo wstępu. Ona nie. A Mitch, delikatnie mówiąc, nigdy nie zaaprobował ich partnerstwa.

Sal podniosła się i poszła z nim porozmawiać. Meg starała się nie przyglądać im aż tak, by odczytywać słowa z ruchów warg, ale widziała wyraz twarzy Sal, która wyraźnie nie była całkiem zadowolona.

Sal objęła Mitcha ramieniem i razem skierowali się w stronę Meg.

– Meg – odezwał się Mitch.

Ta jej uparcie złośliwa natura, która sprawiała, że zawsze musiała się postawić. Zwinęła ręcznik, uniosła głowę by spojrzeć na niego pod światło i posłała mu zimny uśmiech.

– *B'jour, Mitchquepasa?*

Był rab w sposób typowy dla pasterzy, swobodny. I tego oczekiwał po innych. Na pewno nie mówił slangiem. Nie zgrywał się.

– Kady. Jak leci?

– Och, w porządku.

– To dobrze, Kady. Żadnego szumu, żadnych problemów. Jesteś przyjacielem przyjaciela, rozumiesz? I to pozwoliło ci dotrzeć tak daleko. Muszę przyznać, że jestem pod wrażeniem.

– Jesteś sukinsynem, Mitch. Miło było cię nie widzieć. Uśmiechnął się. Przystojny sukinsyn. I mający władzę, by wyrzucić ją stąd, a także z życia Sal.

– Nie pieprz, Kady. Jesteś tolerowana. Jak dotąd radziłaś sobie cholernie dobrze. Powiedziałem Sal, że jest dla ciebie szansa.

– Pieprz się z tym. Sam się toleruj.

Uniósł brwi, a potem spojrzał w dół z urażoną miną, wzruszył ramionami i odszedł.

Meg potarła podstawę nosa unikając spojrzenia Sal. Sama nie wiedziała czemu to zrobiła. Całkiem szczerze nie wiedziała. To nie było szczególnie inteligentne.

– Przepraszam, Aboujib.

– No cóż – Sal przysiadła na piętach oplatając rękami kolana.

– Prosił się więc dostał. Wiedział, że przegina. Ale jest w porządku.

– Jasne. Wiem, jaki jest w porządku. Sysyn. Bóg niskiego ciężenia. Gównu dla ciebie zrobił.

Przez chwilę Sal siedziała cicho. Chyba posunęła się za daleko. W końcu Sal powiedziała:

– Słyszeli o bałaganie w naszym pokoju. Mitch chce, żebyśmy zniknęli. Mówi, żeby wynająć statek i wynieść się. Martwią się.

– Niech mnie diabli! – wyrzuciła z siebie Meg. – Jesteśmy blisko, do diabła. Co go to do cholery obchodzi?

Cała postawa Sal wyrażała niezadowolenie.

– Dostałyśmy ostrzeżenie.

– Jasne, Aboujib.

– Poważne ostrzeżenie.

– Bądźmy szczerzy, chce się pozbyć również mnie. Ty coś wynajmij, a ja zostanę tutaj i dopilnuję sprawy ze statkiem.

– Nie mów tak.

– Nie mówię o rozdzieleniu się, do cholery. Mówię, że tu zostanę i zagrzeję nam miejsce, a ty uszczęśliwisz swoich przyjaciół.

– Mówił o nas obu.

Ujęła jeden z końców ręcznika i wytarła twarz, chwila przerwy na zebranie myśli.

– Do diabła, jesteśmy tak blisko. Sal, nie dostaje się dwa razy takiej szansy. Nie będzie innej.

Sal milczała przez chwilę. Meg siedziała myśląc, że Sal powinna z nimi zerwać, naprawdę zerwać. Cholerne sukinsyny. Nie mogli jej pomóc. Nie mogli jej przyjaść. Wyrzucić dzieciaka w taki sposób... zmusić ją do kręcenia spirali aż się wykaże – niech cię piekło, Mitchell.

W końcu Sal odezwała się.

– Chodź, wyjdźmy stąd.

Na spacerze, pośród hałasów pokładu, Sal powiedziała:.

– Nie sędzę, żeby był tam podsłuch, bo Mitch nic by nie mówił. Ale muszę się przyznać, Meg – może powiedziałam zbyt dużo.

– O czym?

– Ben wyniósł dane, które znaleźli na uratowanym statku. Pracował nad nimi i nie ma zamiaru pokazać ich nikomu innemu, to jego mapy i nie pozwoli ich skasować, tak powiedział.

Meg zrobiła długi, długi oddech.

– *Merde*. Powiedziałas o tym Mitchowi?

– Przyszedł do mnie. Chcą kopii tych map.

– Ben by cię zabił.

Sal mówiła cicho, pomimo hałasu panującego dookoła.

– Jasne. Wiem. Ale oni użyją ich do czegoś innego. Tylko informacje, liczby z tych map. Musisz mnie teraz wspomóc, Kady. W tej chwili Mitch ma moją kartę. I dostęp do naszych szafek na jakiś czas.

– Cholera, Aboujib!

– Z drugiej strony...

– Zbyt wielu wyciąga po to ręce.

– Z drugiej strony, pasterze będą nas teraz mieli na oku. Nie wiem, co mogą zrobić z mapami, ale uważają że jest coś cholernie dziwnego w tym, że statek Birda jest wciąż zablokowany, że dzieciak zginął w Pasie i w policji przeszukującej nasze

rzeczy.

– Powiedziałaś mu. Poszłaś z tym do niego.

Sal schyliła głowę.

– Zmartwiłam się. Jeśli chcesz znać prawdę, to zmartwiłam się czy nie powinniśmy zerwać z Birdem i Benem, uwolnić się od tej sprawy. Zastanów się, dlaczego gliny miałyby przewracać nasze pokoje do góry nogami, zastanów się czy jest coś niezwykłego w co byłybyśmy zamieszane poza tym, że mamy dwójkę przyjaciół którzy chcą dostać statek?

– Aboujib...

– Jasne, wiem. Po prostu zadałam pytanie. Powiedziałaś, że mogli szukać danych...

– Aboujib, czy byłabyś uprzejma następnym razem uprzedzić mnie zanim wyskoczysz z czymś takim?

– Tak, domyśliłam się, że będziesz się martwić.

– Zabiłabym cię. Ben wie?

– Nie.

– Więc ile czasu minie, zanim się dowie? Boże, Aboujib, ten *jeune fils* nie jest głupcem. Mógł *zabezpieczyć* tę kartę.

Sal zagryzła wargi.

– Zrobił to.

– Więc jednak wie?

– Nie. Oczywiście że nie. Ale oboje przeszliśmy przez instytut.

Rozdział 8

To był test: założyć obręcz na drążek, dopasować kołki do otworów. Uzupelnić zestawy figur. Dekker wiedział o co im chodzi, kiedy dali mu dziecięce zabawki.

– Pieprzę to – powiedział i zepchnął całe pudełko na podłogę, żalując że nie znajdują się w niższej grawitacji. Ale zrobiło dostateczny hałas. Popatrzył na nie przejętego tym faktem psychologa i powiedział: – Pieprzę was wszystkich. Nie będę robił żadnych testów, dopóki nie zobaczę się z prawnikiem.

Wstał. Pielęgniarze wyglądali na gotowych do skoku, zaś psycholog zamarł, trzymając przed sobą notatnik jak tarczę.

Podrzucił obręcz, która została mu w dłoni. Złapał ją zanim upadła, po czym posłał w róg pokoju, patrząc na pielęgniarzy.

– Chcesz iść? – zapytał jeden, Tommy. Z nich dwu zawsze to on mówił.

– Tak – odpowiedział, wzruszył ramionami i podszedł do drzwi, gdzie Tomy i Alvie mogli się nim zająć. Wypracowali porozumienie – on szedł, a oni nie łamali mu rąk.

Jeśli był spokojny, nie trzymali go zbyt mocno i mógł zachować wolne ręce. Przeżywał męczarnie, jeśli nie mógł się podrapać.

– Telewizja – powiedział, kiedy kładli go do łóżka. Miał telewizor w pokoju. Tommy włączył go dla niego. Nie miał ochoty nawet zastanawiać się gdzie był ani co robili, to po prostu była kolejna próba, niczym nie różniąca się od pozostałych.

Ale wystraszyła go.

Wszedł kolejny lekarz i wyłączył telewizor. Nigdy go jeszcze nie widział, ale to był lekarz. Miał ze sobą oczywiście elektroniczny notatnik i kieszonkę pełną długopisów i termometrów. Na plakietce wypisane było nazwisko: Driscoll.

Driscoll podszedł i usiadł na krawędzi łóżka.

– Niech się pan nie spoufala – ostrzegł go Dekker nie jestem w nastroju.

Sprawiło mu przyjemność przyglądanie się, jak drań cofa się i przybiera pozę dotkniętej niewinności. Ostatnio zredukował się do podobnych, drobnych przyjemności. Driscoll tajemniczo skonsultował się ze swoim notatnikiem. Może to on był tym, który miał problemy z pamięcią.

– Rozumiem pańską niecierpliwość – powiedział w końcu.

– Będę rozmawiał tylko z prawnikiem.

– Mamy wyniki pańskiego testu.

– Nie robiliście mi żadnych testów.

Driscoll znów zajrzał do notatnika.

– Zaburzenia funkcji ruchowych, dziury w pamięci...

– Pieprzenie.

– Łagodny wstrząs mózgu, przedłużone odosobnienie, deprywacja tlenowa, kontakt ze środkami toksycznymi – z możliwością trwałego uszkodzenia...

– Cholerne bzdury!

– Niewłaściwe zachowanie. Wrogość.

– Wynoś się z mojego pokoju. Gdzie jest doktor Pranah?

– Doktor Pranah ma zwolnienie. Przejąłem jego pacjentów. – Driscoll zanotował coś sobie. – Zakładam, że chciałby się pan stąd wydostać.

– Cholernie słusznie.

– Przyślę formularze.

– Nie podpiszę żadnych formularzy.

Driscoll wstał i podszedł do drzwi, ale zawahał się.

– Niech pan spróbuje kontrolować te wybuchy, panie Dekker. Personel rozumie pański problem. Ale byłoby nam wszystkim łatwiej, gdyby zrobił pan wysiłek. Dla własnego dobra. Czy nadal ma pan halucynacje?

Dekker zagapił się na niego.

– Oczywiście że nie – powiedział. Cholerne kłamstwo.

Ale wystraszyło go. Podbiło puls. Wyłączyli brzęczyk, ale to nie znaczyło, że nie słuchają, albo że tego gdzieś nie rejestrują.

Po jakimś czasie wszedł młodszy mężczyzna, z obowiązkowym notatnikiem i zapytał go:

– Jak się pan czuje?

Na jego plakietce było napisane nazwisko: Hewett. Nie wyglądał nawet na dwadzieścia lat. Miał zagubiony, nerwowy wygląd. Może powiedzieli mu, że jest wariatem.

Dekker nie odpowiedział. Wpatrywał się tylko, aż młody lekarz powiedział:

– Mam formularze pańskiego zwolnienia – podsunął notatnik. – Musi pan podpisać na dole...

– Nie podpiszę tego.

– Musi pan to zrobić.

– Prosiłem o prawnika. Nie podpiszę tego.

Hewett wyglądał na niezadowolonego.

– Musi pan to podpisać, panie Dekker.

– Nie, nie muszę.

– Chce pan stąd wyjść, czy nie?

– Oni chcą, żebym wyszedł.

Było mu zimno. Wydawało się, że klimatyzacja jest niewłaściwie nastawiona. Pomyślał, że jeśli jest tu jakiś czujnik pulsu, to musi właśnie wyskakiwać poza skalę.

– Nie zamierzam tego podpisać. Niech im pan powie żeby sami to zrobili. I tak

skłamlali we wszystkim innym.

Hewett zawahał się i powiedział, ściszym głosem:

– Niech pan to po prostu podpisze. To wszystko, co musi pan zrobić.

– Nie – zamknął oczy i nie otworzył ich, dopóki Hewett nie wyszedł z pokoju.

Chciał się stąd wydostać. Nie myślał już, że jest tu bezpieczny. Ale nie widział żadnej drogi.

Rzucić się do drzwi? Jeśli się wydostanie, zwłaszcza jeśli kogoś uderzy, gliny zaraz by go posadziły. Podpisać formularz a potem iść do prawnika? Podpisany formularz był wszystkim, co się dla nich liczyło. To było wszystko czego słuchali. A zresztą jaki rodzaj pomocy prawnej mógł tu dostać? Kompanijnego prawnika? Kompanijnych świadków?

Miał starcie z prawem na Stacji Sol – grzechy młodości. Nauczył się czegoś o prawnikach. Nauczył się o słuchu. Sędziowie wchodzili na salę rozpraw z gotowymi wyrokami.

Wszedł kolejny fartuch. Z notatnikiem. Tym razem podszedł do niego i podsunął mu formularz mówiąc:

– To do pańskiego ubezpieczenia zdrowotnego. Proszę podpisać.

Rzucił okiem na płytkę notatnika i podejrzliwie przyjrzał się kobiecie.

– To autoryzacja płatności pańskich rachunków. Miał pan cholerne szczęście, że był pan ubezpieczony. Pokrywają w stu procentach.

Wziął notatnik, popatrzył na formularz. Wyglądało uczciwie. Był tam wypisany on i Cory. Pamiętał, że podpisał to po zażartej walce z Cory. Upierał się, że nie potrzebują ubezpieczenia, argumentował, że każdy wypadek będzie od razu końcem wszystkiego, więc płacenie składek jest cholernym wyrzucaniem pieniędzy...

Ale Cory, dziewczyna zaraz po studiach, pochodząca z zupełnie innego wszechświata, powiedziała:

– Nigdy nie byłam nie ubezpieczona. Weźmiemy przynajmniej zdrowotne. Nie obchodzi mnie ile to kosztuje. Jeśli będzie nam potrzebne, to będziemy mogli z niego skorzystać.

Taka właśnie była Cory – kłóciła się o cholerną kurtkę, a potem wydawała tysiąc dolarów rocznie na cholerną polisę, która nie miała się na nic przydać. Rozpłakał się. Nawet nie wiedział czemu. Kobieta stała tam przez chwilę patrząc na niego, więc zakrył twarz ramieniem i obrócił się tak daleko, jak potrafił. Wyszła, ale nie mógł przestać płakać.

Wszedł Tommy i zapytał:

– Panie Dekker, chce pan zastrzyk?

Schowął głowę pod poduszkę, a Tommy wyszedł.

* * *

– Mam coś dla ciebie – powiedziała Marcie Hager w swoim biurze w rejestracji ze specyficznym wyrazem samozadowolenia, który Ben dobrze pamiętał. Zamknął za sobą drzwi jej gabinetu – przyszedł tu w reakcji na enigmatyczną notkę z prośbą, by zajrzał w wolnej chwili. Kilka dni wcześniej pod jej drzwiami pojawiła się butelka naprawdę dobrego wina. Nigdy nie odpłacało się jej za przysługi w gotówce. Ale chciało się być pamiętanym.

– Pilnuję tej sprawy z twoim roszczeniem do statku powiedziała Marcie szeptem.
– Wygląda na to, że właśnie wycofali licencję Dekkera.

Zagryzł wargi.

– Podstawa?

– Nie ujawniona. Po prostu pojawiło się w pliku.

– Mmm – powiedział. Mrugnął do Marcii i unosząc brwi powiedział: – Dzięki, wielkie dzięki.

Marcie wyglądała na zadowoloną z siebie.

– Sprawilo mi to przyjemność.

Był pewien, że miała na myśli wino. Ale to nie znaczyło, że wino było zapłatą za pomoc. Marcie myślała o awansie – o czymś związanym z kadrami. Nie zapominał o tym.

A więc wycofali licencję Dekkera.

Wyszedł z Rejestrów z rękami w kieszeniach, przeglądając w pamięci listę swoich znajomości i obecną sytuację, w końcu zdecydował się skierować do pewnego małego biura w administracji. Nic wielkiego – archiwum.

Ale pracował tam Fergie Tucker.

Fergie był w oczywisty sposób przekupny.

– Cześć Fergie – powitał go, zaglądając przez kontuar – co byś powiedział na lunch?

* * *

– Facet nie ma już licencji – powiedział Ben nad kanapką, w świetle neonów ozdabiających Io. W tej knajpie nigdy nie było się pewnym tego, co się jadło – wszystko błyskało na czerwono, zielono lub pomarańczowo, a muzyka wprawiała w drzenie wino w szklankach. Ale Tucker lubił to miejsce.

– Siedzi w szpitalu. Pewnie psychiatrycznym. Wariował, szalał całą drogę powrotną, w żaden sposób nie sterował tamtym statkiem.

Tucker pociągnął ze szklanki. Błysk światła uczynił jego wino czarnym, a potem

błysnął czerwienią na twarz Tuckera, gdy odstawiał szklanę, zabawny ruch zsynchronizowany z opadaniem muzyki w dół skali. Powietrze zdrzało, zafalowało wino. Tucker zapytał, głośniejszym niż trzeba:

- Czego właściwie chcesz?
- Przyspieszenia – powiedział, nachylając się.
- Co? – zapytał Tucker. Jego słuch wyraźnie wysiadał.
- Popchnij sprawę! – powiedział przekrzykując basy.
- Nie ma mowy, żeby facet kierował statkiem. Takie jest prawo. Musi nim kierować, albo statek staje się naszą własnością.

– Znam prawo.

– Więc?

Tucker schylił się i odgryzł duży kawałek jego kanapki. Co nie pozostawiło mu innego wyjścia, niż odstąpienie mu jej. Tucker był w szkole wszystkożerną świnią i, jak widać, pozostał nią. Ale była to wysoko postawiona świnią. I jeśli chciał, mógł przemieszczać dane.

– Wszystko jest w porządku? – zapytał w końcu, kiedy nie miał już pełnych ust.

– To podanie jest tak czyste, że aż świeci. Nagrania wideo. Przed, po i w trakcie. Czyste papiery od glin.

– Sąd śledczy? – znów z pełnymi ustami.

– Nie mieliśmy żadnych wezwań. Nic na nas. Może na niego. Ale wiem, że to prawo własności jest czyste. Jest jego. Wspólnik nie żyje, zginął tam. Wyłączna własność tego faceta, nie ma do niego żadnych roszczeń. Tylko nasze.

Twarz Tuckera była teraz pomarańczowa, z ruchomymi cieniami. Pasaż na sitarze. Uderzenie cymbałów. Bas w synkopie.

– Więc o czym rozmawiamy?

– Po prostu przepchnij go na początek kolejki.

Tucker przełknął i odezwał się cedząc słowa:

– Muszę mieć podstawę. Daj mi ją.

Odpowiedział ostrożnie:

– Jaką podstawę? – i przesunął głowę w stronę Tuckera na ile pozwalał mu stół.

Muzyka była bardzo głośna.

– Gdzie jest ten statek? I jaki jest jego status?

– W doku. Rozwalone systemy podtrzymania życia. Rozwalone zbiorniki.

W bardzo kiepskim stanie i siedzą na nim gliniarze.

– Może podlegać dalszemu uszkodzeniu?

– Możliwe. To zależy. Mamy coś lepszego?

– Przeciwności.

– Dla kogo?

– Inne roszczenia? Odnieśliście jakieś uszkodzenia?

Boże, był tak blisko, że prawie mógł go dotknąć.

– Finansowe?

– Dowolne uszkodzenia. Możesz je udokumentować?

– Tak! – wykrzywił się. Muzyka wibrowała przez stół. Wstrzymał wyjaśnienia na moment, a potem wykrzyknął: – Straciliśmy wszystkie rezerwy ściągnając tu ten wrak. Mamy debet w banku i nie mogliśmy wynająć naszego statku, bo zablokowała go policja, a teraz nie wiemy co robić. Nasz statek już dawno powinien był wyjść w kolejny rejs, mamy za sobą już sporą część naszego czasu ciężenia, a on dalej siedzi bezczynnie. Mamy kolejkę załóg, które chciałyby go od nas wynająć, ale procent dostajesz tylko kiedy statek jest w trasie.

– I co? Gdzie tu przeciwności?

– Moglibyśmy tu być z powodu wątpliwości prawnych dotyczących drugiego statku. Staramy się być w zgodzie z przepisami, ale nie wiemy, w którą stronę się obrócić. Już straciliśmy sporą część naszego kapitału i boimy się wyruszyć ze strachu, że cała sprawa przepadnie. Rozumiesz, co mówię? Czekamy już od miesiący. Zbliżamy się do chwili, kiedy powinniśmy znowu wylecieć, ale nie możemy.

– Jasne – powiedział Tucker. – Wiesz, ktoś inny mógłby nawet wcisnąć się z ofertą i przejąć ten statek, gdyby rozniosło się że jest do wzięcia, a was nie byłoby w pobliżu by, powiedzmy, naoliwić tłoki.

Tucker był prawdziwym draniem. Patrzył na niego myśląc – nawet o tym nie myśl, gnoju – podczas gdy światła zmieniały się z zielonych na czerwone, a ciśnienie krwi rosło coraz bardziej.

– Jasne – powiedział – ale my mamy trudności.

– Oczywiście, cóż, zdajesz sobie sprawę, jak cholernie trudno wypełnić te formularze. Trzeba użyć odpowiednich słów, powiedzieć dokładnie to, co chcieliby usłyszeć urzędnicy od roszczeń. I trzeba mieć kogoś, kto osobiście to tam zanieśie i położy na właściwe biurko.

– Z gwarancją?

– Z gwarancją. – Świńskie oczka Tuckera zmierzyły go z góry na dół.

– Właściciel statku zawsze ma pełno zobowiązań i nigdy pieniędzy w kieszeni.

Jak twoje finanse?

– Pięćset.

– Pięć tysięcy.

– Do diabła!

Tucker wzruszył ramionami, zmrużył oczy i ugryzł kanapkę. Muzyka przeszła w górę i w dół skali. Dobra! – wydusił z siebie Ben.

* * *

Trynidad był wolny. Wiadomość nadeszła tego ranka. Bogu dzięki. Bird opróżnił piwo do ostatniej kropelki. Miał ochotę na jeszcze jedno, ale rachunek w „Hole” był już wystarczająco wysoki. Pieprzony piętnasty sierpnia, a *Trynidad* wciąż siedział w doku.

Meg poklepała go po ramieniu i podeszła do baru. Domyślił się, co chce zrobić i zaczął się obracać by zaprotestować, ale Mike wyciągał już puszki, a Sal Aboujib położyła mu dłoń na ramieniu mówiąc:

– Piwo jest tanie, pozwól jej kupić. Jesteśmy ci winne kilka.

Jego elektroniczny notatnik pełen był liczb, które nie chciały się zbilansować. Ben wciąż argumentował za pozostaniem, Dez Green, Alvarez i całkiem sporo pozostałych niezależnych górników, którzy przywitali ich w barze po powrocie, było znów w kursach, a on w tej chwili próbował zdecydować, czy lepiej będzie narazić na szwank swoje stare kości skracając czas grawitacji, czy wynająć *Trynidad* Brownerowi i jego pomocnikowi i siedzieć w *bazie*, płacąc rachunki za noclegi i jedzenie. Może nawet wynająć statek dla Meg i Sal. Obiecać im nowy statek, jeśli go dostaną. I to wszystko biorąc pod uwagę, że wyczerpali zapasy, bank nie chciał współpracować, a cholerny SS więcej już się nie pojawił. Mogli spróbować jeszcze jednej rzeczy, żeby Odzysk obudził transmiter – ale czas komputera był drogi, a on nie był pewien czy to się opłacało. Wczoraj otrzymali kolejny SS, tym razem na mniejszej skale i nie ich, ale takiej, z której mieli siedemdziesiąt pięć procent, z wynajmu Petersonowi. Bardzo chciał wiedzieć, czy to po prostu pech, wina Petersona, czy też ktoś miał ostatnio przydział w tamtym sektorze – ale kompania nie miała ochoty dawać tego rodzaju informacji. Były na piekładzie osoby znane z porywczosci, które mogłyby zaatakować kogoś, gdyby, słusznie czy nie, nabrały podejrzeń, że zostały obrabowane. Trudno za to winić Mamuškę. Walki na łańcuchy i butelki były utrapieniem policji.

Tak więc mieli drugi SS i będą musieli zacisnąć pasa, to wszystko. A wiedział, dlaczego Meg i Sal wciąż kręciły się koło nich zamiast wynająć jakiś statek, albo nawet uderzyć do nich o wynajęcie *Trynidad*, skoro było to logiczne posunięcie.

Cieężko byłoby w tej chwili mówić im, że nie były dość dobre na podstawową załogę wynajmującą i że lepiej byłoby, gdyby poszły zalecać się do kogoś innego. Meg i Sal zalecały się do nich poświęcając na to wszystkie swoje finanse, a oni, do diabła, pozwalali im na to dzień po dniu, kiedy ktokolwiek inny nazwałby ich głupcami.

Na początku mówił im wielokrotnie: wiecie, muszę być z wami szczerzy – nie sądzę, żeby ten numer Bena ze statkiem przeszedł. Czy to je zniechęciło? Do diabła,

nie.

Powinien był powiedzieć, jasno i wyraźnie: Meg, słyszałem że jesteś doskonałym pilotem a ty Sal, jesteś niezła w obliczeniach, ale brak wam doświadczenia, umiejętności, wyczucia jak to wszystko działa...

Powinien powiedzieć to dawno temu: wy dwie nie powinnyście były nawet tworzyć zespołu – dwa żółtodzioby na jednym statku nigdy nie poprawią swojej sytuacji dostatecznie szybko, żeby zdobyć to, czego chciały.

Ale wiedział, z jakimi typami musiały się wcześniej zadawać, zanim dowiodły że mogły same wejść na *Trynidad* i dostawać statek pod wynajem. A Meg mocno się do niego zalecała, zanim pojawił się Ben ze swoimi pieniędzmi i szkoleniem – wciąż nim wstrząsało, kiedy przypominał sobie jak musiał o tym powiedzieć Meg. Zniosła to zresztą zaskakująco dobrze, choć wyglądała wtedy jakby dostała cios w żołądek. Może nawet Sal wiedziała, i pomimo tego zostały partnerkami.

Dobrze zajmą się statkiem i oddadzą go z powrotem czysty i pachnący. Po ostatnim wynajmie, dla Halla Browera, nie można było tego powiedzieć. I może lepiej sobie poradzą z przyzwoitymi mapami – drobna pomoc ze strony Bena.

Sal i Ben tworzyli ostatnio bliską parę. Znający Bena mogli się podśmiewać, a ci, którzy znali Sal nawet za milion lat nie wygraliby zakładu o to, co naprawdę działo się przez część z tych długich godzin, które spędzali zamknięci razem w pokoju. Ben podawał liczby, a Soheila Aboujib przeliczała je zawzięcie na wynajętym komputerze z zagryzioną wargą i grymasem, od którego mogłoby pęknąć szkło. Sal umiała wyglądać bardziej dziko niż dowolna osoba jaką znał, może za wyjątkiem Szalonego Boba Crawforda. Jeśli Bena opanował jakiś pomysł, trudno go było wzruszyć, ale jeśli chodziło o czystą determinację, by wprowadzić go w czyn, Aboujib i Meg Kady były w sam raz ze swoim uporem.

Mogli trafić gorzej, wciąż powtarzał Ben, w sytuacji kiedy decyzja komu wynająć nie należała do niego. On decydował, które sektory brać, a które oddawać, ale nie mógł powiedzieć, że Ben nie miał racji. Po prostu naszło go dzisiaj, że siedzą tu już dwa miesiące i dopiero uzyskali zwolnienie *Trynidad*. Mogli z Benem ruszyć w trasę...

A jednak siedzieli tu, bratając się z parą, która została razem z nimi. Nie potrafił dojść, jak się znalazł w tej sytuacji – ale kiedy gliny zrobiły na nich nalot i porozrzucały rzeczy Meg i Sal, to był naprawdę zły moment, żeby je splawić i zapomnieć o wszystkim.

Ten rano wydawał się być jeszcze gorszy, z pustym kontem bankowym i Meg płacącą za jego piwo. Wiedział, że powinien był powiedzieć: Meg, Sal, nie kupujcie mi kolejnego drinka, bo nie dostaniecie tego o co wam chodzi, marnujecie swoje pieniądze na coś, co się nie zdarzy...

Ale Meg postawiła przed nim kufel, poklepała go po ramieniu i opadła na krzesło koło niego.

– Mamy pomysł, Bird. Polecisz z Sal na *Trynidad*, a Ben i ja zostaniemy tu pilnować, żeby ta aplikacja nie przepadła w niebycie i zająć się związanymi z tym problemami. Mamy trochę pieniędzy, więc włożymy to co posiadamy do wspólnego worka z waszymi. Co o tym sądzisz?.

– Muszę powiedzieć... – to było wszystko co z siebie wydobyl w próbie desperackiego „nie sądzę, żeby to był dobry pomysł i nie mogę wziąć waszych pieniędzy...” kiedy za jego plecami rozległy się znajome kroki i ręka z impetem rzuciła przed niego papier.

Coś musiało być nie tak z jego oczami. Przez chwilę miał problem ze zrozumieniem tego, co widzi. Kawałek prawdziwego papieru. Z oficjalnym nadrukiem.

Ben wylądował na krześle po jego drugiej stronie, chwytając go za ramię, trzęsąc nim i krzyząc:

– Mamy go! Mamy go Bird!

– Statek? – Niespodziewanie wiedział już, że było to prawo własności statku. Trzymał podobne, na *Trynidadzie*, lata temu, zanim włożył je do sejfu bankowego.

– Tu jest napisane dwa dwa dziesięć Charlie. To nie ten numer...

– Ale ten sam statek. Statek z rozwalonymi zbiornikami. Zmienili jego numer. Jakby był nowy. Nowy początek. Możemy go sprzedać, albo naprawić. Bird, mamy go!

Czuł się trochę zmieszany. Napił się piwa. Meg z drugiej strony chwyciła jego ramię. Sal obejmowała Bena, a ten zamawiał drinki.

– Poczekaj chwilę! – powiedział. – Poczekaj! Wolny i czysty?

– Wolny i czysty – odpowiedział Ben. – Mamy do zapłacenia trochę rachunków, ale do diabła, mamy teraz dodatkowe zabezpieczenie!

– Jakie opłaty?

– Mamy do zapłacenia osiem, dziewięć tysięcy... plus opłaty dokowe.

– Dziewięć tysięcy!

– Administracyjne. To nic, Bird, wobec wartości statku. Policz sobie. Jest nasz!

– Nie wierzę w to.

Ben wskazał na papier, gdzie było napisane: własność wspólna i niżej ich nazwiska. To nie były warunki podziału, jakie zawsze mieli, ale do diabła, pomyślał, to Ben upolował formularze, to on je wychodził i pchał sprawę, podczas gdy Bird był przekonany, że to się nigdy nie uda.

Podszedł Mike, który usłyszał co się stało i postawił im kolejkę na koszt firmy. „Hole” nigdy tego nie robiła, ale teraz Mike uczynił wyjątek.

Mieli więcej, niż było to dla nich dobre.

Co wyszło na jaw, kiedy Ben zdradził im w jaki sposób dowiedział się, że Dekker będzie w szpitalu przez bardzo długi czas. I że wycofali jego licencję.

Uszkodzenia mózgu, jak powiedział.

– Cholera – powiedział Bird, czując nagłe mdłości.

– Hej, mówiłem ci – powiedział Ben. – Dekker to licencjonowany czubek.

– Przepchnęli go do końca? – zapytała Sal.

– Wystarczająco daleko, żeby nie robiło to różnicy odpowiedział Ben. – Jeśli ponownie dostanie licencję, to nie ma mowy, żeby dali mu pierwszą klasę. Może D3, ale nie ma szans, żeby znów został głównym pilotem. Statek jest nasz, na podstawie tego, że kiedy go znaleźliśmy był koziołkującym wrakiem, a to że Dekker przypadkiem był w środku jest nieistotne. Był bagażem. Nie mógł go zatrzymać, ani nawet pomóc samemu sobie.

Biedny facet, pomyślał Bird.

– Faktem jest – powiedział Ben – że wciąż mamy sporo rachunków na jego koszt. A jeśli wybiera się na długi spacer, nie będzie potrzebował pieniędzy – wyślą go po prostu do ziemskiej Studni. Mam wyrok sądowy na jego konto bankowe.

Tego było za wiele.

– Chwileczkę, Ben, mamy statek.

– I rachunki za naprawy. I nasze paliwo i czas w doku. Wcisną nam te wszystkie rachunki. Niemiła myśl.

– Jeszcze czyszczenie wnętrza – powiedział. – Boże, masz jakieś pojęcie ile to będzie kosztować?

– Nie wiem – odpowiedział Ben. – Ale możemy dostać zwrot kosztów.

Czuł do siebie odrazę za to, że ucieszył się z tego co usłyszał. Może przy stole było więcej odrazy. Meg i Sal zrobiły się całkiem ciche.

Ale Ben wyciągnął swój kieszonkowy notatnik i zaczął obliczenia.

– Co możemy zrobić: sami dokonujemy napraw, weźmiemy naszą rezerwę gotówki...

– Hej, poczekaj chwilę. To nasz prywatny fundusz ubezpieczeniowy.

– Nie musisz teraz myśleć w ten sposób. Ten statek jest teraz naszym funduszem ubezpieczeniowym. Mamy teraz ruchomy kapitał, Bird. Oczywiście, chcemy mieć rezerwę, ale musimy go doprowadzić do stanu używalności. Zaryzykujemy teraz, kiedy jest w tym stanie; nie wynajmiemy *Trynidad* na tę trasę, a jeśli się postaramy, wykonamy tę pracę w ciągu miesiąca i odbudujemy nasz fundusz. Uda się.

– Do diabła – powiedział. – Sam nie wiem. Ten biedny facet...

– To nie nasz problem – uciał Ben.

– Ben...

Ben rzucił mu dzikie spojrzenie.

– Nie weźmiemy nic więcej od tego faceta. Koniec. Żadnych więcej oskarżeń przeciw niemu.

Przez chwilę Ben nic nie mówił. Wyglądał, jakby był zmieszany albo zmartwiony protestem. W końcu:

– Cóż, dobrze, w porządku. Ale rozmawiamy o facecie, który może się już nie wydostać z psychiatryka.

– Jeśli się wydostanie...

– Cóż, jeśli się wydostanie, dobrze. A więc w porządku, zabieramy to a jeśli się wydostanie, oddamy mu udział. Jeśli nie, to kogo to obchodzi? – zwyciężyło w nim podniecenie, uśmiechnął się i klepnął Birda w ramię.

– Mamy go, Bird, mamy go, dokonaliśmy tego.

* * *

Mężczyźni gdzieś poszli, rozmawiając na temat sprawdzenia cen na zbiorniki, prawie szczęśliwi. Powinni tacy być. Wszystko zadziało.

Ale Meg siedziała z Sal kręcąc szklanką bezsensowne kółka, absurdalnie wystraszona, zupełnie nie wiedząc czemu. Z zasady nie była przesądna. Może nabrała zwyczaju nie ufania wygrywającej ręce – to te duże szanse zawsze bolały, te, które sprawiały że człowiek tracił rozsądek i pakował się w poważne kłopoty. Jak ten, który sprawił, że zaufała temu sukinsynowi, tam na Sol.

– Cholerny brak szczęścia – powiedziała – biedny drań wszystko stracił, nie? Stara dobra Sucza Mama. Przerznięła go naprawdę dobrze.

– Jasne – powiedziała Sal. – Czy nie tak mówił Mitch?

– A jeśli rzeczywiście zwariował?

– Ben przysięga, że tak.

– Cholernie paskudny pech.

– Kompania dostałaby ten statek. To ją rżniemy.

– To prawda.

– Założę się, że Sucza Mama naprawdę szybko przygotowuje przepisy, które uniemożliwią coś takiego w przyszłości. Założę się, że nigdy nie wymyśliła, że ktoś przebrnie przez całą tę gównianą robotę z formularzami. Liczą na to, że nie wiemy jak.

– Tak. Ale jednak wypłacili. To dowodzi, że Sucza Mama jest uczciwa, nie? Potem zmieni zasady.

Sal zagryzła policzek i przechyliła głowę na bok, z delikatnym brzękiem kolczyków.

- To sugerowałyby, że Mamuśka ma mózg. Nigdy dotąd tego nie dowiedziono.
- To prawda. Prawda tutaj i wszędzie.

Brzęk szkła.

- Za kolejnego biednego drania – powiedziała Sal na pohybel firmie.
- Yo – potwierdziła Meg – i za przepisy.
- Głupotę.
- Nieskuteczność.
- Sprzedajność.
- Czy to wydział?
- Zaraz pod tym szczurem prezesem.

Brzęk.

- Za kogoś Odpowiedzialnego.
- Pewnie jest na Marsie.
- Na pewno nie tutaj.

Ciche westchnięcie. I wyraz oczu Sal, które były śmiertelnie poważne.

- Wyrznięty – powiedziała Sal.
- Tak. Ale czy to nowina? Może będzie miał szczęście. Może wyślą go do jego strefy i pozwolą mu się znowu szkolić.
- Chcesz się założyć? Tam mógł mieć przyjaciół.
- Brak chętnych – odparła Meg, mieszając palcem swojego drinka.
- Warte popchnięcia.

Meg popatrzyła wtedy na nią, a Sal lekko wzruszyła ramionami i uniosła brwi, ze specyficznym spojrzeniem.

- Zostaw to, ty i twoi przyjaciele.
- Bez obaw, Kady.

– Jasne – Sal była zimna jak stal. Ale czasem miało się wrażenie, że myślała o czymś co narażało jej kark i ponosiło ją to. Sal była córką pasterzy. I sierotą, po jednym, głębokim nurkowaniu w Studnię.

O tym też warto było pamiętać.

Rozdział 9

Przy śniadaniu zapytali go o rozmiar buta. Teraz wyciągnęli go z łóżka, dali mu bieliznę i nowe skarpetki. Tak jak i ubranie były w kolorze niebieskim, z wyraźnymi kantami na liniach złożenia, wyglądał w nim jak przypadek z psychiatrika. Do tego nowe buty (czarne) i tani zestaw kosmetyczny. Tym razem pozwolili mu się ogolić samemu, ale włosy zwisały mu wokół uszu aż do ramion; nawet nie pamiętał, kiedy ostatni raz Cory mu je ścinała. Stał przed lustrem i zaczął wpatrywać się w tego dziwnego człowieka o zapadniętych policzkach i dzikim spojrzeniu, nie mogąc pojąć, co ten wymizerowany szaleniec ma wspólnego z Paulem Dekkerem. Nie pamiętał tej małej blizny na skroni i nie rozumiał jak mogła się do tego stopnia zagoić skoro nawet nie wiedział, że ją miał...

Tommy pociągnął go łagodnie za ramię – lubił Tommy’ego bardziej niż Alviego. Alvie po prostu wykonywał swoją pracę, a Tommy się przejmował. Zawsze dawał mu tę drobną chwilę na odzyskanie równowagi, chwilę na dojście, czego się od niego wymaga. Tommy wykonywał swoje zadania, ale nigdy nie był wobec niego brutalny, a teraz prowadził go z prawdziwą troską o wygodę.

– Dokąd idziemy? – zapytał.

– Po prostu wzdłuż korytarza – odpowiedział Tommy. – Wszystko w porządku panie Dekker.

– Nie będzie więcej testów?

– Nie proszę pana. Idziemy do biura.

Różne skojarzenia obijały mu się w głowie. Zapytał:

– Tommy, czy oni mi coś podali?

– Tak, kiedy robili testy. Wciąż oszołomiony?

– Kręci mi się w głowie.

– Tak jest. Po prostu pójdziemy powoli, dobrze? Są spore szanse, że wyjdzie pan dzisiaj po południu.

To go wystraszyło. Pomyślał: dokąd? Wypuszczą go, a on znajdzie się w miejscu, którego nie znał i nie będzie tam Tommy’ego. Sami obcy.

Tommy otworzył mu drzwi i wprowadził go do biura. Nie chciał tam zostać. Nie chciał być sam na sam z lekarzami. Tommy posadził go na krześle, a on złapał Tommy’ego za rękę i poprosił:

– Zostań tutaj.

Tommy poklepał go po ramieniu.

– Wszystko w porządku.

Przez drugie drzwi wszedł lekarz, z taką samą plakietską jak pozostali. Tommy podał mu nazwisko doktora, ale jego to nie obchodziło, po prostu chciał stamtąd

wyjsć. Ale na razie Tommy stał tuż obok niego, trzymając mu rękę na ramieniu.

Wyszedł dopiero na polecenie lekarza.

– Jak się mamy? – zapytał doktor.

– Pieprz się – odpowiedział, ale bez entuzjazmu. Czuł się jakby lewitował.

– Nie lubi pan tego miejsca, prawda?

To pytanie nie było nawet warte odpowiedzi. Chciał wrócić do łóżka, pooglądać telewizję czy coś takiego. Albo spać.

– Wciąż ma pan dziury w pamięci, panie Dekker?

Naprawdę nie wiedział. Potrząsnął głową przecząco.

– Jestem doktor Visconti. Obsługa pacjentów ambulatoryjnych. Doktor Driscoll mówi, że z panem coraz lepiej.

Możliwe, że powinien jakoś to skomentować. Nic nie powiedział, kiwnął tylko głową. Visconti kontynuował:

– Mam tu odpowiedź z administracji na pańską prośbę o sąd śledczy. Mam to panu przeczytać, czy sam pan chce to zrobić?

– Przeczytam to – odpowiedział, a Visconti wyciągnął z kieszeni kartę, wsunął ją do swojego notatnika leżącego na biurku i podał mu.

Mary Finn, Sędzia specjalny Wydział prawny, oddział techniczny Odp. śledztwo: Administracja Pasa, Oddział 2, Górnictwo i odzysk ASTEX MEMO DLA:

Mr. Paul F. Dekker c/o szpital Jamesa R. Reynoldsa R2/ASTEX MINING 8.01.23

Szanowny Panie Dekker, Zbadaliśmy pańskie oświadczenie dotyczące śmiertelnego wypadku który miał miejsce około dwunastego marca tego roku. Załączamy: 1) Świadcstwo z Odzysków, które podjęły próbę wyśledzenia kursu 1-84-Z i ustalenia miejsca wypadku; 2) Zeznanie Mohameda Fahdi, oficera dyżurnego i Lyle Xaviera Manninga, starszego kapitana statku Industry, który był jedyną jednostką tej klasy działającą w pobliżu trasy; 3) Zeznanie Francisca E. Rodrigueza, szefa operacyjnego BCOM/R1; raport Gianapaulo Belloporto, głównego inspektora ASTEX R2 DIV ECSAA. Ustalono, że katastrofalna usterka głównego zaworu wpustowego spowodowała eksplozję głównego zbiornika numer dwa na 1-84-Z, co pchnęło pojazd z nieprzewidywanym przyspieszeniem w stronę znajdującego się na mapach asteroidu 2961...

– To jest cholerne kłamstwo. Całe to pismo to jedno wielkie kłamstwo...

– Panie Dekker...

– Nie było żadnej katastrofalnej usterki.

– Panie Dekker, nie było żadnego pchacza w waszym rejonie w tym czasie.

Raport nie wskazuje, żeby pan był winny. To był bardzo nieszczęśliwy splot dwóch awarii. Podczas gdy pan manewrował, mając partnerkę na zewnątrz, w zbiorniku rosło ciśnienie. Zawiódł zawór. Powinien był włączyć się alarm, ale nie ma dowodu,

że tak się stało. Najwyraźniej nie zadziałał zawór bezpieczeństwa – brak jest tej części zbiornika, więc nie ma jak sprawdzić...

– Kim pan jest, psychiatrą czy mechanikiem?

– To część mojej pracy panie Dekker, ustalenie co zaszło, zanim zacznę panu doradzać. Nie znaleziono żadnych dowodów zaniedbań i nikt nie obwinia pana o ten wypadek.

Zamknął się, po prostu wpatrywał się w ścianę. Spieranie się kompletnie nie miało sensu.

– To po prostu nie był pańska wina, rozumie pan? To nie był niczyja wina. Będzie szczegółowe śledztwo w dziale technicznym RI, ale jak mi powiedziano, najgorsze wypadki to takie, w których zawiodły trzy systemy, ludzkie bądź mechaniczne. Na ile to rozumiem, alarm ciśnieniowy nie zadziałał. Są tego pewni na podstawie zapisu dziennika pokładowego. Ewidentnie nie zadziałał zawór bezpieczeństwa. Napisali, że sprawdzają możliwość, czy nie nastąpiło to na skutek podpięcia modułu kontrolnego do kontroli pozycji przestrzennej – możliwe, że system bezpieczeństwa spowodował wzrost ciśnienia zamiast wyłączenia systemu. Jeśli to dla pana jakaś pociecha, nastąpi zmiana projektu i przegląd tego modułu we wszystkich statkach. Niezależnie od szczegółów technicznych, eksperci twierdzą, że to w zasadzie musiało się zdarzyć podczas częstego, krótkotrwałego uruchamiania silników, kiedy podchodził pan, by zabrać swoją partnerkę. Tak więc to zupełnie nie pana wina, panie Dekker. Nie było sposobu, w jaki mógł pan wykryć usterkę, żadnego sposobu na przewidzenie jej i nic pan nie mógł zrobić, kiedy już do niej doszło. To nie jest sprawa winy. A pan odczuwał wielką osobistą winę, prawda panie Dekker?

– Cokolwiek pan powie, doktorze.

– To się nazywa przeniesienie. Okropne przeżycie, długi okres dezorientacji, okresy utraty świadomości. Wina za to czego pan nie zrobił. Wypadek z pchaczem to coś, czego boi się każdy górnik, coś, przed czym nie można się obronić, pocisk nadlatujący znikąd, szybszy niż jakiegokolwiek ostrzeżenia. Utrata kontroli. Całkiem jak ten wybuch. Tak szybko. Cory zginęła...

– Tylko nie Cory.

– Nie Cory?

– Co jest grane? Fakt, że zginęła pozwala panu mówić o niej po imieniu? Niech pan idzie do diabła, doktorze!

– Oczywiście, że pan ją chronił. Wciąż pan to robi. Ale musi pan zaakceptować, że to nie pańska wina. Coś wybuchło. Gdzieś tu może być niedopatrzienie, ale nie z pańskiej strony. Tam był pchacz, ale w sąsiednim sektorze. Nie strzelał. Wydarzenia, które pan wymyślił, nie miały miejsca. I nie musiały się wydarzyć, żeby

był pan niewinny. Musi się pan uwolnić od tych fantazji. Pańska partnerka nie żyje. Nie ma najmniejszej szansy, żeby wciąż żyła. Nie ma nadziei. Nie było od kilku pierwszych godzin zaraz po wypadku. Musi pan z tego zrezygnować. Trzeba teraz zająć się sobą, panie Dekker.

– To cholerne kłamstwo – powiedział. – Nie było tu pana poprzednio, prawda? Dotąd mówili, że w ogóle nie było żadnego pchacza. Teraz zmienili wersję.

– To nie inna wersja, panie Dekker, bo zapisy są przechowywane. Miał pan prawie rację, ale zapamiętał pan nie tę pozycję. Umysł potrafi robić takie rzeczy. W waszej okolicy nie było pchacza. BAP w R1 i w R2 porównały zapisy. Teraz znają pański kurs. Na początku go nie znali. Teraz są pewni, że w pobliżu wypadku nie było pchacza.

Nie miał na to odpowiedzi. Jego kontrola nad zdarzeniami z przeszłości była zbyt niepewna. Zdecydował się nic nie mówić, zanim wyjaśnieniami pozbawią go kolejnego fragmentu pamięci.

Doktor odebrał mu notatnik i wsadził w szczelinę kolejną kartę.

– Panie Dekker, czy jest pan gotów stąd wyjść?

– Jak cholera.

– Przez jakiś czas będzie pan pacjentem ambulatoryjnym – podsunął mu urządzenie. – Na recepcie dostanie pan środki nasenne; z tego co wiem nadal ma pan problemy z koszmarami sennymi. To normalne. Musi pan pamiętać i poradzić sobie z tą tragedią. Myślę, że pan to rozumie. Ale będzie pan miał leki, gdyby ich pan potrzebował – sięgnął w jego stronę, podając świetlne pióro – proszę się podpisać u dołu, z dzisiejszą datą.

Dekker nacisnął przycisk, przewinął do przodu. Było tam napisane „... zgadzam się z powyższym orzeczeniem...”

– Nie – powiedział i wyciągnął notatnik w stronę doktora. – Nie zgadzam się.

– A więc nie czuje się pan gotów do zwolnienia.

Doktor nie zabrał notatnika. Został w drżących dłoniach Dekkera. Pomyślał, że jeśli to podpisze, to nikt nie zapłaci za to co zrobili. Zabili Cory, a ja ją zawiodłem, w końcu nawet ja ją zawiodłem...

Ale jeśli tu zostanę, zrobią ze mnie wariata. Mogą mówić dowolne kłamstwa.

Czym jest sprawiedliwość, jeśli nie ma nikogo, kto mógłby ich nazwać kłamcami?

Oparł płytkę notatnika na stole i podpisał się, pomimo koszmarnie trzęsących się rąk. Jego pole widzenia rozmyło się. Oddał notatnik lekarzowi.

– Czy może pan teraz przyznać chociaż – zapytał doktor – że to mogła być eksplozja? Że to mógł być wypadek? Czy może się pan posunąć tak daleko, panie Dekker? Może pan to teraz przyznać?

Pokiwał głową.

– Panie Dekker?

– Tak – powiedział.

– Dobrze – powiedział Visconti, po czym wyciągnął kartę danych z notatnika i schował ją do kieszeni. Podniósł się z krzesła.

– Proszę ze mną panie Dekker, pójdziemy pana wypisać.

Wstał. Bolały go wszystkie stawy. Wyszli przez zewnętrzne drzwi na korytarz, z którego obecności nie zdawał sobie sprawy. Tak bardzo chciał, żeby był z nim Tommy.

– Niech się pan nie przejmuj zesztywnieniem mięśni – powiedział Visconti gdy szli. – Chcę, żeby pan chodził. Proszę wykonywać nieurazowe ćwiczenia – nie są panu potrzebne złamania, które skomplikowałyby sytuację. Żadnych skoków i joggingu. Proszę przestać, jeśli poczuje pan jakiś ból w plecach. Karta, którą panu damy, zawiera wszystkie wskazania, z dawkami i ostrzeżeniami. Nie muszę pana ostrzegać o obniżonym poziomie wapnia, kamieniach nerkowych i tego typu rzeczach. Na pewno nie są panu obce regulatory kalcytoniny. To co panu zapisałem nie powinno wywoływać żadnych interakcji, ale proszę poważnie traktować wszelkie symptomy i precyzyjnie stosować się do zapisanego rozkładu ćwiczeń, z dokładnością do liczby powtórzeń. Jeśli będzie pan miał nadmierne problemy ze snem, proszę się ze mną skontaktować. Jeśli w moczu pojawi się krew, jakieś ostre bóle głowy, problemy z widzeniem, halucynacje czy ból w klatce piersiowej, proszę włożyć tę kartę do najbliższego czytnika, wcisnąć 888 i nie odchodzić. Znajdzie pana ekipa ratunkowa.

– 888.

– Tak jest. Jestem pańskim lekarzem prowadzącym. Proszę się nie wahać dzwonić do mnie. – Doszli do kontuaru w holu, który ciągnął się w stronę plamy światła.

– To jest pacjent Dekker, Paul F. Czy mógłby pan znaleźć jego rzeczy? – Visconti wyciągnął rękę – powodzenia, panie Dekker.

Może postąpiłby odważniej wysyłając Viscontiego w diabły. Ale to mogłoby cofnąć go znów do tej drugiej sali, z jeszcze większą ilością świństw wstrzykiwanych do żył i z lekarzami wciąż pytającymi go o dziury w pamięci.

Potrząsnął ręką Viscontiego i samotnie czekał przy kontuarze kiedy tamten odszedł. Trzęsły mu się nogi, a w uszach mu szumiało. Bał się, że upadnie, a oni zabiorą go z powrotem do łóżka, więc usiadł na rozkładanym krześle, od czego zaboląły go plecy i czekał aż ktoś przy okienku wywołał jego nazwisko.

Dali mu jego kartę i kazali podpisać kolejne oświadczenie, że ją otrzymał, a także rzeczy osobiste i leki. Dali mu ich całą torbę, potem drugą, zawierającą jego zegarek,

stare ubranie i stymbinezon. Podpisał i jeszcze raz musiał wsadzić swoją kartę do czytnika na kontuarze.

Wcisnął potwierdzenie, potem odczyt, żeby przekonać się co zobaczy, a ekran czytnika pokazał mu dwie ważne sprawy: numer konta w ASBANK i numer polisy. Przeczytał, że jest piętnasty sierpnia, oraz że wszystkie aktywne środki znajdują się w trakcie transferu do oddziału R2 ASBANK.

I poniżej: Licencja pilota – wycofana.

Przez chwilę nie mógł się ruszyć. Odezwał się urzędnik w okienku:

– Panie Dekker? – I zapytał, czy wszystko w porządku.

Nie mógł myśleć. Niedaleko były drzwi, wyjście, więc zabrał swoją kartę z czytnika i wyszedł w światło.

* * *

Nie miał pojęcia gdzie się znalazł, kiedy wyszedł ze szpitala, po prostu szedł wzdłuż beżowych ścian korytarza bez żadnej konstruktywnej myśli, za wyjątkiem tej, że opuścił szpital i nikt go nie zatrzymał.

Jednak zrobił to policjant. Zablokował mu drogę i zapytał o kartę identyfikacyjną, a on stał tam wystraszony, że zabiorą go z powrotem, podczas gdy ludzie w garniturach przechodzili obok ignorując sytuację.

Gliniarz włożył jego kartę do swojego czytnika z miną wyrażającą przekonanie, że ma do czynienia co najmniej ze złodziejem, a jeśli na pokładzie wydarzyło się cokolwiek złego, to on będzie głównym podejrzanym. Po czym wciąż z tym wyrazem twarzy popatrzył w głąb korytarza i powiedział w przestrzeń:

– Dobra, potwierdzam, dzięki – następnie oddał mu kartę z odrobinę mniejszą wrogością i schował swój czytnik.

– Prosto ze szpitala, tak?

– Tak jest sir.

– Potrzebuje pan jakiejś pomocy, panie Dekker?

– Nie, sir. Poradzę sobie.

– Gdzie się pan zatrzyma?

– Nie wiem jeszcze. Piekład.

– Kolejka w tamtą stronę, jakieś sto metrów. Najlepszy będzie ostatni wagonik. Czwarty albo piąty przystanek.

– Dziękuję – powiedział i pomaszerował w kierunku wskazanym mu przez policjanta. ASTEX nie chciał próżniowców chodzących po ich czystym pokładzie, zostawiających ślady na pokrytych panelami ścianach. Rozumiał zasady. Nawet nie splunął na podłogę. Dowłókł się do stacji kolejki, oparł o ścianę i zaczął aż

nadjechały wagoniki i otworzyły się drzwi. Na zewnątrz wyszli ludzie w garniturach a on wszedł i usiadł w pustym wagoniku. Wsiadła jeszcze jedna kobieta i zajęła miejsce naprzeciw niego, wcale nań nie patrząc, co było sporym osiągnięciem. Kolejka ruszyła. Na następnej stacji ktoś się dosiadł. W końcu wszystkie typy w garniturach wysiadły, zamienione przez próżniowców. Na ekranie pojawił się napis: „Następny przystanek poziom dwa” i kolejka zmieniła kierunek ruchu, wspinając się na wyższy poziom.

Byłoby lepiej, gdyby mógł się rozpytać po drodze. Ale nie robiło się tego. W pociągu wszyscy milczeli, tak samo jak w RI. Na ekranie informacyjnym pojawiły się reklamy zbliżających się lokali, grzmiała muzyka. Na pierwszym przystanku wypisane były głównie biura AP. Drugi był handlowy. Na trzecim były głównie noclegownie, sale gimnastyczne i bary. Tam właśnie wysiadł, wprost w szalejący hałas piekła.

Chwiał się nieco idąc, ale to nie było tu nic szczególnego, z takiej czy innej przyczyny. Wyglądał jak obłąkany i niósł plastikową torbę wypełnioną całym majątkiem i to też nie było tutaj niczym nadzwyczajnym – zwykły ruch piekła. Zaczepiali go jacyś osobnicy z zapędami apostołskimi, krzycząc coś o Bogu, dniu sądu i obcych, chcieli żeby wszedł i posłuchał taśmy. Ale nie słuchał ich, pragnął, by zostawiono go w spokoju, więc facet powiedział mu, że trafi do piekła.

Przez chwilę się zgubił – mógłby uwierzyć, że nigdy nie był w szpitalu, że nigdy nie było żadnego wraku: wszystko wokół niego wyglądało i brzmiało jak w RI, jego domu przez ostatnie dwa lata. Ale nazwy były inne...

Nigdy też nie było tu Cory. Jego oczy i uszy mówiły mu, że w końcu trafił do domu, ale ludzie wokół niego byli zajęci swoimi sprawami, w sklepach i barach z innymi nazwami.

Szedł, dając się ponieść tłumom ludzi, którzy należeli do tego miejsca. Nie wiedział, czego chce. Z wysiłku, od którego odwykł, zaczęły go boleć kolana, stopy i ramiona. Przypomniał sobie ze swojego długiego koszmaru na statku, że bardzo chciał wtedy piwa. Więc w procesie odzyskiwania kontroli nad swoim życiem wszedł do wygodnie wyglądającego baru o nazwie „Pacific”, z plastikową rybą, takąż rafą koralową i niebieskimi światłami nad barem. Klientelę – około dziesięciu osób – stanowili głównie robotnicy dokowi i załogi pomocnicze.

Kształty i cienie, których nigdy nie widział, żywo przypominały mu Stację Sol, gdzie miał matkę, która szczerze przejęłaby się, gdyby wiedziała w jakie bagno się wpakował.

Powiedziałyby:

– Paul, czy nie ostrzegałam cię, że tak będzie? Nie mówiłam ci, że jesteś skończonym głupcem? – Powiedziałyby, z oczyma wypełnionymi łzami

i zrozpaczona do granic wytrzymałości: – Paul, jak do diabła mam cię z tego wyciągnąć? Kosztowałeś mnie wszystko, co w życiu osiągnęłam. Zrobiłeś dokładnie wszystko, żeby to spieprzyć. I co ja mam teraz dla ciebie zrobić?

Gdyby został na stacji, wzięliby go do wojska. Żadnej ważnej pracy, osiemnaście lat i brak medycznych przeciwwskazań, powołaliby go z pewnością. A tego ona też nie chciała, w tym się zgodzili. Chciała go pocałować na dowidzenia, ale on był speszony i odchylił się, ostatni raz kiedy ją widział, poniżony, bo matka pocałowała go przy ludziach. Teraz rozumiał, jakim był utrapieniem. Po całym tym żalu na który nie zasłużyła, telefon od dorosłego syna mówiącego, że wraca do domu był ostatnią rzeczą jakiej chciałyby Ingrid Dekker. A wtedy zostałby wessany przez wojsko. Jeśli zechcieliby certyfikowanego wariata...

Czy mogli coś dla siebie zrobić? Nie mógł wziąć jej pieniędzy. Albo spokoju ducha, jakkolwiek teraz był. A ona nie mogła mu pomóc.

Zamówił piwo i podał barmanowi swoją kartę, mając nadzieję, że szpital nie zabronił mu alkoholu – niezbyt dobry pomysł dla człowieka na środkach uspokajających, ale nie dbał o to. Barman przyjrzał mu się i wsadził kartę do czytnika, z którego mógł dowiedzieć się tyle ile potrzebował wiedzieć, czyli czy klient mógł zapłacić za to co zamówił, i czy miał otwartą kartotekę w policji.

Pokazało się info medyczne, widział fragment ekranu z miejsca które zajmował przy barze. Ale facet nie klócił się o piwo, po prostu wyciągnął jedno i podał mu, a on znalazł sobie wolne miejsce i usiadł, popijając piwo z zamkniętymi oczami, podczas gdy względna pustka w jego mózgu zaczęła powoli wypełniać się obrazami, których nie chciał sobie przypominać. Popatrzył na rzeczy odebrane ze szpitala, wyciągnął z torby zegarek i założył go na rękę.

Wyczytał z niego: 06.06.23– 15:48:10, 15:48:11; patrzył jak zmieniają się sekundy i pomyślał, że data się nie zgadza. Jest sierpień. Piętnasty sierpnia.

Cory jest gdzieś tam. Cała czerni, pustka wokół niej.

Widziała wybuch, widziała statek – mógł przelecieć zaraz obok niej...

Do cholery, nie! Nie zobaczyłaby, bo nic takiego nie miało miejsca, to nie była wersja lekarza. Nie było żadnego uszkodzonego zaworu, był pchacz... klócił się z nim:

– To nasze znalezisko, słyszysz? – Przyrzędy oszalały, wył alarm kolizyjny, a on krzyczał w kółko: – A-20, Mayday, Mayday, mój partner jest na zewnątrz... Ty cholerny idioto. Co ci się wydaje, że robisz?

Zasłonił oczy dłońmi rozmyślając o tym, jak dziennik pokładowy mógłby ujawnić zapis tych przyrzędów. Lekarze mówili co innego, ale możliwe, że gliny nawet nie dostały się na statek – lekarze za grosz nie znali się na technice i nie obchodziło ich to, podawali po prostu coś, co powinno było go uciszyć – taką mieli

pracę i nie chcieli, żeby ją utrudniał. Znając sposób w jaki działała Kompania, policja pewnie też nawet nie zajrzała do dziennika, po prostu jakiś sędzia zebrał raporty od pchacza, który nie robił żadnych zapisów swojej pracy, a operatorzy w AP nie chcieli przyznać...

...przyznać, że pchacz zabrał im skalę.

Głowa spuchła mu z chęci zemsty. Oderwał się od argumentacji Kompanii. Pomyślał o pigułkach i przejrzał je, czytając etykiety.

Ale poza tym...

Znów spojrzał na zegarek. Piętnasty sierpnia. Wypadek... (nie wypadek, do cholery). To było dwunastego marca.

Od dwunastego do trzydziestego pierwszego marca jest dwadzieścia dni. Dwadzieścia plus trzydzieści w kwietniu to pięćdziesiąt. Pięćdziesiąt plus dwadzieścia jeden z maja, to siedemdziesiąt jeden.

Pierwszy stycznia do dwunastego marca. Trzydzieści jeden dni w styczniu, dwadzieścia osiem w lutym, mówili że to nie rok przestępny i dwanaście w marcu. Trzydzieści jeden i dwadzieścia osiem i dwanaście daje siedemdziesiąt jeden dni. Siedemdziesiąt jeden dni do czasu aż mnie znaleźli. Siedemdziesiąt jeden dni od pierwszego stycznia do wypadku. Nie. Od wypadku – to dlatego zegarek wskazywał dwunastego. Liczby się wyrównują, to wszystko. Ale pomiędzy wtedy i teraz – czy to przypadek? Czy może miesiące zawsze tak mają? Co trzydziestki i trzydziestki jedyńki mają wspólnego z czymkolwiek?

Nie potrafił myśleć. Jego myśli ześlizgiwały się z każdej dłuższej ścieżki, którą usiłował podążyć. Bolała go od tego głowa. Użył swojej karty danych do zresetowania zegarka. Sierpień. Piętnastego. To było to. Wskazywał teraz piętnastego sierpnia, a Cory była gdzieś tam, na zewnątrz, podczas gdy on siedział w barze na R2. Minęło pół roku, część z tego stracona w ciemności, część na statku, trochę w szpitalu. Piętnasty sierpnia. Jego karta była tu aktywna, na R2 i nawet słowem nie zająknęli się o wysłaniu go do domu. Przypuszczał, że nie mieli ochoty na wydatek.

Albo nie chcieli, żeby mówił.

Pieprzyć to – gdyby znał kogoś na piekładzie...

Jeśli przyprowadzili jego statek, jeśli... miałby z czego żyć...

Pamiętał o zawieszeniu licencji – lekarze powiedzieli, że to deprywacja tlenowa i uszkodzenia neuronów, bo zrzucił na ziemię głupie pudełko i wkurzył jakiegoś doktora, dlatego mu to wpisali. Albo przepchnęli to z powodu wypadku – grunt, że oczyścili go z niego. Mógł naprawić przynajmniej tę część swoich problemów, która związana była z licencją, pozbyć się drżenia, wyspać się, poćwiczyć w sali gimnastycznej...

Wszystko co musiał zrobić, to zgłosić się i jeszcze raz zaliczyć egzamin. Nie

będzie problemu.

Z wyjątkiem wymaganej liczby godzin...

Kompania będzie rozsądna? Poczul falę mdłości.

Będzie musiał ponownie zaliczyć testy medyczne, tym razem zakładając te cholerne obręcze na drążek. Mógł dowieść, że licencja nie powinna być wycofana. Doprowadzenie statku do porządku mogło pochłonąć wszystko co miał – rozwalone zbiorniki, cały ten brud po tym jak wysiadły systemy podtrzymania życia – ale większość czyszczenia mógł zrobić sam – jeszcze opłaty dokowe... Przybyli kiedy, dwudziestego szóstego lipca? Dwudziestego szóstego czerwca?

Boże, nie chciał już myśleć o czasie, nie chciał dodawać liczb, martwić się o finanse albo doliczać się, ile stracił. Ale skoro raz zaczął, nie potrafił przestać. W stanie w jakim się znajdował nie potrafił dojść do porządku z liczbami, nie miał też pojęcia ile mogą kosztować zbiorniki. Dwadzieścia, trzydzieści tysięcy sztuka. Trochę powinien dostać za złomowanie starych, ale to z pewnością wymagało udziału banku, a zablokowali mu konto. Być może lepiej byłoby sprzedać statek i wkupić się na jakiś inny...

W barze była publiczna konsola. Podszedł do niej ze swoim piwem i torbami zawierającymi jego tabletki oraz resztę dobytku, wsunął kartę, przebił przez powierzchowne informacje do szczegółów.

APLIKACJA O TRANSFER FUNDUSZY: 47 289,08 Z ODDZIAŁU RI ASBANK DO ASBANK R2. DOSTĘPNE PO SZEŚĆDZIESIĘCIU DNIACH. INFORMACJA UDOSTĘPNIONA 8.15.23. AKTUALNIE DOSTĘPNE ŚRODKI: 494,50.

Sześćdziesiąt dni. Boże. Co mogło wymagać sześćdziesięciu dni? Chciał się dowiedzieć gdzie jest jego statek, na której kei i ile jak dotąd wynoszą opłaty. Wstukał: 1-82-Z: STATUS.

Komputer R2 odpowiedział: NIEDOSTĘPNY.

Spieprzone. Nie było na tym świecie takiej rzeczy, której nie spieprzyłaby jakaś cholerna agencja.

Wyjął kartę ze szeliny, podszedł do baru i zapytał:

– Czy mogę skorzystać z telefonu?

Barman wyciągnął rękę, więc podał mu swoją kartę do ściągnięcia opłaty i został dopuszczony do telefonu wiszącego na ścianie przy końcu baru.

Wywołał informację i poprosił ją o numer biura doków, wcisnął „połączenie”, przeczekał nagranie powitalne, wybrał opcję 2 i cierpliwie popijał piwo, podczas gdy jego połączenie oczekiwało w kolejce. W końcu głos żywego człowieka potwierdził odbiór, więc powiedział:

– Paul Dekker, właściciel jedyńki osiemdziesiąt cztery Zebra. Powinna być

w doku, ale komputer mówi mi, że dane niedostępne, może mi pan powiedzieć...

– Potwierdź, jedynka?

– Tak. Doholowany. Może być w remoncie.

– Chwileczkę. Powiedział pan, że nazywa się Dekker?

– Paul Dekker.

– Chwilkę, panie Dekker.

Pociągnął kolejny łyk piwa i oparł się o blat, ciężko oddychając. Miał dość niekompetencji, do diabła, dość lekarzy kłócących się z nim na temat tego co widział, a co nie i nie był gotów na rozpoczęcie rundy z kierownictwem doków. Cholernie trudno było zgubić statek rozmiarów *Wdy Out*.

– Panie Dekker, ten statek tu był. Ale nie widzę żadnych informacji o nim. Proszę poczekać.

Długie oczekiwanie, popijane piwem by uspokoić gwałtownie bijące serce.

– Panie Dekker?

– Tak.

– Jest pan pewien, że ten statek nie wyszedł?

Był na granicy szaleństwa. Powiedział:

– Jestem właścicielem i pilotem. Nie, nie wyszedł. Nie powinien być wyjść. Niech pan sprawdzi remonty.

– Sprawdź. – W głosie operatora słychać było przejęcie. Najwyższy czas.

Przyglądał mu się barman. Pojawiła się grupka wojskowych, przyciągając jego uwagę. Nie widywał ich na RI. Ale byli klientami. Ucieszył się z odwrócenia uwagi. Nie był w nastroju odpowiadać na pytania barmana.

Barman serwował drinki, czekanie przeciągało się.

Żołnierze usiedli przy stole, a barman zasygnalizował do niego pytanie czy napelnić naczynie.

Pchnął kufel po barze, wciąż czekając, słuchając muzyczki z automatu.

– Panie Dekker? – rozległo się z telefonu.

– Tak.

– Przełączę pana do szefa. Proszę poczekać.

Miał niedobre przeczucie. Sunąc po barze przypłynął kufel z jego piwem. Zatrzymał go i upił trochę, nie poświęcając temu niemal wcale uwagi.

– Pan Dekker? – inny głos, starszy.

– Tak.

– Panie Dekker, numer tego statku został zmieniony. Właśnie patrzę na zapis.

Nazywa się pan Paul F. Dekker. Proszę potwierdzić, podając swój numer identyfikacyjny.

– 12-9078-79.

– Tak jest. Prawo własności przeniesiono wyrokiem sądowym. Został zajęty jako mienie uratowane.

Przez chwilę nie mógł oddychać. Napił się piwa, aby doprowadzić krtań do porządku.

– Czy facet który go przejął nie miał na imię Bird? Albo Benjamin cośtam?

– Nie powinienem dawać panu tego rodzaju informacji, panie Dekker. Mogę panu podać nazwisko sędziego i numer sprawy. Jeśli ma pan pytania, to sugeruję udanie się do działu prawnego. My nie decydujemy. My po prostu zapisujemy co nam powiedzą. Bardzo mi przykro.

– Jasne. – Miał kłopot z oddychaniem. Nie miał karty, by zarejestrować dane, które przesłało biuro doku. Nie chciał prosić barmana o jej podanie, więc trafiły tam, gdzie trafiły dane, kiedy nie wcisnęło się przycisku zapisania.

– Dzięki.

– Powodzenia panie Dekker.

Kierownictwo doku rozłączyło się. Wcisnął przycisk, wywołał informację i wszedł do rejestru. Tym razem wybrał pierwszą opcję i zapytał maszynę o M. Birda.

Bird, Morris L.: 2-29-T, keja 29 i 2-210-C w remoncie.

Rozłączył się z rejestrem i poszukał informacji o Morrisie Birdzie. Uzyskał numer telefonu.

Zadzwoił tam. Głos w słuchawce zapytał:

– „Black Hole”?

– Czy to noclegownia?

– Noclegownia i bar. W czym mogę pomóc?

Rozłączył się. Pociągnął duży łyk piwa i podniósł swoje torby. Zapytał barmana:

– Gdzie jest „Black Hole”?

– Jakies trzy drzwi dalej. Jakaś sprawa, *mister*?

– Tak – odparł. I wyszedł.

Rozdział 10

Czas ciężkości przede wszystkim był jedyną szansą na obejrzenie wszystkich filmów, które się przepuściło, na jedzenie nie aprobowane przez dział zaopatrzenia, twarze, których nie zobaczy się przez kolejne trzy miesiące i wiadomości, których nie miało się w przestrzeni. Tam jedynymi dostępnymi informacjami były nadawane przez Mamuszkę bzdury w rodzaju, że produkcja gazu w R2 wzrosła o 0,3 %, czy – wystąpiła dziś niegroźna sytuacja awaryjna w dwunastej sekcji rdzenia, kiedy to na skutek obluźowania węża wyciekło dziesięć tysięcy litrów wody...

Umysł przywoływał intrygujące obrazy – ale to była zbyt chuda strawa, by na niej wyżyć. Prawdziwym życiem był czas ciężkości: recenzje filmów z pierwszej dziesiątki listy przebojów nadawane przez Mamuszkę do statków w Pasie pomagały tylko dowiedzieć się, co koniecznie należy obejrzeć po powrocie. Sucha tablica wyników piłki ręcznej nie była substytutem osobistego obejrzenia poszczególnych meczów, a elektroniczne warcaby z partnerem już z całą pewnością nie mogły zastąpić seksu.

Czas ciężkości był wszystkim na co można było sobie pozwolić, poza godzinami w publicznych salach ćwiczeń i socjalizacji w noclegowniach oraz barach, czy podczas grzebania po sklepach. Tak naprawdę niewiele można było kupić oprócz jedzenia i towarów podstawowych, bo statek górniczy nie miał miejsca na trzymanie przedmiotów, które nie były niezbędne – większa masa wymagała paliwa. Tylko doświadczenie nie ważyło wiele, chyba że wokół talii, więc na piekądzie najpopularniejsze były usługi: zaspokajanie potrzeb kulturalnych, kulinarnych i seksualnych.

A jeśli para towarzyszy znikąca po pracy aż do kolacji, razem ze sporą sumą z konta, można było się domyśleć, że chodzi o jedno z powyższych.

Nawet jeśli oznaczało to robienie samemu zakupów zaopatrzeniowych i zajmowanie się ludźmi, którzy chcieli wynająć statek, nie można ich było zbyt winić. I Bird tego nie robił. Ben nigdy dotąd nie miał takich inklinacji, ciężko pracował nad sprawami prawnymi i formularzami, załatwił interes o zainstalowanie zbiorników z ekipą naprawczą Kompanii.

Ale zostawienie go, by odbierał telefony...

Zwykle załogi podnajmujące, które chciały dostać *Trynidad* albo *Way Out* – tym można było wytłumaczyć. Nie byli szczęśliwi, ale rozumieli. To cała horda różnych chwilowo bez partnera, większości z nich nie można byłoby nawet zaufać, że będą potrafili trafić do osi i z powrotem. Dzwonili, jak tylko statek pojawił się na liście, a dowiadując się, że *Trynidad*, świeżo się na niej znalazłszy, nie była do wynajęcia, próbowali się kłócić. W dodatku wiedzieli, że całkiem nowy statek *Way Out* miał być

wynajęty niejakim Kady i Aboujib, które miały mniej doświadczenia od nich, za to dwuznaczną reputację...

Cóż, przynajmniej upewniał się, że zdecydowanie nie powinien tym typom statku wynajmować. Na ostatni z tych telefonów odpowiedział:

– Sam się pieprz, facet. Niech mnie diabli, jeśli dostaniesz jakiś statek, którym się zajmuję – i rozłączył się.

Po czym przeszedł, pomimo spojrzeń rzucanych z nad innych stolików, do tego przy samych drzwiach, gdzie siedział nad liczbami z Meg – rachunki i jeszcze raz rachunki, z tego tygodnia, głównie za części do *Way Out*. Usiadł i potrząsnął głową.

– Kolejny dureń – powiedział i wcisnął przycisk „restore” na swoim notatniku, usiłując przywołać uprzedni tok myśli i marząc jak diabli, żeby wciąż dawano papierowe rachunki zamiast cholernych, odbijających światła lamp okienek na ekranie notatnika. – Waylard Fleming. Nigdy nie dam statku temu sukinsynowi i chwilowo jestem cholernie zadowolony. A tak swoją drogą gdzie, do diabła, znikli Ben i Sal?

– Myślę, że poszli do kina.

– Wydają pieniądze – potrząsnął głową. – Nie wiem co się z nim stało.

Meg uniosła brwi i powiedziała:

– Daj spokój, Bird, wiesz co się z nim stało.

Nie, całkiem szczerze nie miał pojęcia, dopóki Meg tego nie powiedziała – i ta świadomość wywołała w nim niesmak. Ben i Sal? Zimny, wyrachowany Ben?

Z Sal Aboujib?

– Nie zauważyłeś tego? – zapytała Meg. – Och, daj spokój, Bird.

Spali razem, do diaska, robiąc to non stop, ale takie były młodzieńcze hormony. Meg zasugerowała coś innego. Facet taki jak Ben, który oszczędzał każdy grosz jaki wpadł mu w rękę, wydający je potem na kobietę?

Ben – jego współnik od liczb – uwodzony przez swoją odpowiedniczkę u Kady? I doradzający mu, wbrew jego ocenie, komu wynająć statek?

Podczas gdy rozmawiał przez telefon, Meg podsumowała kwoty wydatków. Miała lepszą głowę do bilansów bankowych niż on, była cholernie ładna i czasem, patrząc na nią, dochodził do wniosku, że nawet jego stare, ziemskie oczy mogły przyzwyczaić się do widoku podgolonej z boków czaszki i kolczyków. Jej zainteresowanie mogło podtrzymać w człowieku chęć życia.

A co właściwie robił on sam, śpiając z Meg Kady, podczas gdy zdarzały się całe okresy pobytu na stacji, które spędzał nawet bez spojrzenia na kobiety? I co napadło Bena, że wydawał pieniądze na zachcianki Sal?

Bał się, że znał odpowiedź na te pytania i być może miał prawo się wściec. Może powinien złapać Meg za ucho i uratować Bena przed sztuczkami Sal.

Problem z tym scenariuszem polegał na tym, że...

Na jego ramieniu wylądowała ręka, obracając go i unosząc z krzesła.

Uderzenie pięści rzuciło go na stół. Uniósł stopę, by zablokować kolejny atak i rozpoznał stojącego przed nim, chyboczącego się szaleńca o dzikich oczach.

Wszyscy zerwali się z krzesel, Meg trzymała już swoje uniesione, Mike prawdopodobnie dzwonił po policję, a Dekker stał tam, wyglądając jakby sam ten fakt wymagał od niego zbyt wiele wysiłku.

– Gdzie mój statek?! – wrzasnął na niego Dekker.

Bird ostrzegawczo uniósł dłoń, zanim Meg walnęła go krzesłem.

– Uspokój się – powiedział i krzyknął do Mike'a Arezzo za barem: –

W porządku, Mike, znam tego wariata.

– Masz cholerną rację, że mnie znasz! – powiedział Dekker. – Wychodzę ze szpitala, dzwonię do doku, żeby odebrać rachunki i czego się dowiaduję?

Szczeka nie była złamana, ale mógł się poluzować ząb. Sturlał się ze stołu i stanął na nogach, wsparty na ramieniu Meg.

– Czy to Dekker? – zapytała.

– Dekker – odpowiedział. – Siadaj synu, wyglądasz jakbyś przeszedł piekło.

– Byłem tam – Dekker złapał krzesło i oparł się na nim ciężko, łapiąc oddech. – Ty cholerny złodzieju.

– Spokojnie, nie denerwuj się.

– Spokojnie! Ukradłeś mój statek, ty kłamliwy hipokryto! Nie było to coś, co chciałoby się omawiać przy sąsiadach. Mike Arezzo zapytał z za baru:

– Chcesz, żebym wezwał gliny, Bird? – Przy stołach w całym pomieszczeniu ludzie nadstawiali uszu. – Nie pozwolę na rozwalenie mojego lokalu.

– No, zrób to! – wydyszał Dekker. – Tym razem to ty udowodnij, że jestem wariatem, żebyś nie musiał się mną przejmować. Oni już zajmą się resztą – przecież tego chcesz, nie? To dla mnie przygotowałeś. Zabrałeś wszystko inne, dlaczego nie skończysz roboty?

– Mike, stawiam mu drinka. Chcę z nim porozmawiać, jest w porządku.

– Nie będę rozmawiał z cholernym złodziejem!

– Piwo Mike, on już to pił. Usiądź, Dekker. Siadaj!

Dekker dyszał ciężko, wciąż opierając się na krześle.

– Potrzebuję zapisów dziennika pokładowego. Daj mi tylko te zapisy z dziennika, to wszystko czego chcę...

– Nie mam ich – powiedział. A kiedy Dekker wciąż stał, patrząc na niego, dodał:

– Został kompletnie wyczyszczony zanim go oddali. Święta prawda. Nie zamierzają pozwolić, by ktoś zajrzał do cudzego dziennika, nie mam pojęcia, czy go skopiowali, ale cała jego taśma z zapisem została kompletnie wyczyszczona kiedy do nas trafił.

Zero. Nic tam nie ma.

Dekker zrobił się całkiem biały.

– Pieprzona Kompania zabiła moją partnerkę, mówią, że nigdy nie było w pobliżu żadnego pchacza... wyczyścili mój dziennik...

– Chłopcze, zamknij się i usiądź.

– Wiesz, że ten pchacz tam był. Wiesz jaka była prawda, zanim ją zmienili...

Meg wyciągnęła rękę.

– Bird...

– Spokojnie, Meg. No usiądź wreszcie. – Ludzie opuszczali lokal, zwalniając miejsce.

Dekker trzasnął dłonią w krzesło i opuścił głowę, potrząsając nią przecząco. Abe Perski, mijając go w drodze do wyjścia, powiedział:

– Niezbyt mądre, chłopcze. Rozumiesz?

Abe wyszedł. Mike był wkurzony z powodu swoich klientów i hałasu, przyniósł piwo i powiedział:

– Uciszcie tego faceta. Nie potrzebuję tu takich kłopotów.

– Zajęliśmy się nim – powiedziała Meg, chwyciła Dekkera pod ramię i posadziła na krześle. – A ty się uspokój. Bird nie jest złodziejem.

– To Kompania kradnie... ty tylko...

– Zamknij się – powiedziała Meg. – Zamknij się, *jeune fils*. Słyszemy cię dobrze.

I do cholery usiądź natychmiast.

Dekker objął głowę dłońmi, otoczony ciszą, której nie potrafiła wypełnić nawet muzyka w „Hole”.

– Nie jestem pewien, czy facet powinien tu zostać powiedział Mike. – Daję wam luz, a wy sprowadzacie mi czubka?

– Nie jestem czubkiem! – odpowiedział Dekker, patrząc w górę.

– To oni zdecydują – powiedział Mike i postawił piwo.

* * *

Dekkerowi naprawdę było przykro, że uderzył Birda. Tak naprawdę chciał znaleźć Bena, zanim przyjdą gliny i go zamkną. Mógłby go nawet zabić. I to mogłoby go usatysfakcjonować.

Ale Bird powiedział barmanowi, żeby nie wzywał policji, a rudowłosa kobieta zmusiła go, żeby usiadł przy ich stoliku i dali mu piwo, którego nie potrzebował...

Boże, ależ jego serce waliło. Bolały go też oczy.

Ta dwójka – Bird i kobieta z rudymi włosami, która mogła być pasterzem – siedzieli z nim przy jednym stole i tłumaczyli mu, że Kompania i tak zabrałaby mu

wszystko co miał, że powinien być rozsądny i trzymać gębę na kłódkę, bo jedyne co by osiągnął to ściągnął kłopoty na ludzi, którzy nie mieli żadnego wyboru.

– Więc co mam robić? – zapytał.

– Ciii... – Bird złapał go za nadgarstek i ścisnął mocno, tak jak to robił na statku, chcąc go uciszyć i powstrzymać Bena od zabicia go. Wierzył w zagrożenie, o którym mówił Bird, wierzył w jego radę, w ten sam bezradny sposób, w jaki wierzył w to, co mówili mu lekarze i zrozumiał wtedy, że przegrał. Powiedział, błagając Birda o pomoc:

– Oni kłamią.

– Cicho chłopcze – wyszeptał. – Więc kłamią. Nie rób sobie kłopotów, jeśli chcesz mieć nadzieję na odzyskanie licencji.

Nie pamiętał, żeby mówił Birdowi o licencji. Nie pamiętał, jak długo tu siedział, czuł tylko ból ręki, co przypominało mu, że uderzył Birda. Dziury w pamięci, mówili lekarze. Uszkodzenia mózgu...

– Cokolwiek się stało – powiedział Bird cicho, wciąż trzymając go za rękę i nachylając się ku niemu – nie jesteśmy twoimi wrogami. Chcemy ci pomóc. W porządku?

Był tu samotny, nie znał na R2 nikogo oprócz Birda i Bena, garstki lekarzy i Tommy'ego. Siedział tu, z Birdem trzymającym go za nadgarstek i stanowiącym jego kotwicę w realnym świecie. Mógł w każdej chwili odpłynąć. Bird twierdził, że chce pomóc. Nikt inny by tego nie zrobił, nie tutaj. Pasiarze by tego nie zrobili, a nie mógł wrócić do R1 bez Cory, nawet gdyby go wysłali. Przyjaciele zapytaliby go, dlaczego pozwolił jej zginąć. Dlaczego nic nie zrobił? I te wszystkie czekające listy od jej matki...

– Facet odszedł – powiedział kobiecy głos.

– Jest na czymś – Bird potrząsnął go za ramię. – Brałeś jakieś prochy?

– Szpital – powiedział. Gapił się na coś. Widział mgłę. Nie miał pojęcia czemu się gapił, ani jak miałby się poruszyć, chyba że Bird zorientuje się, że jest w kłopotach i ściągnie go z powrotem...

Bird zapytał go:

– Dekker?

– Tak?

– Gdzie mieszkasz?

To pytanie wymagało myślenia. Odrobinę rozjaśniło pomieszczenie.

– Nie wiem – odpowiedział, zadając sobie pytanie, czy miało to jakiegokolwiek znaczenie. Ale Bird potrząsnął jego ramieniem, mówiąc:

– Słuchaj, jesteś już nieźle nagrany. Masz jakieś fundusze?

Usiłował sobie przypomnieć. Przypomniał sobie sześćdziesięciodniowe

opóźnienie w transferach bankowych, ale przecież był już na R2 dłużej, więc nie miał pojęcia dlaczego bank czekał z transferem, aż wypuszczą go ze szpitala. Nie wiedział nawet, jak wcześniej kupił piwo, skąd na jego koncie wzięło się te pięćset dolarów – czy były jego, czy... po prostu nie pamiętał.

– Możemy ci pomóc przez kilka dni – powiedział Bird – nie żebyśmy byli ci to winni, rozumiesz? Niech to będzie jasne. Ale też nie winię cię za przyjście tutaj i zrobienie awantury. Może uda nam się coś zorganizować, porozmawiać z kilkoma gośćmi, którzy będą mogli pomóc. Rozumiesz co mówię?

Brzmiało to lepiej niż cokolwiek, co zaproponował mu Pranah czy cała reszta, lepiej, niż policja. Bird zawsze wydawał się przyzwoity – to on właśnie powiedział mu o pchaczu.

– Tam, w przestrzeni – wyszeptał, próbując obrócić głowę i spojrzeć Birdowi w oczy, by odczytać jego reakcję. Jednak nie potrafił tego dokonać. – Tam, w przestrzeni widziałeś... Pamiętasz co się stało...

Bird mocniej ścisnął jego nadgarstek, odcinając mu dopływ krwi do palców, wywołując ból w ramieniu, przypominając, że Bird miał też drugie oblicze.

– Lepiej skoncentruj się na tym gdzie się wybierasz, synu i nie myśl o niczym innym. Już nie pomożesz swojej partnerce. Odeszła. Najlepsze co możesz zrobić, to doprowadzić się do porządku. Pomyśl o tym. Twoja Cory chciałaby, żebyś użył głowy, nie? Chciałaby, żebyś miał się dobrze.

To go rozwścieczyło. Nikt nie miał prawa wkładać żadnych słów w usta Cory. Nienawidziła tego jak diabli. Ale nie potrafił wrócić stamtąd, gdzie był. Powiedział patrząc w pustkę:

– Pierdołę cię, Bird.

– Jasne, świetnie – powiedział Bird. – Spróbuj pomóc facetowi...

Ktoś go obrócił o sto osiemdziesiąt stopni, wprost pod spojrzenie brązowych oczu w podgolonej głowie z czerwonym czubem – rab. Pasterz, albo ktokolwiek, nie wiedział. Był zafascynowany, ale i ostrożny. Sam kiedyś był rabem. Ale Cory się to nie podobało, była zbyt oszczędna, zbyt marsjańska, by marnować pieniądze, jakby powiedziała, czy marnować wysiłek na system, nawet po to, żeby go rozwalić.

Ten senator – Broden – mówiący, kiedy otwierali ogień w zamieszkach emigracyjnych: „Żadnych umów z dzikim pospólstwem”.

Wiadomość dnia, kiedy miał... ile? Dziesięć, dwanaście lat? Pierwszy prawdziwy kontakt z polityką jaki miał w życiu, oglądając ludzi do których strzelano i krew rozmazującą się na szklanych drzwiach...

Styl rab i zachowanie to było jedno. Pasterze stosowali jego zmodyfikowaną wersję prawdopodobnie dlatego, że to działało na nerwy zarządowi. Ale ta kobieta, w ekstremalnym wydaniu rab, z oznakami wieku wokół oczu...

– Jesteś ze stacji Sol – zapytała – tak?

– Jasne.

Wpatrywała się w niego przez czas, który wydał mu się bardzo długi. Możliwe, że myślała o kłopotach. W końcu odezwała się, trzymając jego rękę tam, gdzie uprzednio trzymał go Bird (nawet nie zauważył zmiany):

– Cholernie młody i cholernie głupi, *cher jeune fils*. Kompania cię przeżuje. Bird jest w porządku. Jeśli Bird coś mówi, robisz. Czy może chcesz poczekać, aż Sucza Mama cię uratuje? To głupie. To pierwszej wody głupota, *mon cher*.

Slang rab, sprzed lat. Z czasów sprzed Cory. Z zupełnie innego życia. Rabiarze przekształcili się w szanowanych obywateli, ich stylu nie dało się tylko wyrzucić z modnych sklepów, chyba że było się jednym z tych, którzy wywoływali kłopoty...

Taki ubiór na piekądzie był oświadczeniem – kodem, którego już nie potrafił odczytać, kolory nic mu nie mówiły, podobnie kolczyki, czy wygolona czaszka... jak ta kobieta, która patrzyła mu w oczy i przemawiała do niego, jakby wiedział kim był przed Cory – cholernym głupcem noszącym kolory i politykę, której znaczeń nie znał...

Głupi dzieciak, objający się po stacji, bez celu. Nic w głowie oprócz szaleństwa i kłopotów – pieprzyć system i sprawiać kłopoty, z dużą szansą na bycie złapanym...

Był wtedy taki sprytny, wiedział wszystko, wiedział tak wiele, że dał się aresztować. Zarejestrowano go w systemie jako młodziana bez kontroli rodzicielskiej – wraz z matką wyznaczono go do deportacji w dół, Studnię, ale matka zapłaciła wszystkim co miała, żeby ich oboje z tego wyciągnąć.

(Boże, Paul, jesteś dla mnie klęską. Nie zrobiłeś nic, za to zabrałeś mi wszystko od czasu, kiedy dowiedziałam się, że cię noszę w brzuchu).

Umieścili go w programie młodzieżowym. Specjalna szkoła, pisanie listów do dzieciaków z Marsa...

„Mam na imię Cory. Mieszkam w Bazie Marsjańskiej...”

– Słyszysz mnie, *jeune rab*? Odbierasz?

– Tak, słyszę cię – odpowiedział.

– To dobrze – powiedziała Meg, poklepała go po twarzy i popatrzyła na kogoś innego. – Chłopak ma odlot. Piwo nie było dobrym pomysłem.

Nadszedł jeszcze ktoś. Słyszał kroki za swoimi plecami.

– Niezbyt z nim dobrze, co?

Nie znał tego głosu.

– Chłopak jest trochę pijany. – To Bird. Coś uderzyło go w twarz, wstrząsając nim.

– Dek, przyjacielu, uważaj. Ten tutaj to Mike Arezzo, właściciel „Hole”. Chłopak miał ciężki dzień. Dopiero wyszedł ze szpitala.

– A więc to ten gość, tak?

Mógł zobaczyć tego Mike'a kiedy przeszedł za plecami Meg. Ale nie rozpoznawał go. Był pewien jedynie Birda.

Nagle usłyszał jeszcze jeden głos, który znał.

– Co się tutaj dzieje, do diabła?

Jego serce zamarło. Nie mógł się ruszyć, nie mógł myśleć. Ben najechał na niego mówiąc:

– Wezwijcie gliny, niech go stąd zabrają... – Ale Bird przerwał mu: – Uspokój się Ben, uspokój się.

Ben chciał go zabić. Wciąż nie mógł się ruszyć.

Kolejny głos, zdecydowanie kobiecy:

– Dekker, tak?

Ciemnoskóra twarz. Ręka chwytająca go za szczękę, obracająca głowę, zmuszająca do spojrzenia w oczy.

– Odleciał – powiedziała ciemnoskóra kobieta. Miała tysiąc warkoczyków zakończonych metalowymi spinkami. Miała rację. Całkowicie odleciał. Odezwał się, żalosna ostatnia próba rozsądku:

– Środki uspokajające. Szpital. Piwo.

– Głupiec.

* * *

Złapał go za ramię Jack Maliński, gdy spacerowali po pokładzie podczas zakupów, wracając już właściwie do domu. Powiedział:

– Ben, jakiś facet właśnie znokautował twojego współnika w „Hole”, wrzeszcząc coś o waszym statku.

Pobiegł. Najzwyczajniej pobiegł, żeby się tu dostać. Sal biegła za nim – dostali się tu, zupełnie tracąc oddech. Myślał, że to jakiś facet wściekły z powodu listy wynajmów. Ale kiedy dotarli do drzwi „Hole” okazało się, że to Dekker. Dekker, siedzący na krześle przy ich stole, a Bird trzymał go za ramię, by odciągnąć go od drania zanim mu przyłoży.

– Muszę z tobą porozmawiać – powiedział Bird, a kiedy mówił to w ten sposób, naszło go to okropne uczucie, że wie dokładnie co Bird zamierza mu powiedzieć na osobności, z tym swoim głupim poczuciem winy na temat statku.

– Dekker jest trochę zdenerwowany. Wypuścili go ze szpitala – powiedział Bird.

– Świetnie, wezwijmy gliniarzy.

– Jest w porządku. Facet jest po prostu na granicy wytrzymałości.

– Przekroczył ją dawno temu, Bird. Na miłość boską, nic nie możemy dla niego

zrobić, nie mamy nawet do tego kwalifikacji.

– Daj mu szansę Ben. Facet jest wściekły. Wściekły i zagubiony.

– Samobójczy, taki właśnie jest.

– Nie, nie jest. Daj spokój, Ben.

– Daj spokój, cholera. Masz rozwalone usta.

Bird przetarł usta wierzchem dłoni i przyjrzał się śladom.

– Nie mogę powiedzieć, że bym go winił. Facet stracił partnerkę, statek, licencję...

– To nie nasza wina!

– Ben, chcę móc spojrzeć sobie w twarz w lustrze, rozumiesz? To nie nasza wina, ale to nie jest tak, żebyśmy na tym też nie skorzystali.

– Takie jest życie.

– Ben... – Bird wyglądał na mocno rozdrażnionego na niego, jakby to była jego wina. Bird znów się na niego zamknął, nie miał pojęcia czemu i to go denerwowało. Wiedział, że nie jest łatwo go lubić – nie było zbyt wiele osób, które go lubiły, podczas gdy inni dostawali to co chcieli po prostu dzięki swojemu wyglądowi. Dekker był jednym z nich, tym rodzajem człowieka, który wywoływał w nim strach, jak tylko zbliżali się do kogoś, kogo lubił. I do cholery, wszystko co miał i czego pragnął było związane z Birdem. I z Sal. Był gotów o to walczyć, gdyby tylko wiedział w jaki sposób.

Zgodzić się na to? Czy pociągnąć za sznurki w administracji, użyć wszelkich kontaktów, żeby wsadzić go z powrotem do szpitala...

Bird stał bokiem do niego, wyglądając na wściekłego, patrząc w stronę stołu, przy którym Meg i Sal zajmowały się Ślicznym Chłopczykiem. Wiedział. Kobiety takie były, choć miał szczerą nadzieję, że Sal ma lepszy gust. Zaciśnął zęby i zapytał:

– Bird, co chcesz zrobić?

– Po prostu... – Bird wciąż był niezadowolony. Ale przynajmniej na niego patrzył. – Mamy szansę mu pomóc. Nie będzie nas to wiele kosztowało – damy mu szansę na odzyskanie namiaru i wyczyszczenie akt. Mógłbyś pociągnąć za sznurki. Wiesz jak.

To trafiło zbyt blisko tego o czym myślał przed chwilą – ale w zupełnie przeciwną stronę.

– Popatrz na niego! – wrzasnął. – Faceta nie ma. Zszedł poza horyzont. A ty myślisz o finansowaniu go? Na Boga, Bird!

– Nie finansowaniu. Po prostu o przedstawieniu go, nadaniu mu startu, może zorganizowaniu mu jakiegoś przyzwoitego partnera...

– Nie wiemy co się stało z poprzednim! Nikt tego nie wie na pewno, Bird!

Bird złapał go za ramię i pochylił się, niemal szepcząc z naciskiem:

– Skończ z tym. Wiemy, że to nie była jego wina...

Odpowiedział w ten sam sposób:

– Wiemy co powiedział. Ale to nie miało zbyt wiele sensu. I w tym problem, czy nie?

– Na miłość boską, Ben, daj mu szansę – sam powiedziałeś, jeśli dostaniemy finanse, damy mu udział...

– Nie mam pojęcia czemu chcesz dać temu facetowi klucze do wszystkiego, co mamy i życzyć mu wszystkiego najlepszego. A co ze mną? Co z facetem, który wrzucił wszystkie swoje pieniądze do tej studni, hm? Z tego co wiemy, on równie dobrze może być mordercą, a ty chcesz, żebyśmy go finansowali?

– Zamknij się, Ben.

Zamknął się. Bird puścił go i obrócił, by porozmawiać z Mikiem przy barze. Mike stał tam łypiąc w ich stronę, a Dekker wciąż siedział przy ich stole, z pustym umysłem i wzrokiem skierowanym w przestrzeń.

Meg siedziała na sąsiednim krześle, mówiąc do niego. Sał tylko patrzyła, wyglądając na rozdartą. Podszedł do Dekkera i położył rękę na jego ramieniu, gotów odskoczyć gdyby tamten chciał walczyć. Ścisnął jego ramię i powiedział niedbale:

– Cześć Dek. Pamiętasz mnie? Ben Pollard. Jak leci?

* * *

Odrzuciło go. Jednak mógł się ruszać. Bardzo powoli obrócił głowę, by spojrzeć na Bena, pamiętając że nie są już na statku, a w barze noclegowni na R2 i że przed chwilą uderzył Birda. Domyślił się, że Ben chciał uderzyć jego, ale nie robi tego, bo są wśród ludzi.

Powiedział:

– Cześć Ben. – Prawie otrzeźwiał. Ben był dla niego o wiele bardziej realny niż kobiety. Właściwie był zadowolony, gdy Ben usiadł na krześle obok, wpatrując się w jego twarz i trzymając go za rękę.

– Jak ci się wiodło, Dekker?

– Niezbyt dobrze – odpowiedział. Walcząc o powrót z miejsca, w którym znajdował się jego umysł starał się być uprzejmy tak długo jak Ben. Możliwe, że był wariatem. Może Ben szczerze chciał zacząć wszystko od początku.

– A ty?

– Z nami dobrze. Naprawdę dobrze. Przepraszam za statek.

Domyślił się, że Ben próbuje dojść do sedna. Nie był gotów, by to zaakceptować. Ale brak czucia dał mu samokontrolę, której inaczej nie potrafiłby osiągnąć.

– Tak, no cóż... – odparł.

Ben ścisnął jego rękę.

– Trochę odjechaliśmy, co?

– Dali mi coś. – Dekker potrząsnął białą plastikową torbą. Ben przejął ją od niego. Przez plastik przeświecały buteleczki z lekami.

– Powinienem je łykać.

– Nie wszystkie na raz – wymruczała Meg. – Miał dość cholernych pigułek i zdecydowanie zbyt dużo piwa. On potrzebuje spaceru, dokładnie tego.

Pomyślał: dobrze, uszczęśliwmy ich, dajmy mu szansę pokazać jakim jest wariatem – biedne małe zwierzątko.

Więc wstał i pociągnął Dekkera.

– Wstawaj Dekker, na nogi. Wypoć z siebie to świństwo.

Dekker się nie kłócił. Wstał. Ben objął go ramieniem, zanim zawiodły go kolana.

– Był telefon z „Pacific” – powiedział Bird podchodząc. – Wygląda na to, że zostawił tam swoją kartę. Zatrzymali ją.

– Facet ma kartę. – Ben poczuł się odrobinę lepiej, mając nadzieję, że były na niej jakieś pieniądze. – Ma tam pokój?

– Nie. Ustaliłem coś tutaj z Mikiem.

Ben zatrzymał się, z ramieniem wokół Dekkera.

Cholera! – pomyślał.

Rozdział 11

Dekker obudził się, otwierając oczy w ciemności, czując grawitację przyciskającą go do łóżka. Ale nie był w szpitalu, nie pachniało szpitalem. Brzmiało jak piekłąd, zanim wylecieli. Serce biło mu coraz szybciej i szybciej, wszystko wymykało mu się spod kontroli. Nic nie mogło być prawdziwe. Nic z tego co pamiętał nie mogło.

– Cory? – krzyknął. – Cory? – i czekał aż usłyszy jej głos z ciemności: – Czego, o co chodzi?

Ale nie usłyszał nic oprócz jakiegoś poruszenia za ścianą, tuż obok jego łóżka.

Leżał nieruchomo, z jedną ręką ułożoną na pościeli, w poprzek klatki piersiowej. Wyczuwał fakturę materiału. Nie miał na sobie stymbinezonu. Nie miał na sobie nic oprócz pościeli i koca. Leżał i próbował pozbierać migające mu przed oczyma obrazy. Było ich tak wiele. R1, Sol, Mars, wrak, szpital, „Hole”. Całe jego życie rozsypało się na kawałeczki, i nie wiedział który najpierw podnieść. Żadnego porządku, żadnej struktury. Mógł być gdziekolwiek. Wszystko miało się dopiero zdarzyć, albo już się stało. Nie miał pojęcia.

Gdzieś zaskrzypiały drzwi. Ktoś przeszedł korytarzem. Ze złowieszczym zgrzytem klucza w zamku otworzyły się drzwi i zanim zapaliło się światło oślepiając go, ujrzał zarys dwu postaci.

Głos Birda zadał mu pytanie:

– Wszystko w porządku, synu?

– Tak – jego serce nadal pompowało z podwójną szybkością. Uniósł ramię, by osłonić oczy przed światłem. Czas przesunął się do przodu, potem w tył i znów do przodu. Zaczęło do niego docierać, że jest w noclegowni i przypomniał sobie, że był w barze z Birdem i Benem. W drzwiach stał właśnie Bird i ta rudowłosa kobieta, Bird zawinięty w koc, kobieta w prześcieradle. Za nimi pojawił się Ben, również owinięty prześcieradłem i wyglądający na wściekłego. Pomyślał, że całkiem słusznie i powiedział:

– Przepraszam.

– Oprzytomniałeś? – zapytał Bird.

– Tak – nadal nie wszystko było stabilne. Przypomniał sobie chodzenie po korytarzu za barem, tam i z powrotem, z Benem, Meg i czarną kobietą. Przypomniał sobie, że zjadł kawałek kanapki, bo Ben straszył go biciem jeśli zaśnie – ale zupełnie nie pamiętał kładzenia się do łóżka, albo jak pozbył się ubrania. Uderzył Birda w twarz. Przypomniał mu o tym ból w kostkach dłoni.

– Przepraszam, już w porządku. Przez chwilę nie wiedziałem gdzie jestem.

– Trochę z tobą lepiej – zauważył Bird.

– Tak. – Podniósł się na łokciach, wciąż mrużąc oczy z powodu światła. – Już

w porządku. – Był zakłopotany i wystraszony. Lekarze mówili, że miał dziury w pamięci. Nie wiedział jak duża była ta, lub ile dni upłynęło od jego ostatniego wspomnienia. – Dziękuję.

Bird wszedł do środka pokoju.

– Brzmisz o wiele lepiej.

– Czuję się lepiej. Naprawdę. Przepraszam za zamieszanie.

Ben krzywiąc się do niego wcisnął się do środka za Birdem.

– Wiesz, piwo i pigułki robią z ludźmi takie rzeczy.

– Jasne – odpowiedział. Naprawdę nie chciał walczyć z Benem. Zaczynała go boleć głowa. – Dziękuję za uratowanie.

– Dobry Boże – odezwał się Ben. – Przepraszam i dziękuję w ciągu jednej godziny. Naprawdę postradał zmysły.

– Czuję, że to nastąpi – odparł. Położył się z powrotem na poduszce, pragnąc czasu na zapamiętanie gdzie się znajduje. – Zostawcie zapalone światło, dobrze?

Ben powiedział:

– Do diabła, jeśli dzięki temu będzie cicho...

Potem wyszli, oprócz Birda. Ten podszedł bliżej, ustawiając się między nim i źródłem światła, kształt bez twarzy.

– Miałeś ciężkie przejścia – odezwał się. – Masz tu paru przyjaciół, jeśli będziesz z nami grał uczciwie. Uważaj na te pigułki i siedź cicho. Właściciel jest naprawdę porządnym człowiekiem, nie wezwał policji; przyjął nasze słowo, że jesteś w porządku. OK?

Przypomniał sobie co zrobił. Zrozumiał, że mógł mieć jakąś szansę z Birdem, może nawet z Benem, jeśli mógłby się powstrzymać od walki z nimi.

– Powiedz Benowi... nie myślałem zbyt jasno. Nie wiedziałem, na jakim jestem statku.

– Teraz już wiesz?

– Mam nadzieję że tak – czuł dudnienie w głowie. Desperacko pragnął mu uwierzyć. Nie wiedział, czy może im wierzyć, ale nie widział innego wyjścia. Osłonił oczy dłońmi. – Dzięki, Bird.

Bird wyszedł, zostawiając włączone światło. Nie poruszył się. Po jakimś czasie odsunął ramię, by utrwalić pokój w świadomości. Tracił orientację głównie wtedy, gdy zamykał oczy, na przykład zasypiając i budząc się. Wciąż się przekonywał, że nie jest już w szpitalu, że jest z ludźmi, którzy rozumieli to, czego nie wiedzieli lekarze – jak było tam, na zewnątrz.

Te dwie kobiety rab, które mogły być pasterkami, ale nie mówiły w ten sposób – nie był pewien kim były albo czego chciały, gdy na niego naskoczyły. Martwiły go w taki sam sposób, jak martwił go Ben – nie wygląd tylko podejście, które negocjowało

wszelkie autorytety. Żadnej przyszłości. Żyć szybko. Nie przejmować się. Zgarnąć wszystko co się da, bo nadchodzi wojna, wojna, która zakończy wszystkie wojny.

Do diabła, Cory mówiła, że to może zniszczyć Ziemię. Ale nie zniszczy ludzkości, właśnie dlatego kierujemy się poza system...

Ludzie w gabinetach rozpoczęli wojnę z powodów, których nikt nie rozumiał. A rab powiedzieli wtedy – pieprzyć to. I urządzili zadymę, gdzie i kiedy tylko się dało, do czasu aż Kompania ich wystrzelała. Nie wiedział tego, kiedy był dzieciakiem. Niczego nie rozumiał, wściekał się tylko z powodu tego, co działo się z rasą ludzką. Nienawidził szkoły, przymusu i korporacyjnych szcurków rozumiał korupcję i kumoterstwo, w porządku. Ale myślał o sobie, że jest rab i mazał po ścianach slogany, rozwalił z procy kilka lamp, parę razy kompletnie się spił i opróżnił trochę sklepowych półek zanim doszedł do tego, czym rab był a czym nie. I dlaczego ci ludzie zginęli próbując przedostać się przez tamte drzwi – miał wtedy trzynaście lat, nic go nie mogło ruszyć i był przekonany, że tak będzie zawsze.

Aż spotkał Cory.

A ona niezupełnie by go rozumiała, siedzącego przy stole z dwiema kobietami jak te. Cory rozmawiała by z nim później, mówiąc mu, czyniąc wyrzuty; trzymaj się od nich z daleka, Dek. Boże, nie wiem gdzie masz rozum... nie chcemy żadnych kłopotów, nie chcemy żadnych wpisów do kartoteki...

Ta starsza miała na imię Meg. Miała rude włosy i akcent z Sol, z którego istnienia nie zdawał sobie sprawy, zanim nie dostał się do Pasa i nie usłyszał gardłowego marsjańskiego Cory, czy rytmicznej mowy pasiarzy. Ale nie wyczuwał żadnego akcentu u Bena i tej ciemnej kobiety – ostatni rodzaj ludzi, których podejrzewałoby się o zadawanie się z tak prostym człowiekiem, jak Bird. W przeciwieństwie do kobiety pasterzy, która mogła pić z górnikami, ale o wiele mniej prawdopodobne, by z nimi spała. Kobiety były tu rzadkie jak diamenty, a przystępna, dobrze wyglądająca kobieta mogła sama wybierać towarzystwo, aż do kompanijnej elity, jeśli tylko by zechciała i nie była notowana na policji. Nie musiały żyć na piekądzie – chyba że chciały.

Może Ben nie rozumiał rab... zniszczyć wszystko, wziąć co się chce, pieprzyć Kompanię...

Tyle jeśli chodzi o motywy i ideały. Tu było tak samo jak na Sol. Tak samo w Ruchu jak i kompanijnych gabinetach. Bez różnicy.

Zacisnął powieki ale poczuł, że łyzy i tak wyciekają. Czysty ból. Nie miał pojęcia czemu. Myślał...

...pieprzyć ich wszystkich. Kompanię i resztę.

Ale nie myślał już o tym tak, jak robił to tamten trzynastoletni dzieciak z Sol, głupi i zmęczony obijaniem się o typów z Kompanii, wystraszony jak diabli plotkami

które mówiły, że jego generacja nie dostanie szansy na dorosłość. Miał węzeł w żołądku, leżąc w łóżku tej bezsennej nocy, kiedy pierwszy raz usłyszał w jaki sposób kolonie mogą ich załatwić bez jednego wystrzału. Wystarczyło, by rebelianci wypuścili odpowiednio skierowany kawał skały, wychodząc z punktu skokowego. Wycelowany w Ziemię lub Stację Sol, lecący z szybkością podświetlną pocisk. Nikt nie zobaczyłby go na czas. I po Ziemi. Za całą historię, której powinni się nauczyć, wszystkie prawa i zasady. Skończone w pięć minut. Więc po co uczyć się czegośkolwiek, co miało zostać zniszczone? Po co starać się o coś więcej niż zagarnięcie dla siebie wszystkiego co się tylko da, zanim reszta zostanie unicestwiona?

Jednak nikt tego nie zrobił. Nikt nie zniszczył Ziemi ani Stacji Sol. Oczywiście, że nie zrobiliby tego.

Cory powiedziałaaby:

– Po prostu zabierz mnie wystarczająco daleko i jak najszybciej.

Opowiadała mu o miejscach, o których nigdy nie myślał, aż do chwili gdy przedstawiła je tak, jakby naprawdę mieli dużą szansę na dostanie się tam – jeśli będą mieli pieniądze. Jeśli otrzymają wizy, a gliny nie zatrzymają ich w ostatniej chwili mówiąc: „Chwileczkę panie Dekker, ma pan kartotekę...”

Kompania Ziemską powiedziała: koniec z wolnymi podróżami, zanim dostanie się wizę, trzeba zwrócić koszt wydatków, jakie poniósł na twoje utrzymanie rząd. Gdy to spłaciłeś, rząd, ten jedyny raz kiedy dostawało się od niego cokolwiek, wpisywał cię jako należącego do statku, na który się sam wkupiłeś i można było lecieć.

– Tam gdzie coś zostanie po wojnie – jak powiedziałaaby Cory. Była dogłębnie przekonana, że Tam było o wiele lepiej niż Tutaj.

...Na statek, który nie potrzebował pilota układowego. Nie wiedział, czy była tam dla niego jakaś przyszłość. Prawdę mówiąc, nigdy się nie zastanawiał co będzie, kiedy już się tam znajdą. Nie wierzył też, że pobór ominie górników, kiedy już zbudują te wielkie statki – wcisną go, by żył we wnętrznościach pancernika i dał się zabić za Kompanię, wysłany w diabły dla niej...

Krok po kroku, jak mówił mu Tommy, gdy był zbyt urżnięty by iść. Jeden krok na raz, panie Dekker...

Do cholery, po prostu chciał latać, to wszystko, dostać statek z powrotem, wziąć w ręce stery...

Przez ostatnie kilka chwil naprawdę myślał, ostro i wyraźnie, że da radę to zrobić, że mu się uda...

Że wciąż może zmusić tego sukinsyna, żeby słuchał tego co nadaje...

Obudzić kogoś na tym cholernym pchaczu, uruchomić ich alarmy kolizyjne jeśli

tego trzeba...

Popatrzył na panele sufitowe. Przypuszczał, że były prawdziwe. Przypuszczał, że naprawdę dostał się tak daleko od wraku. Ale nieważne jak bardzo go naciągał, czas wciąż zawracał i tonął w tamtej chwili, jak światło w czarnej dziurze. Ta jedna chwila, kiedy wszystko powinno działać a nie zadziało...

Te sukinsyny na pchaczu wiedziały, że tam był. Wiedzieli, że trafili w statek. Musieli. Nawet jeśli go nie usłyszeli – jeśli w jakiś sposób jego emisję nie przedzierały się do nich – to kiedy wybuchły zbiorniki musieli zauważyć, że trafili nie w skałę.

A jeśli jego wołanie do nich nie docierało – czy słuchaliby na paśmie alarmowym po tym, jak trafili statek? Czy usłyszeliby nadajnik kombinezonu Cory?

Kurewsko pewne, że tak.

* * *

Meg przysunęła się bliżej lustra, malując cienką czarną kreskę pod dolną powieką. Cholernie trudno było nie zepsuć makijażu zaraz po zrobieniu go. Starła kreskę palcem i spróbowała jeszcze raz. Sąsiednie drzwi otworzyły się i zamknęły. Bird i Ben poszli na śniadanie, ubierając się wcześniej w ich garderobie. Odbita w jej lustrze Sal zakładała właśnie buty.

– Mamy do odrobienia cały dzień – powiedziała Meg wciąż malując oko. – Ale możemy wziąć drugą zmianę. Głosuję za obserwowaniem nowego *człowieka*.

– Ciężki czubek.

– Przystojny czubek. – Kredka do brwi. Ruda. Bardzo trudna było ją tu zdobyć i była bardzo droga. Jeśli było się splukanym, używało się kredki świecowej.

– Odżył trochę po północy. Wyglądał jakby oprzytomniał... Bird z nim rozmawiał.

– Po tym co powiedział wczoraj w barze, Kady – to był cholerny brak kontroli – wszyscy o tym mówią.

– Był pijany. Odleciał. Wszyscy to wiedzą.

– Czy on nie ma żadnych bezpieczników? Cholera, Kady! Ben ma co do tego bardzo złe przeczucia.

– Tsss. – Pomalowała drugie oko za pomocą trzech równych pociągnięć, usłyszała jak Sal wstaje i złapała jej odbicie stukając w nie kostkami.

– Zostanie nam sprawdzić. Później będzie dość czasu. Bird tak mówi.

– Bird mówi. Co Bird ma na myśli, mówiąc: „Znaleźć mu partnera”. Ben tego nie załatwi. I mówiąc brutalnie, nie podoba mi się to całe mówienie o partnerze. Zupełnie nie podoba mi się zbliżenie Birda z tym jeune fils, którego rachunki nie wiedzieć

czemu płacimy z naszych pieniędzy, podczas gdy ma własną kartę i dostęp. Dziękuję.

– Myślisz, że ja to rozumiem? – Ale poczuła, że rozumie, więcej niż mogłaby Sal. Popatrzyła na nią, oko w oko z jej odbiciem, po czym obróciła się i oparła o szafkę, wykonując, jak mówiło przysłowie, trzy obowiązkowe oddechy zanim ciało mogłoby zdradzić prawdę. Ale tego ranka Sal była poważnie niezadowolona – miała ten statek na oku i spędziła cały wieczór rozmawiając z Benem. Co było dosyć przerażające, nawet jeśli tylko rozmawiali, ale Sal miała w sobie dość zakamarków ukrywających różne sprawy, by nie być niczego pewnym.

– Sal, musimy porozmawiać.

Ta popatrzyła na nią przez kilka uderzeń serca, wciąż wkurzona, po czym wzruszyła ramionami i podniosła kurtkę.

– Met. Raczej zjeść śniadanie.

Meg nie poruszyła się. Nie lubiła ostrych rozmów, zwłaszcza kiedy dopiero ustaliła swój pogląd na sprawę, ale Sal organicznie nie znosiła tajemnic. Powiedziała do jej pleców:

– Sal... chcesz wiedzieć *quelqu'shoze*?

Czekała, wiedząc, mając pewność, że Sal odwróci się z bardzo niezadowolonym spojrzeniem i powie...

– Co powinnam chcieć wiedzieć? – Jakby nie istniało nic naprawdę wartego wysiłku. Do pewnych rzeczy Sal podchodziła z umysłem zaciśniętym jak pięści.

Rzuciła znaczącym spojrzeniem po pokoju, po czym nacisnęła na dźwignię, o których wiedziała że zadziałają na Sal.

– Właściwie, po namyśle, powiem ci później.

Sal wyglądała, jakby chciała kogoś zarznąć, ale to znaczyło tylko, że znów zaczęła myśleć. Od kiedy gliniarze przewrócili im pokój do góry nogami, były bardzo ostrożne w kwestii podsłuchu. Zgarnęła kurtkę i wyszła na zewnątrz, a potem poszła korytarzem do baru „Hole”, gdzie Bird i Ben zajęli swój stały stolik w tłumie przewalającym się w trakcie przerwy międzymianowej, jedząc już śniadanie. Szło się do kącika z gorącymi daniami na końcu baru, mówiło się Price’owi, kucharzowi z drugiej zmiany, że chce się śniadanie a on wrzucał na talerz cokolwiek tego dnia wypadło, podczas gdy samemu nalewało się sobie kawy.

Zaniosły swoje talerze i kubki do stolika mężczyzn i usiadły z nimi.

– Hej – przywitał je Bird.

– *Sczastie* – odpowiedziała Meg i pomyślała, że to kolejna rzecz, której urodzeni pasiarze nie robili w sposób naturalny.

Dziwaczny rodzaj partnerstwa, gdyby się nad tym zastanowić.

Jeszcze dziwaczniejsze było, że kiedy usiadły, w drzwiach pojawił się Dekker. Skierował się w stronę ich stołu, po czym wpół drogi wykonał nieśmiały gest mający

oznaczać coś w stylu „czy mogę się przyłączyć?”

Bird machnął ręką, połykając to co miał w ustach.

– Bierz swój talerz.

Dekker był gładko ogolony, z mokrymi włosami zaczesanymi w tył – cichy i uprzejmy. To był plus. Wystające kości pod nie dopasowanym kombinezonem. Kobiety dostrzegały takie rzeczy.

– Nakarmiony wyglądałby lepiej – zauważył Bird.

Ben skrzywił się gniewnie. Meg spróbowała pomyśleć o czymś miłym. Nabrała pełny widelec tego, co w „Hole” sprzedawano jako jajka na bekonie i pociągnęła łyk niezłej kawy, czekając aż szalenciec siądzie z nimi.

– Chcecie się założyć, że zapyta o godzinę? – zapytał Ben.

– Nawet nie otwieraj ust – ostro skarcił go Bird.

– Czy ja coś powiedziałem?

– Niezły tyłeczek – wtrąciła Meg.

– Na mnie nie robi wrażenia – odparł Ben.

– Cisza.

– Jasne, on będzie to robił godzinami.

– Ben...

– Dobra, dobra. Dobrze sobie radzi. Nie skoczył na Price’a ani nic.

– Ben.

Wrócił Dekker ze śniadaniem i kawą, zastając przy stole nagłą ciszę.

– Jak się czujesz? – Bird zapytał go gdy siadał.

– Kac – odpowiedział Dekker, łyknął kawy, po czym z różnych kieszeni zaczął wyciągać fiołki i buteleczki z lekami, układając rządkiem pigułek. Nie było to niezwykle dla próżniowców – pigułki na kości, z minerałami, witaminy; ale kolekcja Dekkera naprawdę robiła wrażenie.

– Dekker? – zapytał Ben. – Jesz jajka z pigułkami, czy co?

Dekker rzucił tym swoim obronnym spojrzeniem, tego rodzaju na widok którego Meg miała ochotę sięgnąć po nóż, którego już dawno nie nosiła – starając się nie spojrzeć nikomu w oczy.

– Jasne. Dzięki dobrej duszy która zostawiła mi przy łóżku krakersy. Dzięki nim przeżyłem noc. Żołądek trochę mi wariował.

– Dali ci numer lekarza? – zapytał Bird.

Dekker kiwnął głową i zgarnął całą garść tabletek, połykając je po jednej i zapijając każdą łykiem kawy. Bird wzruszył ramionami. Dekker zjadł swoje jajka, oni swoje. W końcu Dekker podniósł się i poszedł do swojego pokoju, mówiąc coś o potrzebie odpoczynku.

– Cóż, tak... – powiedział Ben patrząc za oddalającym się Dekkerem.

– Facet ma kaca – skomentował Bird.

Ben nie zareagował na to, zapytał tylko:

– Idziemy do doków?

– Jasne – odparł Bird. – Obawiam się, że nie ruszą się jeśli nie będziemy ich poganiać. I moglibyśmy teraz zdjąć te panele, tyle że na cztery osoby jest tam za ciasno.

Byli już blisko doprowadzenia *Way Out* do stanu używalności. Zbiorniki zostały dopasowane trzy dni temu, wewnątrz mieli wyczyszczone i certyfikowane na wejście. Mieli już wszystko na ukończeniu, gdyby tylko mogli zmusić ekipy remontowe do nadażania z tempem prac i podłączenia zespołu zaworów zgodnie z harmonogramem... Ale skoro była to kwestia uzyskania wykwalifikowanej pomocy w czasie wolnym, to nie było to banalne. Wymagało ciągłych zachęt i bezustannego nadzoru, by skłonić zmęczone załogi na nadgodzinach do starannej i porządnej pracy.

– Wrócimy około kolacji – powiedział Bird. – A gdybyście wy dwie mogły tu zostać...

– Hej! – wykrzyknęła Sal. – Nie zwalaj na nas odpowiedzialności za tego faceta!

– Nie pozwólcie mu wejść w drogę Price’owi albo Mike’owi, dobrze?

– Nie!

– Doceniam to – powiedział wstając razem z Benem i szybko rej terując.

– Jasna cholera! – z pasją powiedziała Sal.

– Mogło być gorzej.

– Wolałabym odkurzać kabinę.

– Hej, nie sądz tak szybko. Ma niezły kościec.

Sal rzuciła w jej stronę bezbarwne, zde gustowane spojrzenie.

– Możesz iść na górę jeśli chcesz – kontynuowała Meg. – Mogę tu zostać. Albo możemy zrobić sobie mały spacer i powiem ci to, czego nie powiem w kabinie.

* * *

– Tak jest – powiedział mu Wills przez telefon – tak, znaleźliśmy go.

Salvatore odetchnął.

– Najwyższy czas, do cholery!

– Tak jest, sir.

– Więc gdzie on u diabła jest?

– W noclegowni, sir, po prostu nie zapłacił jeszcze rachunku. Żadnego problemu.

– I lepiej żeby nie było. Posłuchaj co mówię. Jeśli potrafisz odszukać go w inny sposób, niech ktoś go śledzi. Nie pozwól mu się wymknąć, rozumiesz?

– Tak jest, sir. W tej chwili wysyłam do pana raport. Wills był niezadowolony.

Ale zajmował się tym, od kiedy rutynowy przegląd nie wykazał użycia karty w noclegowni. Nie mógł jakoś szczególnie winić Willsa: Dekker nie był jego jedynym podopiecznym, miał kilku innych, na liście byli również zbrodniarze, podczas gdy Dekker był na minimalnym podglądzie. Co nie zmienia faktu, że Zasoby Ludzkie wsadziły aż pięć całych „C” tylko po to, żeby upewnić się, że Dekker zostanie namierzony, więc fakt, że zniknął w ciągu pierwszych kilku godzin od opuszczenia szpitala, wywołał tam sporą konsternację. I to w miejscu, w którym nie miał żadnych znajomych, kontaktów, żadnego kredytu i sposobu żeby go zdobyć.

– Chce pan, żeby Browning zadał parę pytań? – zapytał Wills.

Salvatore przejrzał raport na temat tego, jak Dekker wydał pięć dolarów z groszami w jednym z barów piekładu. Pięć pięćdziesiąt na piwo i telefon, na nic więcej...

Browning dowiedział się w „Pacific”, że Dekker wybrał się do „Hole”, tam też została posłana jego karta, po którą zadzwonił szef baru. Browning miał dość rozsądku, by przed podjęciem dalszych kroków skonsultować się z Willsem, a ten przykazał mu nie śledzić Dekkera zbyt blisko. Ewidentnie Dekker nie ruszył się stamtąd. „Hole” było spokojnym miejscem, ale też od wejścia tam nie użył swojej karty. Co znaczyło, że albo miał tam jakichś znajomych, albo znalazł wsparcie – na przykład wynajął się za coś, zatopił kartę na jakiś czas – nie był to niezwykły unik wśród ludzi, którzy chcieli uniknąć policji: prostytutka była na przykład zwykłym sposobem dla tych, którzy mieli powód wymknąć się systemowi – jeśli nie, to musiał tam mieć przyjaciół.

Wills odezwał się:

– Mieszkają tam Bird i Pollard. Sprawdziliśmy ich wcześniej.

Bird i Pollard. Salvatore przeszukał swoją pamięć.

– Ci dwaj, którzy przejęli jego statek – przypomniał Wills. – Którzy go przywieźli. Roszczenie do statku przeszło, Kompania wypłaciła. Ale Bird i Pollard uratowali mu życie. Moim zdaniem szukał ich, nie wiem w jakim celu, ale ewidentnie nie była to wojna. Został tam, musi być na jednej z ich kart.

A więc wcale niekoniecznie szuka kłopotów – odszukanie dwójki jedynych ludzi, których tu znał, było całkowicie logiczne. Nawet rozsądne. Salvatore napił się swojej stygnącej kawy zastanawiając się nad tym.

– W porządku, chłopak osiadł w miejscu. Tak długo jak siedzi cicho, nie ma problemu. Po prostu weź aktualną listę mieszkańców, sprawdź powiązania. Tego typu rzeczy.

– Potwierdzam – usłyszał od Willsa. – Możemy ich sprawdzić pod pozorem kontroli podatkowej.

– Zrób tak.

Uzyskali oddalenie pozwu – raport przekonał Radę KZ, było bliżej niż myślał. Ale chłopak podpisał raport z wypadku i wyszedł ze szpitala. Gdyby jeszcze znalazł sobie pracę i ustatkował się – byłoby z nim dobrze. Visconti orzekł, że Rehab nie byłby teraz zbyt efektywny. Było zbyt dużo wrogości.

Niech więc przepuści pieniądze Zasobów Ludzkich. Niech się zadowoli i myśli o przeżyciu. W aktach nie miał żadnych zaniedbań ani oskarżeń, nie trafił też pod sąd, choć Alyce Salazar chciała jego głowy. Groziła teraz zresztą pozwem cywilnym, by zablokować jego konto i polisę ubezpieczeniową, ale biuro Cray tona twierdziło, żeby się tym nie martwić: dziewczyna była pełnoletnia, wspólny udział podpisany i legalny, z klauzulą przeżywanego, a konto i tak było zasilane ze wspólnych dochodów. Dekker był bezpieczny – Alyce Salazar nie miała żadnej prawnej możliwości dostania go.

Ta sprawa mogła wreszcie trafić do segregatora: w zawieszeniu.

Przechadzając się wzdłuż frontu „Hole” w stronę obrotową stacji, Sal miała do powiedzenia coś od siebie.

A skoro Meg nie paliła się do rozpoczęcia rozmowy, zrobiła to ona.

– Powiem ci, Kady, musimy się go stąd pozbyć. Boże, ze wszystkich miejsc, do których mógł przyjść, trafił właśnie do nas.

– Dostyc naturalne.

– Naturalne! Zabrali mu każdą cholerną rzecz jaką posiadał – co ma zrobić, zapomnieć o tym?

Meg zrobiła kilka kroków, kopiając po drodze jakiś śmieć.

– Nie wiem. Trudno powiedzieć. Ale co mamy zrobić, wyrzucić go? Pewne, że tego by nam nie wybaczył.

– Wybaczył, do diabła!

Kolejna cisza.

– Wiesz, będę brutalnie szczerą, Sal – jest różnica między Benem i Birdem.

– Rozmawialiśmy o Dekkerze. Albo o powodzie, dla którego jesteśmy na zewnątrz.

– Właśnie o tym rozmawiamy. *Calmati, calma?*

– Więc mów. Jak na razie to nie trzyma się kupy.

– Mówię ci, nigdy nie miałam żadnego pożytku z rodzimej Studni. Ty nawet bardziej.

– Cholerna racja.

– Patrzeć jak ginie, tak? Pieprzyć całe to wariactwo. Ale ja się stamtąd wydostałam, Sal. Nie wiem, choć nie, po namyśle wiem, dlaczego Bird zapłacił temu facetowi za pokój.

– Więc? Czemu to zrobił?

- Wiesz, że nie mówisz „dzień dobry”.
- Oczywiście że mówię dzień dobry. Jaki to ma związek z czymkolwiek?
- Mówisz to, bo ja tak mówię. Na początku tego nie robiłaś. Albo „dobranoc”.

Wyraźna różnica, Sal.

– I co z tego?

– Oto sposób, w jaki Bird różni się od nas. Nigdy nie rozumiałam do jakiego stopnia rodzima Studnia ma znaczenie, zanim do tego sama nie doszłam.

– To gównno – Sal nie znosiła sentymentalizmu. W tym co mówiła Meg pojawił się sentymentalizm. To nie było w jej stylu. Czuła się coraz bardziej nieswojo.

– Może to gównno – powiedziała Meg – ale wiem czemu Bird zapłacił.

– Bo Studnia robi z ciebie wariata.

– Dekker pochodzi ze Studni. A przynajmniej ze Stacji Sol, a to dość blisko na mówienie „dzień dobry”.

– Zgadłaś po akcencie.

– Właśnie. Ale my myślimy akcentami. O tym właśnie mówię. Twój i mój. Mogę się odwrócić od rodzimej Studni, mogę wziąć co chcę i zostawić resztę. Bird nie jest rabem, jest po prostu normem, ale wiem jak działa jego umysł – handlowałam tam, pamiętasz.

– Czy oni wszyscy są tak głupi?

– Głupi, *peut et’*. Ale nie tylko. Wybacz, że to powiem, będziesz za to na mnie *skosh* wkurzona...

Zagadki i zagadki. Nawet trup mógł się zdenerwować na drwienie z rodzimej Studni.

– W porządku. A więc mamy tę bardzo tajemniczą różnicę. Warte piąta. Dawaj.

– A więc dalej. Sucza Mama oszukuje swoje dzieci.

– Czy to nowina?

– Wtedy kiedy nie widzisz. Wiesz, nawet filmy które się tu dostają to czyste gównno, Aboujib, filmy Kompanii. To wszystko bijatyki, pościgi za złodziejami, głupie komedie i te bzdury o salutowaniu do logo, intensywnie kompanijne, ostro cenzurowane – rozumiesz mnie? Sucza Mama okrada was cały czas po kawałku. Mnie też. Te dranie naprawdę lubią to, czym jest rab. Rab nie są dla nich problemem, rab mówią to, do czego zmierza Kompania – zapomnij o Ziemi. Zapomnij o starych śmieciach. Tyle, że tutaj Kompania będzie ustalać co jest rab. *Capisce?*

– *Niet* – popatrzyła na Meg z delikatnym podejrzeniem, że ta czuje nad nią wyższość Ziemianina. Ale nie zrozumiała z tego co mówiła Meg tyle, by się rozłościć.

– Dojdiesz w końcu do czegoś znaczącego?

– To instytucja, wszystko się o niego rozbija. Rozumiesz? Nie wciskają wam tam

bzdur. Ale nie mówicie „dzień dobry”.

– Na miłość boską, Kady, a więc dzień dobry!

– Ale pasiarze tak nie mówią. Bird zwrócił mi kiedyś na to uwagę. Pasiarze nie, a ci ze Stacji Sol tak. Pasiarze nie podają drugiego kubka kawy bez zapłacenia za nią. Na Stacji Sol spodziewasz się jej. Pasiarze nie dają drugiej szansy. Spieprzyłeś raz, jesteś załatwiony, koniec, kropka.

– Ewolucja. Nie pozwólcie rozmnażać się idiotom.

– Korporacyjne gadanie, Aboujib. Nie zawsze tak było.

Cholerna wyższość Ziemianina.

– Przyglądałaś się szczerom z zarządu Kompanii przez ostatnie parę lat Aboujib? Widziałaś ubrania? Rab wszedł na salony.

– I co? Głupie dranie wciąż go nie rozumieją.

– Nie, rozumieją go dobrze. Nie mówię, że celowo nie jestem całkiem przekonana, że mają dość kompatybilnych neuronów – ale lubią rab. W swoich małych korporacyjnych mózdkach kojarzą: cholera, jasne, wywalić przeszłość, niech Kompania ustala co jest dobre, co jest rab, a co nie. Nie podoba im się pomysł, że jakiś prawnik z planety będzie im cytował prawo, więc tego tu nie ma. Nie uczyć nikogo o precedensach: wszystko czego potrzebujemy my wszyscy: techniczni i piloci, to filmowe nawalanki i komedie, prawda? Techniczni nie mają znać się na niczym poza swoją pracą. Do diabła, rab nigdy nie twierdzili że trzeba wyrzucić całą mądrość. Powiedzieli: przestańcie myśleć, że Ziemia to jest To, obudźcie się i zobaczcie co się naprawdę tu dzieje. Ale głupi plastikowcy powiedzieli „zerwać z przeszłością”. Mówiliśmy: „dostęp dla ludzi”, a plastikowcy powiedzieli: „bierzcie go póki możecie”. Korporacja jest modna. Plastik jest, Aboujib, plastik się sprzedaje, plastik nie zadaje pytań, zawsze jest głupszy niż kierownictwo i, do diabła, żadne kierownictwo nie użyło mózgu, by nas pokonać. Paplali tylko między sobą szukając najłatwiejszego sposobu i niech mnie szlag, jeśli im go nie daliśmy sami.

Korporacyjne ustawienie pasowało. Instytut ponad wszelką wątpliwość stanowił sposób korporacji na produkcję pilotów, będących korporacyjnymi szczurami – widziała jak się to działo: wystarczyłoby, żeby nie zasalutowała do logo, a naprawdę szybko znaleźliby sposób na zapuszkowanie jej.

– Mam trzydzieści pięć lat – ponownie odezwała się Meg. – Jestem stara rabką. Osiem, dziewięć lat temu wystrzelali nas pod drzwiami, a politokraci w siedzibie Kompanii powiedzieli, że mieli do tego prawo, bo to była samoobrona. Rabowie łamali prawo i zagrażali bezpieczeństwu punktu strategicznego, uwierzyłyabyś? Kwatera główna tych szczurów punktem strategicznym? Był czas, kiedy górnicy i pasterze mogli się zebrać i wysłać Kompanię w diabły, przekształcić cały ten młyn w niezależne przedsiębiorstwa. Ale gdzie oni teraz są, Sal? Gdzie? Wolni strzelcy

w większości odeszli. Bardzo mało ich tu teraz dociera. Kompania szkoli nowe pokolenie, płacąc ich rachunki i dając im dobre sektory aż będzie ich wszystkich miała w kieszeni. Pasterze pozwolili Kompanii zajmować się ich sprzętem, a teraz walczą o zachowanie tych przywilejów, które im jeszcze pozostały. Rabowie dali się wystrzelać w diabły w piętnastym, a teraz wszędzie dookoła rozwalają się te cholerne syntetyki z logiem Kompanii z każdej strony. Plastikowcy nie wiedzą, kim byliśmy. Zamieniają nas w strój. W korporacyjny fason. Cholerni młodzi grajkowie tworzą muzykę bez słów. Tam, na Sol, ruch pewnie już upadł. Stary, antyk. I dokąd zmierzamy?

– Brutalnie szczerze – powiedziała i wsadziła ręce do kieszeni, idąc krok w krok z Meg, która wydawała się zakończyć swe przemówienie. Choć brzmiało to wariacko, zastanawiała się czy instytut rzeczywiście cenzurował informacje, których nie chcieli udostępniać, a skoro o tym myślała, prawa z pewnością się zmieniały...

Rzeczy takie jak zniesienie systemu udziałów załóg, i takiego jaki działał na statkach pasterzy. Jak odmowa banku respektowania weksli, którymi pasterze wypłacali swoje premie, trzymając pieniądze poza systemem kart bankowych.

Pomyślała o kursach, które zaliczyłaby, gdyby dała dupy komu trzeba. O przyjaciółach jej mamy i taty, między innymi Mitchu, którzy powiedzieli... że jest głupim dzieciakiem. Powinna była trzymać głowę nisko aż do uzyskania dyplomu. Nie możemy robić precedensu, rozumiesz? Dzieciak z bezmyślnym narażeniem statku w aktach nie jest tym...

Tak więc była głupia, a instruktorzy zmyli ją, powiedzieli jej to samo co Benowi: niedostateczne zdolności. Uczyla się od Meg – nauczyła się od niej więcej niż pokazała komisji licencyjnej. A kiedy przyjdzie czas, że Meg nie będzie mogła jej już niczego nauczyć, przejdzie do Mitcha o wiele lepsza, niż Mitch myślał że była... odpad ze szkoły pilotażu, brak zdolności i cała reszta.

A tymczasem przyjaciele jej rodziców powoli siwieli i chudli, robiąc się coraz bardziej krusi. Niektórzy umierali z powodu kiepskich osłon, które stosowano w dawnych czasach. Starzy oficerowie i załogi, które trzymały się swojej pracy, bo byli wyszkolonymi pracownikami, których Kompania rozpaczliwie potrzebowała...

Ale Kompania szkoliła nowych techników najszybciej jak mogła, a nowy zarząd Suczej Mamy mówił o wprowadzeniu zajęć w instytucie dla doświadczonych pasterzy, z wymogiem recertyfikacji co pięć lat po przekroczeniu czterdziestki.

Pasterze oczywiście powiedzieli Suczej Mamie, gdzie posła ładunki w momencie kiedy to zrobi, a Kompania w odwecie zagroziła wprowadzeniem tych przepisów o recertyfikacji, jeśli jakiś ładunek tam wyląduje. Kompania nie miała dość pilotów, którzy potrafiliby przechwycić ładunki i nie spalić siebie i statku. Jeszcze.

Tak więc Wielka Mamuśka musiała przydzielać swe nowiutkie, błyszczące

korporacyjne załogi do obsługi pchaczy, bo ekipy pasterzy nie poleciałyby z pilocikami prosto z przyspieszonego szkolenia. Również dlatego, że wojsko dyszało Mamuśce nad karkiem w sprawie terminów. Ale czas i Pas zbierały swoje żniwo i nadchodził dzień – nawet dureń by to spostrzegł – że będzie ich po prostu zbyt niewielu, by wywołać burzę w planach Kompanii. Któregoś dnia Kompania zatwierdzi swoje Nowe Zasady, a ona była we właściwym wieku, by pod nie podpaść. Zdecydowanie nie podobał się jej tok myślenia Meg, ale nie mogła dojść jaki to miało związek z ich obecną sytuacją – a to obiecała jej Meg.

– I co? – zapytała. – Do czego to prowadzi? Co to ma wspólnego z naszym problemem?

– Jeśli chcesz zrozumieć Birda – odpowiedziała Meg musisz zrozumieć, że ludzie z planety nie wiedzą tak naprawdę czym jest brak środków. Nie myślą w liczbach. Powietrze jest za darmo, ciągle mają czas ciężenia – więc rozdają go nawet jeśli go nie mają, bo to ich duma, rozumiesz? Muszą pokazać, że mogą, nawet jeśli tak naprawdę nie jest, bo normalni ludzie mogą i nie przyznają się do niczego mniej.

– Sposób na zagłodzenie się – skomentowała Sal. Sposób na skończenie na posadzie w Kompanii. To czysta głupota, Kady. A Bird nie jest głupi.

– Na ziemi powietrze jest za darmo. Można iść gdzie się chce.

– Jeśli nie przeszkadza ci błoto. I mają prawo, które mówi gdzie wolno chodzić. Słyszałam, jak Bird o tym mówił.

– Jasne, prawda – Meg przeszła kolejnych parę kroków. Sal przypomniała sobie, że biorąc pod uwagę dawne interesy Meg na Stacji Sol, była ona o wiele bliżej błękitnego nieba niż Sal kiedykolwiek, i zaczęła się martwić, że dotknęła ją tą uwagą o błocie.

Ale Meg ciągnęła dalej, jakby nie poczuła się obrażona.

– Tak to wygląda dla kompanijnych szcurków z kierownictwa, nie? Dla nich wszędzie powietrze jest za darmo. Dla nich braki w zaopatrzeniu to sytuacja, kiedy skończy im się zapas Chardonnay rocznik '87. Wiem. Do diabła, przewoziłam takie ładunki. Wiem co jedzą te sukinsyny, ze swoimi weneckimi antykami i okryciami na łóżka z norek.

– Weneckimi?

– *Italiano*. *Ocień* drogie i delikatne. Norki to takie małe futrzaste stworzonka. Nosi się ich skóry.

Sal popatrzyła na nią z niedowierzaniem. Czasem Meg potrafiła wymyślać dziwne rzeczy, kiedy miała nastrój. Trudno było mieć pewność.

– Nie wciskam kitu. Przewoziłam takie rzeczy. Perły, eleganckie drewno, tego typu. Jeśli się coś podebrało z transportu można było to opchnąć na czarnym rynku statkom międzygwiazdowym, albo sprzedać z powrotem, zgadnij komu?

Sal uniosła brwi.

– Myślę, że ten szczur urządził sobie apartament powiedziała Meg. – Albo znalazł tańsze źródło. Korporacja Sol nie chciała mnie postawić przed sądem, o nie. Powiedzieli mi, że mogę trafić tutaj i latać dla siebie, albo pilotować jakiś holownik w obie strony na Marsa dla starej dobrej KZ, jeśli nie zechcę zająć się górnictwem.

Połowę z tego Sal już знаła, ale do części Meg nigdy dotąd się nie przyznała – zwłaszcza ta część o czarnorynkowym handlu z jakimś wyższym urzędnikiem, który ją wystawił.

Pewnych rzeczy człowiek dowiadywał się po wielu latach.

Sal lubiła Meg o całe niebo bardziej niż te lata temu, to było pewne, i o wiele lepiej rozumiała jej sposób myślenia. Ale nie całkiem, nigdy do końca nie była przekonana, że chciałaby wiedzieć, gdzie Meg była i do czego była szkolona. Myśl o nurkowaniu w studnię grawitacyjną planety albo wyprowadzaniu z niej statku wywoływała dreszcze u córki pasterzy.

– Tak więc, Bird zyskał trochę na koszt tego faceta, a on teraz jest bez środków – Bird nie będzie mu odmawiał i nie zamierza też zmuszać go do proszenia. *Machismo*. Coś w tym stylu. Faktem jest, że ja też byłam w takiej sytuacji w jakiej teraz jest ten gość, i to mnie *skosh* denerwuje. Bardzo.

– No cóż, zgodzę się z tobą, też nie chciałabym widzieć tego chłopaka orzniętego. Mówiłam o tym z Mitchem i są poważnie tym wkurzeni – ale teraz naprawdę szybko odsuną się od tej sprawy, po tym co zrobił. Powiem ci, co mi się nie podoba, Kady, coś co usłyszałam od Persky’ego – facet wrzeszczał, że Ben i Bird wiedzą, iż tam był jakiś pchacz...

– No cóż, chłopak był pijany...

– Nie ma znaczenia czy był pijany, Kady. Do cholery, mam bardzo mało punktów u Mitcha...

– Pieprzyć Mitcha.

– Jasne, do diabła z Mitchem. Ale to Mitch dał mi wybór, jak uwolnić się od Birda. To mi właśnie zaproponował.

– Zrobiłabyś to?

– To, co powiedział, rozniosło się już po całym cholernym pokładzie.

– Ciii. Aboujib, dali mu tyle prochów, że zgłupiał.

– Mamy tu chodzące oskarżenie, Kady. Nie możemy sobie na to pozwolić. Oni nie mogą!

– Dobrze, powiem ci to co powiedział mi Bird; To tajemnica. Wrzuć do czarnej dziury.

– Dawaj.

– Pchacz rzeczywiście siedzi dokładnie w miejscu, w którym doszło do wypadku.

Dekker podał im koordynaty. Powiedział, że razem z partnerką znaleźli dużą skałę, klasy B. I pchacz dokładnie tam siedzi, przeżuając i plując w stronę Studni tak szybko jak może. Jeszcze parę miesięcy i będzie po wszystkim.

– Dlaczego u diabła nic mi nie powiedziałaś?

– Właśnie to robię. Sama dowiedziałam się od Birda wczoraj wieczorem. To właśnie można zobaczyć na tych mapach, które podkradłaś.

– Cholera! Ale to nie ma sensu. Czasem przyłazą z przestrzeni różne rzeczy, dobra, nawet tak wielkie, ale my ich nie dostajemy. Takie kawałki wyłapują optyką.

– Jednak ktoś przeoczył. I przyznał ten sektor dzieciakom. Sucza Mama nie może dać wolnym strzelcom takiej wypłaty. Wiesz, ilu by stąd uciekło? Wykupiło wyjazd? Jeśli to rzeczywiście żelazo, jak twierdzi Dekker, to wartość tej skały wynosi prawie tyle co cholerny dług narodowy!

Sal wypuściła powietrze przez zęby.

– Boże!

– Wiesz jak pomocna jest Sucza Mama. Jakiś dureń z dolnych poziomów AP spieprza sprawę, przydzielając ten sektor wolnym strzelcom, a ci znajdują coś ekstra. Teraz, czy jakiś wolny strzelec zgłasza kamień Mamuśce zanim weźmie swoją próbkę? Nie w sposób, w jaki my to robimy: nie dajemy jej szansy powiedzieć – zostawcie, nie ruszajcie tego kamienia, żeby potem mogła przekazać lepsze kawałki swoim pupilkom. Trzeba przyznać, że dzieciaki miały przynajmniej podstawową wiedzę o tym, jak działa system. Nie zaufali Suce. Podeszli, żeby pobrać próbkę, mieć dokładne oznaczenie tego kawałka.

– Cholernie niebezpieczna operacja dla tak małego statku. Możliwe, że rzeczywiście zahaczyli o kamień, możliwe że zbyt się pospieszyli...

– Może. Nie wiem. *Jeunefils* mówi coś innego.

– Ale skała tej wielkości, nie oznaczona – skąd to przyleciało? Musiał mieć orbitę jak stąd do piekła, albo jeszcze dalej. I żelazo?

– Nie wiemy nic o tym z czego był. Wiemy, że jeden dzieciak nie żyje, a Sucza Mama wyczyściła zapisy. Ale te ładunki z pchacza trafią w Studnię lada dzień.

Zostaw to Mitchowi.

– Mogę to zostawić, na ile to warte. Ale z taką gębą...

– Bardzo młody, Aboujib, bardzo zielony. Możemy go ustawić.

– Kady.

– Mówię ci. Powiem więcej. Musimy go ustawić – oni wiedzą, gdzie był wczoraj wieczorem.

– O czym ty mówisz?

– Sucza Mama. Aboujib. Przyszedł tutaj. Zarejestrował się. Zna Birda i Bena...

– O Boże.

– Jasne, „O Boże”. Przeszłam przez to. Mają go na smyczy. Może nawet na długiej, ale to zależy od tego w co wdepnął. I co mamy powiedzieć Birdowi? Wybacz, ale naprawdę powinieneś pozbyć się tego faceta z powodu faktu, że Mamuśka szuka kłopotów i dlatego, że Sal przekazała mapy Bena pasterzom?

– Cholera, czemu nic nie powiedziałaś?

– Jak mogę mówić o czymś, o czym nie wiem? Nie słyszałam słowa „pchacz”. Nie widziałam tych map. Do ostatniej zmiany nie słyszałam nawet słowa „skała”.

– Cholera jasna!

– Chcesz usłyszeć jeszcze jedną myśl do przetrwania? Wylecimy stąd za kilka tygodni, a co on będzie w tym czasie robił, albo co gorsza rozpowiadał? Czy możemy go powstrzymać?

– Boże.

– Co na to powie Mitch?

– Nie wiem!

– Moglibyśmy go uciszyć na jakieś trzy miesiące.

– O czym ty mówisz? Zabrać go ze sobą?

Przeszły obok wejścia do bardzo głośnego baru. Meg ciągnęła temat.

– Jeśli chodzi o to co myślę, to widzę to tak: *jeune fils* będzie chciał odzyskać licencję. Powiedzmy, że zaliczy egzaminy. Będzie potrzebował czasu pokładowego. Kilkaset godzin. Zabierzemy go z pokładu, wyciszymy.

– Jasne, ale gdzie w tych planach jest Ben? Ben go zabije.

– Kto powiedział Bird i Ben?

– O Boże, Kady. Oszalałaś!

– Pomyśl. Bird ma dług, a my możemy go spłacić. To będzie przysługa. Bird będzie miał wtedy wobec nas karmę. Tak jak ten facet, który też jest z ziemskiej Studni.

– On jest rąbnięty.

– Powiesz Mitchowi, co zrobimy. Powiedz mu, że weźmiemy tego faceta na smycz. Czy oni go teraz chcą? Nie sędzę. Możemy rozwiązać problem Dekkera, rozwiązać problem Birda i jeszcze Mitcha. Nasza reputacja na tym zbytnio nie ucierpi. Dlatego jesteśmy użyteczne. Odwrócimy uwagę tego *jeune fils* i nie będzie problemów.

Meg podniosła oczy ku górze. Piekielnie skomplikowana sytuacja ze statkiem, już były tak blisko celu...

Plan to jedno, ale gdzie tu zysk? Meg gada niczym kaznodzieja o darmowym powietrzu i o tym, jak to wszyscy będą ze sobą współpracować. Ale co ten dzieciak z RI naprawdę nam przynosi?

Szły, oglądając wystawy sklepowe, w rytm grzmiących basów muzyki

dobiegającej z głośników i odbijającej się od podsufitowych kratownic.

– Powiem ci jedno – rzekła Meg. – Lepiej, żeby nie okazało się, że ten *czelowiek* podbierał. Mamy już dostatecznie kiepską reputację. I lepiej, żeby już nigdy więcej nie przychodził do „Hole” naćpany.

– Nie można tego było o nim powiedzieć dziś rano odpowiedziała Meg.

– Nie można też powiedzieć, żeby był rozmowny. Nienawidzę tych cichych typków. Bez żartów Meg – jeśli wylecimy stąd, a on zacznie wariować – co u diabła wtedy zrobimy? Nie wiemy, czy możemy go naprostować. Facet mógł się poważnie skrzywić, tam w przestrzeni. Co wtedy zrobimy?

– Przywiążemy go do rur, tak jak to zrobili na *Trynidadzie*. Mogłabym na to pójść.

Złapała oddech.

– Związany jak baleron, Kady.

– Nie będzie całkiem bezużyteczny, nie?

– Do diabła!

– To da Mitchowi całe trzy miesiące. Chcesz, żeby ten *jeunefils* błąkał się po pokładzie w stanie w jakim jest, gadając bez pamięci o Birdzie i tym pchaczu?

– Punkt.

– Więc musimy tylko wymyślić, jak go zarejestrować u Suczej Mamy.

– Jak do diabła go zapiszemy? Jako balast?

Lubieżny uśmiezek.

– Redundancja systemów?

– Kady, to wulgarne.

– Jasne – Meg uśmiechnęła się, rzucając spojrzeniem w bok.

– Nie nabijaj się ze mnie! Mamy tu coś więcej niż drobny problem. Powiedzmy, że ustawimy tego faceta. Wciąż mamy go w centrum kłopotów. Mamy Bena, który jest zdrowo wkurzony. Nie podejdzie do sprawy lekko i nie będzie chciał z nim się dzielić.

– Lepiej nie naciskać w tej sprawie Birda. Nie spodziewaj się, że sam do tego dojdzie, ale każdy czasem potrzebuje trochę luzu.

– Tutaj potrzeba dużo przestrzeni. Dla Bena też.

– Kto będzie z nim pracował? Mamy na liście facetów umierających z głodu, a każdy człowiek od liczb potrzebujący pilota będzie szukał takiego, który nie widzi ufoludków. Ten *jeune fils* wyrobił sobie wczoraj reputację, która będzie żyła naprawdę długo, zanim o tym zapomną...

– Zawsze zostanie Yoji Carpajias.

– Boże. – Yoji był świetnym człowiekiem od liczb. Ale się nie kąpał. – Musielibyśmy potem odkażać cały statek.

– Racja. Ale zawsze to jakaś opcja. Są też inni. Zostaw Bena jako głównego na *Tryinidad*, my będziemy miały pierwszeństwo do *Way Out*. Jeśli Sucza Mama pozwoli Dekkerowi odzyskać licencję, to znaczy że chce spokoju. A Dekker z licencją w kieszeni będzie o wiele bardziej wiarygodny, nie?

– Jasne. Ale jak go upilnujemy? W tej chwili jest toksyczny i nie znamy go wcale. Nie wiemy, w którą stronę się obróci.

– Dekker jest z Sol, czyli bardzo podobny do Birda. Musisz wziąć pod uwagę, że będzie działał z motywów podobnych do Birda. Był związany ze swoją partnerką? Facet nam dużo zawdzięcza. Wielka karma.

Dotarło do niej wtedy wreszcie, o czym mówiła Meg.

– Karma, do diabła. Jeśli Bird da temu sukinsynowi czas na pokładzie, może sobie za niego policzyć. Może go zmusić do zapłaty. Albo Dekker będzie miał czym zapłacić albo Bird dostanie pilota na smyczy. Stary sukinsyn!

– Nie sądzę, żeby to był powód dla którego Bird to robi.

Sal rzuciła spojrzenie w stronę Meg, po czym kilkakrotnie prześledziła swój tok rozumowania, zastanawiając się czy do końca nadała za tym, o czym mówiła Meg.

– Jasne. Ale czy my jesteśmy szalone? Bird ma *Way Out*, ale my mamy nasz czas. Zapisujemy jego czas na pokładzie i facet należy do nas, do chwili aż będzie mógł nam zapłacić rachunki – takie jest prawo, to jedyna użyteczna rzecz jakiej nauczyłam się w instytucie. Facet będzie nam dłużny za czas, my dopilnujemy, żeby odzyskał licencję, a pieprzona Kompania nie dotknie go nawet palcem. Czy to ujdzie jako dobroczynność? – Doszła do końca pokładu, z rękami w kieszeniach i nowym pomysłem nabierającym kształtu w głowie. Mitch, *Way Out* i rozdanie starszych kart.

– Może to dlatego Sucza Mama nie dopuściła do wprowadzenia religii na kursie szkolenia pilotów?

* * *

Kiepski interes, praca w zerowej grawitacji, unosząc się godzinami i niweczając wszystko co czas ciężenia powinien był naprawić. Jednak lekarze, którzy przygotowywali przepisy zdrowotne i higieny pracy, nie wyceniali pomocy. Jak twierdziła Kompania nie było obecnie żadnego bezrobocia, a jeśli nawet, to w tak małej skali, że się nie liczyło. Oczywiście, można było wynająć do brudnej roboty jakieś prawdziwe zera, ale wtedy trzeba było ich pilnować, bo wynosili wszystko, co nie zostało przynitowane. Lepiej było spędzić w doku dodatkowe godziny i samemu wszystko wyczyścić, sprawdzając przy okazji które z uszkodzonych systemów można było ukryć przed inspekcją, a które naprawić, zamiast wymieniać. Zostawić sprawę firmie dokonującej napraw, takiej jak Towney Brothers, a dostaliby niebosiężny

rachunek, spowodowany w części tym, że Towney siedział w kieszeni u pół tuzina dostawców.

Amen.

Dlatego nie wymienili prysznic, zdjęli tylko panele i zanieśli je do wynajmowanego na trzecim pokładzie warsztatu, aby je wyszlifować. Po tym zabiegu i zainstalowaniu ich z powrotem, wyglądały zupełnie jak nowe. Rozbierali różne elementy na części, zwozili ja na trzeci pokład, czyścili i naprawiali co trzeba, nawet elektronikę. Czyścili i odkurzali, rozbierali na części i składali. Ben najwyraźniej uczył się o pracy statku więcej niż miał ochotę wiedzieć.

Bird właśnie zajmował się przygotowaniem kolejnego ładunku na trzeci pokład, dla dziewczyn do naprawy albo do zrobienia dla nich, kiedy dotrą tam po lunchu.

Może mogli posadzić do tego również Dekkera, jeśli mógł utrzymać pion i był fizycznie wydolny. Pilot górniczy, który chciał być cokolwiek wart, musiał być niezłym mechanikiem. Tymczasem...

– Bird? – zaskoczył go przebijający się przez hałasy rdzenia głos Meg. Ręka z elektrycznym śrubokrętem ześlizgnęła mu się z główki śruby i trafiła go w palec. Wyrwało mu się coś, czego normalnie nie mówił i zaczął ssać obolałe miejsce, obracając się by spojrzeć w stronę na wpół otwartego luku, przysłoniętego plastikowym arkuszem, który miał zatrzymać ciepłe powietrze w środku, a hałas na zewnątrz.

– Przepraszam – Meg wdryfowała do środka odsuwając plastik, wyglądając bardzo ładnie w swoim niebieskim swetrze. Obróciła się tak, by znaleźć się z nim twarzą w twarz i właściwą stroną do góry. – Przepraszam Bird. Chcesz pomocy?

– Radzę sobie – odpowiedział. Odwrócił się, ustawił śrubokręt i umieścił śrubę we właściwym miejscu konsoli, którą właśnie instalował na nowo. Oderwał kolejny kawałek taśmy klejącej.

– Nie jest ci zimno, kobieto? I kto pilnuje Dekkera?

– Sal i ja mamy pewien pomysł – powiedziała Meg.

Wywnioskował z tego, że sprawa jest poważna. Nie był pewien, czy mu się to spodoba. Złapał taśmę dryfującą w powietrzu, zanim przeciąg wywołany odsunięciem przez Meg osłony luku wysłałby ją w jakiś trudno dostępny zakątek.

– Wpadłyśmy na pomysł – ciągnęła Meg. – Rodzaj umowy partnerskiej.

Wysłuchał tego. Nie odezwał się ani słowem, podczas gdy Meg przedstawiała mu cały pomysł. Sypiał z tą kobietą, więc uznał że nie miałby szansy uśnięcia, gdyby nie wysłuchał tego teraz. Wywołało to u niego lekkie mdłości.

– Jakkolwiek by było, zyskujemy – zakończyła Meg.

– Jasne. Zakładając, że ten facet będzie gotów do wyjścia tak szybko. Zakładając, że może odzyskać licencję. Wsadzić go na statek z tobą i Sal na trzy miesiące? Nie

podoba mi się to, Benowi na pewno też nie. Wy dziewczyny, tam – same z nim...

Meg mrugnęła do niego znacząco.

– Nie będziemy się do niego dobierać.

– Meg, bądź poważna.

– Jesteśmy bardzo poważne.

– Meg, wypuszczasz ciepło na zewnątrz.

– Posłuchaj mnie, możemy zawrzeć z nim ten kontrakt, Sal mówi że to całkowicie legalne: obciążymy go za czas pokładowy na szkolenie, on zapłaci nam pieniędzmi lub swoim czasem...

– Termin.

– Co?

– To się nazywa terminowanie. Czytałem o tym. Kiedy jeszcze do cholery mieliśmy papier i zanim sprawili, że papier toaletowy się rozpada. Mówicie o wzięciu go do terminu. Mamy jego statek. Ben chciał mu zabrać konto bankowe. A teraz chcecie jego? Meg, to śmierdzi.

Meg zamilkła. Był pewien, że poczuła się dotknięta. Wyłowił z kieszeni kolejną śrubę i umieścił ją w otworze.

– Więc jakie ma inne szanse? – zapytała Meg. – Bird? Kto oprócz nas choć odrobinę przejmuje się tym, co stanie się z tym facetem?

Wkręcił śrubę i obejrzał się podejrzliwie do tyłu na Meg – należało być podejrzliwym, kiedy Meg Kady zaczynała mówić o miłości do bliźnich.

– Kim są ci „my”?

– Ziemianie. – To był przynajmniej trzeci raz, kiedy słyszał jak Meg zmienia planetę, z której pochodziła. Był uprzejmy i nie powiedział tego. – Dekker też pochodzi z ziemskiej Studni – powiedziała Meg. – Tak samo jak my.

– Raczej Sol, sądząc po tym jak mówi.

– A więc zauważyłeś to, Bird – żółtodziób jak on, w parze z drugim takim samym dzieciakiem. Nie mogli poznać zasad. Najgorszy rodzaj pary, nie było nikogo, kto wprowadziłby ich w zasady. Facet nie chciał spieprzyć sprawy – po prostu zabrakło mu porady i doświadczenia.

Następna będzie łagodna muzyka. A w tym czasie grzejnik działał, a ciepłe powietrze unosząc ze sobą pieniądze wypływało na zewnątrz, w mroźny dok.

– Mogłabyś zamknąć ten plastik, kobieto?

Meg obróciła się i zamknęła go. To dało mu czas do namysłu. Musiało być w tym coś dużego dla Meg i Sal. Nie dość czasu, by mógł dojść, co by to mogło być.

– W porządku – powiedział. – Usłyszałem o trudnościach. Teraz powiedz, na czym polega interes?

Meg zawahała się i przebiegła oczyma po wnętrzu statku z wyrazem twarzy który

miał znaczyć, że mógł tam zostać zainstalowany podsłuch, mówiąc:

– Bird, co robisz w porze lunchu?

Rozdział 12

Dekker drzemał w delikatnym szumie przyciszonej muzyki dobiegającej z baru na zewnątrz. Leżał w łóżku w 0,9 g przekonawszy się, że przez drzwi nie przejdzie nikt z zastrzykami, testami czy oskarżeniami. To było wszystko czego w tej chwili chciał – był w tym miejscu bezpieczny i jeśli będzie nadal siedział cicho, to może przez jakiś czas nikt się nim nie zainteresuje, wliczając w to Birda i Bena.

Boże, proszę.

Powoli robił się coraz bardziej głodny – śniadanie nie dało mu wiele. W końcu spojrzął na zegarek – po prostu popatrzył na niego przez chwilę. Nie znał właściwej godziny. Bird powiedział mu, że zegarek jakiś czas był wyłączony. Ale był szesnasty sierpnia. Nadal. Wiedział, że mu odbiło, stał się kompletnie niepoczytalny – nigdy by się po sobie nie spodziewał, że mógł aż tak stracić kontrolę nad swoją świadomością, a przynajmniej miał o sobie wyższe mniemanie. Po katastrofie utrzymywał na statku pewien rodzaj rutyny w swojej działalności, kiedy już udało mu się zwolnić wirowanie za pomocą silniczków służących do dokowania – dość, by móc się odrobinę przemieszczać, wykonywać podstawowe czynności – irracjonalne, jak teraz sądził. Część z nich kompletnie zwariowana, robiona dlatego, że Cory by tak chciała. Boże, prawie się zabił próbując sprzątać, bo Cory tak by zrobiła.

Nie był pewien ile zapomniał. Były pewne luki, których prawdopodobnie nigdy nie zapełni. Inne wspomnienia – nie dało się ich w żaden sposób uporządkować. Przerazała go sama próba poukładania ich. Bał się, że któryś z obrazów skoczy mu do gardła, przejmie nad nim kontrolę i pograży się – jak ten cholerny błysk zieleni na ścianie prysznic. Nawet nie pamiętał, czy brał prysznic w dniu wypadku. Zdecydował, że raczej nie, zbyt wiele się działo tego dnia.

Dziura. Głęboka i przerażająca. Serce waliło mu jak młotem. To była po prostu zielona ściana, miejsce na statku Birda, które wyglądało dokładnie tak samo jak u niego. W tamtym miejscu się zgubił. Ale było tyle innych. Bar na zewnątrz, piekąd, ludzie których nie znał – był głodny, ale nie chciał wychodzić na zewnątrz stawiać czoła obcym ludziom i pytaniom. Leżał więc nieruchomo w łóżku słuchając przytłumionej muzyki, łykając swoje tabletki kiedy, jak sądził, nadszedł właściwy czas.

Wtedy jego żołądek zdecydowanie zaprotestował domyślił się, że powinien coś zjeść, by dać podkład tabletkom, więc wybrał się aż do baru. Oprócz właściciela nie było tam nikogo kogo by pamiętał, a ten nie wykazywał zbyt przyjaznego nastawienia.

Nie, nie podawali lunchu. Mieli chipsy. Półtora dolara paczka. Czy chce?

Kupił paczkę i jakiś napój – chciał na swój rachunek, ale właściciel powiedział,

że idzie to na Birda i nie przyjął pieniędzy.

Nie chciał się kłócić. Zabrał z powrotem swoją kartę i wycofał się do pokoju, niezadowolony. Nie wiedział czemu, czy to z powodu nieznamości warunków, tego, że wystraszył się i nie zażądał obciążenia chipsami jego karty – ale był, i było mu za siebie wstyd. Zjadł chipsy, czując grudę w przełyku. Siedząc na łóżku zastanawiał się nad połknięciem tabletki nasennej i przespaniem kilku godzin – tylko dlatego, że był w obcym miejscu i nie było nic znajomego. Nie mógł jednak siedzieć w miejscu i przez cały dzień drażnić swoje wspomnienia. Brakowało mu rutynowych zajęć, które pomogłyby mu zachować rozsądek i kontakt z rzeczywistością. Siedział tam tylko i czekał, sam nie wiedząc na co i nie potrafił przestać poruszać się po przeszłości.

Wyciągnął torbę z tabletkami i przyjrzał się rozmiarom butelki z proszkami nasennymi. Boże, pomyślał, czemu dali mi ich aż tyle?

Powodowany ciekawością wysypał je na stolik i policzył.

Dwieście dwanaście tabletek.

Zdecydowanie nie chcieli, żeby zgłaszał się po nową dawkę.

Ostatnio miał tendencję do przesadnego skupiania się na jednej rzeczy. Może był to efekt uszkodzenia mózgu. Ale w szpitalu miał niewiele rozrywek – ciągle, gorzkie nękanie. Ruch i kontra. Oni wykonali ruch, on odpowiadał. Wykonywał ruch. Nie ufał im. Nigdy nie byli konsekwentni w tym co robili.

Wysypał tabletki na stolik i zaczął je liczyć. Witaminy i potas, po trzydzieści. Środki związane z kalcytonina dość na miesiąc. Duża butelka podpisana: kłopoty żołądkowe – w miarę potrzeby. Kolejna podpisana: środki przeciwbólowe – jedna co cztery godziny, w środku czterdzieści tabletek. Środek zmniejszający przekrwienie czterdzieści pięć tabletek, co cztery godziny jedna. Środek moczopędny – jedna tabletką dziennie, pić dużo płynów. Przeciwzapalne – czterdzieści sztuk, brać dwie przed posiłkami. Przeciwdepresyjne – sześćdziesiąt tabletek, zakaz spożywania alkoholu.

Siedział tam ze stosami tabletek na stoliku, jeden z nich zdecydowanie przerastający pozostałe i patrzył się na nie, patrzył i nie mógł zrozumieć. Dwieście dwanaście tabletek?

Czy źle odczytali receptę?

Nie.

To nie o to chodzi.

Cory nie żyje, wmawiają mi, że jestem wariatem, zabierają statek i licencję mówiąc że więcej nie polecę, po czym dają sześćdziesiąt tabletek przeciwdepresyjnych i dwieście dwanaście nasennych?

Naprawdę nie chcą, żebym spieprzył swój koniec.

Dopóki nie policzył tych tabletek, nie miał pojęcia co ze sobą zrobić.

Pomyślał, że najpierw zabili Cory, a teraz chcieli, żeby sam się zabił.

Do diabła z nimi.

Powrzucał tabletki do odpowiednich butelek zastanawiając się, czy był jakiś sposób na dostanie się na poziom zarządu...

Nie, to było szaleństwo. Tylko naprawdę szaleni ludzie szli w takie miejsca i zabijali innych ludzi, którzy nie mieli nic wspólnego z ich problemami. Jakiś niewinny urzędnik czy oślizły drań z korporacji – żaden z nich nie był w stanie doprowadzić go do ludzi naprawdę odpowiedzialnych.

Ktoś stał na zewnątrz i zastukał do drzwi, a on poczuł ostre ukłucie paniki.

– Dekker?

– Tak – odpowiedział.

– Dekker? – kobiecy głos, jedna z przyjaciółek Birda. Nagle zaczęły mu się trząść ręce, nie wiedział co mogło wywołać taką reakcję, ale jego serce waliło w przyspieszonym tempie, i logika nie miała tu nic do rzeczy.

– Tu Meg Kady. Otworzysz drzwi?

Wrzucił butelki z lekami do plastikowej torby, torbę do szafki. Nie bardzo chciało się zmieścić, ale udało mu się.

– Dekker?

* * *

Sal powiedziała o nim że jest straszny i stojąc z nim twarzą w twarz Meg wystraszyła się, że Sal mogła mieć rację. Uchylił drzwi i z bezbarwnym wyrazem twarzy słuchał jej zaproszenia na drinka.

– Pomyślałyśmy, że możesz mieć dość czterech ścian. Chodź, odetchnij trochę świeżym powietrzem, napij się drinka lub dwa.

Wyglądał, jakby w każdej chwili był gotów zatrzęsnać jej drzwi przed nosem i może miał powód, pomyślała Meg. Musiał wiedzieć, że Ben go nie lubił i mógł mieć podejrzenia co do reszt przyjaciół Birda.

– Hej – powiedziała, przywołując swój najbardziej przyjacielski uśmiech – chyba się nas nie boisz?

Jeśli to i seksowny sweter, który na sobie miała nie wyciągnęłoby go z pokoju, to nie miała innych pomysłów. Dekker, wyglądając na wstrząśniętego, wymamrotał coś pod nosem i pomacał się po kieszeniach.

– Można tu bezpiecznie zostawić rzeczy?

– Jasne. Gdyby ktokolwiek ukradł coś z „Hole”, następnego dnia skończyłby jako parówka u Mike’a. Jak się czujesz?

– W porządku.

Głuchy głos – w porządku. Dekker wyszedł pozwalając zamknąć się drzwiom i poszedł za nią korytarzem wyglądając, jakby w każdej chwili był gotów uciec.

Bardzo straszny. Tak. Albo zbyt podejrzliwy wobec nich i ich motywów.

Czekała na nich Sal. O tej porze nie było trudno znaleźć stół, wokół którego byłoby luźno. Ruch był niewielki, większość wyszła w swoich sprawach. Przeszli przez powitalne uprzejmości w rodzaju cześć, dobrze wyglądasz, jak się masz i tym podobne. Sal odsunęła krzesło, wstała, on usiadł, ona też, potem Meg. Bogu dzięki, zaraz podszedł Mike pytając o zamówienia.

– Rum z przyprawami? – zapytał Dekker.

– Drogi – odpowiedział Mike.

Dekker zawahał się, sięgnął po swoją kartę. Meg powstrzymała go.

– Pozwól nam zapłacić.

Zdenerwowała go. Powoli położył swoją kartę na stole.

– Na mój rachunek. Wszystko. Rum i to co zamówią panie.

Meg rzuciła spojrzeniem w stronę Sal i kiwnęła do Mike'a.

– To co on – powiedziała, myśląc, że ma kosztowny gust.

Mike zabrał kartę. Dekker odchylił się do tyłu, z ramieniem na oparciu krzesła – gotowy do obrony. Ale ręka mu się trzęsła. Położył ją na stole.

– Jak na ciebie mówią? – zapytała Sal.

– Przyjaciele – Dek.

– Dek – Sal sięgnęła przez stół. – Sal. Aboujib, gdybyś musiał mnie znaleźć.

Zawahał się, po czym wyciągnął się do przodu i uroczyście potrząsnął ręką Sal.

Meg wyciągnęła swoją.

– Magriette Kady. – Miał zimne palce. Diabelnie wystraszony. – Zazwyczaj Meg.

To wystarczy, na R2 jest tylko jedna. Wychodziłeś dziś z pokoju?

– Na lunch.

– Coś dobrego?

Wzruszył ramionami.

Przyszedł Mike z drinkami. Szybko. Kilka łaskawych chwil bez konwersacji.

Dekker podniósł swojego drinka, Meg z rozmachem uniosła swoją szklanekę.

– Witaj w R2, Dek.

– Dzięki – odpowiedział słabo.

– To my dziękujemy za drinki. Pamiętasz nas w ogóle?

Kiwnął głową.

– Lepiej powiedzmy mu od razu – odezwała się Sal że to my będziemy wynajmować Way Out.

W ogóle na to nie zareagował, po prostu patrzył na Sal.

– Ja jestem pilotem – powiedziała Meg. – Sal jest od liczenia. Ty miałeś główną licencję w waszym zespole, tak?

Dekker pokiwał ponuro głową, przyglądając się im, obserwując każdy ruch. W jednej ręce trzymał rum, drugą obejmował oparcie krzesła.

– Tak, miałem.

– Przepraszam – pochyliła się nad stołem zmniejszając dystans. – Bądźmy szczerzy. Uwalili ci licencję. Bird i Ben przejęli twój statek – ale też nie obrali cię do czysta. Ryzykowali swoje finansowe tyłki, ratując twoje życie. Rozumiesz? Mnóstwo wydatków.

– Jasne.

– Tak więc wynajmujemy statek, który był twój, a ty pewnie nie masz powodu nas lubić.

Dekker odpowiedział bez żadnej intonacji.

– No cóż. Nie wasza wina. Bez obrazy.

– Ale – Sal naciskała – zaczęłyśmy zastanawiać się, czy nie moglibyśmy pomóc sobie nawzajem.

– Domyślamy się, że będziesz chciał odzyskać licencję – wtrąciła szybko Meg. – Do tego będziesz potrzebował czasu pokładowego. Co mogłoby być kosztowne, gdybyś miał go dostać od Kompanii – i nadal możesz potrzebować pomocy, by przebić się przez biurokratów.

Dekker rzucił w jej stronę szybkie, otwarte spojrzenie znaczące „o co wam do cholery chodzi”.

– Czełowiek – powiedziała cicho, bo nawet w barze z grającą muzyką należało się ostatnio martwić o pluskwy, od kiedy gliniarze przeszukali to miejsce. – Wpadłeś w poważne kłopoty. Jesteś jak piach w łóżyskach, ty i twoja partnerka. Skąd jesteś, ze Stacji Sol?

Pokiwał głową.

– Od dawna w Pasie?

– Dwa lata. – Miał zaciśnięte szczęki, nie zamierzał wydusić z siebie nawet jednej sylaby ponad to, co niezbędne. Poprawa w stosunku do wczoraj – pomyślała.

– Mówiąc wprost Dek, wpakowałeś się w piekielny bałagan i jest w R2 na pokładzie *beaucoup* ludzi, którzy oskubaliby cię do końca. Ale tak się składa, że nie jesteśmy jednymi z nich, a Bird jest spod błękitnego nieba, więc wie skąd pochodzisz. Nie, żebyśmy byli ci coś winni, pamiętaj. Ale Bird nie lubi wykorzystywać ludzi. Są pewne sprawy, na które nic nie poradzimy. Ale przypuśćmy, że moglibyśmy – co byś chciał zrobić w tej chwili przede wszystkim? W czym najbardziej moglibyśmy pomóc?

Potrząsnął głową, patrząc w inną stronę.

– Zły. Nie winię cię, *jeunefils*. Ale czy chcesz działać przeciwko sobie? Co możemy zrobić, żeby wyrównać rachunki? W czym ci pomóc?

Kolejne potrząśnięcie głową.

– Cóż, dobrze. Ale wiesz, czego chcą te korporacyjne szczury, prawda?

Zareagował brzydkim spojrzeniem.

– Chcą, żebyś był całkiem ich. Naprawdę nie lubią niezależnych. Karta zmusza ich do akceptowania nas, ale zmuszą cię do maszerowania w rytm ich muzyki.

– Nie wciągną mnie do Kompanii. Nie mam licencji.

– Och, oddadzą ci ją, *jeune fils*. Kiedy będziesz ich. Przepisy ASTEXU wykręcające cię na drugą stronę i ASBANK gotów pożyczyć ci pieniądze. Masz w ogóle jakieś środki, jeśli wolno spytać?

– Nie wolno.

– Dobra, nie pytam. Ale czy chcesz dostać licencję bez nich?

To wywołało reakcję. Ale nie słowną.

– Mamy dla ciebie umowę. Dostaniesz czas na naszych pokładach, przyjmiesz naszą pomoc, ty, ja, Sal, Bird i Ben, wszyscy uruchomimy nasze kontakty, żeby z powrotem umożliwić ci pracę, żebyś miał co jeść, mógł się dostać na statek i w końcu odzyskać licencję. Co ty na to?

Wreszcie jakieś zainteresowanie. I wrogość.

– Dlaczego? Z dobroci serca, rabie?

– Za czas na pokładzie zapłacisz nam gotówką, jeśli ją masz, jeśli nie – udziały z wynajmu później. Masz na to słowo Birda, jeśli Sal i ja cię zamustrujemy.

Popatrzył w inną stronę. Dała mu chwilę do namysłu, po czym dodała:

– Nie jesteśmy trudne we współżyciu, Dek. Jesteśmy nawet niezłym towarzystwem.

– Moja partnerka nie żyje, wzięłyście to pod cholerną uwagę?

– Podobałoby się jej, że głodujesz? – wtrąciła Sal. Musiała być wredną suką.

Dekker popatrzył na nią ze śmiercią w oczach, ale Sal ciągnęła:

– Ale przypuszczam, że nie była wredną suką i nie podobałoby się jej to, co ze sobą robisz. Ale nie ma jej tu i nie będzie. Wypisała się, człowieku, wszystkich nas to czeka. Śmierć jest częścią życia, a życie toczy się dalej.

– Odwal się – Dekker odepchnął krzesło i wstał. Meg też się podniosła i położyła mu rękę na ramieniu – stracił ją. Stojący z barem Mike prawdopodobnie sięgał już po trzymaną na wszelki wypadek pałkę.

Odezwała się cicho, unosząc do góry obie dłonie.

– Spokojnie, żadnych glin. Chcemy ci pomóc, to wszystko.

– Jesteś antykiem, wiesz? Cholernym przeżytkiem. Nie ma już rab. Nie jesteś już w ruchu.

Właściwie poczuła bolesne ukłucie zainteresowania i – *jeunefils* był jeszcze niedawno na Stacji Sol i mógł być lepiej zorientowany w tym, co jest na topie.

– Naprawdę? – Przekrzywiła głowę, przybrała pozę w stylu „a niech cię” i zapytała: – Masz się lepiej, plastikowcu?

Miał około dwudziestu lat – trudno było ocenić po oczach, ale zdradzało go ciało, sposób w jaki pozwolił się zepchnąć z kursu i to, jaki był wystraszony – widać było, że jest młody. Może nawet wcale nie dbał o to, o czym myślała – po prostu zaatakował na ślepo, jak przystało na młodego durnia, i w jednej głośniejszej chwili zrozumiał, że odpowiedział atakiem.

– Podaruj to sobie. Są już lata dwudzieste.

– I co mają takiego do zaoferowania lata dwudzieste, czego nie miał piętnasty? Szczury korporacji w eleganckich garniturach? Tutaj na R2 lata dwudzieste jeszcze nie dotarły. Może nie podoba mi się twoje jutro, mały szczurze z korporacji.

– Na Sol jest dwa tysiące trzysta dwudziesty trzeci i budują statki wojenne, aby wysłać rasę ludzką do piekła. Wiele się zmieniło, do czego wy przyłożyliście ręce.

– Więc jakie masz nowiny, mały plastikowcu?

– Nowiną są garnitury. Nowiną jest zgarnianie wszystkiego póki można. Taka jest Sol. To wszystko co zmieniliście!

Gorzkie wieści, nie lepsze niż sama wiedziała wcześniej. Kiwała się na palcach stóp i piętach, z rękami za paskiem. Wzruszyła ramionami i powiedziała:

– To wciąż trwa, młody rabie. Czy nie powiedzieliśmy wam, wtedy, w piętnastym: „Obudźcie się! Będziecie dla nich latać?”

– Nie latam dla nikogo.

– Jeśli teraz zrobisz głupstwo, to do końca życia będziesz żył na resztkach ze stołu korporacji. Posiadają cię i będziesz pilotował jakiś cholerny holownik w rafinerii aż będziesz starszy niż Bird. – Potem dodała cicho, łagodnie: – Albo usiądziesz *jeune fils*, wysłuchasz mnie i użyjesz swego mózgu do czegoś więcej niż miejsca pod kapelusz.

Stał tam milcząc, a Meg, widząc kątem oka siedzącą przy stole Sal zaczęła błagać ją w myślach, żeby się nie ruszała, nie odzywała ani nawet nie oddychała, bo chłopak mógłby wybuchnąć.

Dekker odwrócił wzrok, zahaczył nogę o krzesło i opadł na nie.

Meg powstrzymała westchnienie ulgi i usiadła na swoim miejscu, gdzie musiał spojrzeć jej w oczy.

– Rozerwijmy się, *jeune* rab. Nie załatwiamy teraz interesów. Weźmiemy cię po prostu na rundę po piekładzie i pokażemy kilka sklepów.

– Nie mam na to ochoty.

– Nigdzie daleko. Rozluźnij się. Zachowujemy się bardzo karygodnie, ale nie

wykorzystujemy przewagi. Nie będziemy cię naciskać. Po prostu mały spacer.

Chłopak był przerażony do żywego. I zdołał nie patrzeć jej w oczy.

– No chodź – powiedziała. – Za dużo naoglądałeś się szpitali. Sal i ja chciałybyśmy wydać trochę, dopilnować żebyś miał coś więcej w tym swoim plastikowym odpowiedniku torby na rzeczy – na przykład zafundować ci przynajmniej jakieś kosmetyki, jasne? Nawet, jeśli nie zdecydujesz się skorzystać z reszty naszej oferty.

Znając Sal spodziewała się, że miała ona teraz poważne problemy z żołądkiem. I zdecydowanie wolała się nie wtrącać.

Dekker powoli się uspokajał.

– Odwalcie się – powiedział.

– Mówisz nam, że chcesz iść do Kompanii. Powinnyśmy zostawić cię samego i trzymać się od ciebie z daleka?

Kilka oddechów. Trzęsącą się ręką uniósł szklanke, osuszył ją i odstawił, zostawiwszy sam lód. Potem pokiwał głową i wyglądał, jakby zapadł się trochę w sobie.

– Dobra, niech będzie... cokolwiek.

Tak jakby mogły posiekać go na kawałki, nie zależało mu.

Położyła rękę na oparciu jego krzesła i wstała, a on za nią. Wskazała mu drzwi mówiąc w stronę Mike'a:

– Powiedz Birdowi, że poszliśmy na zakupy.

A Sal, niech ją diabli, z płynnością ruchów mały dokowej podniosła się i uczepliła ramienia Dekkera kierującego się w stronę drzwi.

– Znam takie miejsce. Absolutnie pierwsza klasa. Musisz je zobaczyć, dobrze?

– Medium – powiedział sprzedawcy, zawstydzony przez swoje towarzystwo, wyczerpany chodzeniem, niepewny, czy to przypadkiem nie jest część jakiegoś diabelskiego planu – ale nie mógł tego dowieść. Złamał coś, co Cory nazywała Regułą Numer Jeden – wychodząc z pasiarzami, których zupełnie nie znał, do sklepów które one znały, wierząc im na słowo z kim można handlować i komu ufać. Nie wiedział nawet, czy podzielały punkt widzenia Birda czy nie. Z tego co wiedział, raczej Bena, ale dobrze się bawili i wyszedł z dołka, w którym usiłował się pograżyć... Może odrobinę odlatując. Ale wprawiły go w ruch, wkurzały go, ale też zrobiły dla jego zdrowia psychicznego więcej, niż wszystkie tabletki Viscontiego. Żył. Myślał o czymś innym niż Cory, przytłoczony muzyką, kolorami, fakturami i podnieconymi, życzliwymi głosami.

W tej chwili był niemal szczęśliwy.

– No nie, Pat, nie wariuj. Dawaj tu ciuchy – Sal przemawiała do sprzedawcy, cokolwiek miało to znaczyć, a Meg zawołała za nim: – Żadnych korporacyjnych

stylizacji! Coś porządnego!

Handlarz przyniósł czarne spodnie i gruby sweter. Metka na spodniach głosiła, że są rozmiaru medium. Były z szarego stretchu i na medium raczej nie wyglądały.

Wyczytał z metki cenę, 49,99, co raczej nie było mało.

– Zbyt drogie – zaprotestował. Sprzedawca wygrzebał inną parę, z ukośnymi pasami w kolorze czerwonym i czarnym, które wyglądały jak koszmar raba. Dołożył do nich niebieską bluzę.

– Boże – jęknęła Meg – tylko nie niebieskie, czerwone. Nie potrafisz dopasować kolorów?

– Zobaczmy raczej kombinezony – zaproponował. Niebieski lub szary. Coś, co będzie pasowało.

– Och, ubrania robocze – zamarudziła Meg. – Nudne, żadnej zabawy. Och Dek, załóż te szare spodnie, masz dobrą figurę.

– A żeby was... – wymamrotał. Powiedział sobie, że powinien to skończyć, kupić coś prostego, co będzie pasować. Ale obie uparły się, żeby spróbował tych szarych spodni i rzucały w niego bluzami, więc uznał, że w całym tym entuzjazmie będzie łatwiej zrobić z siebie durnia i raz na zawsze udowodnić, że nie będzie dobrze wyglądać.

Ale lustro pokazało mu chodzący worek na kości, który właściwie wcale nie wyglądał źle w tych spodniach. Mógł założyć za dużą bluzę, by ukryć wystające kości.

Nie był jednak przekonany do szerokich, ukośnych pasów na bluzie. Wyszedł z przymierzalni, by wziąć tę ciemnoniebieską, przytomny jak diabli, a kobiety wydały z siebie odgłosy zadowolenia.

– Bluza rab – powiedziała Meg. – Podoba mi się to.

Zacęły go dręczyć wątpliwości i przyjrzał się sobie jeszcze raz w lustrze, kiedy Sal zapytała:

– Myślisz, że pasowałyby na niego te stalowoszare buty? Ma małą stopę.

Tak naprawdę wcale nie chciał bluzy w szerokie pasy. Nie podobały mu się stalowoszare buty, które byłyby świetne dla prostytutki. I zupełnie nie potrzebował tej cholernejsz bransolety, jaką chciała mu wcisnąć Sal.

– To moja wizja – powiedziała Sal. – Człowieku, musisz. I podciągnij rękawy.

– Potrzebuję ubrania roboczego, gorszego. W kolorze niebieskim. I proszę obciążyć moją kartę.

– W rozliczeniu odda swój kombinezon – Meg poinformowała sprzedawcę. – Możesz dać mniejszy rozmiar?

– Jasne – odpowiedział i podał parę o mniejszym rozmiarze. – Jeśli te nie będą pasować, można wymienić. Jest pan naprawdę małym medium.

Nie było to coś, co chciał usłyszeć mężczyzna, który ciężko pracował nad uzyskaniem odpowiedniej muskulatury. Ale zdecydował, że po spędzeniu tak długiego czasu w szpitalu może to być prawdą. Wziął bransoletę. Kupił trochę taniej bielizny i parę ocieplaczy oraz prosty, szary stymbinezon, bo jego stary został sprany tak, że nie nadawał się już do użytku – to był duży wydatek. W końcu zapłacił też za niebieską bluzę, czarne spodnie (ze stretchu, tak jak te szare) i parę używanych butów dokowych. Był teraz zmęczony, oszołomiony i trzęsły się pod nim kolana; gotów był wrócić do swojego pokoju i paść. Mężczyzna za ladą zsumował rachunek i Dekker przeżył moment paniki, kiedy suma pojawiła się na wyświetlaczu. Nie był pewien jak do tego doszło, ani czy odważy się nosić rzeczy, do których przekonały go dziewczyny. Miał kontakt z ruchem rab w wieku trzynastu lat, ale nie później i nie w Pasie, gdzie noszenie się w stylu rab było deklaracją, z którą nie do końca wiedział jak sobie radzić...

Pomyślał, że jest głupcem. Wyobraził sobie, jak będą patrzeć na niego Bird i Ben, kiedy wróci z zakupów i cała reszta gości w „Hole”, z których część mogła podejść wrogo do pajaca bez licencji; zapomniał o swoich kłopotach, dziewczyny sprawiły, że na kilka chwil zapomniał o wszystkim.

– Lepiej wracajmy – powiedział, pragnąc czasu do namysłu. Kręciło mu się w głowie. Ale Meg zaprotestowała:

– Nie możesz wrócić taki kudłaty. Chodźmy przyciąć te włosy.

– Obciąć takie ładne włosy? – Sal zaprotestowała dokładnie w taki sam sposób jak on, gdy miał trzynaście lat. – Nie!

– Nie wszystkie – wyjaśniła Meg. – No chodź, Dek, poprawimy ci fryzurę. To po drodze. Nie zajmie nawet piętnastu minut.

– Nie – powiedział.

Co dało tyle, że wylądował na fotelu fryzjerskim oszołomiony, ze świadomością, że nie wziął na czas porcji tabletek i z dwiema kobietami tłumaczącymi fryzjerowi, w jaki sposób miał zostać obcięty – za wyjątkiem boków – jak zastrzegła Meg.

Poddał się. To było jak w szpitalu. Był zbyt zmęczony, by walczyć o swoje, a zresztą one miały rację – długie do ramion włosy i cienie pod oczami sprawiały, że wyglądał jak czubek. Jeśli fryzura będzie zbyt ekstrawagancka, mógł później wyrównać włosy z pomocą jakiegoś noża czy nożyc. W tej chwili było mu wszystko jedno, po prostu mógł spokojnie posiedzieć.

Z Cory, żeby zaoszczędzić pieniądze, sami nawzajem obcinali sobie włosy. Nic ekstrawaganckiego, praktyczny, marsjański styl. Przyglądał się w lustrze temu co działo się z jego włosami w błyskach neonu reklamującego salon fryzjerski i wiedział, że Cory by się to nie podobało. Przybrałaby ten zdegustowany wyraz twarzy z wyższych sfer i powiedziała „Doprawdy, to nie w twoim stylu, Dek”.

Z pierwszych listów Cory dowiedział się, że nie lubiła rab. Kiedy przysłała mu swoje zdjęcie, zdał sobie sprawę, że powinien wysłać własne – z długimi włosami o dzikich kolorach i, na Boga, ze złotym kolczykiem w uchu...

Ale miał trzynaście lat. Zobaczył poważną dziewczynę o łagodnym spojrzeniu, rzeczową i delikatną jak jej listy. Tak więc, przeżywając kolejny kryzys wartości poszedł do fryzjera i pożyczył prosty, niebieski golf – dostał poważną pracę, o tym też zapomniał – i próbował to ukryć przed kolegami, ale dowiedzieli się i naśmiewali się z niego, uważając, że to cholernie zabawne.

Potem przestali być jego kolegami. W ogóle nie miał już zbyt wielu kolegów – poza Cory, ale wtedy jeszcze nie spotkał jej twarzą w twarz.

Głupi sposób bycia. Nie planował tego. Nie sprawiała mu przyjemności szkoła ani praca, w zasadzie nic oprócz latania. Pracował na małych holownikach w stoczni – powinien był je ładować – przepisy bezpieczeństwa i zdrowotne nie dopuszczały dzieciaków poza doki. Ale dostał trzecią klasę a nadzorca pozwolił mu pracować w zastępstwie, do czasu, aż powstał wakat, po facecie, który wpakował holownik w ładunek stalowych blach.

– ...wyżej z boków – komenderowała Meg. – Dobrze, dobrze!

Sal, ze swoimi setkami warkoczyków zakończonych metalowymi klamerkami nachyliła się, by przyjrzeć mu się z bliska i błysnęła zębami w uśmiechu.

– Doskonale!

Para kobiet mówiąca, że dobrze wygląda nie mogła zranić męskich uczuć, ale w lustrze zobaczył kogoś, kogo nigdy nie spotkał: znów był dwa tysiące trzysta piętnasty, ale nie miał już trzynastu lat, lecz dwadzieścia. Było tak jak powiedział ten próżniowiec z gwiazd, którego ściągnęli kiedyś na lekcje w szkole: Żyjecie na czołach fal. Żyjąc na stacji płyniecie na lokalnej fali – znacie ten czas. Ale gdy dotrzecie gdzie indziej, trafiacie na inną falę. Może nawet cały zespół fal, nadchodzących z różnych miejsc i z różnych czasów. Tu fala informacyjna, tam fala mody, wartości, pomysłów. Rozprzestrzeniają się z różnymi prędkościami.

Jakiś głupi dzieciak zażartował na temat rozprzestrzeniania się.

Kupiec odpowiedział na to ze śmiertelną powagą: „Tak jak mieszkańcy stacji. Niektórzy nie powinni”. Na kilka uderzeń serca w powietrzu zawisła wtedy przerażająco groźna atmosfera, bo załogi statków międzygwiazdnych były znane ze swojego podejścia do życia, a mieszkańcy stacji lubili ich prowokować. Ruszać dalej i nie przejmować się. Matka Cory podjęła wyzwanie i co otrzymała w nagrodę? Córkę, która uznała że Mars jest nieistotny. Że rab nie ma znaczenia. Cory zwykła mawiać, że rabowie tak naprawdę nie są w stanie nic zmienić. Nie potrafią budować. Mówią, żeby zreformować ziemską politykę – ale to się nie uda. Planety to zlewy, dziury w których ludzie uczą się małych, ciasnych idei. Baza księżycowa była

pomyłką, tak jak baza marsjańska. Skoro tylko oderwaliśmy się od Ziemi, nie powinniśmy topić ani grosza w inną grawitacyjną Studnię.

Cory powtarzała niejednokrotnie, że wolałaby raczej pracować na statku górniczym do końca życia, niż znów ugrzęznąć na planecie.

Skupił się na lustrze, w którym nie odbijała się kabina *Wdy Out* ani twarz Cory, lecz szczupły nieznajomy z cieniami pod oczami, który wyglądał jakby nosił nóż w bucie. Nie był pewien, czy Cory by go rozpoznała, albo czy spodobałby się jej, gdyby spotkała go na korytarzu.

– Prawdziwy rab – skomentowała Meg, z ręką na jego ramieniu. Patrzyła na odbicie w lustrze, z rudymi włosami, błyskotkami i całą resztą. Sal stała po jego drugiej stronie.

Patrzył na odbicie myśląc, że całkiem się pogubił, że nie wie gdzie jest.

Oto ktoś, kto przeżył we wraku. Ktoś, kogo Cory w ogóle nie chciałaby znać.

Ale teraz jest kimś. I nie myśli w sposób do jakiego przywykł, nie pójdzie więcej w twoim kierunku, Cory. Nie może.

Widział już szaleńców. Twarze jak z drewna. Po prostu gapią się bezmyślnie, a ludzie zostawiają ich w spokoju.

Nie wygląda na przerażonego, prawda? Ale jest, Cory.

Na Boga, jest.

Rozdział 13

Wydał pieniądze, których wcale nie miał zamiaru wydawać i to głęboko naruszyło jego zapasy na następne sześćdziesiąt dni. Meg trzymała go pod jedno ramię, Sal pod drugie i obie mówiły mu że świetnie wygląda. Możliwe że rzeczywiście, ale nie był pewien czy utrzymają go nogi. Mógł nawet zemdleć – wszystkie hałasy pokładu: echa, uderzenia, muzyka – cały ten szum obijał mu się wewnątrz czaszki, niemal go oślepiając.

Sal mocno trzymała go za lewe ramię, mówiąc poprzez zgiełk, że wygląda na wykończonego, a idąca po prawej Meg wyrażała żal, iż zbyt wiele od niego wymagały.

– Możemy się zatrzymać i odpocząć – powiedziała.

– Chcę wrócić do domu – odpowiedział. Niosły jego paczki i utrzymywały go na nogach. Nie wiedział, gdzie się znajduje. Zobaczył kompanijnego gliniarza stojącego przed wystawą sklepową i przypomniał sobie tamtego, który zatrzymał go po wyjściu ze szpitala. Pomyślał, że jeśli teraz zemdleje, to znowu go tam zabiorą, a Pranah nafaszeruje go środkami uspokajającymi i będzie mu wmawiał, że jest wariatem.

Rozpaczliwie pragnął dostać się do swojego pokoju i łóżka. Żałował, że zrobił z siebie głupca wychodząc z tymi ludźmi, żałował, że wydał tyle pieniędzy, a kiedy zobaczył wreszcie znajomy teren wyznaczony świecącym nad drzwiami neonem „Hole”, mógł już myśleć wyłącznie o przejściu przez te drzwi, przez bar i przejściu na tyły, do pokoju – to wszystko.

W środku było ciemniej, światła przygasały i rozjaśniały się w miarę, jak przechodzili. Starał się przypomnieć sobie, w której kieszeni ma klucz, modląc się, by nie zostawił go w kombinezonie oddanym w sklepie...

Ale przy stole obok tylnych drzwi siedzieli Bird i Ben, dokładnie tam gdzie jedli dzisiaj śniadanie. Meg i Sal skierowały go w ich stronę na inspekcję, a Ben popatrzył na niego przeciągle z niesmakiem, z góry na dół, jakby zobaczył coś cuchnącego na podłodze.

– Cóż...

Bird odezwał się:

– Usiądź, Dek.

– Wracam do swojego pokoju.

– Teraz to jego pokój – powiedział Ben, ale wtrąciła się Meg, zdecydowanie trzymając go za ramię.

– Zostawcie go. Facet jest wykończony. Byliśmy na zakupach.

– Jasne – Ben odsunął od stołu krzesło. – Tak wygląda. Siadaj Dekker.

Wysiadaly mu kolana. Ale znienacka Ben przyjął wobec niego bardzo uprzejmy

ton, jakiego nigdy dotąd wobec niego nie stosował, a on bał się odrzucić ich ofertę, cokolwiek byłąby warta, bo było cholernie pewne, że nie będzie innych. Opadł na zaoferowane krzesło. Meg i Sal przysunęły sobie dodatkowe i nagle stwierdził, że nie będzie się więcej bronił. Jeśli czegoś chcą, w porządku, niech będzie. Ben wymęczyłby go tylko na śmierć, to wszystko, choć w tej chwili nie wyglądał, jakby miał do tego przystąpić natychmiast, jakiegokolwiek były tego przyczyny. Podszedł właściciel – Mike – by zebrać zamówienia. Bird i Ben jedli kolację i zasugerowali, że powinien zrobić to samo, ale było już za późno: nie potrafiłby stanąć w kolejce po posiłek i nie był pewien, czy jego żołądek zniósłby w tej chwili tłuszcz i ostre przyprawę. Przypomniał sobie o chipsach.

– Piwo i chipsy – zamówił.

– Chipsów już nie ma. Są precle.

– W porządku – powiedział – mogą być precle. – Może to był nawet lepszy pomysł, stanowiły chyba lepsze wypełnienie żołądka, nie był pewien. A piwo z pewnością bardziej niż rum przypominało jedzenie. W tym momencie mogło być cokolwiek. Boże.

– To wszystko co zamierzasz jeść? – zapytał Bird.

Ben szturchnął go w zębra i powiedział:

– Widać jest dziś pełen. Kto kupuje precle, Dekker?

– Odwal się, Ben – wtrąciła się Meg. – Jest padnięty.

– To nic nowego – powiedział Ben, a Bird dodał błagalnym tonem:

– Ben.

– Zapytałem tylko, kto kupuje precle.

– Ja – oświadczył Dekker. – Jeśli chcesz się poczęstować, poproś.

Ben zagwizdał przez zęby i unióśł ręce w geście obrony.

– No, obraźliwy jesteś. Nie będziesz miał nic przeciwko, żebym się poczęstował?

W innych warunkach poderwałby się z krzesła i skoczył na Bena. Ale nie miał sił. To nie byłoby mądre. Ale coś go naszło, zmuszając do powiedzenia przez zęby:

– Nie usłyszałem „proszę”.

– Och. Proszę – Ben wykonał luźny ruch dłonią. Prowadzimy dziś działalność dobroczynną? Spłacamy długi? Czy dotarły fundusze?

– Jeszcze nie. Ale dotrą. Chcesz moją kartę? – Wyciągnął ją z kieszeni i pchnął przez stół. – Idź, sprawdź ją Pollard. Weź ile uważasz, że jestem ci winien.

Ben popatrzył na niego, a Bird odwrócił się i zawołał:

– Mike, przynieś to piwo, Benowi bardzo zaschło w ustach. Wybacz mu synu. Ty kupujesz precle, my zapłacimy za picie.

– Sam będę płacił własne rachunki – odpowiedział. Zbyt ostro. Szumiało mu w głowie. Pragnął, by napoje dotarły szybciej, pragnął znaleźć się bezpiecznie

w swoim pokoju i żałował, że nie mógł się tam dostać bez spotkania się z Birdem i Benem. Błąd, powiedział sobie, poważny błąd.

– Wspomnieliśmy mu o czasie na pokładzie – powiedziała Meg. – Chce to przemyśleć.

– Jakie myślenie? – zapytał Ben. – Nie ma żadnego cholernego wyboru.

– Ben – odezwała się Sal zirytowanym głosem – zamknij się.

– No i proszę, co my tu mamy – Ben był już spokojniejszy. – Pomóż człowiekowi...

– Ben – przerwał mu Bird.

– ...Kupujemy mu cholernego drinka!

– Ben – tym razem przerwała mu Meg, uderzając w stół dłonią ciężką od masywnych pierścionków. – Rozmawialiśmy o wynajmie i *jeune fils* przemyśli to, ma do tego prawo. Tymczasem będzie mógł sam płacić własne rachunki, w porządku? Więc nie mieszaj. Nie zwracaj na niego uwagi, Dek. Bena czasem trzeba tłumaczyć na ludzki język. Tak naprawdę chciał powiedzieć „*Trez bon* że znów chodzisz o własnych siłach i dzięki za precle”.

Dotarło zamówienie. Dekker podniósł swoją kartę ze stołu, wyciągnął ja w stronę Mike’a i powiedział:

– Policz to na mój rachunek – próbując równocześnie nie myśleć, jak wyglądał teraz stan jego konta.

– Nie musisz tego robić, synu – zastrzegł Bird.

– Dobrze – odpowiedział. Podniósł swoje piwo i poczuł lądującą z impetem na swoim ramieniu dłoń Bena, w taki sposób, w jaki Ben zawsze chwycił go na statku, kiedy straszyl go śmiercią. Ścisnął go mocno, nachylił się i stuknął swoją szklanką w jego naczynie.

– Żadnych wrogich zamiarów – powiedział.

Nie ufał Benowi ani trochę, jeśli nie widział obu jego dłoni. Zrobiło mu się niedobrze, a szklanka której brzegu dotknął Ben nagle wydała mu się pełna trucizny, pociągnął jednak obowiązkowy uprzejmy łyk.

– A więc chcesz czasu pokładowego? – zapytał Ben.

Popatrzył w stronę Birda pytając bez słów, czy był to również jego pomysł. Bird nie zaprzeczył.

242.

– Tak – powiedział.

– Trzeba będzie pociągnąć za sznurki – powiedział Ben. – Biorąc pod uwagę jak mało mamy czasu będziemy musieli naciskać na przyspieszenie sprawy, bo inaczej nie podejdziesz do testów zanim wylecimy z bazy. A jeśli nie wypełnisz formularzy we właściwy sposób, nie przejdą. Tak się składa, że znam ludzi, którzy są ci

potrzebni. Ty pracuj w warsztacie...

– Jaka praca?

– Myślałem, że z nim rozmawialiście – odezwał się Bird.

– Powiedziała, że wspomnieliśmy o tym – powiedziała Meg. – Nie doszliśmy do tego miejsca.

– Cóż, teraz dotarliśmy – powiedział Ben. – Nie ma innego sposobu, żeby to zrobić, Dek, chłopcze. Tylko nasza umowa. Zgodziłeś się. Teraz czekamy, żeby usłyszeć, jak zamierzasz nam za to zapłacić. Czasem, czy i pieniędzmi? A może przyjemnością z twojego towarzystwa?

Rzucili się na niego ze wszystkich stron. Nie był pewien, czy nie opuścił jakiejś chwili – dzwoniło mu w uszach, a oni wszyscy wpatrywali się w niego. Ben, z ręką na oparciu krzesła – gubił wspomnienia, lekarze tak mówili; a teraz siedział otoczony przez ludzi, którzy równie dobrze mogli przystawić mu do głowy pistolet. Jeśli mu pomogą, może mieć szansę – ale jeśli dowiedzą się, że zapomina różne rzeczy, to ta informacja szybko się rozniesie i nigdy nie odzyska licencji, będzie musiał pracować w rafinerii...

– Nadajesz się do czegoś jako mechanik? – zapytał Bird.

– Utrzymałem *Way Out* do kupy.

– Jako pilot?

– Byłem dobry. – Nie oczekiwał, że Bird mu uwierzy. Niemal podświadomie dodał – Nie byliśmy splukani. Bird wydawał się być najlepszym z nich, to on utrzymywał go przy życiu i spierał się z tymi ludźmi za niego. Był zdesperowany przeciągnąć Birda na swoją stronę. – Cory i ja mieliśmy w banku czterdzieści siedem tysięcy. Nie licząc tego, że statek nie ma żadnych obciążeń. Bank z RI przesyła pieniądze, ale nie mogę ich wyciągnąć przez następne pięćdziesiąt-sześćdziesiąt dni.

– Czterdzieści siedem tysięcy? – jęknął Ben. – Daj spokój, Dekker.

Nie spojrzał na niego. Popatrzył na Birda i Sal, obejmując dłońmi chłodną szklanę z piwem.

– Matka Cory była nieźle ustawiona. Cory miała własne konto – fundusz powierniczy. Jak tylko skończyła osiemnaście lat podjęła pieniądze, zadzwoniła po mnie i kupiła bilet dla nas. Ona pochodziła z Marsa, ja z Sol spotkaliśmy się tutaj i kupiliśmy statek. Zapłaciliśmy za niego sto pięćdziesiąt osiem tysięcy. Kolejne czterdzieści w częściach. Zrobiliśmy kilka błędów. Nie mieliśmy zbyt wielu tras – byliśmy tu dopiero dwa lata. Ale Cory wiedziała co robi – miała prawie doktorat z dynamiki Pasa. Kiedy zaczynaliśmy, nie mieliśmy dwudziestu ośmiu z tych czterdziestu siedmiu tysięcy. Radziliśmy sobie całkiem nieźle.

– Cholernie dobrze – powiedział Bird.

– Dziewczyna z college'u – wtrącił Ben. – Daj spokój, zgarnęłaby ją Kompania.

– Nie zgodziła się. Nie chciała szufladki w Kompanii.

– Z taką forszą? Była głupia.

– Ben – ostrzegł Bird.

– Cóż, była.

Zacisnął szczęki, zmusił się do cierpliwości.

– Po prostu nie chciała tego. Tak naprawdę, chciała udziału w statku międzygwiazdowym.

– Och, na miłość boską! – jęknął Ben.

– Chciała się dostać do kupców. Tam trzeba się wkupić. Jej fundusz powierniczy nie wystarczyłby – nie dla nas obojga. Miała swoją wizję i to było jedyne, czego słuchała.

– Dlaczego? – Sal nachyliła się do przodu, opierając brodę na ręce z odbijającymi światło pierścieniami. Dlaczego, jeśli była bogata?

– Ponieważ... – to była cała odpowiedź, na jaką mógł się zdobyć. Czuł węzeł w gardle i pomyślał, że jeśli Ben otworzy usta, wszystko straci. Cory była tak cholernie skryta. Nie przedstawiała ludziom swoich motywów. Ale wciąż słuchali, czekając na niego, więc wzruszył ramionami i mówił dalej. – Ponieważ nienawidziła planet. Ponieważ jej ojciec był astronautą. Jej matka chciała mieć dziecko, ale nie chciała mieć męża i nie miała ochoty, żeby ktokolwiek w bazie marsjańskiej wysnuwał wobec Cory jakieś roszczenia. Cory była pojedynczym projektem. Cory była dziełem swojej matki, jej sposobem na.....koniec. Nie potrafił wypowiedzieć tego słowa. Patrząc na bąbelki gazu zbierające się w piwie na powierzchni szklanki powiedział:

– Nie znała nawet jego nazwiska. Cory jakby budowała życie wokół własnych pomysłów. Mówiła tylko o gwiazdach. Chciała przejść szkolenie techniczne, ale matka się na to nie zgodziła. Więc studiowała astrofizykę. Zaplanowała to wszystko – podjęcie pieniędzy, przylot tutaj – wydostanie nas obojga.

Ben odezwał się cicho:

– Do diabła, jeśli mogła kupić statek, mogła dostać to wszystko szybciej pracując dla Kompanii. Ile wynosi stawka? Osiemdziesiąt, dziewięćdziesiąt tysięcy, żeby wykupić dług podatkowy?

Z jej matką, pomyślał, w radzie nadzorczej Korporacji Marsjańskiej, ciągnącą za sznurki, by ją złamać i sprowadzić z powrotem. Ale nie powiedział im. Zamiast tego rzekł:

– Zaciągnęliby mnie do wojska, gdybym został na Sol. To było częścią jej motywów. Mieliśmy lecieć razem.

– Tak była zwariowana na twoim punkcie?

– Ben, zamknij się – uciszyła go Meg.

– Nie rozumiem czemu wszyscy mówią mi, żebym się zamknął. To nie była najbardziej rozsądna rzecz, jaką mogła zrobić. Mogła polecieć na Stację Sol i z tym co miała od razu wkupić się na statek międzygwiazdny. Naprawdę spodziewała się wzbogacić tutaj na górnictwie?

– Jej matka chciała widzieć Cory z powrotem w szkole. Chciała... – Bolał go żołądek, napił się piwa by umożliwić pracę krtani. – Nie miała wymaganego wieku. Nie mogła dostać wizez wyjazdowej bez zgody matki. To było najdalej, jak mogła się dostać, zanim nie przekroczyła dwudziestu jeden lat.

– Statek i czterdzieści siedem tysięcy w banku – zaczął Ben. – Tak swoją drogą, ile te sukinsyny chcą jako wpisowe?

– Kilkaset tysięcy od osoby. Ze statkiem, mieliśmy dość na jedno z nas, ale dług podatkowy trzeba zapłacić zanim dostanie się wizę, jeszcze zanim przyjdzie do płacenia udziału w statku. Cory miała wykształcenie, musiałyby zapłacić naprawdę dużo. Kolejne siedemdziesiąt tysięcy na bilet do Sol. Mówiłem jej – leć sama, ale na naszej pierwszej trasie zobaczyłem, że nic z tego nie będzie. Nie wiedzieliśmy, jak ciężko jest w Pasie. Nie robilibyśmy tego w ten sposób – ale już tyle utopiliśmy w statku... i przelot na Sol pochłonałby wszystko co miała...

Krzyczał na nią w noc przed ostatnim wylotem, powiedział, że to się robi coraz bardziej szalone. Wprowadzili te cholerne opłaty wyjazdowe i diabli wiedzą, kiedy je znowu podwyższą – jeśli nie polecisz teraz, nie jest powiedziane, nie ma żadnej gwarancji, że w ogóle się wydostaniesz...

Błagał ją, żeby go zostawiła. Mówił, że wkupi się na jakiś inny statek, popracuje kilka lat i wróci tu kiedyś. Dołączy wtedy do niej...

Kłamał co do tego ostatniego. Wiedziała o tym, wiedziała, że nie chce lecieć. I wiedziała, że oboje nie mają szansy, że nie uda im się. Była pewna, że prędzej czy później będzie musiała polecieć sama, albo stanie się to, co w końcu czekało wszystkich górników – wpadną w długi. Dlatego krzyczał. Z tego powodu rozplakała się...

– I co powiedziała? – zapytała Meg.

Stracił wątek. Zmieszany popatrzył na Meg. Zupełnie zapomniał co im powiedział. Nie patrząc na nich wyciągnął z miski precla i zaczął go jeść.

– Gość jest zmęczony – usprawiedliwił go Bird.

– Racja – powiedział przypominając sobie, że dawno minął czas, kiedy powinien wziąć lekarstwa i pamiętając że zarząd składał się z samych sukinsynów, a to oni wydawali licencje. Nawet to było w ich rękach.

Bird sięgnął przez stół i umazany w smarze palcem stuknął w jego pustą szklanę.

– Chcesz jeszcze jedną kolejkę? Na nasz koszt. Na lepszy sen?

– Masz rację – powiedział. – Jestem zmęczony. – Pomyślał o swoim pokoju. O łóżku i czekających lekarstwach.

Te wszystkie tabletki nasenne... Meg przełożyła rękę pod jego prawym ramieniem i pochyliła się w jego stronę.

– Lepiej dostarczymy cię do łóżka.

Nie potrafił odpowiedzieć. Uwolnił się od jej ręki, wstał i wyszedł.

* * *

– Facet poważnie cierpi – powiedziała Meg cicho, oglądając się przez ramię.

– Dla mnie wyglądał normalnie – zaprotestował Ben. – Wyglądał całkiem dobrze, wydając pieniądze, jakby miało nie być jutra.

– Jasne, dodaj to sobie, Ben – wymamrotała. Po drugiej stronie stołu Bird wyglądał na wściekłego. Domyśliła się, że ma coś do powiedzenia i zamilkła na kilka łyków piwa.

Bird nic nie powiedział. Ben oparł łokcie na stole w pozie, która zdradzała, że zdaje sobie sprawę iż podpadł Birdowi, ale też wyglądał na rozeźlonego.

Sprawy toczyły się teraz piekielnie szybko.

– Wybaczcie nam – powiedziała wstając i uszczypnęła Sal w ramię. Ta zrozumiała sygnał i poszła z nią na drugi koniec baru, gdzie mężczyźni nie mogli czytać im z ust.

– Aboujib, mamy poważny problem.

– Wiem. Mężczyźni!

– Spokojnie. Mamy tu rozwijający się konflikt między wspólnikami.

– Wiesz, Ben jest raczej w porządku. Ale bywa sukinsynem.

– Naprawdę nie zamierzałam tego powiedzieć.

– Nie mam nic przeciwko. Skopię mu tyłek, jeśli Bird tego nie zrobi.

Powiedziałam mu, co mu utnę, jeśli posunie się ze mną za daleko. A Bird z całą pewnością tego nie zniesie.

– Bird sobie z nim poradzi.

– Jasne – powiedziała Sal i wciągnęła powietrze. Wyżymaczką. Powiem ci, nie odpuścę sobie tego. Ale nie zamierzam również zostać w strefie wymiany ognia. Głosuję za zrobieniem demonstracji i zostawieniem facetów w jednym pokoju.

Czasami Sal miała naprawdę dobre pomysły.

– Dobra – zgodziła się Meg. – Brzmi nieźle.

* * *

– Jestem poważnie zaniepokojony – zaczął Bird.

– Jasne – Ben odpowiedział wbijając oczy w stół. Przepraszam za to, Bird.

– Dlaczego go prowokowałeś?

– Cholera, sam nie wiem – odparł Ben i właściwie była to prawda. Do stołu podeszły Meg i Sal, żeby powiedzieć im, że wychodzą.

– Popracujcie nad tym chłopcy – powiedziała Sal. I to go wkurzyło jeszcze bardziej. Patrzył jak wychodzą. Nie miał pojęcia dokąd idą, ale czuł rosnącą wokół siebie ścianę z lodu.

– Do cholery, nie wiem co to jest – zaczął mówić, nie patrząc na Birda. – Nie wiem co takiego ma ten facet, ale wygląda na to, że blokuje ludziom zdrowy rozsądek. – Nie podobał mu się ten pomysł z partnerstwem od momentu, kiedy tylko Meg przyszła do niego do warsztatu na trzecim pokładzie mówiąc, w jaki sposób współdziałanie z Dekkerem uczyni ich bogatymi i dlaczego tak dobrym pomysłem było załatwienie mu odzyskania licencji... Jeszcze mniej spodobało mu się to, kiedy śliczny chłopczyk przyszedł tu ostrzyżony i z manikiurem, wyglądając jak chodzące kłopoty.

Bird przez chwilę się nie odzywał. W końcu powiedział:

– Może niektórzy ludzie nie mogą zrozumieć czemu go tak nie znosisz.

– Bo jest wariatem! – wybuchnął Ben. – Bo chcemy zabrać tego czubka tam, gdzie będzie mógł odzyskać swój statek – podciąć dziewczynom gardła i przelecieć z powrotem granicę...

– Znów naoglądałeś się głupich filmów. I co u diabła powie tam, na temat kolejnych dwu brakujących osób? Że wyszły na spacer?

– Nie musi mieć dobrego wytłumaczenia! Jest wariatem! Wariaci nie potrzebują powodów żeby coś robić, dlatego właśnie są wariatami!

– Mimo wszystko muszą wytłumaczyć się Administracji Pasa.

– I co z tego będą miały Sal i Meg?

– Moje pieniądze pomogą Meg i Sal.

– Nie bądź śmieszny Bird, to nie jest zabawne.

– Tak, uważam to za cholernie zabawne. Mamy *Way Out* obciążonego hipoteką na dziewięćdziesiąt pięć tysięcy, na *Trynidadzie* nic oprócz opłat dokowych za kilka ostatnich miesięcy. Wciąż nie przeszliśmy inspekcji po remoncie i ciągle mamy przed sobą wypełnianie ich, zanim będziemy mogli poważnie myśleć o wylocie stąd. Na wypadek gdybyś tego nie zauważył, przyjacielu, naprawdę przydałaby się nam jeszcze jedna para rąk do pracy. Z dwoma statkami siedzącymi w doku, wręcz krwawimy pieniędzmi.

– Meg i Sal doskonale sobie poradzą. Nie wiemy jak było z tym facetem. I mielibyśmy dwie pary rąk gdyby Meg i Sal nie wydawały dzisiaj pieniędzy na tego

faceta. To chodzące kłopoty, Bird, od kiedy tylko go zobaczyliśmy.

– Jeśli okaże się być kłopotem, zawsze możemy powiedzieć nie. Wciąż mamy czas żeby się tego dowiedzieć. Wciągnijmy go do pracy i zobaczymy, jak sobie będzie radził.

– Nie potrafisz powiedzieć nie, Bird. To twój pierdolony problem. Wpełzasz tyłkiem w coś, co będzie cię kosztować kupę pieniędzy. Gdybym nie...

– Ben, całkiem dobrze sobie radzę z mówieniem nie, jeśli sobie przypominasz. Powiedziałem *nie* Meg, i powiedziałem *nie* całkiem sporej liczbie chętnych, zanim przyjąłem ciebie. *Teraz*, skoro jesteśmy współnikami, pozwalam ci na wiele rzeczy, których nie tolerowałbym u byle kogo. Ale bycie partnerami działa w obie strony. I właśnie w tej chwili proszę cię o danie mi odrobiny więcej swobody.

– Do zrobienia czego? Chcesz czekać, aż dotrą jego pieniądze? Wtedy zapłaci swoje rachunki? To naprawdę cholernie wygodne. Nie musi za nic płacić, nic robić, a my w tym czasie płacimy mu za posiłki.

– Ben...

– Nie rozumiem czemu wierzysz bardziej jemu niż mnie, to wszystko!

– Ben... Nie wiem, czy dziewczyny mają rację co do tej umowy. Mogą mieć. W tej chwili staram się dojść czy można ufać Dekkerowi, a ty zachowujesz się w tak wariacki sposób, że chcąc nie chcąc bronię go. Nie bardzo mogę wziąć twoją stronę, bez wyrzucania go na zbity pysk, prawda?

– To byłby bardzo dobry ruch!

– Jasne. A co jeśli dziewczyny mają rację i facet ma przed sobą dobre perspektywy?

– Perspektywy, do diabła! Bird, kogo pošlemy na zewnątrz z Dekkerem? Która godzina, która godzina? Kto to zniesie?

– Facet naprawdę zalał ci za skórę w przestrzeni.

Nienawidził bycia traktowanym z góry.

– Nie zalał mi.

– Dobra, dobra – powiedział Bird.

– Do cholery, nie...

– Nie co?

Nie przerywaj mi w ten sposób, pomyślał Ben ponuro. Ale powiedział coś innego.

– W porządku. Zobaczymy jak będzie sobie radził przez następny tydzień czy dwa. – Wziął precla z misy. Gość ich nie zjadł, marnotrawny gest. To było zachowanie kogoś, kto miał pieniądze i był przyzwyczajony do ich posiadania. Zaś na myśl o tych czterdziestu siedmiu tysiącach, które ponoć Dekker posiadał, rzekł:

– Jeśli ma fundusze, do których się przyznaje, to jest jak chodzący bank. Skąd je

miał wziąć, jeśli nie z tej bogatej uczennicy? Miał dużo do zyskania na jej śmierci, wiesz?

– Jasne. Wyglądał, jakby naprawdę dobrze się tam bawił, prawda?

Nie cierpiał, kiedy Bird zaczynał sobie robić z niego jaja. Sprawilo to jednak, że zaczął rozważać, czy może rzeczywiście nie był rozsądny.

Bird powiedział:

– Ta sprawa z Nourim dużo zmieniła. Gliniarze z upoważnieniami do robienia czego tylko zechcą, wiadomości pełne wieści od przyjaciół donoszących na przyjaciół... Nie sądzę, żeby choć połowa nielegalnych rzeczy, o których rozpowiadała Kompania była prawdą – jak choćby to, że byliśmy poważną dziurą w jej budżecie. Nie byliśmy. My go robiliśmy. Rozumiesz? Ludzie, którzy sobie nawzajem pomagali, to właśnie wtedy się działo. Jeśli miało się kłopoty i potrzebowało części, nie szło się do banku, tylko do przyjaciela. Jeśli dotrzymywało się słowa, to można było pożyczać poniżej oprocentowania bankowego, bo jeżeli prowadziło się rozsądną działalność i spłacało długi – było cholernie pewne, że ludzie wiedzieli kto spłaca. Radziliśmy sobie, Kompania nie. Teraz powiedz mi, kto jest lepszym biznesmenem? – Bird wypił łyk ciepłego już piwa. – Teraz mamy pokolenie wychodzące z Ziemi z nowym światopoglądem. Pokolenie ludzi opuszczających instytut, którzy nigdy nie słyszeli o Szekspirze...

– Boże, więc daj mi taśmę, Bird! Przysięgam, wysłucham sukinsyna.

Bird popatrzył na niego dziwnie, potem sięgnął przez stół i ujął jego dłoń z czułością, niemal jak kobieta, co było jeszcze dziwniejsze, nawet przerażające – w wykonaniu Birda, z którym dzielił przecież statek.

– Ben, jesteś dobrym człowiekiem. Naprawdę jesteś. Więc pozostań taki.

Ben, wstrząśnięty, uwolnił swoją dłoń.

– Co to ma znaczyć?

Bird odpowiedział tylko, w ten sam, nietypowy sposób:

– Ben, przyjacielu, przyniosę ci tę taśmę.

* * *

Dekker gapił się w sufit i rozmyślał nad tabletką nasenną, nad całą ich butelką – ale niech go diabli, jeśli miał dać Kompanii tę satysfakcję.

Ben nie zamierzał zostawić go w spokoju. Tak już było i miało być. Ben go nie lubił, a znając pasiarzy, to mógł być ostateczny wyrok. Zabrał mu statek, a teraz naznaczył go jako źródło kłopotów – widać tak już miało być.

Nie wiedział dlaczego tak się stało. Nie wiedział, czemu powiedział to co powiedział, czemu mówił o sprawach Cory, ani czy miał z nimi jeszcze jakieś szanse,

pod dowolnymi warunkami, skoro wyszedł z baru. I nie miał pojęcia, co Bird może o nim myśleć.

Z pewnością to, że on i Ben razem stanowili problem: nie miał wątpliwości co wybrałby Bird, gdyby Ben zdecydowanie chciał się go pozbyć.

Ben mówił o odzyskaniu jego licencji bez podania ceny. Był pewien, że będzie go to kosztowało wszystko co posiada, jeśli wciąż będą go chcieli po tym, jak się zachował. Ben uważał, że zwariował, i że się załamie, kiedy znów wyleci w przestrzeń. I szczerze mówiąc, nie był przekonany, czy tak się nie stanie. Miejsce głęboko w Pasie nie było dobre do tego, żeby zniecka odkryć w sobie strach przed ciemnością, a sterowanie statkiem podczas mocowania znacznika było bardzo kiepskim momentem na stwierdzenie, że ma się dziury w pamięci; na zauważenie, że nie wie jaka ma być następna czynność w pilotażu albo zapomnienie, w którym miejscu sekwencji się było, co już zostało zrobione. Nie miało się następnej szansy. Pas ich nie dawał.

Sam nie wiedział, co się z nim stanie w chwili, kiedy zamknie się za nim właz: czy ulegnie panice, czy nie a może będzie sądził, że wszystko jest z nim w porządku, ale w miarę lotu powoli zacznie tracić kontakt z rzeczywistością, gubiąc granicę między czasem teraźniejszym i przeszłym, jak w tamtej kabynie prysznica.

Wydawało się, że wszyscy chcą żeby się wziął w garść i żył dalej, jakby nic się nie stało. Wyglądało na to, że był to sposób, który stosowali tu wszyscy: zamknąć się na uczucia, uczynić się głuchym i ślepy na to, co robi Kompania i trzymać gębę na kłódkę. Zgarniać każde pieniądze, jakie wpadły im w ręce i przywyknąć do tego kłamliwego sukinsyna, którego widywało się codziennie rano w lustrze, bo tylko taki rodzaj ludzi miał szansę na przeżycie w tym miejscu.

Nie wiedział, czy potrafiłby żyć w ten sposób. Nie był nawet pewien, czy mógł się powstrzymać od sięgnięcia po te pigułki stojące na stoliku i pozostać przy życiu, albo czy to co mógł zyskać, było tego warte.

„Cory”, powiedział tamtej nocy, kiedy się kłócili, „może ja wcale nie chcę lecieć. Co u diabła mam robić na statku międzygwiazdowym? Oblałem matematykę, oblałem fizykę. Nie mam twojej inteligencji, Cory, to od początku był twój pomysł. Nie będą mieli dla mnie pracy. Cory, przez resztę życia będę wyłącznie balastem dla ciebie. Co to za życie?”

Zgasiła go, wytłumaczyła, że zostając tu nie ma żadnej szansy, powiedziała że Kompania jest oszustem, który okrada wolnych strzelców, oszukuje pilotów, rżnie wszystkich, którzy dla niej pracują. Cory obracała dużymi kwotami, wiedziała jak działają banki przy dużych operacjach. Powiedziała mu, co ASTEX robi z ich kartami i procedurą wokół złazisk. Próbowwała mu dokładnie wyjaśnić, co prosta dedukcja na SSach robiła z kontami i odsetkami, w jaki sposób kompania okradała wolnych

strzelców, choć nie miało to nic wspólnego ze skałami.

Powiedziała: „Dek, nie bądź głupi, nie masz tu przyszłości. Wykańczają wolnych strzelców, za kilka lat zniszczą pasterzy... tu nie ma nadziei”.

I jeszcze „Nie myśl, że kiedykolwiek cię zostawię”.

* * *

Sal wolno wypijała swojego drinka w błękitnym świetle neonu „Scorpio”. Film był niezły; typowy film akcji, naparzanka jak mawiała Meg. Ale nie był zbyt długi, a kiedy się skończył było jeszcze zbyt wcześnie, by przypadkiem wpaść na swoich facetów, a poza tym miała do przekazania słówko przyjaciołom w sąsiednim lokalu. To była jej ulubiona knajpa, terytorium pasterzy, zaraz obok klubu stowarzyszenia; droga i elegancka. Przewijał się tu normalny ruch wszelakich urzędników, którzy chodzili gdziekolwiek *au courant* na brzegach piekładu, ale związki pasterzy ze „Scorpio” były długotrwałe; mieli własną część sali, za szklanymi słupami, a ich szklanki zawsze docierały napełnione po sam brzeg i bez rozwadniania.

Z pewnością nie było to miejsce, na które byłoby je stać na dłuższą metę, to cholernie pewne. Chyba, że poderwałyby facetów z zarobkami na poziomie pasterzy, ale tym razem nie próbowały tego robić.

Bogu dzięki, nie musiały się obawiać również zaczepek i łóżkowych ofert po tej stronie słupów: stosunek liczbowy kobiet do mężczyzn na piekładzie oznaczał, że to pasterze byli przyzwyczajeni do bycia podrywanyymi, nie na odwrót, więc dwie kobiety, które nie okazywały im zainteresowania, nie musiały się martwić zaczepkami, które uniemożliwiłyby rozmowę w wielu tańszych barach. Boże, pełno było ich w restauracjach, kinach, przejściach – trafiły podczas tej zmiany na dużą grupę robotników ze stoczni, ale i tak najgorsi byli żołnierze na przepustce spotkani w kinie. Ciągnęły za sobą ogon w postaci durnych samców przez ostatnie kilka godzin, a „Scorpio” był w jej opinii azylem wartym rachunku.

– Powiem ci – stwierdziła nad szklanką absolutnie doskonałej margerity – instynkt mówi mi, że zanim wylecimy, powinniśmy wziąć Deka na wycieczkę, wiesz, towarzysko, przyjacielską. Potrząsnąć nim i zobaczyć, co zadzwięczy. Uważam, że to poważna kwestia bezpieczeństwa. Ale mamy na przeszkodzie Bena, niech go szlag.

– Chcesz poznać moją opinię, Aboujib?

– Całkowicie.

– Dziewica, Aboujib. Prawdopodobnie jesteś pierwszą, która z nim poszła.

– Do diabła, on tak postępuje z Birdem.

– Jasne.

Zrozumiała, co Meg chce powiedzieć.

– To dotyczy wielu spraw, prawda?

Meg zamieszała swojego drinka słomką.

– Facet ma poważny problem. Jeszcze nas to nic nie kosztowało. Ale trzeba się martwić na przyszłość. To co wywalił dziś na Birda, było *nie kulturno*.

– *Ocień* – zgodziła się Sal, z niezadowolonym ruchem ramion, popijając margeritę i rozmyślając nad Benem. Nie było z nim tak zwyczajnie, gdyby to był ktokolwiek inny niż Ben, nawet najlepszy facet od liczb na R2, przekazałaby go Meg – zamienić i uwalić, stara technika spławiania facetów. Ale do cholery, Ben był specjalny, absolutnie najlepszy, a Meg nie poradziłaby sobie z nim. Nie znała właściwych pytań, nie potrafiła równie dobrze liczyć.

Pomijając fakt, że to Meg zdenerwowała Bena dostatecznie, by pokazał jej rzeczy których nie poznała w instytucie, do których doszedł sam i których, jak się domyślała, nie zdradziłby nikomu. Nigdy jeszcze nie spotkała przypadku takiego jak Ben – w jednej chwili czuła wobec niego *simpatico*, a chwilę później miała ochotę go zamordować. Nigdy nie spotkała nikogo komu ufałaby tak jak Benowi – za wyjątkiem Meg i Birda. Ben był jedyną osobą oprócz nich, z którą czułaby się bezpieczna wylatując w trasę – a biorąc pod uwagę jego zwariowane zachowanie, nie bardzo wiedziała czemu.

Przynajmniej nie był jak ten oślizły sukinsyn, który groził jej niewpuszczeniem na statek, jeśli nie zgodzi się na wykonanie specyficznych usług. Ludzie od liczb zawsze byli w gorszej pozycji, mieli problemy, chyba że byli tak dobrzy w tym co robili, jak Ben, tak dobrzy, że nikt nie chciał ich stracić. Meg nigdy nie miała tego problemu – ludzie od liczb nie mieli odwagi kłócić się ze swoimi pilotami jeśli byli rozsądni. Nie pozwalali też oddalić się swojemu pilotowi. Zdecydowanie jednak w tym interesie człowiek od liczb mógł zetknąć się z dziwnymi typami, jeśli miał jakichś zaufanych partnerów, których był pewien, nie pozwalał im odejść, ani wcisnąć się w ich życie, jeśli chciał zachować wszystkie palce. Ale do diabła, były jakieś granice tego, dokąd można było się posunąć dla zachowania status quo.

Zabić kogoś? Jeśli do tego by przyszło, gdyby trzeba było – to zrobiłaby to. Ale próba powstrzymania dwu trochę wyrośniętych chłopców od pozabijania się nawzajem, tam w przestrzeni...

– Co zamierzasz zrobić, Kady?

Meg przejechała językiem po wargach.

– To co już robimy. Pozwolić Birdowi samemu sobie z tym poradzić.

Ktoś podszedł do ich stolika, dotknął jej ramienia.

– Aboujib?

Boże. Podrywacz? Meg błyskawicznie zeszytniała. Sal obróciła się i ujrzała

drogą kurtkę noszoną przez pasterza – jednego z załogi Sunderlanda, przyjaciela Mitcha nie znała jego imienia. Odezwał się szybko, wsuwając jej coś równocześnie do kieszeni.

– To pytanie, z którym wyszłaś?

– Tak – inny problem. Jej serce zaczęło uderzać z podwójną prędkością, kiedy poczuła w kieszeni coś płaskiego i okrągłego, wykonanego z plastiku.

– To jest Kady?

– Tak – odpowiedziała – można tak powiedzieć.

– Sprawa stała się poważna. Jesteście nią naznaczone. Róbcie dalej to, o czym mówiliście. Przyda się więcej czasu. Ale kiedy będziecie gotowe do startu... dajcie nam znać. Bardzo poważnie.

Powiedziawszy to, odszedł.

Boże.

– Co u diabła? – zapytała Meg.

– Nie wiem – odpowiedziała, myśląc o widmowym pchaczu, siedzącym gdzieś w przestrzeni i plującym ładunkami w stronę Studni. I o Suczej Mamie, która przygotowywała mapy i wyznaczała kurs, rozpędzała ich i hamowała. – Nie wiem.

Jej żołądek skurczył się zniecka, jakby połknęła coś bardzo zimnego.

– Czy ja dobrze usłyszałam? – zapytała Meg. – Myślą, że możemy być w niebezpieczeństwie?

– Nie wiem.

– O Boże, świetnie!

– Nie panikujmy.

– Oczywiście, nie panikujmy. Nagle cholernie przestała mi się podobać stawka. Pochyliła się nad stołem i odezwała się najciszej jak się dało:

– Meg, nie pozwól nam wpakować się w kłopoty.

– Jasne – Meg również szeptała. – Więc lepiej nie „wpakujmy się”. Nie podoba mi się to, co słyszę. Nie podoba mi się to „róbcie dalej”. Może chciałabym dostać trochę więcej informacji na temat tego, w co się pakujemy.

– Mówią, że postępujemy właściwie...

– Jasne, właściwe postępowanie. Możemy zostać cholernymi męczenniczkami, o to im chodzi?

Sięgnęła przez stół i zacisnęła dłoń na ręce Meg, przestraszona, że ta mogłaby ją odtrącić.

– Mamy prawdziwą szansę...

– Jaką prawdziwą szansę? Na to, że twoi wspaniali i wszechmocni przyjaciele wyprawiają nam wspaniały pogrzeb? Szansę na to, że zbierzemy karmę, a oni zostaną czyści?

– Meg, mogę cię wprowadzić.

– Pieprzyć to – Meg uwolniła swoją rękę. – Nie biorę ich dobroczynności.

– Meg, na miłość boską, nie spieprz tego.

Meg zacisnęła szczęki. Kilka razy odetchnęła głęboko, w sposób jaki robiła to, gdy była wściekła.

– Jakie dają gwarancje? Cholera, mogą tu mieć podслuch...

Sal wyjęła z kieszeni płaski kawałek plastiku z małym, zielonym światełkiem, machnęła nim przed nosem Meg i szybko schowała z powrotem.

– Boże – jęknęła Meg.

– Wyprzedzają sytuację. Nie pozwolą nam się w to wpakować.

– Cholera, pokładasz w nich dużo wiary. Do diabła, to kontrabanda!

– Meg, to nie są idioci.

– Muszą myśleć, że my jesteśmy.

– Zaoferowałyśmy im coś, Meg, a oni mówią, że się zgadzają. Ostrzegają nas.

– Jasne, „naznaczone”. Podoba mi się to, naprawdę mi się podoba.

– Meg. – Nie potrafiła tego przedstawić lepiej, niż Meg już wiedziała. Ale ta wyglądała, jakby miała ochotę mordować.

Ale w końcu powiedziała:

– A więc jesteśmy nim naznaczone. Czy mówimy o zrezygnowaniu z wynajmu?

Odpowiedź brzmiała: tak. I Meg wiedziała o tym. Wiedziała doskonale.

– Gówno – powiedziała.

– Mamy coś czego chcą. Chcą jego. Oni spłacają swoje długi. To właśnie mówią. Proszą nas o podjęcie ryzyka, my jesteśmy z dziecakiem, a oni składają nam propozycję. Jeśli orzniemy ich na tym – albo jeśli teraz się wycofamy...

Zniżyła się do błagania. Ich drogi mogły się rozejść, jeśli Meg odrzuci tę propozycję, Boże, wszystko czego chciała, żeby tylko się zgodziła.

– Koja u pasterzy, Meg. Jeden, ostatni lot. Uciszymy Deka na kilka miesięcy i to wszystko. Ben i Bird ustawieni z tymi statkami. Spłacona karma. Wydostajemy się stąd, Meg. Szansa z prawdziwym statkiem, Dla nas obu.

To się liczyło u Meg. Tylko to. Jej twarz zrobiła się jeszcze bardziej dzika.

– Niech mnie diabli, jeśli tak się stanie. Obudź się, Aboujib.

– Niech mnie diabli jeśli nie. To poważna sprawa. Meg, do cholery, to jest to.

Meg potrząsnęła głową. Ale znaczyło to „tak”. W porządku, zrobimy z siebie głupców.

– Lepiej żebyś miała rację, Aboujib. A ten *jeune fils* lepiej niech się pozbiera. Jeśli mają z niego zrobić sprawę, lepiej, żeby nie był wariatem.

Rozdział 14

Spędzanie nocy z Birdem nie było dokładnie tym, co sobie zaplanował. Śniadanie z Dekkerem również nie do końca spełniało jego definicję dobrej zabawy, ale Bird nalegał.

Tak więc siedzieli tam: on, Bird i Dekker przy jednym stole, a Meg i Sal jeszcze spały – dotarli bardzo późno podczas ostatniej zmiany, nie miał pojęcia co robiły i nawet nie próbował sobie wyobrazić. Dekker ze swojej strony również nie wydawał się entuzjastycznie nastawiony do ich towarzystwa: na pukanie odpowiedział „Dobra, będę tam” i przyszedł spóźniony – ze swoimi podstrzyżonymi włosami i całą resztą.

– Wszystko czego mu trzeba, to kilka kolczyków wymamrotał Ben pod nosem.

– Bądź miły – przygasił go Bird nad parówką i czymś, co mogło być jajkami.

Ben spojrzał na niego i wznosił ramiona w geście urażonej niewinności.

– Hej, czyja coś zrobiłem? – ale powiedział sobie, że powinien raczej ugryźć się w język i zachować dla siebie krytykę wobec chłopaczka, tak jak zdecydował wczoraj, skoro szaleństwo przeszło też na Meg i Sal, i płynąć z prądem.

Bird posłał mu spojrzenie, z którego wynikało, że nie ufał mu, czy nie zasztyletowałby Dekkera w łóżku. Sprawy doszły do takiego poziomu. To była podstawowa przyczyna z powodu której doszedł do wniosku, że lepiej się poddać.

Do momentu, aż Dekker się pośliznie. Miał zamiar być wtedy nawet łaskawy, jeśli chodzi o „a nie mówiłem”, naprawdę zamierzał – jeśli tylko Bird sam przejrzy na oczy i odzyska rozsądek.

Dekker podszedł ze swoją kawą i jajkami, unikając patrzenia na nich, odsunął nogą krzesło i usiadł.

– Muszę was przeprosić – odezwał się, wciąż nie patrząc na nich.

Ben po męsku wytrzymał z zamkniętymi ustami.

– Coś jakby odleciałem wczoraj – dodał Dekker.

Bird wzruszył ramionami, ale Dekker nie mógł zobaczyć tego gestu, wpatrując się uparcie w swój talerz, odezwał się więc:

– Pigułki robią takie rzeczy.

– Odstawię je – odpowiedział Dekker. Jego trzymająca widelec ręka trzęsła się i to mocno. Cholerny bajzel, pomyślał Ben. I my mamy z nim wylecieć. On ma trzymać stery...

Dekker w końcu podniósł na nich oczy, z cieniami które sprawiały wrażenie, jakby w ogóle nie spał w nocy.

– Spławiłem was wczoraj. Jeśli oferta nadal jest aktualna – chciałbym o tym porozmawiać.

– Oferta jest aktualna – powiedział Bird. Cholera, pomyślał Ben.

Przez chwilę Dekker nie odzywał się, grzebiąc widelcem w talerzu. Rzucił spojrzenie w stronę Birda.

– A więc chcę odzyskać licencję. Ile będzie wart czas?

– Zależy od twojej pracy – odparł Bird.

Ben dokonał szybkich obliczeń tego, co miał Dekker i tego co dałoby im rekompensatę za kontakty z nim.

– Równe dziesięć tysięcy. Z gwarancją, że dostaniesz licencję.

Dekker wyglądał na oszołomionego – może kwota trochę go przerosła i nie rozumiał, co jeszcze zostało wrzucone do gry. Sam nie rozumiał, dlaczego to dorzucił, może za wyjątkiem tego, że miał tę nanosekundę kiedy zrozumiał, że podał zbyt wysoką cenę i Bird na niego naskoczy. Więc to po prostu samo wyskoczyło mu z ust: proszę bardzo, oto masz chłopczyku, mogę to załatwić, więc lepiej uważaj na to jak się wobec mnie zachowujesz.

Bird nic nie powiedział, Dekker też, więc Ben dodał, z pewną satysfakcją:

– Uczciwe, nie? Gwarantowana pierwsza klasa.

Bird wyglądał na trochę zmartwionego, ale wciąż nic nie mówił.

– Czyja gwarancja? – zapytał Dekker.

Ben popatrzył na niego zimno.

– Moja. Z drugiej strony Dekker, jeśli zapytasz kogokolwiek o godzinę, jeśli sięgniesz na nas jakieś gówno tam w przestrzeni, to pójdziesz na spacer z gołym tyłkiem.

– Ben – powiedział Bird.

– Mówię poważnie – odpowiedział, a Dekker wyglądał na zmartwionego.

– Ben jest w porządku – odezwał się Bird – naprawdę jest.

W końcu Dekker powiedział:

– Nie miałem innych propozycji.

– Jakoś mnie to nie dziwi – skomentował Ben i zorientował się że złamał swoją obietnicę na sekundę przed tym, zanim Bird rzucił w niego ciężkim spojrzeniem.

Dekker też się w niego wpatrywał. Powiedział:

– Zrobię co trzeba.

– Słusznie, zrobisz – odpowiedział Ben. – Zrobisz cokolwiek ci się powie.

I zrezygnujesz z tych świństw, które ci dali, cokolwiek o tym myślisz, bez sprzeciwów.

– Ben...

Dekker ociężale sięgnął przez stół. Zajął mu chwilę, zanim zorientował się, że chce mu podać rękę, że Dekker naprawdę uwierzył w jego blef i zgadza się na umowę.

Cholera, pomyślał Ben. Wolałby wsadzić rękę do klozetu, ale sytuacja z Birdem

była napięta. Więc wykrzywił się udając uśmiech, wyciągnął rękę i potrząsnął dłonią Dekkera ponad talerzami bez entuzjazmu.

Nikt nie wyglądał na przekonanego, ani Dekker, ani Bird. On z pewnością nie był. Ale powiedział:

– W porządku, jeśli mamy to zrobić, złożmy aplikację od razu. Zakładam, że jeszcze tego nie zrobiłeś.

* * *

– Żadnych kraterów – zauważyła Meg, kiedy weszły do baru. Wróciły bardzo późno podczas poprzedniej zmiany, długo spały i wstały późno, przychodząc w ostatniej chwili na śniadanie. Nie było ani Dekkera, ani Birda i Bena. Meg wsadziła rękę do kieszeni i popatrzyła pytająco na Mike’a za barem. Sal też skierowała się w jego stronę, unosząc brwi.

– Pozabijali się? – zapytała.

Mike odpowiedział znad wydawanej właśnie porcji:

– Wyszli jak starzy przyjaciele, wszyscy trzej. Powiedzieli, żeby wam przekazać, że idą do doku. Zostawili wam stos do szorowania i polerowania w warsztacie.

– Radocha – kwaśno odpowiedziała Sal.

– Ben z Dekkerem? – zapytała Meg, z widoczną troską. – Cholernie nieprawdopodobne. Mamy tu problem.

Sal nalała sobie kawy i przyjęła podany przez Mike’a talerz.

– Kady, myślę, że musimy użyć strategii.

– Jakiej strategii? Głosuję za zastrzeleniem Bena.

– *Na, na*, on gra razem z Birdem. – Sal wzięła talerz i kawę, zaniósła to wszystko do stołu i usiadła, gdy Meg robiła to samo.

– Mamy trzy tygodnie, jeśli się postaramy. Jeśli Dek będzie mógł się włączyć. Faceci będą w kłopotach. *Trez macho*.

– *Trez* wrzód na dupie. Jeśli Bird się na coś uprze, to bez łomu go nie ruszysz.

– Nie możemy pozwolić, by Ben i Dekker znaleźli się na tym samym statku. To podstawa.

– Więc Bird weźmie Dekkera, a my weźmiemy Bena.

– Jeśli się nad tym zastanowić, nie był to zły pomysł. Od dwóch lat próbowaliśmy uzyskać dane Bena. To było realne, podczas gdy obietnice pasterzy mogły się okazać pobożnymi życzeniami.

Poza tym, jeśli ktokolwiek mógł upilnować Dekkera...

Sal schyliła głowę, pomacała się po kieszeni – Boże, pomyślała Meg, czując nagle węzeł w żołądku, ostrożnie! Sal spojrzała na nią z błyskiem piekielnego

pomysłu.

– Powiem ci co zrobimy, Kady, poprosimy o zgodę na wylot w tandemie. My wszyscy. Powiem ci czemu – stukot palców na blacie stołu. – Ponieważ Bird nie chce Dekkera posiekanego na plasterki. Ponieważ ma już za sobą wspólną podróż z Benem i Dekkerem i jeśli damy mu wyjście, by tego nie robić – jeśli poprosimy o równy podział czasu pokładowego, żeby w to uwierzył – ustawimy to z Suką i będziemy mieć Bena z jego danymi oraz dostęp do Dekkera.

– Do diabła, mamy statek po remoncie. Lot kontrolny.

– To będzie podstawa podania. Jedyne powód, dla którego się zgodzą.

– *Skosh* hałaśliwe. Czy chcemy ściągać na siebie uwagę Suczej Mamy? Nie sądzę, żeby specjalne podanie było dobrym pomysłem.

– Kady, już ściągnęłyśmy uwagę Suki. Zapytam przyjaciół, ale nie wiem co gorszego moglibyśmy zrobić. A jeśli się zgodzą i Suka nam pozwoli – do cholery, jeśli wylecimy stąd w tandemie, możemy po prostu wykonywać naszą pracę, wylecieć akurat na czas, kiedy tutaj będzie się gotować i pozwolić, żeby inni zajęli się sprawami. Nie zamierzają zorganizować niczego przy wylocie, chyba że będą pod presją, a jeśli stowarzyszenie zrobi z tego sprawę, to jest cholernie pewne, że Sucza Mama nie wpakuje nas na jakiś kamień w drodze powrotnej. Są przypadki i przypadki. Są zaledwie o krok od tego, żeby RZ skoczyła im do gardła.

Należało się zastanowić, czy z tego krótkiego spotkania w barze „Scorpio” mogło wyniknąć więcej, niż Sal przyznawała. Sucza Mama nadająca im prędkość na wybranym przez nią wektorze, na podstawie map, które mogły mieć drobny błąd techniczny akurat na ich trasie – ta myśl wcale nie pomagała jej usnąć. Sucza Mama przyznawała wreszcie w wiadomościach, że może przyjmie zażalenia pasterzy i wejdzie na drogę konsultacji, by rozwiązać problemy i usunąć punkty sporne – Sucza Mama musiała dotrzymać terminów produkcji, bo stało nad nią dowództwo floty i naciskało na terminy.

To był gest pod publiczność. Za drzwiami gabinetów ważyły się kariery.

Ważyły się też losy pasterzy, cała ich egzystencja.

– Wiesz co – powiedziała do Sal nad talerzem z jajkami – naprawdę chciałabym wiedzieć coś więcej, jeśli możesz mi powiedzieć – teraz lub w przyszłości.

– Jeśli się dowiem, to i ty – szczerze spojrzenie. – Przysięgam.

– Dzięki – powiedziała. Naprawdę starała się w to uwierzyć.

Koja u pasterzy, powiedziała Sal. Oni już stanowili zagrożony gatunek. Ale byli na tyle głupi, że sądzili inaczej: człowiek pozbywał się zwyczaju myślenia perspektywicznego, kiedy jedynym dostępnym wyjściem jakie się miało, był udział w interesie, który już rozpoczął staczanie się wprost do piekła. Wolni strzelcy nie mogli utrzymać się wiecznie. Pójść na interes z wynajmem, albo spróbować oferty

Sal – sprawdzić, czy pasterze dotrzymywali umów. Jeśli to była umowa – albo przekonać się czy pasterze wciąż będą niezależni, kiedy nastąpi wstrząs.

Sal bardzo chciała tej szansy, Boże, polowała na nią od lat – raz skrewiła, z tego co wiedziała, a potem te sukinsyny, krewni jej rodziców, wzięli ją na smycz. Jasne, niech będzie ich oczami i uszami na piekądzie, niech Aboujib lata na posyłki i ryzykuje aresztowanie, niech się poci aż upewnią się, że będzie słuchać rozkazów...

Aboujib dostała poważne ostrzeżenie od Stowarzyszenia Pasterzy, kiedy się z nią związała, ale będąc sobą zaparła się w swoim błędzie i wypięła na konsekwencje. Jej wielcy i ważni przyjaciele powiedzieli, żeby zostawiła Kady, a Sal poszła porozmawiać z jakimś ważnym oficerem. Bóg wie co powiedziała na tym spotkaniu, albo, co jej powiedziano lub czym grożono, ale Sal wybiegła z ich eleganckiego klubu i nie wspominała o nich przez ponad miesiąc.

Przeżywały od tego czasu wzloty i upadki, miały się o klasę lepiej niż na początku – aż do wczoraj wszystko wyglądało czysto i prawdopodobnie, do chwili kiedy stowarzyszenie pomachało Sal przed nosem jej marzeniem, dranie...

Wczoraj powiedziała Sal: tak. Tego ranka miała okropne uczucie, że zrobiła z siebie idiotkę i poświęciła się dla czegoś, czego nie mogła mieć, może za wyjątkiem tych dwóch margerit. Ale niezupełnie potrafiła tego ranka zebrać się na skuteczne „nie”, gdy tak siedziały, obie nadstawiając karki z powodu tego małego, zielonego światełka – Sal była ugotowana na sztywno.

Wciąż nie potrafiła otworzyć ust i powiedzieć: „Sal, nic z tego, idziemy na wynajem”.

Nie wiedziała, czy można to nazwać przyjaźnią. Nie wiedziała, co było źle z jej głową. Ale biorąc pod uwagę, jak toczyły się sprawy na R2, to wolni strzelcy nie mieli przed sobą zbyt długiej perspektywy. Martwiła się o Birda, choć tego co ich łączyło nie można było nazwać romanssem. Wspólny, przyjemny czas. I facet, którego nie chciała zobaczyć rozbijającego się o skałę, do cholery. Jeśli Dekker stanowił problem... cóż, wszyscy byli naznaczeni, jak to ujął ten pasterz: Bird, Ben... wszyscy. Stowarzyszenie mogło ich wykorzystywać, ale równocześnie może być ich jedyną obroną, jaką miała garstka górników. Pasterze byli jedynymi niezależnymi, którzy mieli jakieś środki nacisku.

To... było dość, by trzymać głowę na kłódkę. I nie mówić nie.

Nie mogły powiedzieć Birdowi. Bird nie był zbyt dobry w tajemnicach. I cholernie pewne, że nie Benowi.

Jak to powiedział ten pasterz? Że problem jest poważny? Że problem stał się poważny?

Coś się stało. Mapy Bena? Coś, co zrobiła Kompania?

Pionki pod obstrzałem nie dostawały tego typu informacji.

* * *

Ben powiedział, żeby zgłosić aplikację recertyfikacji. Ruszyć to z miejsca. *Way Out* była ustawiona pod najszybsze wystrzelenie, czas w doku kosztował, a Ben przysięgał, że ma znajomości, które pozwolą ustalić termin testu w ciągu tygodnia. Przy braku sprzeciwu ze strony Birda Dekker zadecydował, że może mówić prawdę.

Więc przypuszczał, że to był dobry pomysł i wylądował w kabinie kolejki razem z Benem i Birdem, zdenerwowany jak dziecko przed wizytą u dentysty, dopiero zaczynając się uspokajać i akceptować ideę zrobienia egzaminu praktycznego zanim pozbył się trzęsienia kolan. Dziesięć dni powinno wystarczyć, powiedział Bird. Trzeba dać mu trochę czasu. Dziesięć dni na zebranie nerwów do kupy, na udowodnienie AP że wciąż je miał i było to dość czasu, jak zapewniał Ben, żeby przepchnąć licencję trzeciej klasy, którą musiał mieć zanim zacnie mu się liczyć czas na pokładzie *Way Out*.

Boże, nie mógł tego spieprzyć.

Bird powiedział:

– Jak to załatwimy, pomyśleliśmy że weźmiemy cię do doku, pokazemy statek, dobra?

– W porządku – odpowiedział, znów w panice zastanawiając się, co knują... pokazać mu statek.

Może chcieli sprawdzić, czy potrafił to znieść. Może naciskali, by go sprawdzić, czy przekroczy granicę...

Nagle wspomnienie tego zimnego wnętrza, kombinezonu dryfującego koło szafki, poruszające się ramię. Obudził się w niemal całkowitej ciemności i wydawało mu się, że to Cory macha do niego.

Bird mówił mu coś do ucha, o zniszczeniach na statku, o tym co zrobili...

Ale w tej chwili pamiętał tylko ten statek, który miał w głowie. Smród, zimno i strach...

– Admin – powiedział Ben, gdy kolejka zatrzymała się na kolejnym przystanku – tutaj wysiadamy.

Wstał i wyszedł za nimi z wagonika do strefy biurowej, całej w beżach i szarości, z tym dziwnym zapaszkiem elektroniki, którym przesyczone były biura. Podeszli do drzwi z tabliczką KZASA Certyfikaty i razem z Benem oraz Birdem wszedł do środka, podchodząc do lady.

– Chciałbym się starać o licencję – powiedział.

– Recertyfikacja – powiedział Ben, opierając łokcie na blacie zaraz obok niego.

– Pozwól, że ja to załatwię. – Nie potrafił myśleć z Benem wpychającym mu

słowa do ust. Poczul wzbierające dreszcze – złapał przeciąg w kolejkę – a nie chciał wypełniać aplikacji z trzęsącymi się rękami. Świetne wrażenie wywarłoby w tym biurze.

Urzędnik oddalił się, a po chwili wrócił niosąc kartę danych, podał mu ją i wskazał na czytnik umieszczony na niewielkim stoliku obok.

Podszedł tam razem ze swoją eskortą, po jednym z każdej strony, patrzącymi, jak wkłada kartę do czytnika. Trzykrotnie pomylił się wpisując swoje nazwisko.

– Słuchajcie, denerwujecie mnie.

– Wszystko w porządku – powiedział Ben. A kiedy próbował odpowiedzieć na następne pytanie, o przyczynę wycofania wtrącił się:

– Nie, niedobrze. Napisz: hospitalizacja.

– Słuchaj, zrobili to, bo jakiś głupi lekarz...

– Oni nie chcą znać szczegółów – Ben sięgnął i cofnął kursor. – Nie wyjaśniaj. Jedyne odpowiedzi jakich chce wydział w tych rubryczkach to takie, które znajdują się w ich wytycznych. Nie zdradzaj niczego z własnej inicjatywy, nie bądź pomocny, a jeśli nie wiesz, pisz N/A, albo naświetl to na swoją korzyść. Pamiętaj, mówisz do urzędników, nie do pilotów. Napisz: Hospitalizacja.

To miało sens. Gdyby tylko nie mówił tego Ben.

– Powód zgłoszenia? – odczytał Ben z formularza. Napisz: zmiana statusu medycznego.

Nie pomyślał o tym, że będzie musiał jeszcze raz przejść badania wydolnościowe. Na samą myśl o lekarzach zrobiło mu się niedobrze. Ale napisał to, co powiedział Ben.

– Podpisz i włóż tu swoją kartę – zakończył Ben. To wszystko co musisz zrobić. Zostawił sporo pustych pól.

– A co z: „Czy są jakieś inne okoliczności...”

– To jest 839-RC – wyjaśnił Ben, postukując palcem w szczyt wyświetlacza, gdzie znajdował się symbol. – 839RC jest tylko po to, by się zgłosić, to wszystko co robi. Nie wyjaśnia. To nie jest część egzaminu. Po prostu to wyślij.

– Wypełniałeś kiedyś jeden z nich?

– Nie ma znaczenia. Pracowałem w oznaczeniach. Odpowiadaj słowami kluczowymi. Nie stwarzaj urzędnikom kłopotu, bo trafisz na sam spód stosu spraw do załatwienia. Nie bądź problemem. Wyślij drania.

– Zrób to – powiedział Bird.

Wcisnął „wyślij”. Ekran pociemniał, powiadomił go, że jego konto zostało obciążone na kwotę dwustu pięćdziesięciu dolarów pobranych jako opłata za egzamin i poinformował, że musi zaliczyć podstawowe testy operacyjne w ciągu sześćdziesięciu dni, po czym wykazać dwieście godzin na symulatorach lub przy

konsoli działającego statku, z potwierdzonym świadectwem pilota pierwszej klasy...

I zaliczyć egzamin pisemny.

Równie dobrze ktoś mógł go rąbnąć w żołądek. Stał tam, gapiąc się na informację, aż Bird położył mu rękę na ramieniu mówiąc, że pojedą teraz do rdzenia.

Na koncie zostało mu tylko dziewięćdziesiąt pięć dolarów, a nie zapłacił jeszcze rachunku w „Hole” i nigdy nie zaliczał pisemnych egzaminów. Przeszedł drogę z holowników przez krótkodystansowe ciągniki skaczące na wiaźce do statku górniczego, ale nigdy nie musiał zaliczać egzaminów pisemnych.

Ben szturchnął go łokciem w plecy.

– Chodź, posągu. Nie zapomnij swojej karty.

Wyciągnął ją z czytnika i wyszedł z nimi z biura w kompletnym oszołomieniu. Dotarli na stację w chwili, kiedy właśnie otwierały się drzwi wagonika kolejki.

– Wsiadaj – Ben popchnął do wejścia i to przepelniło szalę.

– Zostaw mnie – warknął i uwolnił ramię, pragnąc już tylko wrócić na piekąd, do swojego pokoju, zamknąć drzwi, połknąć pigułkę i nie przejmować się niczym do końca dnia, albo nawet przez kilka następnych.

– Chodź – Bird złapał go za ramię i popchnął. Drzwi kolejki zaraz miały zamknąć się tuż przed ich nosami, a głos z automatu prosił o odsunięcie się.

– Do diabła – jęknął z rezygnacją i pozwolił wciągnąć się do środka, bo inaczej uciekłyby im pociąg i czekając na następny, pytaliby go cały czas, czemu zrobił z siebie cholernego idiotę.

Opadli na siedzenia, a kolejka wystartowała.

– Co u diabła się z tobą dzieje? – zapytał Ben. – Znowu ci odbija?

– Nie – odpowiedział i wcisnął się głębiej w siedzenie, wpatrując się w punkt między nimi.

– Masz jakiś problem z pójściem na statek? – tym razem Bird.

– Nie. – Zacisnął szczęki i wściekł się, dawna reakcja na sytuacje, kiedy ludzie zaczynali go naciskać.

– Zachowujesz się jak psychiczny, Dekker – skomentował Ben.

Prawdopodobnie rzeczywiście tak jest, pomyślał. Dzieciak mógł nic nie mówić, ale dorosły mężczyzna z długami po uszy i bliski uzyskania pracy musiał w końcu odpowiedzieć sobie komu co zawdzięcza i jak wiele. Przełknął węzeł w krtani i wymamrotał:

– Nie zaliczę testów.

Bird osłonił ucho dłonią i zapytał głośniejszym głosem:

– Co?

Więc musiał powtórzyć.

– Nie zaliczę testów.

– Co to znaczy, że nie zaliczysz testów? – zdziwił się Ben, wystarczająco głośno by usłyszeli go pozostali pasażerowie. – Przecież miałeś licencję, nie?

Pieprzę cię, miał ochotę wrzasnąć na Bena. Zostaw mnie w spokoju! Ale odpowiedział cicho:

– Miałem licencję.

– Bez egzaminu?

– Można to zrobić – powiedział Bird. – Praca konstrukcyjna na to pozwala.

Można w ten sposób przechodzić z klasy do klasy, po prostu testy operacyjne i kilka pytań. Też tak zrobiłem. Nie każdy przechodzi przez instytut.

– No cóż, skoro tak... – powiedział Ben – miałeś pierwszą klasę. Twierdzisz, że jesteś dobry. Znasz odpowiedzi. Czym jest test?

Ben doprowadzał go do szału. Potrafił to zrobić po prostu oddychając. Usiłował zachować spokój.

– Ponieważ nie zaliczę pisemnych pytań!

– Boże – jęknął Ben, poprawiając się na siedzeniu. Jeden z tych. Potrafisz czytać?

Nie wiedział o jakich „tych” mówił Ben. Nie chciał teraz o tym rozmawiać.

Chciał złamać Benowi kark. Patrzył w róg wagonika, ponad ramieniem Bena. Pójdzie na statek, w porządku, powstrzyma się od działania jak szaleniec, zaliczy testy operacyjne i wymaganą liczbę godzin na pokładzie statku Birda, wróci i obleje cholerny egzamin pisemny.

Ale w międzyczasie będzie musiał jeść. Będzie musiał słuchać Birda. Może dostanie ograniczoną licencję na transport ładunków, będzie pracował w stoczni i jeszcze raz przejdzie tę samą ścieżkę. Nie wiedział, nie wiedział nawet, czy to jest możliwe również tutaj, w Pasie. Nie chciał się tym teraz martwić, po prostu iść tak daleko jak się da i nie myśleć o bałaganie, w który się wpakował.

Bird i Ben rozmawiali cicho na jego temat – wychwytywał strzępki ponad hałasem kolejki. Dwa kolejne przystanki zanim dotarli do windy rdzeniowej. Chciał mieć już tę jazdę za sobą, chciał znaleźć się w doku, na statku, gdziekolwiek, byle tylko zajęli się jakimś innym tematem.

– Wiesz co – odezwał się Ben, nachylając się w jego stronę. – Z tymi testami, to w gruncie rzeczy bardzo łatwe. To jest system, jest technika...

– Łatwe dla ciebie!

– Jesteś choć trochę dobrym pilotem?

– Jestem cholernie dobry!

– Więc wysłuchaj mnie. To jak wypełnianie tych formularzy, tam w biurze. Nie dajesz prawdziwych odpowiedzi biurkowym pilotom. Cały sekret w testach, czy formularzach tkwi w tym, żeby nigdy nie dawać odpowiedzi mądrzejszej, niż osoba która będzie je sprawdzać.

Wciągnął powietrze spodziewając się, że Ben go obraził. Ale nie wiedział czym.

– Możemy cię przeprowadzić przez to gówno – ciągnął Ben, machając lekko dłonią. – Ale sprawdźmy najpierw czy jesteś czegoś wart na operacyjnych.

Nie chciał niczego zawdzięczać Benowi. Powiedział sobie, że Ben prawdopodobnie wymyślił nowy sposób na orżnięcie go – i jeśli była dla niego jakaś nadzieja, to ta, że sposób Bena na orżnięcie go przypadkiem wymagał, żeby odzyskał swoją licencję.

Rozmyślał nad tym do chwili, kiedy kolejka zatrzymała się na ich przystanku, przy windzie. Wyszli razem i wcisnęli przycisk do rdzenia, czekając na kabinę. Włożył ręce do kieszeni i starał się nie myśleć z wyprzedzeniem, ani o testach, ani o dokach, ani o tym jak będzie wyglądał statek...

Wszystko będzie dobrze, nie będzie panikował, nie będzie mu niedobrze, kiedy znajdą się w stanie nieważkości. Po prostu będzie tam zimno, cholernie zimno, dlatego trząsł się wchodząc do windy.

Przycisnął się do ściany i mocno złapał uchwyt bezpieczeństwa, podczas gdy winda wspinała się w stronę rdzenia. Z początku ciężenie wzrosło, później zanikło całkowicie – dość by żołądek zwariował i bez innych bodźców. Kabina zatrzymała się, wypuszczając ich w strefę bezpieczeństwa osi. Wsadzili po kolei swoje karty do czytnika i przeszli bramkę.

Przynajmniej nieważkość nie robiła na nim wrażenia, sprawiała tylko, że czuł... czuł się jakby wrócił w znajome miejsce, jakby znów podróżował w czasie: w głowie wiedział, że oś R2 to nie było miejsce, gdzie kiedykolwiek był – cały czas utrzymywał w polu widzenia Birda, by zakotwiczyć się w czasie. Chwycił się liny i pojechał pomiędzy Birdem i Benem.

Odbijające się echem hałasy, ruch, zapach oleju i zimnej maszynierii – to wszystko mogło być R1. Wciąż sobie powtarzał, że to tu i teraz, i zanim dotarli do kei znajdującego się w remoncie *Way Out* jego żołądek mógł być niezadowolony, ale zagłuszył swoje uczucia upartym przekonywaniem.

Nawet wejście na statek nie było takim szokiem jakiego się obawiał. Bird włączył światła i statek wydał się... znów normalny. Pachniał środkami odkażającymi, świeżym klejem i farbą. Dotknął znieczulonymi od zimna palcami panelu sterującego *Wdy Out* i rozejrzał się dookoła. Wszystko wyglądało tak jak zawsze, jakby nigdy nie doszło do katastrofy. Zachował tę samą nazwę właściwie to był żart Cory – ale dali mu nowy numer. I nie był już własnością jego i Cory.

Przede wszystkim nie dało się tu wyczuć jej obecności. To też zostało usunięte. I możliwe, że właśnie tej obecności tutaj najbardziej się obawiał.

– Wymieniliśmy zbiorniki – mówił Bird, obracając się w jego stronę. – Blokują nas różne drobne części, które próbujemy zorganizować na rynku wymiany – ale

zdecydowanie zbliżamy się do końca.

– I jak wygląda? – zapytał Bird, a on mógł odpowiedzieć spokojnie, bez klekotu zębów.

– Wykonaliście olbrzymią pracę.

– Chcesz sprawdzić stery? – zapytał Bird. – Główny system jest już podpięty.

Puścisz testy?

Zrozumiał o co im chodziło, sprowadzając go tutaj: robili własne testy operacyjne. Chcieli sami zobaczyć, czy stracił kawałki pamięci – prosta rzecz, uruchomić panele, przeprowadzić diagnostykę...

Wciągnął głęboko do płuc lodowato zimne powietrze, odepchnął się i przysiadł przy głównym panelu kontrolnym. Odślonił zabezpieczenia przełączników i wcisnął klawisze – nie musiał o nich myśleć, nie myślał o nich, aż zdał sobie sprawę że przebrnął przez podstawowe testy układów. Przeleciał test pamięci, palce wystukały standardowe procedury kontrolne i znów mógł oddychać, nie wiedział gdzie do cholery zmierzał, nie wiedział w którym momencie się zatrzymać albo czy chcieli, żeby uruchomił prawdziwe testy, które zapisywały dane do dziennika pokładowego...

* * *

Manewrowy numer cztery nie odpalił – wychwycił anomalię w danych przepływających błyskawicznie przez monitor; nagle pojawił się boczny dryf. Skompensował przez szybkie wygaszenie dwójki i pchnął orczyk, by odbić zanim dryf odsunie go z kursu – niezgodnie z podręcznikiem – jak zdał sobie sprawę w uderzenie serca później.

Po tym ekran zgasł. Egzaminator zapytał:

– Pracował pan na holownikach ładunkowych, co?

Odpowiedział, starając się zablokować drzenie.

– Tak, kiedyś.

A więc egzaminator rozumiał co zrobił. I dlaczego.

Egzaminator – stary mężczyzna – wcisnął klawisz. Na ekranie pojawiły się dwie kolumny liczb, a za nimi wykres.

– Recertyfikuje się pan – powiedział egzaminator.

– Staram się – odpowiedział. Utrzymywał równy oddech i przyglądał się egzaminatorowi wciskającemu kolejny rząd klawiszy.

– Może pan wyjąć swoją kartę.

– Zdałem?

– Pojazdy kategorii D, licencja trzeciej klasy z licencjonowanym obserwatorem. – Egzaminator dalej coś wstukiwiał. – Ważna przez rok. Jest pan z instytutu?

- Prywatnie – odparł, a egzaminator przyjrzał mu się ponownie.
- Z kim?
- Morrie Bird, *Trynidad*.
- Mmmm.

Chciałby mieć odwagę spytać, co to *znaczyło*. Ale z doświadczenia wiedział, że egzaminatorzy nie ujawniali jakie uzyskało się wyniki, nie omawiali testu, rzadko zadawali pytania. Ten sprawiał, że się denerwował, ale dziękował Bogu, że był kimś więcej niż tylko bezduszną maszyną do naciskania klawiszy.

Opuścił pokój symulatora ze swoją kartą i wsiadł do windy rdzeniowej B udając się w dół, do biur KZASA, czując dreszcze, które dopadły go w końcu, kiedy odbierał swoją licencję przy biurku w certyfikacji. Dreszcze były tak silne, że musiał wsadzić rękę do kieszeni, żeby urzędnik nie zobaczył, jak trzęsą mu się ręce.

W symulatorze wysiadło cholerne światelko awaryjne – albo nie zobaczył go, aż awaria wyszła w danych. Nie sposób było teraz sprawdzić. Alarm mógł się świecić, a on go nie zauważył, mógł przeoczyć – czuł się jakby czas nie płynął właściwie, kiedy zaczęły pojawiać się te liczby i musiał dokonać szybkich oraz pobieżnych obliczeń i poczuł – po prostu poczuł... że coś się nie zgadza, nie miał pojęcia co, mózg powiedział mu po prostu że tak, a on wyobraził sobie uderzenie, choć przecież nie było niczego takiego w symulacji...

Nie, do cholery, symulator gwałtownie zwiększył przyspieszenie i przez jedną chorą chwilę wyobraził sobie, że silniki odpaliły.

Może to tylko nerwy. Nie był już pewien.

A może to właśnie był problem.

* * *

– Uch-och – wydobyła z siebie Meg widząc Dekkera wychodzącego na zewnątrz z kolejki. Urwały trochę czasu z pracy w warsztacie, by zgarnąć go z powrotem... na wypadek, gdyby miał złą nowinę, jak powiedziała, a Sal zgodziła się.

Wiedząc, że będzie się denerwował, nie powiedziały mu, że będą blisko, nie zjechały z nim na dół. Zadzwończyły za to do certyfikacji z pytaniem jak długo może trwać egzamin na licencję trzeciej klasy i zjechały z warsztatu na trzecim poziomie, by być tu – na wszelki wypadek.

– Nie wygląda zbyt dobrze – zauważyła Sal, a Meg przeżyła moment wątpliwości, czy nie powinny ukryć się i wrócić do pracy, co jednak nie byłoby łatwe. Więc nie miały szans na tchórzostwo. Pomachała ręką.

Z drugiej strony, może mogły wycofać się niezauważone. Dekker szedł ze

wzrokiem wbitym w podłogę, zupełnie nieobecny duchem.

Kiedy podszedł bliżej, odezwała się do niego:

– Dek? Jak ci poszło?

Podniósł głowę, wyglądał na oszołomionego, jakby nie mógł pojąć jak się tam znalazły, albo nie usłyszał pytania.

– Jak ci poszło? – zapytała Sal.

– W porządku – odpowiedział.

– Więc dostałeś zgodę?

– Tak.

– A więc, brawo, *jeune rab* – Sal poklepała go po plecach i objęła. – Mówiliśmy, że tak będzie, mówiliśmy!

Był całkiem blady. Wyglądał na przerażonego – i odrobinę oderwanego od rzeczywistości.

– Powiedziałem, że zadzwonię na statek i powiem Birdowi, jak poszło.

Potrzebuję telefonu.

Mocno odjechany, niespokojnie pomyślała Meg. Przeszedł przez test w jednym kawałku i odleciał. W Bogu nadzieja, że nie zauważyli tego w biurze. Wsunęła mu rękę pod ramię, tak na wszelki wypadek.

– Chodź. Telefon i lunch. W tej kolejności.

Poszedł z nimi. Znaleźli publiczny telefon niedaleko stacji kolejki i zadzwonili do Birda.

– Dobrze – powiedział, kiedy usłyszał nowinę, a Ben dodał w tle: – Więc o co ten szum?

Złamię mu kiedyś kark, pomyślała Meg. Gołymi rękami.

* * *

Kolejna cholerna awaria w D-28, wysiadło podłączenie pompy w maszynie niedaleko doków – uwalniając osiemset litrów płynu hydraulicznego w nieważkości, w stronę wirującej powierzchni rdzenia. Nadzorca przysięgał, że to był sabotaż pracowników, a Salvatore, mając na biurku jeszcze trzy podobne przypadki miał migrenę.

Skierował do śledztwa technika specjalistę, nalał sobie kawy i powiedział sobie, że musi oczyścić biurko stos kart w koszyku osiągnął masę krytyczną. Administracja narzekała z powodu tygodniowego spóźnienia raportu kwartalnego, mając z kolei u siebie adiutanta dowódcy floty, klnącego na opóźnienia w planie. Nie mógł też znaleźć kart z danymi do aktualnych spraw.

Teraz Walker. Facet użył swojej karty blisko miejsca włamania do biura, nie miał

tam nic do załatwienia – ale też żadnych ewidentnych związków z przestępstwem, a sama obecność nie miała sensu. Kermidge: wszystko wskazuje na odtwarzanie dawnych powiązań. Dekker: zrobił piekło symulatorom.

Wywołał szczegóły sprawy Dekkera.

Głos Willsa, z komputera:

„Dekker zaliczył egzaminy operacyjne na D3. Wynik poszedł wprost do głównego egzaminatora. Mówią, że symulacje wyskoczyły z klasy D i czysto przeszły na C, zanim egzaminator przerwał test – co jest normą przy przekroczeniu. Biuro certyfikacji, podejrzewając zawieszenie na wyższym poziomie, zaczęło przeglądać zapisy sądowe, potencjalne zapytania na Sol...”

O cholera! „Przerwałem to, powiedziałem im, żeby zostawili licencję na D3, zawieszono poszukiwania z biura. Mam nadzieję, że to dobrze”.

Bogu dzięki.

„Sprawdziłem akta egzaminatora: pilot na emeryturze, szkolenie ECI, z Sol, czyste akta, trzy lata na aktualnym stanowisku i tak dalej. Jest czysty.

Ale jest kolejna interesująca sprawa. Bird i Pollard, ci dwaj którzy go uratowali, przejęli jego statek i mieszkają w tej samej noclegowni. Zgłosili się na lot w parze, lot testowy po remoncie, dawny statek Dekkera, wynajęty niejakim Kady i Aboujib. Na tym podaniu jest też Dekker jako pilot z D3, pragnący uzyskać czas pokładowy.

A oto haczyk: Kady i Aboujib obie mają kartoteki Kady długą jak moje ramię. Szmugiel, agitacja rab – ma przeszłość w Korporacji Sol, przeniesiona tutaj przez KZ. Aboujib ma na koncie zwolnienie z instytutu, za narażenie statku na niebezpieczeństwo, pochodzenie od pasterzy, drobne zarzuty natury moralnej, jeden atak, walnęła jakiegoś faceta butelką. Alokacje jeszcze nie zdecydowane. Zabronić, czy zezwolić?”

Salvatore zatrzymał nagranie i siedział zamyślony, z łokciami na biurku. Sięgnął po inhalator, myśląc „sukinsyn...”.

Nie Wills. Zrobił kawał dobrej roboty – na tyle, na ile mógł. Sprawa z egzaminatorem uruchomiła trochę alarmów, nie mniej niż niewątpliwe powiązania Birda z półświatkiem.

Zgłosić to do biura Payne’a? On wyraźnie zastrzegł: nie chcemy, żeby ktoś to wyciągał. Raport do KZASA twierdził, że to była usterka mechaniczna, a nie błąd pilota...

Payne chciał zamknąć sprawę, ale do diabła, ciągle wypływała na nowo, a teraz, z raportem Willsa pojawiły się wątpliwości, że były pewne niezgodności w oficjalnych zapisach i że administracja mogła mieć jakieś tajemnice. Salazar groziła procesem, kłótnie dostawców, gwałtowny rozkwit liczby wypadków w doku i fabrykach... Wojsko domagało się zgody na wprowadzenie na R2 własnego

personelu ochrony, rodzaj aktywnej ochrony ich interesów, co jak sądził, było mocno powiązane z opóźnieniami w harmonogramie produkcji i, do cholery, implikowało winę jego wydziału. W gabinetach Kompanii szeptało się, że flota ostro naciskała na zarząd ASTEXU, Kompania Ziemska martwiła się sabotażem i opóźnieniami, co mogło być efektem działalności agitatorów i sympatyków pacyfistów, a związki zawodowe tylko czekały na odpowiedni moment, by wyciągnąć coś od Kompanii. Radykałowie wszelkiej maści szukali sposobów na przejęcie kontroli nad związkami, a takich elementów było na R2 zdecydowanie więcej niż trzeba. A to dzięki polityce KZ, polegającej na wysyłaniu ich tutaj bez sądu, by uniknąć rozgłosu, który mógłby przyciągnąć uwagę mediów ze Studni, gdzie strajki, ruchy religijne i zamieszki wybuchały z byle powodu. Ta Kady była prawdopodobnie doskonałym przykładem, ale raczej finansowym niż politycznym. To nie było problemem. Powiązania z pasterzami? Pasterze mieli więcej dzieciaków niż mogli zmieścić. Narażenie statku? To naruszenie przepisów KZASA. To nie działka jego biura, podczas gdy każda zmiana na piekądzie kończyła się trzema czy czterema bójkami i kilkoma pacjentami dla lekarzy.

Ochrona ASTEXU miała na głowie zdecydowanie poważniejsze sprawy, niż jakichś drobnych malkontentów i dyskusyjny statek górniczy. Dekker był przeznaczony do podglądu, ale nie zrobił nic więcej niż wykazanie anomalii podczas testów na symulatorze – lepszy niż przeciętnie. A tymczasem zarząd miał na głowie statek w tajnej stoczni, który był mocno spóźniony w stosunku do harmonogramu i sabotaż w fabryce plastiku, który nie miał innej przyczyny niż głupota kierownika.

Do diabła, oczywiście to nie zarząd ASTEXU zostanie obwiniony, zarządy nigdy nie były winne – zrzucić to na ochronę, na biurko Salvatore'a...

A więc co miał, oprócz zaginionego dzieciaka z matką w radzie Korporacji Marsjańskiej, której prawnicy grozili procesem o niedopełnienie obowiązków mechanikowi w R1 i żądali wydania akt sprawy. Dekker miał jeden incydent, kierując na Kompanię dzikie zarzuty, ale od tego czasu siedział cicho, wydawał pieniądze na ubrania, jedzenie – jego jedynym aktualnie grzechem było zgłoszenie się do recertyfikacji w klasie D, podczas gdy, jak wynikało z raportu Willsa – mógł mierzyć wyżej.

Należało się martwić, czy nie puścić jakiegoś ostrzeżenia na wyższy poziom, dla kogoś pracującego w jakimś biurze śledczym, nawet w tych nerwowych czasach, coś, co być może powinno trafić pod uwagę RZ.

Rozdmuchanie sprawy Dekkera oznaczało automatycznie pożegnanie się z karierą, ale jeśli nie zgłosi problemu, jego kompetencje staną pod znakiem zapytania. Był między młotem i kowadłem. W swoich najbardziej paranoidalnych chwilach zastanawiał się nawet, czy w ogóle istniała jakaś Cory Salazar...

Ale na żadnym poziomie, do którego miał dostęp nie było wątpliwości co do Dekkera: różne wydziały na RI dostarczyły jego historię z ostatnich dwóch lat i żaden utajniony operator nie byłby tak głupi, żeby uruchomić alarmy na teście. To nie pachniało jak wtyczka z KZ czy problem ochrony.

Do diabła, Dekker miał D1 z dwudziestego, od tej pory pracował jako pilot i jest bardzo prawdopodobne, że zaniżał wtedy swoje możliwości, by nie zainteresowało się nim wojsko – typowa przypadłość mężczyzn w wieku poborowym. Mając teraz przeciw sobie oświadczenia lekarskie, dał z siebie wszystko, niemal ściągając na siebie uwagę pani Salazar. Bogu dzięki, Wills zablokował sprawę.

A więc Dekker chciał znowu polecieć w próżnię. Nie było to w tej chwili dla niego złe miejsce. Trudno było o większą ciszę niż tam, w głębi Pasa, nie mając kontaktu z nikim poza AR Prawnicy Alyce Salazar nie mogliby dostarczyć mu pozwu, nie posiadając naprawdę długiego ramienia.

Trzeba wysłać notkę lekarzowi w sprawie zwolnienia Dekkera z nadzoru szpitalnego, by uspokoić urzędnika narzekającego na naruszanie przepisów KZASA, wypuścić Dekkera na zewnątrz, a jeśli zwariuje tam i zarżnie Birda i Pollarda, to sami sobie będą winni. Jedyna nadzieja, że w razie czego Kady i Aboujib też zginą. Nie potrzebowali tu jeszcze aktywności rabów.

Tak więc, dzięki naciśnięciu kilku klawiszy problem zniknie z jego biurka na parę miesięcy – jak tylko statek opuści dok. Oznaczyć powrót statku, Birda, Pollarda, Aboujib i Kady, dopilnować by biuro Willsa prześwietliło ich kontakty i poszukać wszelkich śladów w bazach danych, jakie mogli po sobie zostawić. W sytuacji, która w każdej chwili mogła znów wybuchnąć w reakcji na działania prawników Salazar, wyższe szarże mogły zażądać szczegółowych raportów.

Szkoda, pomyślał Salvatore, że nie mógł jeszcze kilku innych spraw wysłać na trzymiesięczne trasy poprzez Pas...

Jak ten kierownik w D-28, ze swoimi wymaganiami co do strojów pracowników, inspekcjami i ciągłymi uwagami na temat zwyczajów seksualnych po pracy oraz regułami dotyczącymi wąsów. Boże, naprawdę chciał poinformować Payne'a, że dyrektor departamentu Colin R. Sabich ma problem z nielegalnymi filmami, ale posiadanie ich nie było wielkim przestępstwem, a informacja nie świadczyła o niczym poza tym, że Sabich był padalcem. Administracja wiedziała o tym. Administracja już kilkakrotnie przenosiła go poziomo i ewidentnie nie mogła znaleźć dla niego żadnej innej, mniej ważnej posady. Co jeszcze można było zrobić z sukinsynem z dewiacją i instytutowym dyplomem z zarządzania przemysłem?

Bóg wie, może dadzą mu fotel w administracji.

Rozdział 15

Wreszcie coś zaczęło iść w dobrą stronę, pomyślał Dekker, zaraz gdy pojawiła się kolejna dobra wiadomość – przy śniadaniu w skrzynce pocztowej baru pojawiła się wiadomość z Administracji Pasa adresowana do M. Birda: specjalne zezwolenie na działanie dwóch statków w jednym sektorze – zezwolenie na start i całą resztę: napełnienie zbiorników, ładowanie akumulatorów itp. Dostali przydział sektora, mapy zostaną im przekazane, kiedy zgłoszą się na pokład, wyznaczono też datę startu, osiemnastego września: za cztery dni. Bird potrząsnął głową. Jedną z tych cholernych decyzji z AP: „zrób to natychmiast”. Tu, na R2, wcale nie było inaczej niż na R1. Człowiek spodziewał się opóźnienia, więc składał podanie z wyprzedzeniem, a w efekcie dostawał zezwolenie na wczoraj.

Najpierw oferta Birda, potem częściowe odzyskanie licencji i Ben, który nagle stał się całkiem uprzejmy. Teraz AP zatwierdziła wspólny lot i wciąż nic się nie rozpadło. Dekker siedział, trzymając kubek z kawą, słuchając jak stali bywalcy gratulowali Birdowi dobrego zachowania AP i zastanawiał się, kiedy ostatnio w jego życiu sprawy układały się tak dobrze...

Ale nie pozwolił sobie na myślenie o tym. Przyglądał się swojej sytuacji i powiedział sobie, że ten list musi być oznaką powracającego szczęścia, albo może sygnałem, że AP postanowiła dla odmiany pogonić kota kogoś innemu. Kto wie? Może ktoś się nie przyjrzał i do nikogo nie dotarło, że jest na liście załogi. Albo AP dawała do zrozumienia, że da mu spokój i pozwoli spokojnie żyć dalej, jeśli tylko będzie siedział cicho.

Nie martwić się o różne „co by było gdyby”, jak mówiła Meg. Robić swoje i nie szukać kłopotów. Sucza Mama ma naprawdę krótką pamięć do sytuacji kryzysowych w przyszłym tygodniu na jej liście pojawi się jakiś nowy drań i zapomni o tobie.

Naprawdę chciał wierzyć, że sprawa wraku została już zamknięta, ale doświadczenie mówiło mu, że żaden urzędnik nigdy nie zdobył się na odwagę, by odnaleźć i usunąć coś, co inny urzędnik wsadził do akt. Jego raport lekarski i cała reszta będą wypływać co jakiś czas przez resztę życia, był tego pewien, plik nieuchwytny w swojej trasie przez komputery Kompanii. Prawdopodobnie za każdym razem, kiedy będzie się zgłaszał po przydział sektora. I z całą pewnością, jeśli zgłosi się na egzamin o C3.

AP oficjalnie pozwalała mu wrócić do pracy, wciąż bez wyjaśnienia co się stało, bez odpowiedzi, bez sądu. To ewidentnie był kamuflaż, którego nie mogła przebić matka Cory. Był pewien, że do tego czasu musiała już wiedzieć, przynajmniej znać oficjalną wersję. Czy było więc coś, co mógł zrobić on, a jej matka, w zarządzie Korporacji Marsjańskiej nie?

Pomyślał o napisaniu listu bezpośrednio do niej, podaniu jej własnej wersji tego, co się naprawdę stało, nie dbając o to, że Alyce Salazar szczerze go nienawidziła. Ale przed opuszczeniem R2 list przechodził przez wiele rąk, a jeśli czyjaś korespondencja przyciągała szczególną uwagę, to jego z całą pewnością.

Wglądało na to, że naprawdę wylatują i wszystko co mu pozostało, to trzymać nerwy na wodzy i nie mieszać się w żadne kłopoty do chwili startu, mając nadzieję, że zezwolenie nie było jakąś pomyłką, którą ktoś wyłapie w ostatniej chwili. W międzyczasie mógłby też spróbować uwierzyć w szczerą intencję Bena, który właśnie poklepał go po ramieniu i stwierdził, pełen swojej zwykłej subtelności, że choć jest dupkiem, to ma szansę wyjść na człowieka.

Bird schował do kieszeni swoją kartę i zauważył, że skoro AP dała im tak mało czasu, a mają jeszcze kilka rzeczy do zrobienia w warsztacie, to powinni się za to jak najszybciej zabrać...

– Dobra, dobra – powiedziała Sal. – Boże, przepracowałyśmy w tym tygodniu już pięćdziesiąt godzin!

Na co Ben odpowiedział:

– Jasne, dostaniecie wolne, jak przysznic będzie działał. Żadnego współczucia z mojej strony.

Musieli więc podgonić sprawy, które czekały na ostatnią chwilę – nic naprawdę kluczowego; nie złożyliby podania o zgodę na wylot, gdyby nie mieli za sobą wszystkich poważnych napraw i zaliczonego przeglądu technicznego KZASA na *Way Out*. Ale Bird chciał zrobić jeszcze trochę sprzątania, a warsztat oferował spokojny azyl, gdzie mógł siedzieć wkręcając śrubki i testując obwody elektroniczne bez angażowania świadomości, więc osobiście nie miał obiekcji – odpowiadało mu cokolwiek, dzięki czemu miał zajęte ręce.

Przyszedł Ben, zostawił ładunek i wyszedł, zapewniając transport. Meg i Sal też pracowały w warsztacie, rozmawiając na tematy byłych kochanków, jakości farby do włosów, filmie na którego temat miały różne zdania... po prostu pogaduszki, szmer ludzkich głosów. Wyglądały na zestresowane. Zmęczone, ale miał wrażenie, że nie tylko.

Nie myślał. Nie chciał myśleć.

* * *

Dzień przed startem. Wciąż się trzymał. Sal była wyczerpana. Bird zrobił się nerwowo.

– Nerwy przedstartowe – skomentowała Meg cichym głosem. – Bird, do cholery uspokój się, wszystko przygotowane.

– Długi spacer po zapasy – rzucił Bird i wyszedł na kolejny całodniowy pobyt w dokach, pomimo że przekonywali go, by dał swoim starym kościom zaznać jak najwięcej ciężenia przed wylotem.

– Nie potrafię się z nim kłócić – westchnęła Meg. Bird wysłał na dół Bena z koszykiem pełnym różnych dziwnych części z *Trynidad*, które chciał żeby sprawdzili. Trzydzieści sześć godzin przed startem.

– Czemu do cholery – jęknęła Sal – nie pomyślał o tym osiem tygodni temu?

Ben po prostu potrząsnął głową.

– Robi tak za każdym razem. Wszystko jest na „ujdzie”, do chwili kiedy zaczniesz pakować do środka zapasy. Wtedy przypomina sobie o tych wszystkich drobiazgach, jak to że miał problem z kondensacją w ostatniej trasie.

Dawało to zajęcie ich rękom. Pozwalało nie myśleć o mijających godzinach. Dekker rozumiał stan nerwów Birda. W końcu, Boże proszę, wejdą na pokład, rozpoczną przygotowania do startu, i, pomyślał Dekker, wyleci wciąż przy zdrowych zmysłach.

– Jaki rodzaj filmów lubisz? – zapytała go Meg, kiedy testował wyłącznik ciśnieniowy.

Wzruszył ramionami domyślając się, że Meg zamierza pożyczyć kilka na cały ten wolny czas, którego nie będą mieć w trakcie lotu. Lubił filmy akcji, ale kiedy teraz o tym myślał, to jakoś nie miał na nie w tej chwili ochoty. Cory żartowała na temat jego smaku do koszmarnie złych filmów, jak je nazywała, ale pomyślał, że nie będzie już chyba w stanie oglądać eksplozji na filmie, nie czując przy tym uderzenia w żołądek. Dodał to jako kolejną rzecz do listy tych prostych, zabawnych spraw, z których został obrabowany we wraku. Może kiedyś sobie z tym poradzi. Ale nie teraz. W tej chwili chciał się trzymać od tego z daleka. Krok po kroku, panie Dekker...

– Dek?

– Tak?

– Chcesz wyjść dziś wieczorem?

Potrząsnął głową.

– Nie – odpowiedział ostro. Nie zamierzał być nieuprzejmy, ale taka była prawda, nie chciał iść oglądać eksplozji w żadnej ciemnej sali kinowej. Nie to chciałby robić na dwadzieścia cztery godziny przed startem.

– Och, daj spokój – powiedziała Sal. – Co powiesz na kolację? Możemy przekonać Birda do wydania pieniędzy. Coś *trez gentee*. Świece i obrus. Mamy mnóstwo czasu, żeby skończyć, wykapać się i przygotować. Co na to powiesz? Kolacja o dziewiętnastej, runda po barach, powiedziec ludziom na pokładzie *au'voirs*.

– Dobra – zgodził się w końcu. Spędzenie tego wieczoru między ludźmi było

prawdopodobnie dobrym pomysłem. Meg i Sal usiłowały wciągnąć go do swoich przygotowań, namawiając go na rozmowy, ale teraz, kiedy już się zgodził, poczuł rodzaj paniki – jakby dołączając się przekroczył jakąś krawędź, i naprawdę powinien to jeszcze raz przemyśleć. Oprócz tych ludzi nie miał przyjaciół i żadnej przyszłości ponad to, co dla niego przygotowali. Stroili sobie żarty, rozmawiały z nim, spełnił też ich prośbę i poszedł kupić chipsy oraz jakiś napój.

Ale ciągle nachodził go ponury nastrój – w rodzaju „rozwalić to wszystko”, uraz – właściwie wściekłość na nich – mieli wszystko co było kiedyś jego, a teraz chcieli jeszcze jego zgody na ten stan rzeczy. Ta złość trzymała go przy życiu. To co czuł było głupie, zdawał sobie z tego sprawę, przyjacielskość dziewczyn i Bena wywoływała u niego reakcję wściekłości, choć nie umiał dojść czemu. Starał się nie być, jak to ujął Ben, dupkiem.

Ale do cholery, wszystko go drażniło. Nawet ta ich kolacja przed startem. Robił to samo z Cory – ale ona nie robiła niesmacznych dowcipów na temat mężczyzn, z którymi sypiała...

Wrażliwy punkt. Jego umysł pełen był szczelin do których wolał nie zaglądać tego popołudnia, kiedy przedstartowe roztrzęsienie włączało wspomnienia. Jeden Bóg wiedział, co się z nim działo – i to uczucie wirowania, braku kontroli – wciąż tam było, uniemożliwiając mu uwierzenie w swoje życie – wszystkie kawałki były pomieszane. Wszystko wydawało się nowe, nie na miejscu.

Rabowie mówili: rób. Działaj. Ruszaj się. Bądź.

Ale gdzie się ruszyć? Być czym? Meg i Sal rozmawiały cicho z nachylnymi ku sobie głowami, chroniąc przed nim jakieś sekrety, do których nie chciały go dopuścić, ale równocześnie chciały, żeby ich słuchał. Ubrały go jak jakąś cholerną lalkę – nie był to żart jego kosztem, na to były zbyt poważne. Miały wobec niego jakieś plany, które jak sądził więcej miały wspólnego ze stylem życia, niż z seksem. Robiły sobie z niego gorzkie żarty, afiszując się ze swoimi różnicami, próbując odciągnąć go od sposobu życia, jaki lubiła Cory i z powrotem w ślepe złość, którą czuł kiedyś – obudź się dzieciaku, dołącz do nas, bądź jak my, bądź z nami, myśl jak my i przeżyj.

Może to była przyjaźń. Bądź wdzięczny, przekonywał się. Wyjdź z nimi, uważaj na maniery – na dzisiaj dość. Może być gorzej. Mógł trafić w towarzystwo o całe piekło gorsze.

Są ludzie, którzy kierują tym miejscem.

Przez chwilę znów był na statku. I z powrotem siedział w warsztacie, z małym przełącznikiem zaworu w ręce i niewiedzą, czy właśnie zaczął, czy też skończył pracę nad nim.

Przeszyło go uczucie paniki. Siedział tam, gapiąc się w element trzymany w dłoni, próbując dojść, co z nim robił.

– To ostatni. – Sal zabrała mu go z rąk i wsadziła do koszyka. – Boże, Dek, no, daj już spokój, skończyliśmy!

Nie było niczego, co nie mogłoby zostać naprawione za pomocą śrubokrętu, jeśli zepsułoby się później. Nic kluczowego. To nie potencjalna awaria go przeraziła, a szczelina, w którą wleciał.

* * *

Cholernie denerwujący wrak, pomyślała Sal, wycierając pot i kopiąc zablokowane kółko wózka. Biuro wynajmujące przysięgało, że nie mają innego. Wydostać się stąd...

Bang. Podniosła jeden z końców i gwałtownie upuściła. Po drugim razie kółko się odblokowało.

– Aboujib – usłyszała czyjś głos.

Obróciła się, nabierając powietrza.

Przyjaciel Mitcha.

– Wciąż macie wylecieć osiemnastego?

– Tak.

– Nie polegaj na tym.

– Cholera! Co się dzieje?

– Taką mam wiadomość. Trzymaj wasz problem na smyczy. Na ciasnej.

– Czemu?

– Masz tę rzecz, którą ci dałem? – zapytał pasterz.

– Nie przy sobie, nie zabieram tego ze sobą do rdzenia...

– Chcę, żebyś to jutro przyniosła do klubu. Żadnego ostrzeżenia dla Kady, nikomu ani słowa. Po prostu przynieś to i przyprowadź swoją koleżankę. Wasz problem.

– Mamy... Jutro startujemy – zaczęła protestować. Cały wszechświat stanął na głowie. Wszystko w jej myślach, z szalonym skupieniem.

– Jutro – powtórzył pasterz.

Poczuła jak zamiera jej serce. Pomyślała: „Mój Boże, wszystko co mają Bird i Ben, zależy od tego lotu...”

Nie mogą wystartować jutro... Meg i ja, niech to szlag, nie mogą jutro lecieć.

– Nie można się teraz wycofać, Sucza Mama nie zmieni daty startu!

– Nie mamy nad tym kontroli – powiedział pasterz i odszedł.

* * *

– Czemu nie pójdziesz ze mną? – zapytała go Meg. Sal zawiezie ten ostatni transport na górę do Birda, a jeśli będzie chciał nam dać kolejną partię, powiemy, że nam przykro, ale warsztat już zamknięty. Wysprzątamy tu teraz i pójdziemy oddać klucze. Zamierzam kupić kilka drobiazgów w „Ward”, może zatrzymam się na kawę...

Potrząsnął głową.

– Muszę odpracować ćwiczenia na sali. – To była jedyna wymówka, jaka przyszła mu do głowy. Nie mógł zostać teraz w towarzystwie Meg, nie mógł ryzykować utraty poczucia czasu w jej towarzystwie, jeśli to właśnie przed chwilą się zdarzyło. Wyszedł. Nawet nie zdawał sobie sprawy jak głupią podał wymówkę aż do chwili kiedy w windzie zdał sobie sprawę, że zostawił Meg z ciężką skrzynką pełną narzędzi do dostarczenia do biura wynajmu.

Ale wtedy było już za późno, by wrócić i pomóc jej, a ponieważ nie miał pomysłu co ze sobą zrobić, rzeczywiście poszedł na salę ćwiczeń. Nagle wszystko przestało się wydawać pewne. W jego życiu nic nie było po kolei – martwił go czas – unosił się, zbyt przestraszony by przyznać, że działał na autopilocie i nie wiedział o tym przerażony, że w chwili kiedy zamknie się za nim właz statku, wszystko w nim zacznie się ujawniać...

Echo na radarze poruszało się. Nie było wątpliwości.

Cory klóciła się z nim: „To największa szansa, jaką kiedykolwiek będziemy mieć...”

Fragment pamięci cicho wskoczył na swoje miejsce, nagle zdał sobie sprawę z niebezpieczeństwa czającego się w tym pchaczu – ale złożył argumenty, złożył w taki sam sposób w jaki poddał się Sal. Miał w rękach cały statek, ale pozwolił wykształceniu Cory przekonać się, że to ona miała rację, kiedy całe ciało mówiło mu, że zbliżający się milczący pchacz, którego nie pokazywały mapy Kompanii, nie stosował się do zasad, które rozumiała.

Cory, znająca na wylot Korporację Marsjańską powiedziała, że ujawnią ich blef; Cały czas są w kontakcie z AP... a on zamarł. Nie potrafił jej powiedzieć, jak go to przeraża. Był zbyt przestraszony jej edukacją by powiedzieć, że to zbyt głupie...

Powiedziałaby teraz, gdyby tu była, że naprawdę to spieprzyła, nie?

A on nie potrafił, nie umiał, nie mógł przekonać jej, bo bał się że będzie mówił jak głupek...

Więc chronił swój wrażliwy punkt. A Cory zginęła.

Wpadł na kogoś. Wymamrotał przeprosiny i szedł dalej, wciąż na nowo rozgrywając tę chwilę w swoich wspomnieniach.

Byli wtedy niezniszczalni. Nic nie mogło pójść źle. Dokonała złego wyboru, ale skały były jej domeną, do niego należał statek. Kompania był krętacka jak diabli, ale

mogli ich sprawdzić. Mógł zmusić ten statek do słuchania...

Poparł złe rozwiązanie. Wiedział o tym, ale i tak to zrobił. To było coś co będzie widział w myślach, aż obraz ten na zawsze wypali mu się w matrycy pamięci.

Rozdział 16

Czekali na niego w barze nawet przekonawszy Birda – właściwie prawie siłą go wyciągnęli z *Trynidad* i namówili do pomysłu eleganckiej kolacji, w najlepszych ubraniach, z rezerwacją w „Europie” i odrobiną późniejszego włóczenia się po barach – a teraz Dekker nie przychodził. Ben się wściekał, a Sal wyglądała jak kłębek nerwów. Dekker przez cały dzień zachowywał się dziwnie, ponuro przypomniawszy sobie Meg i wydała parę groszy na telefon do sali ćwiczeń, do której powinien był pójść kilka godzin temu.

Oczywiście nie poszedł.

Cholera.

– Wiecie co – powiedział Bird, kiedy poinformowała o tym fakcie przy stole – po prostu zostawimy informację Mike’owi. On mu przekaże instrukcje, kiedy w końcu się zjawi. Znajdzie nas.

– Zostawić tego faceta wałęsającego się po pokładzie bez opieki? – jęknął Ben. – Lepiej poczekajmy jeszcze chwilę.

– To duży chłopiec – zaprotestował Bird. – Potrafi się znaleźć w Pasie, na Boga, przecież się nie zgubił. Może nie zrozumiał, że powinien być o określonej porze.

– Zrozumiał – powiedziała Meg i już miała powiedzieć, że zgadza się z Benem, że powinni jeszcze chwilę poczekać, kiedy Mike zasygnalizował z baru, że mają telefon.

Podniosła się, żeby go odebrać, ale ku jej ostremu rozczarowaniu Mike wskazał na Sal. Wsunęła się z powrotem za stół, podczas gdy Sal wstała i poszła odebrać rozmowę. Pomyślała, że to pewnie jakiś znajomy wrócił na R2 – gdyby był w dołku, Dekker mógł zadzwonić do niej, albo do Birda, ale dzwonienie do Sal raczej do niego nie pasowało.

– Pewnie siedzi w jakimś barze – skomentował Ben. Przepija swój czas do jutra. Albo odleciał na prochach. Do diabła Meg, pomyśl, gdzie jeszcze mógł pójść.

– „Pacific” – rzucił Bird.

– A więc zadzwońmy tam – powiedział Ben, dodając jeszcze coś, ale Meg niedosłyszała. Sal zakończyła połączenie i zasygnalizowała jej, żeby podeszła, wyglądając na poważnie zmartwioną.

– Wybaczcie – wymamrotała wstając i podeszła do Sal, stojącej przy telefonie. Sal powiedziała cicho, z głową pochyloną w dół:

– To był Mitch. Powiedział, żebym się z nim spotkała na zewnątrz. Natychmiast. Poczula nagły chłód. I ciekawość.

– Bardzo nietypowe. Powiedział coś więcej?

– Nie. Tylko to. – Sal wyglądała na poważnie przejętą. I wystraszoną. – Kryj

mnie przed Birdem. Nie wiem, ile to może zająć.

– Boże – jęknęła Meg. – Dobra, w porządku.

Sal skierowała się w stronę drzwi, a Meg wróciła do stołu.

– Co to było? – zapytał Ben.

– Przyjaciel ma problem.

– Dekker?

– Nie.

– Boże, to się nie staje ani trochę bardziej zorganizowane. Rozłazimy się po całym pokładzie.

– Myślę, że powinniśmy wykonać ten telefon do „Pacific”.

– Zrób to – powiedział Bird, więc wstała i ponownie podeszła do telefonu, wyciągając kartę.

– Nie – powiedzieli w „Pacific”. – Tak, znam go. Nie, nie było go tutaj.

Kolejna próba nic nie dała. Sal wyszła, Dekkera nie było, a Bird wyglądał jakby miał ochotę wyjść jako następny. Ben miał rację. Powiedziała do Mike’a:

– Jeszcze jedna kolejka.

– Sal wróci?

– Sama chciałabym wiedzieć – odparła. – *Skosh* nerwowy dzień, Mike.

Mike ze zrozumieniem potrząsnął głową.

– Wielu nie miałoby cierpliwości.

– Racja – odpowiedziała i wróciła do stołu.

– I co? – zapytał Ben.

Potrząsnęła głową.

– Boże, nie mam pojęcia czemu się w to pakujemy!

– Facet pewnie załatwia swoje sprawy – odezwał się Bird. – Tak naprawdę nie jestem zaskoczony.

– Jasne, załatwia swoje sprawy. Z tego co wiemy, to równie dobrze mogła go zatrzymać policja.

– Słuchajcie – znów Bird – wykonajmy jeszcze kilka i telefonów. Pozostało nam osiem sal gimnastycznych do sprawdzenia.

Wróciła Sal, bynajmniej nie wyglądając jakby miała dobre wieści. Podeszła do stołu i oparła się dłońmi o blat.

– Kłopoty – powiedziała bardzo cicho. – Właśnie zna – i leżli partnerkę Dekkera.

– Żywą? – zapytała Meg.

– Nie. Pasterze znaleźli ją dryfującą. Nad Studnią.

Pewne rzeczy, które się słyszało, po prostu kompletnie nie miały sensu. Głupi dzieciak ginie gdzieś bardzo daleko od rafinerii w marcu, po czym pojawia się kilkaset milionów kilometrów dalej we wrześniu, w strefie wychwytu pasterzy?

– Nie ma mowy – odezwał się Ben.

– Wiemy już – zapytała Sal – gdzie jest Dekker?

– Nie – odpowiedziała Meg i odchyliła się do tyłu, by zrobić miejsce dla Mike’a, który właśnie przyniósł drinki.!

– Na mój rachunek – powiedział Bird do Mike’a, a ten szybko zostawił ich samych.

– Co masz na myśli – wyszczał Ben – mówiąc, że dryfowała nad Studnią? Co się u diabła dzieje?;

Sal potrząsnęła głową z błyskiem i stukotem metalowych klamerek na warkoczykach.

– Nie wiedzą. Wiadomość rozchodzi się po ich sieci – zakodowana, nic o tym nie słyszałeś – do wszystkich statków pasterzy. Nawet nie wiedzą, czy Sucza Mama może złamać ich kod, strasznie się wścieka, kiedy to robią. Ale mamy tam w przestrzeni pchacza z poważną dewiacją.

– Wystrzelił ciało w stronę Studni? – zapytał Ben. Boże, ktoś zupełnie oszalał!

– Martw się tym, co jeszcze mogą zrobić – powiedziała Meg. – Jeśli ogólna wiadomość rozchodzi się po sieci pasterzy, to ten pchacz wyłapie transmisję, będzie wiedział kiedy to się zaczęło, a znając prędkość poruszania się ładunków połapie się o co chodzi, nawet jeśli nie przełamia kodu.

– Nic nie powiedzą Suczej Mamie – odezwała się Sal trzęsącym się głosem. – Jednak pytanie brzmi, jak długo pasterze utrzymają to w tajemnicy. To naprawdę kiepska chwila dla Dekkera na zgubienie się.

– Jeśli nie mają go już gliniarze – powiedział Bird. Pytanie brzmi: czy Mamuśka wie, co jest w tych przekazach? Zgarną go.

Sal wyjęła z kieszeni dwie karty i położyła je na stole.

– To od przyjaciół. Jesteśmy z nimi. Dają naprawdę wysoki poziom dostępu. Wiadomość brzmi: znajdźcie Deka. Dostarczcie go do klubu obok „Scorpio” i nie używajcie naszych kart, ani jego.

– Do cholery, jutro startujemy! – wyszeptał Ben.

– On może nie dać rady.

My wszyscy możemy nie dać rady, pomyślała Meg. Te karty leżące na stole – to co robili pasterze było bardzo nielegalne, wiele ryzykowali. Jeden dzieciak nie żył. Była spora szansa, że zginie jeszcze jeden.

Podniosła jedną z kart.

Drugą podniósł Bird.

* * *

Skrzynka na wiadomości była już całkiem zapchana, zanim William Payne dotarł do swojego biura. Był w trakcie ważnej kolacji, i gdy zadzwonił telefon wypił już trzy kieliszki wina, a teraz żałował, że nie odpuścił sobie przynajmniej tego ostatniego. Włączył światło, przysunął krzesło i podłączył się, obserwując migotanie przychodzących wiadomości z najwyższym priorytetem.

Tajemnicza notka od bezpośredniego przełożonego, Craytona: „Między statkami pasterzy przekazywana jest niewyjaśniona informacja. Przygotować się na możliwość sabotażu”.

Oświadczenie od prezesa rady nadzorczej: „Kompania utrzymuje swoją politykę dotyczącą blokowania informacji”.

Od Cooleya, z Wiadomości i Rozrywki: „Kontynuujemy nadawanie regularnego programu, oczekujemy na instrukcje”.

Od Salvatore’a z ochrony: „Alarm pierwszego stopnia. Zbiera się zespół kryzysowy”.

Payne przedzierał się przez wiadomości, czekając na wyświetlenie instrukcji od Craytona, albo na informacje od Salvatore’a. Trząśł się. Temperatura w biurze wciąż była zbyt niska. Albo to nerwy.

Negocjacje z pasterzami zawisły w martwym punkcie i nagle to się wydarzyło. Ewidentnie wykonywali ruch, a Kompania musiała zareagować – zerwać kontrakt i stracić wiarygodność.

Z agitatorami podburzającymi robotników dokowych i pracownikami rafinerii szukającymi szansy na obniżenie norm, dawali sobie radę, choć z pewnymi kłopotami. KZ nalegała na wysyłanie tutaj swoich kłopotliwych przypadków, a one bynajmniej nie znikwały. Rodziły nawet nowe kłopoty i razem stawiały żądania. Otwierały zawory w osi. Rozcinały węże i uszkadzały kadzie na plastik. A teraz pasterze dopuścili się świadomego, masowego złamania przepisów Kompanii – wprost upraszając się o jej reakcję – możliwe nawet, że sygnalizując zatrzymanie pracy, czym od dawna grozili.

Należało podjąć właściwe działania, a przychodzące informacje i wychodzące instrukcje przecinały się na jego biurku w Informacji Publicznej.

Kontynuować blokadę informacji w mediach? To mogło utrzymać spokój przez jakąś godzinę, ale równocześnie sprawiało, że głównym źródłem informacji dla robotników stawały się plotki. Lepiej zacząć sączyć informację jak tylko wyciągnie wytyczne z Craytona: utrzymać robotników przyklejonych do ekranów i z dala od otwartych przestrzeni pokładów. Niektóre biura w centralnym maszcie miały wyposażenie pozwalające odebrać te nielegalne transmisje, a plotki były szybkie jak dwu robotników odwiedzających automatyczne sklepy na ósmym pokładzie podczas przerwy na kawę. Istniały werble wojenne – a kodowana wiadomość, jak ta, mogła

uruchomić alarmy w stoczni, bazie wojskowej, nawet trafić prosto do ziemskiej strefy bezpieczeństwa.

Skończył przeglądać wiadomości i przygotował zapytanie z IP do Craytona w zarządzie. „Prośba o zezwolenie na wypuszczenie informacji, aby wygasić plotki i spekulacje”.

Przeprowadzone zostanie szczegółowe śledztwo dotyczące każdej odpowiedzialnej osoby w łańcuchu informacyjnym. Każda decyzja, która zapadnie przez następnych kilka godzin trafi pod szkło powiększające. KZ, NZ, ZM – Bóg wie jak daleko to zajdzie i ile karier przepadnie w tym kryzysie. Pasterze, niech ich szlag, sprawdzali blef Kompanii.

* * *

Nie było go w „Pacific”, „Tycho” ani w „Europie” czy „Apollo”, i w żadnej z sal ćwiczeń, z których kiedykolwiek korzystali. Rozdzielili się, rezygnując z komunikacji pomiędzy sobą – trudno telefonować, kiedy nie wie się gdzie dzwonić, zresztą nigdy nie wiadomo, kiedy Kompania podsłuchuje. Gdy ostatnio spotkała Bena, powiedziała mu, że sprawdzi na trzecim pokładzie i złapała kolejkę na trzeci, żeby sprawdzić tamtejsze sale.

– Widziałeś szczupłego, ciemnowłosego chłopaka, około dwudziestki, z fryzurą rab?

Nie, nie i nie. Złapała ją kolka, bark bolał ją od gwałtownego spotkania z narożnikiem korytarza w ciężeniu 0,8 g i kończyły się jej miejsca nie związane z policją albo szpitalem. Mogła sobie wyobrazić dziwne spojrzenia jakimi obrzucano ją za plecami i plotki, które zapewne już krążą po pokładach: „Co to ma wspólnego z ciemnowłosym rabem?” Na piekądzie kilkakrotnie usłyszała w odpowiedzi „czy mogę go zastąpić?” od mężczyzn, których pytała, ale w ostatniej sali ćwiczeń do której zajrzała, bez tchu i wyglądając poważnie – nikt już tak nie zażartował. To nie było dobrze. Prowokowało pytania policji – zwłaszcza z tymi nielegalnymi transmisjami pasterzy na zewnątrz. Wróciła w stronę stacji kolejki, zmuszając się do spokojnego spaceru, łapiąc oddech i wysilając mózg w poszukiwaniu pomysłu, gdzie jeszcze mogłaby poszukać, kiedy wpadła na pomysł, że była już na trzecim, a Dekker nie zrobił jak dotąd niczego logicznego, bo już by go znaleźli.

W tej chwili policja mogła już kontrolować przemieszczanie się ludzi poprzez sprawdzanie kart, a używanie karty pasterza było równie ryzykowne, jak jej własnej. Zdecydowała jednak, że na stacji było więcej pasterzy niż Meg Kady, a gliniarze szukający Dekkera mogli też śledzić jego przyjaciół. Zebrała się i skierowała w stronę windy rdzeniowej, używając do wejścia nie swojej karty i pojechała w górę z kilkoma

brudnymi robotnikami z doków, którzy chcieli się zaprzyjaźnić. Uparcie patrzyła w drzwi, obejmując się ramionami, spocona i przerażona, myśląc żeby tylko nie przyplątały się jakieś kłopoty... Nie chciała policji, mając przy sobie nielegalną kartę.

W górę przez pokłady z coraz niższą grawitacją, gdzie już należało się trzymać uchwytów. Robotnicy usiłowali namówić ją do wyjścia na ósmym poziomie i udania się z nimi do noclegowni. Bardzo cierpliwie powiedziała im nie, przysięgając sobie, że dopadnie ich wszystkich i pozabija, jeśli wyjdzie z tego z życiem.

Ósmy. Bogu dzięki robotnicy wysiedli. Kabina dokonała przeskoku do rdzenia i zatrzymała się. Zapaliło się światelko w czytniku kart dostępu, więc wsunęła tam kartę mając głęboką nadzieję, że celnicy nie będą zbyt skrupulatni.

Otworzyły się drzwi. Złapała linę i pojechała z nią przez otepiające zimno – bez kurtki, ewidentnie nie ubrana do rdzenia. Ale robiła tak już wcześniej, a celnicy siedzący w swoim ciepłym biurze już tuzin razy widzieli ją przechodzącą w ten sposób.

W Bogu nadzieja, że nie ustawili straży przy statkach.

Do czasu aż uwolniła się z liny przy *Trynidadzie* była już na wpół zamrożnięta. Złapała się olinowania statku; nie miała ze sobą nawet ręcznego silniczka odrzutowego. Wspięła się do włazu, uwalniając spoza szczękających zębów kłęby zamarzającej pary, otworzyła go i wsunęła się do środka.

Cholerny dureń był tam, myjąc jedną z szafek. Obrócił się wolno, by na nią spojrzeć – całkiem spokojny, jakby chciał powiedzieć „Po co ten pośpiech, Meg? Czy coś się stało?”

Schwyciła konsolę i trzymała mocno, by utrzymać się w stabilnej pozycji. Zupełnie straciła oddech i nie wiedziała co miało znaczyć to jego spojrzenie – czy stracił rozum i kompletnie odleciał, czy wręcz przeciwnie, trzymał się i testował granice swojego zdrowia psychicznego.

– Coś jakby spóźniłeś się na kolację – powiedziała. Zamrugął, jakby popchnęła go na zupełnie inną ścieżkę w umyśle.

– Boże – odpowiedział. – Przepraszam.

Czysty i niewinny. Nie była do końca pewna, czy był zdrowy psychicznie, albo czy była z nim bezpieczna tutaj, samotna w miejscu, z którego nie wydostałby się żaden dźwięk. Przez szczękające zęby powiedziała:

– Dek, musimy zjechać na dół i odnaleźć Birda – natychmiast. Coś się zmieniło.

– Coś nie w porządku?

Nie miała zamiaru mu tego wyjaśniać tutaj, sama. Złapała go za ramię.

– Po prostu mamy problem. – Dygotanie całego ciała utrudniało jej mówienie. – Chodź Dek, na miłość boską, zamarzam.

– Co się dzieje?

– Powiem ci po drodze – zrobiła mały ruch palcami, który oznaczał podsłuch. – Bird chce cię zobaczyć. Natychmiast.

Odłożył trzymaną w ręce szmatkę i wytarł palce w bluzę, wyglądając na wystraszonego.

Ale wygasił światła i ruszył za nią przez właz.

* * *

Wiadomość od Salvatore’a: „Mamy jakiś rodzaj poruszenia pomiędzy personelem wojskowym na piekładzie – żandarmeria wojskowa i oficerowie chodzą od baru do baru, po całym pokładzie. Wygląda jakby zgarniali ludzi z przepustek”.

Payne przekazał wiadomość do biura Craytona i podniósł słuchawkę.

– Z dowództwem flory.

Po chwili usłyszał głos automatu:

– Proszę podać swój priorytet.

– Tu Payne, z Biura Informacji Publicznej ASTEXU.

– Pański telefon został umieszczony w kolejce. Odpowiedź zostanie udzielona...

Połączenie zostało przerwane przez inne, o wyższym priorytecie. Przez konsolę przetoczyła się fala czerwonych światełek.

– Sir! – rzucił Salvatore do swojej słuchawki, ale kolejny poziom priorytetów przerzucił go na nagranie odtworzone z dysku. Usłyszał:

„... Tu biuro Prezesa Towneya. Odbieramy niekodowaną wiadomość ze statku pasterzy nad Studnią, cytuję: O godzinie piętnastej czterdzieści drugiego września, statek pasterzy *Athenes* podjął anomalny obiekt w strefie przechwyty. Okazało się, że są to szczątki ludzkie, zidentyfikowane na podstawie oznaczeń kombinezonu jako Corazon Salazar, górnik zarejestrowana w RI i zgłoszona jako zaginiona wcześniej tego roku, podczas wypadku do którego doszło pomiędzy pchaczem *Industry* i statkiem górniczym 1-89-Z. Nasze obliczenia wskazują na pochodzenie wspólne z innymi ładunkami wystrzelonymi przez rzeczony pchacz. Jesteśmy w posiadaniu map, które wskazują na sfałszowanie zapisów. Informujemy Kompanię o tych faktach i domagamy się niezwłocznego postawienia zarzutów świadomego spowodowania śmierci i usiłowania spowodowania śmierci oraz wystawienia nakazów aresztowania wobec oficerów pchacza...”

Spocony i z walącym sercem Payne napisał do Salvatore’a:

Wszystko o Paulu Dekkerze. Priorytet jeden.

Rozdział 17

Dekker uczepił się pytań, na które Meg najwyraźniej nie miała zamiaru odpowiadać.

– Nie wiem, jaka jest w tej chwili sytuacja – było ostatnią rzeczą jaką powiedziała, a która niosła ze sobą jakąś informację. Nalegała na zatrzymanie się na czwartym pokładzie i marsz na złamanie karku do windy, która akceptowała wyłącznie takie karty jak ta, której teraz używała i która nie należała do niej. Złotej. Jedyne karty tego rodzaju, które kiedykolwiek widział, miały poziom dostępu pasterzy.

Nigdy również nie widział tego końca piekładu, na który wypuściła ich winda. Poprowadziła go szybko do drzwi, tuż obok eleganckiej restauracji. Jedyнным znakiem wyróżniającym, był umieszczony zaraz nad zamkiem niewielki złoty emblemat pasterzy – Jowisz i szlak przechwyty.

– Co to jest? – zapytał.

Meg wsunęła kartę do czytnika i odsunęła drzwi, jak tylko usłyszeli ciche kliknięcie zamka.

Wszedł za nią do środka, na dywan którym wyłożona było podłoga. Z pewnością nie należeli do tego miejsca nie mieli żadnego prawa tu być, za wyjątkiem tej karty.

Znad blatu recepcji popatrzył na nich jakiś blondyn.

– To Dekker. Dek, to Mitch – dokonała prezentacji. Mamy jakieś informacje od reszty naszych?

– Nic – odpowiedział Mitch, zanim Dekker mógł powiedzieć cokolwiek i wskazał na pierwsze drzwi w korytarzu. – Zaczekajcie tam. Oboje.

– Mam tam przyjaciół – zaprotestowała Meg. – Szukają go.

– Coś z tym robimy Kady. Zrobimy to szybciej, jeśli się nim zajmiesz.

– Może lepiej powiedzcie mi co się dzieje – odezwał się Dekker, ale Meg złapała go za ramię i skierowała w stronę pokoju mówiąc:

– Chodź Dek.

– Do cholery...

– Ja nic nie wiem. Chodź, chociaż na chwilę... sukinsyn! Mam potąd sukinsynów...

Meg zaprowadziła go do eleganckiej, opuszczonej sali restauracyjnej i zostawiła stojącego na środku, podczas gdy sama zapaliła światło i naląła do dwu szklaneczek whisky i rum.

Podszedł i oparł się łokciami o bar, po czym zapytał ostrożnie:

– Nie będziemy jutro wylatywać, prawda?

Napiła się whisky i przesunęła rum w jego stronę.

– Napij się.

– Meg, co się stało? Co my tu robimy?

Pochyliła się nad barem obejmując dłońmi szklaneczkę.

– Naprawdę lepiej będzie, *jeune rab*, jeśli trochę się napijesz. *Znaleźli* twoją partnerkę.

O to chodziło. Ale karta pasterzy, olbrzymi pośpiech Meg, by dostać się tutaj... Stał zdezorientowany. Obeszła bar dookoła, chwyciła go za rękaw, zaciągnęła do stolika i posadziła naprzeciw siebie.

– Dek, znaleźli ją nad Studnią. Ten sukinsyn wpakował ją do wiadra i wysłał na wycieczkę wokół Jowisza. Pasterz znalazł ją na trasie przechwyty.

Meg najpierw go łagodnie przygotowała, a potem przywaliła w żołądek. Jego umysł wypełnił się czernią... Ta olbrzymia ciemna maszyna...

– Czemu u diabła... – powietrze zamarło mu w krtani.

299

Nie potrafił go wypchnąć. Sięgnął po szklanę i opróżnił ją, część rozlewając.

Kiedy stawiał szklanę, Meg sięgnęła poprzez stół do jego wolnej ręki. Drugą zaciskał na szklance aż do bólu.

– *Cher*. Śmierć istnieje. Życie to ból. A nad tym wszystkim są pewne sukinsyny. Odetchnij. Teraz nie jesteś jedynym, który wie. Nie jesteś sam. To niezależni... wolni strzelcy, pasterze, to było w nich wycelowane. Stara, bardzo stara sprawa.

– Ale co u diabła wydaje im się, że robią? – Jego głos zabrzmiał wyżej niż zamierzał, ledwie rozpoznawalny. Jaki to rodzaj gry? Jak mogli pomyśleć, że się z tego wywiną?

– To są szaleńcy. Wystrzelali nas pod drzwiami Kompanii. Pełno tam było kamer różnych stacji, oglądał to cały świat. Powiedz mi *jeune rab*, jak się z tego wywinęli? – napij się rumu. Wiadomość rozchodzi się przez sieć pasterzy. Już pewnie o tym usłyszeli na Sol. Kompania nie będzie chciała, żebyś mówił, rozumiesz – bardzo nie będzie chciała, żebyś rozmawiał z kimkolwiek. To właśnie się dzieje. Ale jeśli Sucza Mama będzie naciskać, pasterze ją odstrzelą. Niech jej szczury, te nowiutkie załogi, kierują statkami. Niech kierownictwo firmy samo polata nad Studnią.

– Chcę tego człowieka, Meg.

– Najbliżej jak się da. Dostaniesz facetów, którzy wystrzelili. Ktoś straci pracę. To najlepsze co można zrobić z tymi sukinsynami.

* * *

Ostatni raport z biura Salvatore’a twierdził, że widziano go w rdzeniu. Wciąż go szukali, a Payne mając na karku biuro Towneya, żądające danych Dekkera, przeglądał

plik za plikiem danych zgromadzonych przez Salvatore'a w śledztwie.

Rekordowy wynik przy recertyfikacji. Zgoda na wylot, razem z dwoma górnikiem, którzy go tu przywieźli, plus Kady i Aboujib, obie kobiety...

Oba statki miały wylecieć osiemnastego. Właściciel noclegowni przysięgał, że nie ma pojęcia gdzie jest Dekker, który ewidentnie nie pojawił się na umówionej kolacji; jego partnerzy wydzwaniali wszędzie, by go znaleźć. Dekker mógł przyjść i wyjść, właściciel nie miał pojęcia, oglądał telewizję. Wszyscy w barze ją oglądali.

Aboujib i Pollard pochodzili od pasterzy. Kady była pilotem promów oskarżonym o nielegalne interesy, a Bird był podejrzanym w sprawie Nouriego, bliskim przyjacielem Pratta i Marks...

Plik powędrował na biurko Towneya.

Czuł mroźny dotyk, niczym pajak wspinający mu się wzdłuż kręgosłupa.

Nikt nie powiedział mu, że Dekker był czymkolwiek więcej niż w najgorszym przypadku podbieraczem, który dał się złapać i odskoczył. Nikt go nie uprzedził, że kapitan pchacza wykona taki gest w stronę pasterzy. Wywołał dane *Industry*. Pojawiły się w drugim oknie.

Żadnych danych o asteroidzie 98879 sprzed wypadku. *Przekaz z Industry* przypisywał odkrycie Kompanii. Siódmego marca.

Boże.

* * *

Dekker po prostu spanikował przed startem – takie był zdanie Bena na ten temat. Przeszukali restauracje, sale gier i jeszcze raz bary na wypadek, gdyby przechodził z jednej knajpy do drugiej, ale na pokładzie coraz więcej było widać policji i wojska.

„Do diabła z tym facetem!” pomyślał Ben, próbując wyglądać niewinnie gdy mijała go grupa żandarmerii wojskowej. Wewnątrz baru telewizor mówił właśnie coś na temat „ćwiczeń wojskowych” i „sprawdzania procedur bezpieczeństwa...”

Jakaś ręka gwałtownie wylądowała na jego ramieniu, wywołując niemal atak serca. Obrócił się szybko, by stanąć oko w oko z Birdem.

– Nigdy tak nie rób!

– Teraz mamy problem. Cała „Hole” jest po dach zapchana glinami.

Nagle zrobiło mu się zimno. Pomacał się po kieszeni.

– Wszystko w porządku, mam kartę ze sobą.

– W porządku – powtórzył Bird. – Nie masz zielonego pojęcia, co znaczy w porządku. Widziałeś Sal lub Meg?

– Ostatni raz jakąś godzinę temu.

Włączyły się głośniki na korytarzach.

„Zmiany zostaną przesunięte o godzinę. Odbywają się właśnie ćwiczenia obrony cywilnej. Jeżeli masz wyznaczoną funkcję w OC w ramach trzeciej zmiany, natychmiast udaj się na stanowisko. Jeżeli nie masz przydzielonego zadania, proszę natychmiast opuścić pokład, powtarzam, cały personel nie pozostający na służbie powinien opuścić pokład i udać się do swoich kwater”.

– Do diabła – wymamrotał Bird. – Już to kiedyś przeżyłem.

– Co oni robią?

– Gliny – odpowiedział Bird. – Stan wojenny. Całe to gówno, żeby znaleźć jednego dzieciaka. Zamierzają go zamknąć, albo zastrzelić – to znowu Nouri. – Ręka Birda zacisnęła się na jego ramieniu. – A my siedzimy w tym po uszy, rozumiesz?

Rozumiał. Widział kompanijnych gliniarzy przeciskających się przez tłum, widział też niebieskie mundury ŻW, z długą bronią.

– Tym razem – powiedział Bird – powiemy wszystko ludziom. Znajdziemy przyjaciół, rozpuścimy wieści, niech je roznoszą dalej.

– Po co nadstawiać karki? Mamy dość kłopotów.

– To właśnie powiedzieliśmy poprzednim razem.

– Bird – oni mają karabiny!

– Ben, przyjacielu, znasz takie słówko „ekspres”? Pratt i Marks byli niewinni, nie ma mowy, żeby te dzieciaki były związane z Nourim. Dobrze, choć niezbyt bystre dzieciaki. Ale nikt nie był pewien. Ty rób co chcesz.

– Gdzie idziesz?

– Szepnę kilka słów do różnych uszu. Tej sprawy Kompania nie wyciszy. Tym razem znamy liczby. I daty.

Jego myśli rozprysły się w panice – jutrzejszy start... ale do tego nie dojdzie. Chęć zabicia Dekkera za wmieszanie ich w to wszystko... Ale Dekker był najprawdopodobniej pierwszym do aresztu.

Chwycił Birda za kurtkę i pociągnął go z powrotem.

– Bird...

– Wiem, że Pratt i Marks zostali wrobieni. Miałem na to dowody, rozumiesz? Ale dla niektórych mogło mnie to powiązać z Nourim. Wszyscy się bali. Każdy chronił własny tyłek. I wszyscy przegrali. Ale nie tym razem.

– Bird, na miłość boską...

Ben pomacał płaski kształt w wewnętrznej kieszeni, desperacko próbując wymyślić, który z jego szkolnych kolegów mógł to naprawić – ale nie było nikogo takiego. Ani jednej duszy która, jak to powiedział Bird, nie chroniłaby własnego tyłka.

– Daj mi to.

– Co chcesz zrobić?

– Wrzucę je do biuletynu informacyjnego. I powiem wszystko ludziom.

– Cholera!

Bird nachylił się blisko z ręką na jego ramieniu.

– Znajdź sobie norę, słyszysz? Zejdź na dół, do klubu. Nie wiem, czy przyjaciele Sal cię tam wpuszczą, ale do diabła, też masz tam jakieś powiązania. Użyj ich. To jedyna dziura, w której możesz się zmieścić.

Bird próbujący zrobić coś nielegalnego – zupełnie nie znał się na systemach zabezpieczeń systemu komputerowego, nie zdawał sobie sprawy na co się porywa. Cholera, te mapy były podstawą ich zarobku...

Były również jedynym istniejącym dowodem na to, gdzie byli i co zrobili, a jeśli Kompania ich aresztuje i wymaże je...

– Niech cię piekło – powiedział. – Masz tę kartę pasterzy. Ta rzecz daje dostęp pierwszej kategorii.

– Co z tym zrobić? Ben, do diabła, ta rzecz jest pewnie bardziej niebezpieczna...

– Zostaw sprawy związane z komputerami mnie i trzymaj się od tego z daleka, Bird. Gówno wiesz o przełamaniu blokad. Mogę to umieścić w biuletynie, do diabła, mogę to nawet wepchnąć do głównego systemu, Bird, znam odpowiednie kody.

– Gdzie się tego, kurwa, nauczyłeś?

– Po prostu daj mi tę pieprzoną kartę i powiedz im, że plik nazywa się Dekker.

* * *

– Pan Crayton jest na naradzie – powiedziała sekretarka, ale Payne w desperacji i tak wysłał notatkę. – Proszę mu to dać. Od pół godziny czekam na decyzję o wytycznych!

– To właśnie jak sądzę, jest tematem na...

Ze złością rzucił słuchawkę i popatrzył na zablokowaną informację wyświetloną na ekranie. Po czym bez zatwierdzenia wysłał ją do Wiadomości i Rozrywki celem upowszechnienia.

„Treść kodowanej transmisji pasterzy została ujawniona jako informacja do administracji stowarzyszenia, dotycząca odkrycia szczątków ludzkich w strefie przechwyty. Źródła Kompanii wstępnie zidentyfikowały ciało jako należące najprawdopodobniej do Corazon Salazar, która zginęła wcześniej tego roku w wypadku w pobliżu granicy stref R1 i R2. Pani Salazar, córka Alyce Salazar, członkini Rady Zarządu Korporacji Marsjańskiej i ważnego członka Doradczej Rady Obrony, była od dwóch lat mieszkańcem R1. Zginęła najwyraźniej od uderzenia, przebywając w przestrzeni, kiedy eksplozja zbiornika pozbawiła jej statek

sterowności. Statek poruszał się następnie z dużą prędkością w strefie R2, pozbawiony kontroli. Dr Ronald Michaelis z instytutu przedstawił teorię, że ciało dryfując przez linię strzału pchacza *Industry* zostało uderzone przez ładunek i podróżowało razem z nim z szybkością wystarczającą na dotarcie do strefy przechwyty.

Odkrycie pasterzy dodaje kolejny rozdział do i tak tragicznej historii statku górniczego *Way Out*. Partner, któremu udało się przeżyć, Paul Dekker, został uratowany przez statek z R2 wysłany na ratunek. Pan Dekker, przeżywszy w izolacji, zimnie i z uszkodzonymi systemami podtrzymania życia zdumiewająco długo, bo siedemdziesiąt jeden dni, został zwolniony ze szpitala im. Jamesa R. Reynoldsa po intensywnym leczeniu fizycznego i psychicznego szoku. Rzecznik szpitala wyraził zaniepokojenie, że pan Dekker nie zgłosił się na pilne próby powiadomienia go przed udostępnieniem wiadomości do informacji publicznej. Miejsce pobytu pana Dekkera na R2 wciąż nie jest znane. Doktor Emil Visconti, jego lekarz, udzielił zgody na poinformowanie publiczne w obawie, że informacja ta dotrze do niego z innych źródeł zgłaszając prośbę do pana Dekkera, albo dowolnej osoby znającej jego miejsce pobytu o poinformowanie ochrony lub biura informacji szpitala. Pan Dekker wciąż podlega leczeniu i może cierpieć na zaburzenia orientacji oraz zaburzenia umysłowe w związku ze stresem wywołanym tą tragiczną wiadomością i może stracić nad sobą kontrolę. Rzecznik administracji ASTEXU zapewnia pana Dekkera, że został oczyszczony z wszelkiej winy za ten katastrofalny wypadek wywołany awarią sprzętu i nalega, by pan Dekker zgłosił się jak najszybciej do szpitala...”

Niech go szlag. Niech szlag trafi Craytona – zrzucić na niego taką sprawę, nie sugerując nawet w najmniejszym stopniu, że kryła w sobie jakieś problemy.

Teraz Crayton nie mógł nawet wypuścić informacji prasowej. Musiał podłożyć pod topór własny kark, spróbować chociaż zachować twarz – wiedząc, że niezależnie od tego czy wygrają czy nie, Kompania chciałaby całą sprawę utrzymać w tajemnicy. Przeszło. Nie ma. Razem z każdym, kto w jakiś sposób uległ skażeniu nią.

Komputer odebrał wiadomość. Otworło się kolejne okno z wiadomością od Salvatore’a.

„Jakiś pasterz wszedł do rdzenia i wyszedł, między dwudziestą czterdzieści jeden i dwudziestą pierwszą zero osiem. Celnicy go nie widzieli, byli w biurze słuchając tych nielegalnych transmisji. Karta należała do technika o nazwisku Nate Chaney, który aktualnie nie odbiera telefonów”.

* * *

Nie ma mowy, żeby mógł się dostać do wypożyczonego komputera trzymanego

w „Hole”, ale na dobrą sprawę wystarczy dowolny telefon z klawiaturą, a elegancki bar Io miał takie urządzenie. Panował tam taki hałas, że nie dałoby się usłyszeć nawet eksplozji rdzenia. Neony zabarwiały napoje na czerwono i zielono. Tłoczno tam było od niskich rangą urzędników, ale Ben miał na sobie swoje najlepsze ubranie na piekąd, a ką z telefonem był dosyć ciemny. Najpierw wsadził kartę pasterza, po czym przyszła kolej na całą sekwencję:

* * *

Bootfile: PROCESS. Invoke: CALL13; README5; ADD2; ADD1; ADD3.

Boot memory resident file: PROCESS 1. Enter.

Studenckie kawały. Okno danych pokazało kropki jądro zbierające swoje elementy i podprogramy.

W oknie danych pojawił się napis: *CALLME: INS TXT INPUT: \$/CHART> CUR;CHART. 14;CHART. 15*

OUTPUT: DEKKER W okienku pojawiło się: *ENTER SYSACC* Ręce zadrżały mu nad klawiaturą. Nie myślał o policji czy urzędniku czekającym za nim na dostęp do telefonu, tylko o danych. Błyskawicznie wklepał:

**2;20;W489\209:INSTAL:C \\$/\\$y;*BOOT3;*3./\${rs/ #}p*280:[TAG/*l]*

* * *

Zamienił karty – wsunął w czytnik tę pasterza, zanim skończyła się przerwa.

Rachunek za połączenie pójdzie na kartę pasterza. Wyzwalacz „Run” czekał na pierwsze użycie telefonu po nim. Brzydki trik wobec człowieka czekającego za nim. Ale dzięki temu zdąży wyjść z baru.

Wypił piwo, wcisnął przycisk opłaty, wyciągnął kartę i zamienił ją na swoją, o kolorze właściwym dla górnika, na wypadek gdyby gość za nim zauważył coś w tym świetle.

– Dzięki – zawołał przekrzykując grzmot muzyki, zostawił swoją szklanę na barze i wyszedł.

Dopiero wtedy dopadły go dreszcze – ale do cholery, zrobił to, puścił całą sprawę – jego własna, finezyjna wariacja na temat starego triku z instytutu – z bazą danych oznaczeń, kodami do komputera i poziomem dostępu pasterza. Pytanie tylko, czy był do przodu wobec aktualnych programów antywirusowych – i czy będzie w stanie wyciągnąć stąd Birda, o ile w ogóle znajdzie go, zanim zrobią to gliny.

A tych było na zewnątrz dużo, oczyszczających pokład. To była stara gra, gliniarze mówili ruszać się, do domu, odpowiadało się im tak jest, i szło gdzieś, gdzie

wcale się nie mieszkano – piekład grał w tę grę, policja ją знаła – ale nie naciskali zbyt mocno, znając reakcje tłumu na piekładzie. Chcieli, żeby czuło się ich obecność. Gdyby zablokowali ruch, mogliby zamknąć wielu ludzi poza ich miejscami zamieszkania, a to wywołałoby gniewne reakcje – wcale nie o to im chodziło, przekonywał siebie Ben. Ale na wypadek gdyby szukali właśnie jego, starał się patrzeć pod nogi i trzymać za plecami wyższych od siebie, dryfując w tę stronę, w którą się kierowali.

Nie wiedział, w co zamierza się wpakować Bird. Pomyślał, że powinien ściągnąć go w jakieś bezpieczne miejsce, a jeśli ich aresztują, podejść do tego spokojnie i poczekać aż wyższe szarże rozwiążą sprawę.

Nie ma mowy, żeby ich teraz uwalili – zbyt wielu ludzi znało już prawdę, zbyt wielu ludzi na pokładzie korporacji będzie chroniło swoje tyłki, a żeby to zrobić, będą też musieli chronić ich i urąbać tego sukinsyna, kapitana pchacza – każdy urzędnik mógł do tego dojść: to tamci teraz powinni się martwić.

Może nawet mogliby przekonać ich, żeby zabrali jego i Bena na poziom korporacji, pod ochronę...

Sprawiedliwość, do diabła, Bird – znaczenie mają tylko nazwiska, które się zna. I kim oni są, oraz co możesz z nimi zrobić w sądzie.

Wyczyszczenie tej karty, to wszystko...

Wrzucił ją do kosza na śmieci.

* * *

– Przerobili dzieciaka na cacy – powiedział Bird nachylając się w stronę Abe’a Persky’ego, szepcząc przez muzykę grającą w Europie. – Ale to, co zrobili z dziewczyną, to już nie było na rozkaz Kompanii. To rozgrywki między pchaczem i pasterzami, i tym razem dużo ostrzejsze zagranie, niż walka o to, by jakiś ładunek nie trafił w strefę. Pasterze to rozpowszechniają, już rozkodowane – usłyszą to nawet na Ziemi. I stąd ten cały alarm.

– Kurwa – skomentował Persky, potrząsając głową.

– Słuchaj. Wrzuciłem moje mapy do biuletynu piekładowego – możesz je sprawdzić, zanim je skasują. Plik nazywa się Dekker. D-e-k-k-e-r.

Poklepał Perskiego po ramieniu.

– Przekaż to wszystkim których znasz.

– Dobra – powiedział Persky i sięgnął po swoją kartę danych. Gdy wychodził, poklepał go po plecach.

– Uważaj na siebie, Bird.

Następnym był stół Collinsa. Collins pracował teraz jako pilot dla Kompanii, ale

nie lubił tego. Przychodził na piekąd utrzymywać stare znajomości. Siedział z Robleyem, który pracował teraz w fabryce, od kiedy stracił nerki.

Usiadł z nimi, widząc kątem oka jak Persky płaci rachunek i wychodzi.

Tylko jeden lub dwu na raz. Ale telegraf piekądowy był jak błyskawica.

* * *

Kolejny telefon z biura Payne'a.

– Tak – odpowiedział Salvatore. – Próbujemy, sir, pomyśleliśmy o tym, sir, tego też próbujemy...

Payne odpowiedział:

– Proszę mi nie mówić, że próbujecie. Chcę dostać wszystkie zapisy, kompletną kartotekę tego człowieka. Ich wszystkich. Niech mi pan nie daje kolejnego martwego dzieciaka z krewnymi w Korporacji Marsjańskiej, do cholery. Administracja ma dość niespodzianek w tej sprawie! Chcę wiedzieć kim jest ten Dekker i czy ma kartotekę. Nie dbam o to czy jest przestępcą, chcę pełny profil! Słyszysz mnie pan? Wszystko, nie tylko wycinek z ostatnich dziesięciu lat, chcę danych od czasu jego narodzin, i chcę ich na wczoraj!

Payne się rozłączył. Na ekranie pojawiła się nowa wiadomość: „Robotnicy w Tekstyliach na 2B domagają się wypuszczenia. Były jakieś nieznaczne zamieszki, kierownik jest wystraszony i domaga się wsparcia”.

Kolejna z biura Craytona: „Dowództwo floty ściąga personel z przepustek i wysyła uzbrojoną ochronę do doków promowych oraz kluczowych instalacji stacji. Musimy jak najszybciej skoordynować działania...”

Boże, pomyślał Salvatore, a po chwili nadszedł raport od Willsa:

„Morris Bird miał zarezerwowany stolik na kolację dla pięciu osób w „Europie”. Nie zjawili się”.

Pragnął inhalatora. Już mu nie zależało.

– Zadzwoń do mojej żony – wywołał swoją sekretarkę. – Powiedz jej, żeby sprawdziła gdzie jest nasza córka. Niech dopilnuje, żeby została w domu.

Napił się zimnej już kawy, zastanawiając się, kogo mógłby poświęcić do nawiązania kontaktów z ŻW.

Nowe wiadomości wpychały się na ekran. „Ktoś ma bóle w piersi w Tekstyliach 2B. Wezwano sanitariuszy...”

Znów Wills: „Brown znalazł na cle świadka, który sądzi, że w okolicach dwudziestej czterdzieści w rdzeniu pojawiła się Meg Cady. Nie jest tego pewien, mówi że przez ostatnich kilka dni wszyscy oni przechodzili tam bardzo często, przenosząc części do i ze statku – mieli na to pozwolenie, statek w remoncie. Mamy

potwierdzenie, że Dekker wszedł o siedemnastej dwadzieścia trzy. Nie ma wyjścia. Cady nie używała swojej karty od osiemnastej czterdzieści sześć, dzwoniła z „Black Hole” do „Pacific”. Właściciel twierdzi, że wyszła około dziewiętnastej. Nie jest pewien.

Dwoje ludzi przechodzących przez bramkę bezpieczeństwa na cudzej karcie. Zdarza się to raz czy dwa w tygodniu, zazwyczaj na przydziałach. Maszt osi to piekielne miejsce na poszukiwania, nawet w optymalnych warunkach.

„Tekstylika zgłaszają otwarty bunt. Kierownik domaga się dodatkowej ochrony i lekarza...”

Wiadomość priorytetowa wygasła poprzednią: „Ostrzeżenie wirusowe: poziom techniczny wyłączony.

Wirus rozprawia nieautoryzowany plik przez sieć Administracji Pasa. W pliku znajdują się zakazane mapy sektorów. Wirus stanowi odmianę COPYIT. Do działu przestępstw komputerowych wysłano żądanie wyśledzenia i usunięcia rozprzestrzeniania się pliku przez system AP.

* * *

„...oczyszczony z wszelkiej winy za ten katastrofalny wypadek wywołany awarią sprzętu i nalega, by pan Dekker zgłosił się jak najszybciej do szpitala...”

Bird zerknął przez ramię na ekran, potrząsnął głową i popatrzył na Toma Egeła.

– Jesteś dobrym człowiekiem od liczb. Wierzysz w tę wersję?

– Nie – odpowiedział Egel. – W zębowe wróżki też nie. Dopchnięta nad Studnię przez ładunek. Chciałbym to zobaczyć od strony matematycznej.

– Na wydziale biznesu i administracji nie uczą fizyki.

– Matematyki też nie, prawda? – wtrącił się jakiś pilot statku pomocniczego z piwem w ręku. – O czym opowiadasz?

– Chcą Dekkera z powrotem wsadzić do szpitala. Pracowali nad nim z prochami. Ale i tak zapamiętał liczby. Tego nie dadzą rady ukryć: 79, 709, 12. Jest tam cholernie wielka skała. O to tu chodzi. Ten pchacz najechał na nich, kiedy ją oznaczali. Teraz pchacz siedzi tam i kroi tę skałę na ładunki. Chętnie porównałbym ich skład z próbką, którą Dekker miał ze sobą.

– Czy da się to zrobić?

– Mam tę próbkę. Jest zarejestrowana w oznaczeniach.

– To jest Morrie Bird – przedstawił go Egel. – Facet, który przywiózł tu Dekkera.

– Bez kitu! Słyszałem o tobie. To naprawdę ty, ten staruszek?

Będąc sławnym można było dostać drinki. Ale mogło to również spowodować na ciebie aresztowanie. Pociągnął kilka łyków piwa, na kupienie którego nalegał ten

facet, po czym odstawił je i powiedział:

– Jeśli jesteś ciekaw szlagierowej wiadomości, sprawdź w biuletynie plik o nazwie Dekker. Z dwoma k.

– Dekker – powtórzył pilot.

W przytępieniu słuch Birda wcisnął się głos Egela:

– Powiem ci, o co im chodzi, przyjacielu. Nie chcieli wypłacić tego kamienia wolnemu strzelcowi. Już niedługo nie wypłaciliby go nawet kompanijnemu górnikowi. Albo pomocniczym. W chwili kiedy znikną wolni strzelcy, znikną też wszystkie bonusy, jakie ktokolwiek dostaje od Kompanii. Jeśli nie będą musieli konkurować z niezależnymi, jak my...

– Nie mogą tego zrobić – wtrącił się ktoś inny.

Czas by wyjść, pomyślał Bird. Zaczyna się tu robić gorąco. Odstawił swoją szklankę i ostrożnie wycofał się z tłumu, rozglądając się za drogą wyjścia i zobaczył policję wchodzącą do baru.

Gliniarze wcisnęli się w środek tłumu, krzycząc coś o rozkazie zamknięcia lokalu i pozostaniu na miejscu wyłącznie mieszkańców, on dotarł do wyjścia trzymając się cieni.

Był na zewnątrz, na otwartej przestrzeni. Ale policja robiła się coraz bardziej aktywna.

* * *

– Gdzie oni są? – zapytała Meg jedyną osobę, jaką mogła tu znaleźć – nie Mitcha, tylko jakiegoś bladego faceta za biurkiem, przy telefonie, choć nikt tu nie dzwonił. Nic tu nie dochodziło, na ile mogła stwierdzić, nawet telewizja, choć nie wiadomo na co by się przydała.

– Jak dotąd żadnych wiadomości – odpowiedział pasterz, facet około trzydziestki, z długim nosem, zajęty swoim komunikatorem ze słuchawką wsadzoną do ucha. Najwyraźniej nie podobała mu się prawdziwa rąbka chodząca po jego czystym, klubowym dywanie. Skupił się na chwilę, uniósł wypielegnowaną dłoń i powiedział:

– Pani Kady, proszę trochę ostrożniej z tą whisky. Odwróciła się, odeszła kilka kroków i zawróciła, kładąc dłonie na biurku.

– Radzę sobie z whisky. Gdzie jest Mitch? Gdzie moja partnerka?

– Mamy inne problemy.

– Co?

Machnął ręką krzywiąc się. Słuchał czegoś innego, przestał.

– Słuchaj. Cholernie nie podoba mi się, że sprawiam wam kłopot, ale mam tu poważnie wkurzonego gościa, który jest cholernie zmęczony unikami. Ja też. Może

wreszcie powiedziałbyś mi, co tu się dzieje?

– Wielka ilość policji, to się dzieje. Wciąż nie puszczają drugiej zmiany.

– Cholera.

– Nie bądź głupia, Kady. Te drzwi są zamknięte.

– Więc je otwórz!

– Kady, do diabła, wracaj do baru i zabierz ze sobą tego dzieciaka.

– Meg?

Obróciła się i zobaczyła Dekkera stojącego w foyer.

– Dek, bądź cierpliwy, usiłuję wyciągnąć odpowiedzi.

– Nie ma żadnych odpowiedzi, Kady, po prostu pilnuj, żeby się chłopak nie nudził.

Poczuła falę wściekłości. Trzasnęła obiema rękami w blat.

– Słuchaj sukinsynu – gdzie do cholery jest moja partnerka?

– Nie wiem gdzie ona jest. Gdyby słuchała rozkazów, już by tu była.

– Ona nie wie, że go znalazłam! Nie ma jej w waszej sieci!

– W tej chwili nie wiem gdzie jest wielu ludzi, Kady mamy dużo więcej problemów niż odnalezienie twojej załogi... – Pasterz docisnął swoją słuchawkę, machając ręką by nic nie mówiła.

– Co?

– Uruchamiają silniki statku wojennego w stoczni. Chcą, żebyśmy się stąd wynieśli.

– Kto chce?

– *Hamilton*. W maszcie jest prom. Ale nie mamy z nim kontaktu. *Hamilton* mówi, że nie może go ściągnąć. To na ewentualność, gdybyśmy musieli tu jeszcze siedzieć.

– Cholera! To wszystko idzie w diabły!

– Kady, zamknij się!

* * *

Wiadomość z Przepiętstw Komputerowych: „Nakazujemy natychmiastowe zamknięcie systemu bankowego. Wirus dotarł do biuletynów informacyjnych drugiego pokładu, rozprzestrzenia się na zainfekowanych kartach z każdym użyciem...”

Człowiek w Tekstyliach 2B umarł. Był przypadek złamania nogi po upadku z rusztowania, uszkodzone urządzenia, kobieta zaczęła rodzić – Salvatore miał podgląd z Optexu, wyglądało to paskudnie. Zablokowali telefony na drugim, ale cholerne mapy rozmnożyły się z biuletynów informacyjnych do systemu rozliczeniowego, rozprzestrzeniły się do każdej placówki handlowej na R2 i nie byli

pewni, czy nie ulokowały się w bazie danych banku.

Splukał środek na zgałę przez popicie go zimną kawą i spróbował ułagodzić Payne'a. Ten powiedział, że musi iść na spotkanie, a biurem będzie się zajmował jego pomocnik LeBrun.

Cholernie dobrze, że mieli spotkanie. Naprawdę byłoby lepiej, żeby szybko jakies zrobili. I szybciej podejmowali decyzje polityczne. Ręce Salvatore'a trzęsły się niemiłosiernie, ale nie wiedział komu mógłby zaufać w stopniu pozwalającym poradzić sobie z awaryjnymi decyzjami na tyle długo, by mógł dojść do łazienki i z powrotem.

– Sir – odezwał się interkom – porucznik Porey do pana.

Nie miał na swojej liście żadnego porucznika Poreya. Zaczął protestować, że nie zamierza nikogo przyjmować, ale bez dalszego ostrzeżenia otworzyły się drzwi i do środka wszedł oficer floty ze swoim pomocnikiem.

– Panie Salvatore – powiedział. Afrykańskie rysy i akcent, którego nie potrafił rozpoznać. Postawa zarozumiałego, międzygwiazdowego próżniowca, mógłby postawić na to pieniądze, oczekującego, że stacje będą się dopasowywać do jego harmonogramu.

Wstał. Pojawił się jeszcze jeden pomocnik, odsunął jego sekretarkę i zamknął drzwi.

– Panie Porey – wyciągnął trzęsącą się rękę do rzeczowego, niedbałego uścisku, myśląc przy tym: „Porozmawiamy sobie o tym z Craytonem. Niech mnie diabli jeśli nie”.

– Panie Salvatore, mamy rozwijającą się groźną sytuację na drugim pokładzie. Krążą plotki, a jakiś dupek w pańskim biurze łączy Dowództwo Floty z IP...

Boże, wkurzone bydło z floty.

– Taka jest struktura dowodzenia.

– Nie w naszych operacjach. Chcę kartotekę tego Dekkera i kartoteki całego dowództwa pasterzy.

– Obawiam się, że to wszystko podlega naszej jurysdykcji, panie Porey. Będzie pan musiał uzyskać zgodę administracji na dostęp do tych danych. Mogę połączyć pana z Craytonem, w administracji...

Porey sięgnął do wewnętrznej kieszeni kurtki, wyciągnął stamtąd kartę i rzucił ją na biurko.

– Niech pan wsadzi tę autoryzację do czytnika.

Salvatore podniósł ją, czując przebłysk zrozumienia, iż wpadli oto w głębokie kłopoty na poziomie KZ i wsunął kartę do czytnika.

„Rozkaz kierownictwa Kompanii Ziemskiej, biuro prezesa, Stacja Sol, Ziemska Strefa Administracyjna.

Do wszystkich oficerów oraz agentów Ochrony i Komunikacji obszaru administracyjnego ASTEXU.

Na podstawie uprawnień Rady Wykonawczej i jednomyślnego głosowania dyrektorów, ogłasza się zaistnienie sytuacji krytycznej w działalności ASTEXU, co stawia w zagrożeniu priorytetowe kontrakty wojskowe. Niniejszym nakazujemy wszystkim pracownikom i agencjom Ochrony i Komunikacji ASTEXU przekazanie wszelkich zagrożonych aktywów i operacji pod władzę Korporacji Eko, w oparciu o kartę ASTEX, punkt 28 zamieszczony jako załącznik i poddanie się rozkazom kierownictwa Korporacji Eko... Niniejszym nakazuję policji Kompanii ASTEX i pracownikom służb systemów podtrzymania życia poddać się bezpośrednio pod rozkazy Służby Bezpieczeństwa ZRO celem zapewnienia ochrony danych i personelu podczas transferu kompetencji”.

Salvatore usiadł i przeczytał to jeszcze raz.

– Efektywnie – powiedział Porey – pańskie wypłaty idą teraz bezpośrednio z KZ. Jest pan oficerem służb utrzymania porządku w strategicznie ważnej operacji, poddany zasadom i przepisom ZRO, NZ i KZ. Nakazuję panu przekazanie tych akt.

– Nie mógł pan dostać rozkazu z KZ – nie było dość czasu na odpowiedź.

– Słusznie, panie Salvatore. Potrafi pan myśleć w sytuacji krytycznej. Były mechanizmy wyzwalające. Ten dokument leżał na biurku mojego dowódcy od kilku dni. Ale pomyślałbym dwa razy przed zniszczeniem jakichś plików albo poinformowaniem pańskich byłych przełożonych o zmianie lojalności. Ma pan przed sobą długą karierę w KZ, jeśli użyje pan głowy. Nie mogę tego powiedzieć o wszystkich pańskich szefach. – Na biurko opadła druga karta. – To powinno wejść przez terminal ochrony. Samo zadba o kody dostępu. Czy ufa pan swojej sekretarce?

– Ja... – dostrzegł broń. Automaty z eksplodującymi pociskami. To nie sprzęt do tłumienia zamieszek. I już nie ASTEX. – Myślę, że lepiej będzie, jeśli jej to wytłumaczę – powiedział i pomyślał o swojej żonie i córce. Podniósł z biurka kartę, włożył do komputera i wcisnął Enter.

Ekran wyświetlił tryb dostępu i pokazał szereg kropek. Porey skrzyżował ramiona na piersi i przyglądał się temu przez chwilę.

– Akta *Industry*. Wyczyścić je, jako jedne z pierwszych.

– Wyczyścić? Skasować?

– To już bez znaczenia. Personel został już przeniesiony. Pewne pytania nie zostaną zadane poza ścianami tego gabinetu. To oficjalne stanowisko, panie Salvatore. Pańska kariera może się rozwinąć lub upaść właśnie w tym momencie. Proszę zachować wielką rozwagę. Panie Paget.

– Sir!

– Znaleźć Paula Dekkera i odeskortować do doku.

* * *

– A więc jaki jest nowy plan? – zapytała Meg, swoim zdaniem z dużą rezerwą, stojąc pomiędzy temperamentem Dekkera a nadętym pasterzem z regulaminem zamiast mózgu, który upierał się przy próbach kontaktu z promem, który prawdopodobnie był...

– Wciąż nie mogą się przebić do Mitcha – powiedział pasterz. – Prawdopodobnie nas zagłuszają.

– A czego się spodziewałeś? To już nie tylko Kompania, to wojsko. Na miłość boską, nie da się ukryć na stacji.

– Nie da się również ukryć statku, Kady. Nie jestem pewien jak długo mój statek zdoła utrzymać pozycję.

– Więc wynośmy się do doku. Na miłość boską, zagraj to ze słuchu.

– To nie jest gra, kobieto, nie wiemy, czy windy działają...

– Siedź na tyłku trochę dłużej, a nie wiadomo co jeszcze nie będzie działać, kiedy tego będziemy potrzebować.

– Jestem jedynym kontaktem, jaki moi ludzie mają na tej stacji. Mam swoje rozkazy – Mitch jest...

– Mitch nie odpowiada, nie kontaktujesz się z nikim na zewnątrz, telefony są wyłączone, a na całym pokładzie jest pełno wojska. Na Boga, wynośmy się stąd na górę, do doków, jeśli mamy taką możliwość.

– Nic nam nie da dostanie się do promu. Nasz pilot jest gdzieś tam, na piekładzie.

– Naprawdę cię to martwi? Masz szczęście, *mister*. Dookoła sami piloci.

– Klasa C, Kady. To nie jest pojazd górniczy...

– Z Ziemi na orbitę, ze statku na stację, BI, cokolwiek co może przycumować do tego cholerstwa. Po prostu dostaniemy się tam.

– Kady, na zewnątrz jest policja. Uzbrojona policja zaraz przed drzwiami. Masz jakiś sposób na przejście przez nich?

Dobre pytanie.

* * *

Cały oddział żołnierzy przeszedł obok spiesząc się gdzieś. Ben nagle zainteresował się oknem baru, przyglądając się tłumowi wychodzących klientów. Zamykali bary, do cholery. A w każdym razie drzwi do nich.

Najwyższy czas gdzieś się dostać. Bóg jeden wiedział, gdzie jest Bird. Do tej pory mógł już wrócić do „Hole”. Albo zostać aresztowany.

Poczuł dotyk na ramieniu. Serce mu zamarło. Spojrzał w tym kierunku i ujrzał ciemną twarz schowaną pod dokerską czapką z wełny.

Reszta ubrania też należała do małpy dokowej. Ale cholernie trudno było znaleźć kobietę w dokach.

– Co ty tu robisz?

– Staram się dotrzeć do klubu jak najmniej rzucając się w oczy, co jak sądzę oboje powinniśmy zrobić. Jakies wieści o Dekkerze?

– Nie, żeby go. W tej chwili szukam Birda.

– Lepiej go znajdziemy. Mają tu teraz żołnierzyków z karabinami. Ściągnęli ich z przepustek i wysyłają część z nich w dół, do biur.

– Cholera, nie podoba mi się to.

– Nie kłóć się z nimi, *cher*. Część z nich jeszcze nie do końca wytrzeźwiała.

– Błyskotliwe. Po korporacyjnym błyskotliwe.

– To nie szczury z korporacji, *cher*, to *so'jers* się tu gromadzą. Nie patrz.

Pozwólmy się unieść tłumowi i poszukajmy Birda.

Aż do tej chwili nie był naprawdę wystraszony. Zaczął iść, wsłuchując się w odległe krzyki. Za ich plecami ludzie wychodzili z baru.

O podłogę roztrzaskał się kufel po piwie.

– Idź dalej – powiedziała Sal.

– Nie trzymaj mnie za rękę. Jesteś facetem, do cholery!

– Jasne – odparła Sal i puściła go.

* * *

Spróbuj znaleźć zapalki na stacji rafinerijnej...

– W „Scorpio” są świeczki – powiedział pasterz, przeglądając gruntownie zestaw naprawczy.

– Nie jest to zbyt pomocne, *mister*. Nie przejmuj się śrubokrętem. Odkręcaj. Macie tu mosiężne śruby? Drut?

– Meg, co robisz? – zapytał Dekker.

Zdjęła osłonę z przełącznika przy drzwiach.

– Poczekaj, zobaczysz, *cher rab*. Boże, facet ma drut. Do czego dochodzimy?

– Spięcie uruchomi tylko...

Dekker wreszcie zrozumiał.

– Właśnie – powiedział, owijając przewód wokół odsłoniętego gniazdka. – Pamiętasz piętnasty, *cher*? Weź kilka serwetek i butelki z wódką... ja tu zaraz skończę.

– Te drzwi się zablokują – wtrącił pasterz – w chwili kiedy włączy się czujnik

ognia. Udusimy się.

– Uh-oh. Drzwi pozostaną otwarte. Spraw mi przyjemność. Powiedz, że mamy tu maski tlenowe.

Rozdział 18

Odezwały się głośniki alarmowe, umieszczone wzdłuż całego korytarza. „Ogłaszam pełny alarm dla ochrony. Natychmiast udajcie się do swoich pokoi. Natychmiast udajcie się do swoich pokoi. Oczyszczyć przejścia dla pojazdów ratunkowych”.

– Więc co powinniśmy zrobić – zapytała Sal – iść do domu, czy oczyścić przejścia? Głupie gnoje.

– Nie podoba mi się to – powiedział Ben.

– Najwyższy czas dostać się do klubu.

* * *

Kable zatrzeszczały i stopiły się, otwierając drzwi. Meg rzuciła w otwór krzesło i schowała się za ścianą. Usłyszeli strzały. Dekker nieruchomo trzymał butelkę: zapalił się papier toaletowy, za nim plastik z osłony kabla i materiał, płonąc jasnoniebieskim płomieniem. Zapalił następną, a Meg wzięła od niego butelkę i rzuciła na korytarz.

Rozprysła się. Zapalił już trzecią butelkę wódki i podał ją Meg, która właśnie przerzucała przez drzwi drugą i schyliła się słysząc, jak ktoś krzyczy z bólu.

Pasterz stał na krześle z jeszcze jednym kawałkiem płonącej tkaniny. Uruchomił się czujnik dymu i system przeciwpożarowy zaczął rozpryskiwać płyn gaśniczy. Mechanizm usiłował zamknąć drzwi, przez które przeleciała seria pocisków rozbijając w drzazgi oparcie krzesła. Zostały im już tylko butelki z ginem.

Uruchomiły się już sitka spryskiwaczy na korytarzu, wyrzucając kłębiące się białe chmury środków chemicznych.

– Załatwione – powiedziała Meg zakładając swoją maskę, stanęła na krześle i mimo przelatujących pocisków skoczyła na zewnątrz.

Żadnego znaku, czy udało się jej wydostać, żadnej wiedzy jak uniknąć strzałów – zmusił się po prostu do niesłyszenia ich, odbił się od krzesła i uderzył w ścianę w podświetlonym neonami dymie. Tłum cieni zaczął wybiegać ze „Scorpio”, krzycząc w panice.

Kule wbiły się w tłum. Padły ciała. Głosy wrzeszczące ponad wyciem syren. Przebiegł poza błękitną poświatę restauracji, uniknął biegnących postaci we mgle, nie dbając w tej chwili czy pasterz biegnie za nim. Meg była przed nim, kierując się w stronę szybu awaryjnego. Miała klucz pasterzy, a ludzie którzy ukryli się w restauracji biegali we wszystkie strony w kłębiącym się dymie, wchodząc pod ostrzał.

Zobaczył, że Meg zatrzymuje się i próbuje włożyć klucz w szczelinę zamka. Strzał wywalil dziurę w ścianie zaraz za nią – wzdrygnął się i przycisnął do ściany najmocniej jak potrafił.

– Weźcie windę na następny poziom – wydyszał pasterz wiszący mu na ramieniu.
– Na pewno zablokowali nasze karty. Użyjcie własnych. Keja osiemnasta, gdyby nas rozdzielono...

Wokół nich zbierali się spanikowani ludzie. Ktoś w stroju kelnera miał klucz – odepchnął Meg na bok i otworzył drzwi. Meg wsunęła się do środka z tłumem, a on pchał się za nią, nie dbając kogo odpycha z drogi za ich plecami presja rosła, ludzie wypychali go przez drugie drzwi w górę schodów. Ściągnął maskę by złapać oddech, złapał poręcz by nie dać się zdeptać i przepchnął się na wolną przestrzeń, mając pasterza tuż za sobą.

– Cholerne drzwi na trzecim pokładzie nie otworzą się! – Pasterz wykrzyczał poprzez hałas tłumu. – Tam na dole są wciąż otwarte drzwi! Chodźmy na poziom czwarty, musimy mieć za sobą jakieś zamknięte drzwi!

Dekker skręcił ramiona, znalazł uchwyt i przepchnął się przez tłum spanikowanych urzędników i personelu restauracji, mając za sobą poganiającego go pasterza.

Sto stóp na każdy poziom pokładu. Nie było mowy, żeby urzędnicy i kelnerzy przegonili nogi próżniowca po czterech miesiącach ćwiczeń. Meg była gdzieś przed nimi.

* * *

Gdzieś daleko zaczęła wyc syrena – za krzywizną pokładu. Ben nie mógł zobaczyć gdzie, ale to był kierunek klubu, do którego zmierzali.

– Chodź! – krzyknęła Sal próbując go przyspieszyć. Złapała go za rękę i pociągnęła poprzez tłum wychodzący z Amaltei, ale zaraz za nimi zabrzmiał stukot biegnących stóp.

– Stój! – Ręka złapała za ramię Bena i obróciła nim gwałtownie, rzucając go na pleksową szybę baru. Znalazł się twarzą w twarz z policjantem, mając pałkę wbity w podbródek.

– Pollard, tak?

Cholera, pomyślał, walcząc o oddech.

Nagle znikąd dobiegł go głos Birda.

– Hej! Hej, co ty robisz? – Bird podszedł i złapał gliniarza za ramię, a drugi policjant chwycił Birda. Nagle ktoś z tłumu trzasnął policjanta w twarz kuflem z piwa.

– Zostaw – próbował powiedzieć Ben – poczekajcie, do cholery... Bird!

Coś huknęło, okno z pleksi rozpadło się na kawałki i nagle wszędzie było pełno krwi. Ześliznął się na kolana, gdy zniknęła gdzieś pałka policyjna. Bird leżał tam z wielką krwawą dziurą w rękawie i zszokowaną twarzą. Oprócz tego widział jedynie nogi ludzi, którzy wszędzie dookoła krzyczeli i przeklinali. Przysunął się, złapał kurtkę Birda i podciągnął go nieprzytomnego bliżej ściany. Ludzie tratowali ich, jednak w pewnej chwili zrobiło się trochę luźniej i pojawiła się Sal, łapiąc go za ramię i próbując postawić na nogi.

– Ben! Wstawaj!

Udało mu się podnieść, ciągnąc Birda. Sal ciągnęła, Bird próbował stanąć na własnych nogach, więc objęli go ramionami i pobiegli z tłumem, popychani i szturchani przez ludzi dookoła, Bird dając z siebie wszystko, Sal popychająca go z drugiej strony – za plecami słyszeli strzały i krzyki.

Z przodu też rozległ się krzyk, kiedy czoło tłumy bez ostrzeżenia zawróciło, odpychając ich na bok. Znow odezwały się głośniki alarmowe, przebijając się przez wycie syren i ludzkie krzyki: „To nie są ćwiczenia. Stan zagrożenia...”

– Schody – wydyszał Bird, a Ben w panice pomyślał, Boże, gdzie one są? Przechodziło się koło nich tyle razy nie zwracając na nie uwagi, wejście techniczne... między wejściami do barów.

Używał ich jeszcze w instytucie, przemykali się między pokojami studentów, unikając kamer ochrony...

Jedne znajdowały się zaraz obok „Hole”, przypomniał sobie.

Piekły go płuca, a Bird stracił rytm kroków, potykając się co chwila. Kiedy udało im się dotrzeć do wgłębienia, Sal przycisnęła plecy do drzwi.

– Mike ma klucz – wydyszał Bird.

– Do diabła z tym – odpowiedział Ben i wcisnął: *#,/9 i równocześnie 8,0i/*.

Awaryjny kod kierownictwa.

Nie byli jedynymi, którzy używali schodów.

– Zejdź im z drogi! – Ben rzucił do Sal, czując panikę w tłumie, który ruszył w stronę otwartych drzwi. Boże, nie mogli się wspinać niosąc Birda między sobą. Wsunął go na ramię i dźwigał go sam, a Sal pędziła po schodach przed nim.

Histeryczny tłum rzucił się na niego od tyłu, popychając i prawie przewracając, ale na szczęście ktoś rozsądny pomógł mu się podnieść i pociągnął go do przodu kiedy odzyskał równowagę.

– Zamknijcie je, do cholery! – krzyknęła Sal. Zamknięcie dolnych drzwi było jedynym sposobem, by te na wyższym poziomie pozwoliły się otworzyć, a ludzie przed nią wydostali się. Ben widział to wszystko jak przez mgłę, słyszał przez stukot i dzwonienie kroków na metalowych schodach oraz walenie serca w piersi. Przez

wszystkie te odgłosy przebił się cienki, kobiecy głos:

– Dziesięciu na raz. Ćwiczenia alarmowe, idioci!

Fala ludzka była za nimi. Sal *trzymała*, otwarte drzwi, krzycząc na nich, żeby weszli, a faceci z tyłu, Bogu dzięki, musieli mieć dość rozsądku, by odwrócić się i odepchnąć napierającą ludzką falę, inaczej drzwi by się nie zamknęły. Zamknęły się, otworzyły te od strony korytarza na trzecim poziomie i wszyscy wybiegli w jego czyste powietrze.

– Winda rdzeniowa! – krzyknęła Sal, podtrzymując go za ramię. Nie miał pojęcia jak tam dojść, Bird nie był w stanie poruszać się samodzielnie. Kolana i kostki odmawiały mu posłuszeństwa, dygocząc przy każdym kroku i prawie nic nie widział – zza nich ludzie rozbiegali się we wszystkie strony, wciskając się do kolejki, byle jak najdalej od zgiełku. Nie mógł złapać oddechu, czuł że wysiadają mu kolana, ale był tak blisko celu... wiedział, że jest blisko.

Nie widział nic oprócz rozmytych kształtów, nie wiedział nawet gdzie są, Sal utrzymywała go w pionie. Kiedy w końcu dotarli wcisnęła przycisk i podtrzymywała go na nogach – usiłował mruganiem usunąć pot z oczu, nie słyszał nic oprócz bicia serca, odległych krzyków i bezmyślnie bał się, że z powodu alarmu na drugim, na trzecim poziomie winda nie otworzy się. Ale drzwi rozsunęły się witając ich białym światłem i chłodnym powietrzem.

Sal zamknęła drzwi, a on stanął i pozwolił Birdowi zsunąć się ze swojego ramienia, podtrzymując go na tyle, by łagodnie usiadł na podłodze z plecami opartymi o ścianę. Był trupioblady nawet pomimo niesienia go głową w dół, a Ben był cały umazany jego krwią, ale wyszeptał coś spójnego na temat drzwi.

Sal próbowała użyć swojej karty, by uruchomić windę. Ben przysunął się do panelu, by spróbować kodu awaryjnego, ale nagle winda sama ruszyła w górę.

– Co zrobiłaś? – wydyszał, ale kabina ponownie zwolniła i zatrzymała się na poziomie czwartym, ukazując w otwartych drzwiach zdyszana Meg, Dekkera i pasterza z kluczem.

– Boże – powiedziała Meg. – Bird?

Pasterz wepchnął ich do środka i skierował windę do rdzenia w czasie którego Ben potrzebował na nabranie następnego oddechu – zgięty w pół z powodu bólu we wnętrzościach, podczas gdy Meg i Sal próbowały zająć się Birdem.

– Czekaliśmy – odezwał się Dekker – tak długo jak mogliśmy.

Ben kiwnął głową. Nie miał siły powiedzieć Dekkerowi, że jest dupkiem i że to wszystko jego wina. Nie był pewien, czy zdoła jeszcze zmusić płuca do działania. Wykonał bezradny gest w stronę Birda, znaczący „pomóż mu, idioto, zrób coś dla niego”. Nie potrafił się wyprostować. Kiedy kabina zbliżała się już do rdzenia, odezwał się pasterz:

– Nie wiemy co tam na nas czeka. Jak tylko otworzą się drzwi, wylatujcie i łapcie się lin. Jeśli on nie da rady trzymać się liny... – ruch dłonią w stronę Birda. – Nie ma mowy żebyśmy mogli go zabrać.

– Pieprzę cię! – krzyknął Dekker. – Bierzemy go.

– W doku są strażę!

– Więc pieprzę ich też!

– Słuchaj, chłopcze...

– Zamknij się! – wydarła się Meg, a Ben dostrzegł w jaki sposób trzymała Birda, jak nagle stał się bezwładnym ciężarem z wciąż otwartymi oczyma i ustami. Nie, pomyślał Ben i nie mógł się poruszyć, stał i czekał aż Bird się poruszy, czując ból skręcający wnętrzości. Wreszcie Sal wstała i chwyciła jedną ręką jego, a drugą uchwyt, bo zbliżali się do strefy nieważkości.

Meg odezwała się, niemal szlochając, z Birdem wciąż w jej ramionach:

– Mamy prom na osiemnastej, całkiem z drugiej strony masztu, cholerny gnojek nie mógł zaparkować bliżej – zabierze nas na statek pasterzy. Mają tam okręt bazę zbliżający się od strony stoczni, nie wiedzą, czy ma zamontowaną broń.

– To wszystko dzieje się zbyt szybko – jęknął pasterz.

– O wiele za szybko.

To co mówili przeszło przez uszy Bena. Doszło do mózgu, jako zestaw faktów wyjaśniających, gdzie szli i że mieli kiepskie szanse na przeżycie. Pomyślał, że powinien wymyślić coś lepszego, ale jego mózg nie funkcjonował poprawnie – poczuł po prostu, że winda dotarła do tego specyficznego punktu, a jego żołądek zawiązał się w węzeł.

Bird nie zginął, nie mógł umrzeć – to nie miało sensu. Zrobił wszystko co mógł, a Bird po prostu... odszedł i zupełnie nie wiedział co z nim zrobić. To było cholernie nie fair, to co się stało – niósł go, do cholery, aż wnętrzości paliły go jak przypiekane ogniem, a Bird nie był martwy, nie mógł tak po prostu odejść...

W zwolnionym tempie Dekker sięgnął do jego ramienia, w chwili, kiedy kabina zaczęła się blokować w osi. Trzymał go do czasu aż otwarły się drzwi. Pasterz pierwszy wykonał szybkie salto z uchwytu w kabinie windy do poręczy na zewnątrz i przesunął się w stronę liny. Meg puściła Birda i ruszyła jako następna.

Nic więcej nie można zrobić, pomyślał Ben rzucając pełne cierpienia spojrzenie w stronę Birda, dryfującego w chmurze własnej krwi, po czym złapał poręcz i wysunął się najszybciej jak mógł. Bez Birda.

Uderzająca cisza w rdzeniu. Dźwig był wyłączony. Można było słyszeć linę poruszającą się w łożyskach i cichy statyczny szum interfejsu obrotowego. Przez chwilę nie widział nic poza podłożem przesuwającym się pod liną.

Obejrzał się, by nabrać pewności, że to wszystko jest realne. Ale za nim Sal

i Dekker sięgali po linę, blokując mu widok na wnętrze kabiny.

Meg trzymała się uchwytu zaraz za pasterzem, on był trzy miejsca dalej. Wyjechali z zagłębienia na otwartą przestrzeń, gdzie w oszałamiającej perspektywie wirował rdzeń, oszukując wzrok i wywołując rewolucje w już i tak nieszczęśliwym żołądku. Trzymał się, po prostu się trzymał, podczas gdy mięśnie dygotały z zimna.

Przez strefę celną. Wciąż się zastanawiał – a co, jeśli ktoś ma broń – co jeśli wiedzą gdzie jesteśmy? Nic na to jednak nie mogli poradzić. Nic oprócz poruszania się w tempie liny. Zimno schładzało jego przesiąknięte krwią ubranie usztywniając je. Tracił czucie w palcach, oczy łzawiły od zimna, łyż bardziej gorzkie niż kiedykolwiek, a lina poruszała się ze swoją stałą prędkością, stuk, stuk, stuk – szcząkał zębami i myślał już w tej chwili jedynie o tym, żeby nie puścić uchwytu. Meg powiedziała: keja osiemnasta. To było diabelnie daleko, na samym końcu masztu. Prom do statku miał zabrać stąd Dekkera i resztę, ale jedyna myśl która do niego wracała to ten huk wystrzału, Bird trafiony...

Do kurwy nędzy, nie miał nawet czasu zatrzymać krwawienia.. Nie miał czasu – Sal wiedziała gdzie idzie, wiedziała o promie – ale nie powiedziała mu, Boże, powinien był powiedzieć jej żeby poszła w diabły, zabrać Birda do kolejki i pojechać do szpitala – Bird nie powinien zginąć...

Mijali właśnie *Trynidad*, połączoną z *Wdy Out* na podróż, której nie mieli odbyć. Byli tak cholernie blisko...

Kątem oka wychwycił jakiś ruch, duży kontener unoszący się swobodnie w otwartej przestrzeni rdzenia – do diabła, przedmiot tych rozmiarów unoszący się bez holownika był diabelnie niebezpieczny.

Pomyślał, tak jasno na ile był w stanie teraz myśleć, że coś jest nie tak.

Coś tu nie gra, to...

Lina jęknęła i zatrzymała się.

* * *

– Cholera! – wydyszała Sal głośno w nagłej ciszy, a Dekker pomyślał, że nie dadzą rady się tam dostać, nie uda im się, wiszą tu i nie sięgną promu, nie sięgną końca liny...

– Puście linę! – krzyknęła nagle Meg, młodzieńcze lekcje, szkolenie z zasad bezpieczeństwa. Wyciągnął się w stronę Sal, złapał jej rękę i zobaczył jak zniecka lina wygina się, cała fala sunie wzdłuż liny w ich stronę.

Dekker wrzasnął:

– Puszczajcie! – i z całych sił odepchnął się od liny, chwytając się równocześnie łańcucha, który stworzyli łapiąc się za ręce.

Chwila swobodnego unoszenia się, nic nie mogliby zrobić gdyby wędrujący grzbiet fali w nich trafił, gdyby nie trafili w linę uwalniającą...

Fala zabręczczała pod nimi i przeszła dalej. Pasterz stopą złapał linę uwalniającą i ściągnął do niej wszystkich.

Meg zawołała:

– Wracamy! Nie damy rady dotrzeć do promu, mamy tu własny statek, zbiorniki są pełne!

– Nie zadokujesz! – odkrzyknął pasterz. – Nie ma odpowiednich śluz!

– Bierzemy co możemy, do cholery – wrzasnęła Sal. Zwolnili linę, nie ma mowy, żebyśmy się tam dostali. Sammy, rusz swój tyłek!

Ktoś strzelał, Dekker rozpoznał ten dźwięk.

– Strzelają do czegoś – krzyknął podążając za Sal i Benem wzdłuż liny, która łączyła statek z dokiem. Coś świsnęło koło niego. Pomyślał, że to idioci, tu wszędzie jest pełno zbiorników, a oni strzelają pociskami...

Kolejny rykoszet – zobaczył jak odrzuca Meg, rozprysnięta krew – pomyślał, że odpadnie od liny, ale zdołała się utrzymać, a Sal złapała ją za kurtkę. Dogonił je, żeby im pomóc, ale Meg złapała już Sal lewą ręką, podczas gdy z prawej wypływały bąble ciemnej krwi. Sal wrzasnęła na Bena, żeby zszedł jej z drogi i otworzył właz.

Ben przepchnął się wzdłuż liny i ominął pasterza przy wejściu do *Trynidad*. Sal uwolniła się od liny i przepłynęła do wejścia, a Dekker rzucił się za nią łapiąc Meg powyżej rany na prawej ręce, podczas gdy Ben i pasterz ściągnęli ich w stronę otwartego luku.

– Zamknijcie go – wydyszał, zatrzymując się stopą o krawędź konsoli. – Meg...

Meg odepchnęła go, sama chwyciła swoje ramię ponad raną, blokując krawienie.

– Trzymam to, trzymam – powiedziała przez zaciśnięte zęby. – Boże, dajcie mi bandaż, wyciągnij nas stąd. Podwieź nas do promu, osiemnastka, ten facet, mówiłam ci...

– Nie możemy się połączyć z gniazdem promu! – wyjęczał pasterz. – Przegraliśmy, do cholery, wszystko co mamy to osłona. Aboujib, włącz radio, skontaktuj mnie z *Hamiltonem*, powiedz im jaka jest nasza sytuacja może zdołają coś wynegocjować...

– Cholernie mała szansa, Sammy.

* * *

Cholernie mała, powiedziała sobie Meg, nie mogąc ruszać ramieniem, które właśnie bandażował Ben, razem z rękawem. Wszędzie było pełno krwi i była bliska odejścia.

Jak Bird.

Zadnych problemów, bez zbyteznego bólu, po prostu odejść.

– Trzymaj się – powiedział Ben, sprawiając jej ból bandażem. – Cholera, Meg, uważaj! Trzymaj się tego.

Stuknęły zwalniane uchwyty. Pomyślała: „Dobry chłopiec, Dek...”

...Pełen stół rachunków, Bird przeprosił ją na chwilę i podszedł do baru porozmawiać z Mikem, Bird był niezadowolony jak nigdy, nawet w ciągu ostatnich dni, kiedy próbowali naprawić ten statek. Pracował bez przerw, doprowadzając się niemal do zawału. Ona w międzyczasie siedziała przyglądając się swoim paznokciom, wmawiając sobie, że jest idiotką, pakując się w ten cały zwariowany interes.

Stary gniew, powiedziała sobie. Więc kompania wygrała kolejną rundę. Kolejny człowiek zginął. Wielu ich już zginęło...

Przez huk tłuczonego szkła wciąż słyszała strzały. Widziała padających rabów. Dzieciaki z wyrazem szoku na twarzach. Kompanijni gliniarze, którzy nie mieli twarzy, tylko srebrne osłony hełmów, odbijające dym i przerażone twarze ich ofiar.

Bezbronny tłum bez żadnych praw.

Prawa własności. Przepisy kompanii.

– Musimy to naprawić – powiedział Bird tego dnia, kiedy przyszedł do nich Dekker. – To co zrobili nie jest uczciwe.

A ona pomyślała wtedy, czując mdłości: „Do cholery, Bird, zabijają cię...”

Odpaliły silniczki manewrowe. Poczwała ruch statku.

W zimnej pustce nad atmosferą Ziemi włączały się główne silniki promu, przejście które kochała. Czwała wtedy, że wraca do domu, że studnia nie może jej zatrzymać...

W górę, nie w dół...

Przez chwilę czerń. Poczwała pchnięcie hamowania, objęta przez Sal. Przed sobą miała drugą konsolę, Sal próbowała ją przypiąć pasami do fotela. Sięgnęła ręką która nie bolała, złapała pas i wsadziła klamrę do gniazda. Przygotowana na ostrą jazdę.

– Przypnij się sama, Aboujib, ze mną już w porządku...

Kolejne odpalenie silników manewrowych. Dek ustawiał statek, a Ben przypinał go pasem, podczas gdy pasterz – Sammy, jak nazywała go Sal, słuchał pilnie komunikatora.

– Ostrzegają nas, żebyśmy wrócili na stanowisko. Ten okręt zbliża się z dużą szybkością, *Hamilton* włącza silniki, nie będą mieli czasu nas podjąć.

Silniki manewrowe działały nieustannie, odpalając z częstotliwością jednego – dwu na sekundę, to po tej, to po tamtej stronie – miała widok z kamer, rząd zacumowanych statków przemykał na monitorze numer dwa, rozmazując się gdy

przesuwali się wzdłuż osi masztu cholernie blisko, uważaj chłopcze...

Eksplozja szumów z komunikatora ogólnego: Pasterz wrzucił kanał B.

– AMC dwadzieścia dziewięć *Hamilton*, tu dowództwo floty. Naruszenie postanowienia ZDO. Zatrzymać się...

– Wyłącz to cholerstwo – warknął Ben – mamy dość na głowach.

– Nie możemy zacumować – wrzasnął pasterz. Sal się przypinała, Ben już był przypięty. Przyspieszenie wzrastało od potężnych uderzeń głównego silnika. Maszt przemykał coraz szybciej i szybciej...

Nagle pustka. Silne pchnięcie stabilizacji łuku i maszt znów pojawił się w polu widzenia, cofając się teraz – obrócili się, by zwolnić. Kolejne odpalenie głównego silnika *Trynidadu*...

Nie – pomyślała, to *Way Out*. Jesteśmy połączeni. Podwójna masa.

– Poddajemy się? Wracamy? Prom jest w maszcie, Dek, minęliśmy go? Nie daj się wystraszyć, chłopcze...

Ben coś powiedział, Dek też i silniki manewrowe odpaliły, kierując statek – Boże, miała wrażenie, jakby pod kątem prostym do stacji.

Boże, chce dogonić *Hamiltona*...

Znów główny silnik, ostre pchnięcie – ból z ramienia, prawdziwy ból...

To się robi interesujące, pomyślała, czując przyspieszenie, wyliczając wektory. Piekielna jazda, Dek – mówiłeś im, że podchodzimy?

Silne kopnięcie. Znowu czerń. Słyszała piski wskaźnika odległości i wyższe piski systemów w stanie gotowości. To miły dźwięk, wszystko w optymalnej konfiguracji, ten cholerny interfejs tam w stacji zadziałał, nie?

Głośna sprzeczka i wycie hydrauliki przedniego łuku.

– Co ty u diabła robisz? – wykrzyczał męski głos. – Są gotowi do startu, do cholery, jesteśmy na linii ognia z ich dysz – mają okręt bazę na przechwytyjącej...

Głos Sal, czysty i rozsądny:

– Zamknij się, Sammy!

Bogu dzięki, pomyślała Meg. Słuchanie pisków i tonów urządzeń było łatwiejsze od otwarcia oczu. Pełno informacji: luk był otwarty i pracowało ramię manipulatora.

Głos Sal:

– Boże, ty idioto, ty cholerny idioto...

Warte spojrzenia. Zamrugała, by wyostrzyć rozmazany obraz z monitorów.

Zobaczyła nieregularną powierzchnię z osłonami przeciwpylowymi i przynitowanym wspornikami – ramię sięgające przed ich dziobem, miejscami białe, w cieniu niemal niewidoczne...

– Dalej, dalej! – krzyczała Sal, – Ben, masz go! Precyzyjny chwyt. Ledwie wyczuwalny. Podłączeni do wspornika konstrukcji. Uchwyt manipulatora zamknął się

i zablokował.

– Niezła robota – powiedziała. Nie była pewna, czy ktokolwiek usłyszał.

Pasterz wrzasnął:

– Leć!

Poczuł przyspieszenie, rosnące i rosnące.

Lepiej odrzuć zbiorniki Dek, lepiej odczep *Way Out*, niech odpadnie i miejmy nadzieję, że ramię wytrzyma nie ma mowy żebyśmy mogli wyhamować prędkość, którą nada nam ten Pasterz.

Powinna powiedzieć dzieciakom. Ale trudno było się skupić, nie potrafiła otworzyć ust.

Nierówne obciążenie. Dużo poprawek. Ciśnienie wzrosło w ramieniu i opuściło mózg.

Idziemy w górę, w górę chłopcy, tak daleko i wysoko jak tylko zdołamy...

* * *

Cisza. Nie słycać nawet wentylatorów. Brak ciężenia.

Smak krwi.

Wybuch...

Ale nie koziołkowali. Nie było tak jak poprzednio. Otworzył oczy i skupił się na konsoli w spokojnym dryfie. Kark miał zesztyniały, bolały go mięśnie. Obrócił głowę i zobaczył nieprzytomnego Bena, za nim pasterza, jego zestaw słuchawkowy unoszący się luzem. Jeśli rozlegały się jakieś dźwięki, nie słyszał ich, nic oprócz szumu wentylatorów.

Przypomniał sobie wyłączenie. Przypomniał sobie o Meg i spróbował się poruszyć. Nie było ani jednego mięśnia, który by nie bolał. Ale odpiął się, odepchnął i obrócił, zbliżając się do fotela Meg.

Krew utworzyła drobną mgiełkę. Była biała jak duch i zimna w gotyku. Wyglądała na martwą.

Ale napięcie powracało. Przez chwilę martwa, potem nieprzytomna, przez jakąś subtelną zmianę, która nie obejmowała nawet ruchu, do chwili kiedy rozchyliła powieki. Ben się poruszył – konsola numer dwa i jego miejsce były najlepsze do przechodzenia przez takie przyspieszenia.

– Przeżyła to? – zapytał Ben z troską.

– Tak – wymamrotała Meg mówiąc sama za siebie. Przynajmniej tak to brzmiało.

– Wciąż jesteśmy podczepieni?

– Nie wiem – odpowiedział Dekker. – Wydaje się, że jesteśmy stabilni.

Ben uwolnił się i opłynął zobaczyć co z Sal – właśnie odzyskiwała świadomość.

Pasterz wciąż był nieprzytomny. Dekker złowił słuchawki i usłyszał dobiegający z nich słaby głos:

– ...żywi, tam w środku? Słyszę jakieś głosy, kanał jest otwarty.

– Tak, – powiedział przyciągając mikrofon do ust. Tu statek górniczy *Trynidad*.

Czy to Hamilton?

Rozdział 19

– Kurwa, niczego nie zrobił – powiedział Ben. Był cały pokryty krwią, tak jak Sal. Dekker zauważył, że na jego dłoniach też zaschła krew. Nie miał pojęcia, czy należy do Birda czy Meg. Było jej zbyt wiele.

– Nic? – zapytał oficer.

– Gliniarze mnie zatrzymali, do cholery, nie miał powodu tam być, nic nie robił, zaprotestował tylko, że mnie zatrzymują, a jakiś idiota – tak po prostu – pociągnął za spust.

Dekker przyglądał się wierzchowi swoich dłoni, słuchając o tym czego nie zobaczył. Przed oczami miał Meg obejmującą Birda w windzie.

– Widziałam to – wtrąciła się Sal. – To byli uzbrojeni faceci prosto z przepustki, cześć z nich jeszcze na wyższym poziomie niż kompanijna korupcja. Nie mieli pojęcia co robią.

– To był żołnierz.

– Cholerna racja, to był żołnierz. Z floty. Nie mógł mieć dwudziestu lat.

Ochmistrz *Hamiltona* wyłączył magnetofon.

– Nagraliśmy to. Wyślemy, zanim odpalimy silniki.

– Jak stoimy z paliwem? – zapytał Dekker.

– Nie optymalnie – odparł ochmistrz.

– Cholera. – Sal potrząsnęła głową. Ochmistrz wyszedł. Ben nic nie powiedział, westchnął tylko głęboko i złożył dłonie między kolanami.

To była cała informacja jaką dostali. Cała, jaka dostali od kiedy weszli na pokład. Nie widzieli Sammy'ego – zszedł ze służby, prawdopodobnie śpi na swojej koi albo właśnie budzony, jeśli nie słyszał jeszcze nowiny. Sammy – nazywał się Ford, był niezłe wstrząśnięty, nie prosił o stanowisko jakie mu powierzono – sytuacja w doku zwariowała, załoga promu nie odpowiadała, nie odpowiadała grupa z poziomu ósmego; podejrzewali że ich komunikaty są na podsłuchu. Mitch wyszedł do sąsiedniej restauracji, by przez telefon skontaktować się ze swoją załogą i nie wrócił, aresztowany lub coś gorszego, wciąż nie wiedzieli. Sammy nie był pilotem a prawnikiem, negocjatorem pasterzy, który przybył na R2 prowadzić rozmowy z zarządem, gdyby plan się powiódł, gdyby nie wkroczyli żołnierze...

Dekker zdecydował, że Sammy całkiem dobrze sobie poradził. Całkiem dobrze jak na faceta, który pewnie nigdy nie pobrudził sobie rąk. Będzie musiał Powiedzieć Meg, kiedy oprzytomnieje. Uśmieje się z tego.

Kolejny oficer, tym razem mijając ich, czekających w ciasnym pomieszczeniu punktu medycznego, kierując się wprost do pomieszczenia chirurgicznego.

Zły głos za drzwiami, jakaś odpowiedź.

– Pewnie chcą żeby się pospieszył, – wymamrotała cicho Sal.

Więcej głosów. Coś o paraliżu i kolejnych trzydziestu minutach. Głos mówiący całkiem wyraźnie:

– ...nie pomoże jej to jeśli umrze. Hank, nie mamy tych trzydziestu minut.

Przygotuj swoją pacjentkę, ruszamy się.

Mężczyzna wyszedł przez drzwi, popatrzył na nich i powiedział, spokojniej:

– Odczepiliśmy wasz statek. Mamy problem z pozycją, musimy odpalić silnik, żeby dokonać korekty, tak szybko jak tylko ekipa wróci do środka, a ja na mostek. To najlepsze co możemy zrobić. Macie tu pasy, użyjcie ich. Personel ma swoje miejsca.

Czyli jest źle. Dekker zagryzł wargę i sięgnął po pas umieszczony z boku fotela. Sal i Ben zrobili to samo. Oficer przeszedł przez drzwi i zniknął.

– Cholera jasna – przeklinał cicho Ben. Trzęsły mu się ręce. Sal zaciskała swój pas.

Bez wątplenia mieli kłopoty. Spadali do Studni, nikt tego nie musiał mówić. „Problem z pozycją” na wektorze skierowanym w stronę Jowisza mógł oznaczać tylko jedno, a taki pośpiech sugerował, że są zdani na siebie, bez wiązki i tylko na paliwo, które im zostało – a to nie było wiele wobec nachylenia ścian studni grawitacyjnej.

Cała masa *Way Out* musiała zostać odrzucona – to była jego decyzja, oszczędzić *Hamiltonowi* paliwa na ciągnięcie go, nie pozwolić ramieniu manipulatora *Trynidadu* na oderwanie nitów, może nawet zabrania ze sobą poszycia. Ale paliwo w zbiornikach *Trynidadu* stanowiło duże obciążenie – naprawdę duże obciążenie na tych nitach. Dokonał błyskawicznej oceny sytuacji, ostatni ruch zanim stracił świadomość. Możliwe, że otwarcie zaworu uratowało im życie – gdyby poszycie uległo zerwaniu, doszłoby do dekompresji. Ale niewzględzona w obliczeniach masa przyczepiona do *Hamiltona*, z której kilka sekund po włączeniu silników ubyło trzy czwarte – to nie pomogło ich położeniu. Komputery przeliczyły. Ale środek masy zmieniał się dwukrotnie podczas przyspieszenia, a kiedy osprzęt ramienia pękł – musieli przekroczyć wytrzymałość pierścienia – rąbnęli bokiem w „Hamiltona” i to też na pewno im nie pomogło. Dekker zemdlał zanim do tego doszło. Nie wiedział jak długo trwało przyspieszenie, ale mając na ogonie statek wojenny musieli zmusić go do wyboru, czy będzie ich ścigał, czy zajmie się sytuacją na R2.

Załoga *Hamiltona* na pewno nie była zbyt szczęśliwa w tej chwili z powodu obecności swoich pasażerów.

Hydraulika obróciła zamek i zatrzymała się. Rozległo się krótkie wycie syreny, a głos z taśmy ostrzegł: „natychmiast zająć pozycję”.

„Wszyscy przygotować się na odpalenie silników w celu korekty kursu. Znak. Powtarzam...”

– Suka nie da im wiązki – wymamrotała Sal przez zaciśnięte zęby, poprawiając swój pas. – Cholerna Suka będzie miała nadzieję, że wszyscy spadniemy w głęboką. Nie ruszy palcem.

– Poradzimy sobie, wszystko będzie dobrze – powiedział.

– Wszystko będzie dobrze – powtórzył Ben – wszystko będzie dobrze. Wiesz, gdybyś nie był cholernym czubkiem, Bird by żył. Meg nie leżałaby w szpitalu. Nie bylibyśmy, tu gdzie jesteśmy. Cały ten cholerny bałagan to twoja wina.

– Jasne – odpowiedział głębokim głosem. – Wiem o tym.

– Kurwa, sam też zawinił – mamrotał Ben. – To nie jego szukali, nie mieli pojęcia kim jest. Był czysty, niech go szlag, był czysty. Nie wiem czym sobie na to zasłużył.

Hamilton odpalił silniki, rzucając wszystko co miał w próbę uwolnienia się ze studni.

Pomyślał, że mógł po prostu wyciągnąć ich na zewnątrz. Nie musiał docierać do *Hamiltona*. Nie myślał wtedy o niczym innym.

Podjąłby ich ten statek wojenny. Ale do tego czasu przestaliby już strzelać. Nie wpakował by się w ten bałagan. Ben ma rację.

– To nie miało sensu – powiedział Ben. – Niech go szlag, nigdy nie postępował sensownie...

* * *

Ktoś zaczął strzelać. Policja zaklinała się, że to były wojskowe naboje, a biuro Craytona chciało jak najszybszego wypuszczenia tej informacji.

W oświadczeniu z biura Craytona było napisane „...głęboko żałując utraty życia...”

Payne głęboko sobie życzył, żeby nigdy w życiu nie usłyszał nazwiska Morris Bird. Weteran trzydziestu lat pracy, najstarszy górnik w Pasie, związany z Pratt i Marksem, niezwykle popularny na piekładzie – cholerny męczennik, to właśnie dostali. Ktoś na ścianach całego trzeciego pokładu namazał czerwoną farbą napisy „BIRD”. BIRD pojawiało się wydrapane w farbie na ósmym i nie potrzebowali pisać nic więcej. Szpital zajmował się rannymi w korytarzach, plik o nazwie Dekker wciąż rozprzestrzeniał się w systemie komputerowym, a pasterze nadawali swoje własne serwisy informacyjne, domagając się interwencji RZ i rezygnacji zarządu oraz zawieszenia stanu wojennego.

Teraz była to transmisja telewizyjna – kapitan pasterzy wyjaśniał, w jaki sposób statek górniczy *Trynidad* dokonał ucieczki do *Hamiltona* – więcej nazwisk, które ostatnio zbyt często słyszał. Pilot, któremu cofnięto licencję, jako upośledzonemu.

Załoga, która była z Birdem, kiedy zaczęła się strzelanina. Historia rozwijała się z minuty na minutę, przybierając coraz dziwniejsze kształty, a W&I w żaden sposób nie mogła ich wyprzedzić.

„...Rzecznik kompanii wyraził ulgę z bezpiecznego uratowania *Trynidadu* i wszystkich na pokładzie. To samo źródło zdecydowanie potępiło użycie zabójczej siły wobec nieuzbrojonych demonstrantów i obiecuje szczegółowe...”

Otworzyły się drzwi. Mrugnął, patrząc na karabiny w rękach dwu marines w niebieskich uniformach. I na trzeciego, który wszedł za nimi mówiąc:

– William Payne? To biuro podlega władzy ZDO w sytuacji zagrożenia, na podstawie Aktu Obronnego, Sekcja osiemnasta, punkt drugi.

Popatrzył na karabiny, potem na oficera. Próbował myśleć o właściwych procedurach.

– Muszę się skontaktować z biurem przełożonego.

– Proszę bardzo, panie Payne.

Wątpił, czy bezpiecznie było to robić. Zawahał się nad podniesieniem słuchawki, potem przed wciśnięciem klawisza.

– Dzwonię do administracji. Chce się pan o tym upewnić?

– Niech pan sprawdza gdziekolwiek pan chce, panie Payne. Pański komputer poda wyjaśnienie. Proszę bardzo, niech pan dzwoni do Administracji.

Głęboko odetchnął, nacisnął klawisze i wywołał okno dostępu administracji.

Przeczytał: Rozkaz Kierownictwa Kompanii Ziemskiej... Dalej: Klauzula 28 Karty i Akt Obronny, Sekcja 18, artykuł drugi.

– Mamy dla pana informację prasową, panie Payne.

– Tak jest, sir – odpowiedział. Bez pytań, bez wahania. Sięgnął po kartę danych którą oficer położył na biurku i wsadził ją do czytnika komputera.

Przeczytał: „ZDO przejęło kontrolę nad działaniem ASTEXU. Wszyscy pracownicy, operatorzy niezależni i kontraktowi oraz zatrudnieni przez ASTEX poniżej poziomu zarządu zachowają swoje stanowiska. Prezes Towney został aresztowany nakazem sądu cywilnego, oskarżony o niewłaściwe wykorzystanie funduszy oraz unikanie podatków. Podobnie śledztwu KZ podlegają różni członkowie rady nadzorczej. Mieszkańcy, którzy dysponują informacjami o tego typu przypadkach powinni niezwłocznie przekazać je żandarmerii wojskowej, kod systemowy 14.

Wszyscy mieszkańcy, którzy zgłoszą się do biur ZDO na swoich pokładach, uzyskają ponowne potwierdzenie swoich kart i zostaną objęci, bez śledztwa i bez wyjątków, ogólnej amnestii dla całego nie kierowniczego personelu R2.

ZDO spotka się z delegacjami pracowników niezależnych, kontraktowych i personelu cywilnego celem przedyskutowania zażaleń...”

* * *

– Piekielny bałagan – powiedziała Meg ułożona na poduszkach w tym specyficznym typie ciążenia, które uzyskiwało się w niewielkich instalacjach. Wciąż czuła się trochę oderwana od rzeczywistości, ale mogła poruszać palcami pod usztywnieniem, sprawdziła to.

– Nie sposób było cię odróżnić od prześcieradła, kiedy cię tu przynieśli. – Sal ostrożnie usiadła na brzegu łóżka, wyciągnęła ciemnoskórą dłoń i ścisnęła zdrową rękę Meg. Kolory ich skóry ostro ze sobą kontrastowały, pomyślała Meg, a potem przypomniała sobie Birda, którego zostawili dryfującego w kabinie windy. Postąpili paskudnie. Bird zasługiwał na coś lepszego. Ale tam gdzie było to istotne, zawsze był praktycznym sukinsynem. Z kącika jej lewego oka pociekła drobna kropla słonej wody. Sal wytarła ją kciukiem.

– Cholera – powiedziała i próbowała zasłonić oczy ramieniem, ale wszystkie stawy miała skrzyżcone. Mrugnęła i kilkakrotnie głęboko odetchnęła. – Wyciągnęli nas już ze studni?

Sal nie odpowiedziała jej od razu. Nie wyciągnęli, pomyślała. Witaj z powrotem, Kady. Śmierć wciąż jest blisko.

– Wciąż mamy problem z wektorem – odpowiedziała. – Gdzie o tym usłyszałaś?

– Medycy o tym rozmawiali. Myśleli, że jestem nieprzytomna. Spadamy?

Kolejne wahanie.

– Powiedzmy, że schodzimy o wiele wolniej. Dyskutują teraz z KZ. Idea polega na rozłożeniu do połowy żagla i sprawdzeniu, czy możemy wejść w zasięg R2-23, złapać inny hals.

– Byłoby miło.

– Słuchaj niewzruszona skało, dowiedzieliśmy się, że wojsko przejęło stację i aresztowało Towneya. A także cały Zarząd. Ustawią więzki, będą musieli. Przygotowują teraz umowę z piekładem – proszą o Mitcha, Persky'ego i innych facetów, żeby przyszli omówić skargi...

– To trik.

– I wysłał żołnierzyków do zbierania skał? *Beaucoup* ' szczęścia, Kady. Po pierwszej próbie postawienia znacznika, będą zbierać szczątki statku stąd do Saturna.

– Dogadają się. Może nawet dadzą nam więzkę. Nie byłabym zaskoczona. Ale to nic nie zmieni, Aboujib, nic nie zmieni.

Przez chwilę Sal nic nie mówiła. Ona też kiedyś zanurkowała w studnię. Nie było to fair wobec Sal, wciąż miewała żywe koszmary o studniach grawitacyjnych.

Odezwała się do niej ponownie, oferując jedyną optymistyczną wiadomość, do

której mogła dojść:

- Przynajmniej to nie Towney będzie tam rządził.
- Przysyłają tu kierownika z KZ. A na razie są *so'jers*.

To nie była dobra wiadomość dla ludzi na R2. Dużo czasu upłynie, zanim dostanie się tam nowy dyrektor. Tymczasem robili co mogli, by nie spaść do Studni. Zastanawiała się, jakie mieli szanse. Ponownie włączają wiązki, dobrze, jeśli wojsko nie miało cholernego bałaganu administracyjnego, w którym wszystko będzie czekać na autoryzację, albo jeśli dla KZ nie byłoby wygodniej żeby zniknęli na zawsze. Nawiasem mówiąc, jeżeli mówili o złej linii i mieli użyć R2-23, to ewidentnie byli na jednym z tych wektorów, na których złapanie wiązki było cholernie trudnym zadaniem. R2-23 był satelitą geostacjonarnym, a geostacjonarne nad studnią zawsze stanowiły niekończący się problem, ciągle się psuły. Pasterze wciąż tracili czas naprawiając je i uzupełniali im paliwo przy pomocy automatycznych statków, a kiedy trzeba było odholowywali je poza strefę intensywnej radiacji i remontowali. W tych rzadkich chwilach kiedy komputer satelity nie był uszkodzony, dawał bardzo użyteczną wiązkę.

– Dwóch przystojniaczków chce cię zobaczyć – powiedziała Sal, wyglądając w tej chwili bardzo wątle. Bardzo się starała być serdeczna.

– Cholera. Mam na sobie jakiś makijaż?

– Zapomniałam spakować – odpowiedziała Sal, ścisnęła jej ramię i zataczając się odeszła do drzwi. Nie przyzwyczała się jeszcze do poruszania na statku.

Dotyczyło to również mężczyzn. Wyglądali paskudnie. Przynajmniej byli jednak wyszorowani. Obaj utykali i niezbyt dobrze radzili sobie z chodzeniem, zwłaszcza Ben. Zdecydowała, że najwyższy czas się położyć, czuła się cała obolała. *Hamilton* był statkiem całkiem sporych rozmiarów, ale różnice w ciężeniu na jego pokładzie wciąż sprawiały, że łatwo było się przewrócić, a stopy puchły do czasu aż ciało się dostosowało. Po powrocie na stację przechodziło się przez to wszystko z powrotem.

Jeśli jeszcze kiedyś wrócą na stację.

Poklepała brzeg łóżka.

– Siadajcie – powiedziała. Usiedli po obu stronach u jej stóp.

– Bardzo boli? – zapytał Ben. Głupie pytanie.

– Zdarzało mi się przyjemniej spędzać czas w łóżku. Jak z wami?

– Dobrze – odpowiedział Dekker. – Całkiem dobrze.

– Jasne – powiedziała, przyglądając się ich sińcom. Wszyscy jesteśmy porządnie ustawieni.

* * *

„Korekta kursu wprowadziła ich w zasięg R2-23 brzmiała notka z Operacyjnego.
– To ich ostatnia poważna opcja. Wyliczenia marginalne nawet w tej chwili.
Rozwiązanie z wiązką osiągnie zerową szansę o ósmej dwadzieścia osiem.
Sprawdziliśmy ich możliwości, ładunek i masę tego statku górniczego. O ile nie mają czegoś w zbiornikach tego górnika, to nic im nie zostało. Kapitan *Athenes* zgłasza brak możliwości przechwyty. Odrzucenie zbiorników nic nie pomoże. *Athenes* naraziłoby się na niebezpieczeństwo. Przypuszczamy, że utrzymywanie ich obecnego kursu służy jedynie poprawieniu pozycji negocjacyjnej. Nasze dane w załączeniu.”

Porey odłożył pisak na biurko, wywołał dane, ocenił je, ocenił komunikat ze spotkania w kwaterze głównej korporacji i napisał zwięzłą wiadomość: „Powiedz ich negocjatorom, że przeliczyliśmy szanse *Athenes* i że szansa na wiązkę spadnie do zera o ósmej dwadzieścia osiem. Powiedz im, że z przyjemnością przekazemy dane i podtrzymujemy naszą ofertę.”

To nie jest właściwa chwila na kolejną przeprawę z górnikami. Albo Pasterzami.

Dobre stosunki z ludźmi. Wspaniałomyślność. Ogólna amnestia, odnowić ważność kart, pokazać w telewizji aresztowanie Towneya, ponownie uruchomić wiązkę i wyciągnąć *Hamiltona* z jego kłopotów.

Jak tylko pasterze zgodzą się na warunki.

* * *

Śniadanie.

Marmolada. Dekker nie próbował jej od czasów, gdy był dzieckiem, a Ben i Sal nigdy. Meg powiedziała, że to budziło wspomnienia z czasów kiedy szmuglowała.

– Czasami to przewoziłam – powiedziała. – [Oczywiście gubiliśmy słoik lub dwa, co jakiś czas.

Sal wykonała gest oznaczający podsłuch, a Dekker poczuł to we wnętrzościach. Ale Meg powiedziała:

– Do diabła, jeśli mają czas żeby się o nas martwić...

– Trochę to kwaśne – zauważył Ben. – Gorzkawe. Ale całkiem smaczne.

– Ben, *cher* – powiedziała Sal. – Naucz się doceniać chwile. Życie robi się wtedy o wiele przyjemniejsze.

– Doceniam to. Jest gorzkawe. I kwaśne. Czyż nie? Co w tym złego?

Meg przewróciła oczami.

Otworzyły się drzwi. Dekker obrócił głowę.

Oficer.

Przerwali śniadanie.

– Przepraszam, że wam przeszkadzam – powiedział pasterz opierając się

o framugę ze złożonymi na piersiach ramionami. Afro, podgolony z jednej strony, z oznaczeniami technika, a złote klamry na kołnierzu oznaczały, że jest starszym technikiem jakiejś specjalności.

– Pomyślałem, że docenicie przegląd sytuacji. Nadchodzi pomoc.

Dekker przeanalizował tę sekundę. Może wszyscy to zrobili.

Dobra wiadomość?

– Kto? – zapytała Meg.

– Ten okręt z R2. Pędzi jak nietoperz.

– On... – Meg nie dokończyła.

Dekker pomyślał: Boże czemu? Ale nie zapytał. Zostawił to Meg i Sal, które miały tu jakąś wiarygodność nie były tymi, które postawiły ich w tej paskudnej sytuacji.

– Wygląda jakbyśmy mieli z tego wyjść – powiedziała Meg.

– Boże – powiedział Ben po chwili milczenia. Żadnego krzyku i świętowania.

Wytrzymywali tak długo, zachowując się normalnie w tych warunkach, a kiedy przyszła ta wiadomość po prostu nie wiedzieli jak ją przyjąć.

– Gdzie jest haczyk? – zapytała Sal. – Mogą po prostu podlecieć i odholować nas stąd?

– Mieli trzy czwarte naszej obecnej prędkości po dwóch minutach od startu z R2. Nie tracą czasu.

Dekker dokonał pobieżnych obliczeń i poczuł się wstrząśnięty. I jeszcze biorąc pod uwagę, że muszą być już dość daleko na stoku...

– Dogadują interes – powiedział pasterz. – Wygląda na to, że flota doszła do wniosku, że nas potrzebuje, a Stowarzyszenie oświadczyło, że nie będzie interesów bez wolnych strzelców, upierają się przy tym punkcie. Urąbali Towneya, to już jest pewne. Pomyślałem, że będziecie chcieli wiedzieć. Panie Dekker?

– Sir.

– Kapitan chce się z panem zobaczyć.

Kolejne „czemu?” Ale może jeśli nie byli już w sytuacji alarmowej... może kapitan chciał poważnie porozmawiać z przebywającym na pokładzie idiotą.

Wzruszył ramionami, obejrzał się na Meg, Sal i Bena mówiąc:

– Zobaczymy się później – mając na myśli, że mogli o tym myśleć, jeśli będą żyć pojutrze.

Boże, zaczął się trząść – nie potrafił dojść, czego się w tej chwili bał – zmieszany z błotem przez kapitana statku, cóż, pewnie mu się to należało. A może nagle miał mieć przyszłość, z którą nie wiedział co zrobić. Pasterze mogą przyjąć Sal i Meg – nawet okazało się, że Ben ma jakieś powiązania.

Ale on?

Jego uznanie na *Hamiltonie* może być w tej chwili naprawdę niewielkie. *Trynidad* przepadł, podobnie *Way Out* – nie miał takiej szybkości jak *Trynidad*, kiedy go odłączyli, ale też nie było to zbyt blisko R2. Jeśli w ogóle dało się go przechwycić, prawo czyniło go zdobyczą znalazcy. Miał konto bankowe – ale Bóg wiedział, w jakim było teraz stanie, albo jakie zarzuty mogą wysunąć przeciw niemu – prawnicy byli prawnikami, jak powiedziałyby Meg. Nie pokładał zbyt wielkiej wiary w tym, że KZ pozwoli mu o wszystkim zapomnieć i żyć w spokoju. Nie z martwymi ludźmi i zniszczeniami na stacji.

* * *

Do biura Sunderlanda nie mieli daleko. Główny technik wprowadził go do środka, przedstawił siwemu, drobnemu człowiekowi, który podał mu rękę – nie były to typowe uprzejmości wobec załogi, jak zauważył Dekker. Wydało mu się to dziwnie złowieszcze; Sunderland nie wyglądał na rozzłoszczonego, raczej na zużytego i zmartwionego, oraz przez jakieś dziwne skojarzenie, jakby czegoś żałował.

To też go zmartwiło.

– Pan Dekker. Kawy?

– Nie, sir, dziękuję. Właśnie zjadłem śniadanie.

– Dobrze, że ma pan apetyt – proszę tu usiąść. Zdradzę, że mój nie był ostatnio zbyt wielki.

Przysunął krzesło i opadł na nie.

– Wiem, że „przepraszam” nie załatwi sprawy. Nie powinienem był odrzucać zbiorników.

– Nie mielibyśmy naszych, gdyby pan tego nie zrobił. Konstrukcja by nie wytrzymała. Próbowaliśmy wam to powiedzieć, nie wiem czy usłyszeliście.

Potrząsnął głową.

– Nie, sir. – I pomyślał, że nie mieli dość rąk i czasu.

– Wszystko działa się dosyć szybko, prawda?

– Tak jest, sir.

– Tutaj też było dosyć gorąco i ciężko. Wie pan o zbliżającym się statku.

– Tak jest sir. – Czuł zawroty głowy. Wstawanie i siadanie przy takiej różnicy g, mogło wywoływać taki efekt.

– Wymagało to trochę rozmów. Ale nie spodziewałem się, że naprawdę pozwoliliby nam spaść. KZ by się nie zgodziła. R2-23 stanowiła pewną opcję – najlepsze co mogliśmy uzyskać bez pomocy KZ. Jestem pewien, że śledził pan tę możliwość, na równi z kilkoma innymi, egzotycznymi, ryzykanckimi propozycjami,

w które wcale nie mieliśmy ochoty się pakować, ale kiedy przekazali nam dziś rano, że komputer na R2-23 znowu wysiadł... Byłem przekonany że ten statek się ruszy, że dokładnie wszystko sobie wyliczyli i puszcza do telewizji przekaz na żywo. Prosto na Sol. KZ nie podobałoby się, gdybyśmy spadli do studni. Media by na nich naskoczyły. Górnikom by się to nie podobało. Wchłonęli ASTEX, słyszał pan o tym, zwolnili Towneya... dużo zmian, sporo na lepsze. Możemy pracować z dostawcami, możemy pracować z KZ, nawet z ZDO. Wiedzą o tym. Po prostu chcieli uzyskać najlepsze warunki, jakie się da.

Kapitan wezwał go by rozmawiać o polityce?

Do diabła, w co on się pakuje.

– Mamy dane pańskiego wypadku – powiedział Sunderland. – Nie wiem ile panu powiedziano...

– Powiedziano mi, że znaleźliście ją całe tygodnie przed tym, zanim to zgłosiliście. – Dowiedział się o tym tego ranka, od Bena i ta informacja doprowadzała go do szału. – Nie powiedzieliście nam, pozwoliliście nam przygotować wszystko, nie ostrzeżliście nas...

– Nie mieliśmy pojęcia jak pan zareaguje – czy będzie pan w stanie kontrolować się i zachowywać normalnie. Nie wiedzieliśmy, szczerze mówiąc, czy Aboujib będzie nas słuchać, czy nie. Sądziłyśmy, że tak. Ale w takiej sytuacji sprawa wisiałaby na włosku. Musieliśmy zyskać najwięcej czasu jak się da, żeby zebrać wszystkie potrzebne nam zapisy. Wiedzieliśmy o zderzeniu. Wiedzieliśmy, że zginął górnik. Porównywaliśmy mapy i znajdowaliśmy rozbieżności, kiedy *Athenes znalazł* pańską partnerkę. Wiedzieliśmy, że będzie pan wylatywał. Zupełnie szczerze, czekaliśmy, bo wciąż robiliśmy przygotowania prawne. Sam Ford – spotkał go pan – był tam pilnując, żeby wszystko poszło jak trzeba. Kiedy się pozywa kompanię, lepiej nie zostawić jakiegóś dziury prawnej. Doradzaliśmy Aboujib, przygotowywaliśmy wszystko na transfer kilka godzin przed tym, zanim sprawa trafi do wiadomości – chcieliśmy dostarczyć was do doku i przewieźć promem na pokład, gdzie nie mogliby się do pana dostać, a następnie zgłosić przeciwko kompanii ciężkie oskarżenia. Jestem z panem teraz całkiem szczerzy – pomagając równocześnie przepchnąć pańską sprawę przeciwko kompanii. Niestety...

– Poszedłem na spacer.

– Nie żeby to miało znaczenie, obawiam się, przynajmniej wobec większości tego co zaszło. Bazowaliśmy na głupocie kompanii – spodziewaliśmy się, że wkroczy wojsko, ale nie tego, że rozkaz wchłonięcia kompanii leżał już na biurku Dowódcy Floty, czekając na pierwszy prawny pretekst, jaki mogli zaaranżować. Przygotowywali generalną kontrolę nad kompanią, by podać jeden powód, ale w Karcie była również klauzula sytuacji kryzysowej, co jest związane z zagrożeniem

działania, no i jest Akt Obronny, który pozwala wojskowym wprost przejąć kontrolę, jeśli tu by się coś posypało. I byli gotowi, z powodu sytuacji pracowników, gotowi, bo myśleli, że kierownictwo może chcieć zniszczyć zapisy...

– Zrobili to.

– Próbowali. Ale mieliśmy część z nich. Mieli też je inni. Dowództwo Floty nappełniło zbiorniki okrętu bazy.

Dotarła do nas o tym plotka. Nie podobało się nam to, co słyszymy. Wiedzieliśmy, że kiedy wykonamy ruch, będziemy mieć do czynienia z Flotą na poziomie prawnym – nawet spodziewaliśmy się konfrontacji w doku. Ale nie tego, że będą tacy szybcy, nie tego, że będą mieli dokumenty, by legalnie przejąć kontrolę nad kompanią bez opóźnień czasowych w komunikacji z Ziemią. To było osiem do dziesięciu godzin, my nie mieliśmy. Mieli na R2 swoich ludzi, a na promie broń, ujawnili się i przejęli dok, zamykając naszą załogę promu, a kiedy do tego doszło, znaleźliśmy się w głębokich kłopotach. Jednak wszystko się utrzęśło: nie przewidywaliśmy umów z ZDO tak szybko, ale dostaliśmy to co chcieliśmy wymusić rozmawialiśmy bezpośrednio z korporacją nadrzędną oraz bardzo zaniepokojonymi kontrahentami wojskowymi i flotą, z których wszyscy mają pieniądze, ale absolutnie żadnego personelu, który mógłby nas zastąpić. Możemy sprostać ich zamówieniom. My. Górnicy i pasterze. I pchacze, które będą musiały poddać się dyscyplinie. W końcu będą musiały. Tu właśnie stoimy.

– Morrie Bird nie żyje. Sporo ludzi zginęło.

– Żałujemy tego. Żałujemy tego całkiem szczerze. Ale nie jesteśmy ekspertami od obrony. Walczyliśmy z tym co mamy, w najlepszy sposób jaki znaleźliśmy. Ludzie ginęli. W taki sposób, jak zginęła twoja partnerka. Rozumiesz? ASTEX zabijał górników, zabijał nas – w końcu coś takiego musiało się stać. Prawdopodobnie z większą ilością ofiar. Z jedną z rafinerii zniszczoną.

Wierzył, przynajmniej w to. Pomyślał o systemie i sposobie, w jaki działał i nie wierzył, że wojsko go naprawi.

– Dranie mogli nas wyciągnąć dziesięć godzin temu powiedział. – Czy są lepsi od Towneya?

– Nie. Ale są rozsądniejsi.

– Pozwolili nam spadać przez dziesięć godzin...

– To część gry, panie Dekker. Spadamy do studni z pewnym przyspieszeniem – w międzyczasie, gdy nasz zespół negocjacyjny spotyka się z ich zespołem, oni nie uruchomią systemu wiązek pchających, KZ jest opóźniona o godziny z powodu odległości i nie rozmawia z nami, wszyscy udają, że nie osiągną kompromisu. Siedzę w tym zbyt długo, by uwierzyć, że sprawy mogłyby potoczyć się inaczej i w końcu tak się stało. Osiwiałem już lata temu, między studnią i tym łajnem z ASTEXU.

Ostatnich parę włosów zbiegło dziś rano, zanim dowiedziałem się, że ten statek się ruszył. Ale byliśmy raczej pewni. Przez cały czas byliśmy pewni.

– Tak jest sir – powiedział widząc, że Sunderland oczekuje jakiejś reakcji. We krwi miał adrenalinę, ale nie wiedział co z nią zrobić. Poznał już zasady. Między innymi nie przedstawiać swojej opinii kapitanom Pasterzy. Spojrzał gdzieś ponad ramieniem Sunderlanda i zobaczył Meg w doku, i unoszącą się krew. Widział Birda w kabinie windy. Bena umazanego krwią.

– Chciałbym, do rejestru, usłyszeć pańską wersję tego, co się stało tam, z *Industry*.

– Boże, mówiłem już. Czy nikt tego nie zarejestrował?

– Chociaż w skrócie. Żeby mieć zapis, którego ASTEX nawet nie dotknął.

To przynajmniej mógł zrozumieć. Odetchnął głębiej, odchylił się na krzesło i ponownie zaczął recytować:

– Znaleźliśmy skałę, ruszyliśmy za nią, pchacz też. Domyśliliśmy się, że będzie próbował nas od niej odgonić. I może naprężyć mięśnie, jeśli mu się nie uda. Więc chcieliśmy mieć na statku próbkę, zanim AP powiedziałby nam, żeby się stamtąd wynieść. Ale nie zrobili tego. Najechali na nas.

– Popchnęli was.

– Żadne cholerne popchnięcie, sir.

– Wiem o tym. Znam inne szczegóły, jeśli chce je pan poznać.

– W porządku. Więc, co oni u diabła robili?

– Próbowali powstrzymać niezależnego przed największym odkryciem od lat. Nie dopuścić, by Kompania musiała wypłacić naprawdę dużą sumę – to mogłoby zrobić różnicę pomiędzy zyskiem i stratą w tamtym kwartale.

– Boże.

– O czym może pan nie wiedzieć, albo nie pomyślał pan o tym – pchacze kontrolują górników – oni mają wszystkie mapy. Oni są Bazą. A wy poruszaliście się, jak sądzę, przy pomocy własnych silników. Myślę, że nabraliście sporej prędkości, na dosyć długiej trasie. Kolejny fragment pamięci wskoczył na miejsce.

– Prawda?

Kiwnął głową, widząc w myślach wszystkie urządzenia stacji śledzącej, długi ruch jak na górnika, bez prośby o wiązkę. Anomalia. Cory podejrzewała AP. Nie pomyśleli o pchaczu monitorującym to, co robili. AP tak. Ale można było się poruszać wewnątrz sektora bez zgłaszania, jeśli robiło się to przy pomocy własnego silnika.

Głupie, pomyślał, mając wiedzę. Fatalnie głupie. Ale...

– Mogli kazać nam się wynieść. Mogli stwierdzić, że wyłapali go na optyce.

– Czemu wy tego nie zrobiliście?

– Bo... bo Cory powiedziała, że mogą tego nie zalogować. Mogli po prostu powiedzieć, że pchacz zobaczył go pierwszy.

– Polityka, polityka. Zalogowali go. Nadali mu numer.

– Więc czemu nam nie powiedzieli? Widzieliśmy, że się przemieszczają. Ale AP nic nam nie powiedziała – nic w rodzaju: „mają go” albo „cofnijcie się”, czy...

– Oni chcieli, żeby ten pchacz wam przyłożył. Wkroczyło biuro Cray tona i powiedziało, że nie powinni byli tego logować w ten sposób, że powinni to skasować, bo nie podjęli jeszcze decyzji co do polityki. Skontaktowali się z Działem Prawnym i poprosili o poradę. Nie potrafimy zrekonstruować całości, wojsko siedzi na archiwach – ale zgaduję, że to pchacz był cholernie zdeterminowany, żeby się tam dostać. AP głądziło, próbując to jakoś rozwiązać, w końcu dochodząc do wniosku że są w takim położeniu, że nikt im nie uwierzy. Nikt nie uwierzy, że was nie orznęli. Rozejdzie się po całym pokładzie na RI, niektórzy twierdzili że to wywoła zamieszki, inni że przeciwnie – wycofali się na pozycję „Nicht lokalna baza rozwiąże sytuację”, to kod AP na rzucenie wszystkiego na kapitana. „Użyj dyskrecji” – tak to formułują. To oznacza zrobienie czegoś nielegalnego.

Usłyszał ton jakim było to powiedziane, spojrział w neutralne, jasne oczy w szczupłej, postarzałej twarzy i pomyślał, że ten człowiek był stawiany w takiej sytuacji.

– Po prostu wyciszyli wszystko – powiedział Sunderland. – Zostawili to pchaczowi. Nie podjęli decyzji politycznej. A on był pozbawiony komunikacji, bo tak to działa, kiedy „załatwia się coś” dla kompanii. Przyjęli, że się wystraszysz i uciekniesz.

– Nie znali mojej partnerki.

– Nadzwyczajna młoda kobieta, z tego co wiem. Nadzwyczaj zdeterminowana. Zgłosiliście go na podstawie optyki? Próbowaliście tego?

(... po prostu użyjemy paliwa, powiedziała Cory. Ufając, że AP ściągnie ich do domu...)

– Byliśmy dość blisko, by pobrać próbkę zanim oni się tam dostali. Nie odzywali się do nas. Pomyśleliśmy, że zrobią coś z zapisami, więc w zasadzie to nie miało znaczenia. Myśleliśmy, że wyhamują, dadzą nam czas. A gdybyśmy mieli tę próbkę na pokładzie, nasz zapis przeciwko ich, z datą kiedy ruszyliśmy – moglibyśmy zrobić sprawę. Wiedzieliśmy – byliśmy pewni, że AP wie co się dzieje. Nie spodziewaliśmy się, że nas staranują.

– Rozumie pan pchnięcia? Zna pan tę grę?

Ten człowiek myślał, że jest głupi. W jego głosie dało się słyszeć „biedny, głupi dzieciak”. Zacisnął szczęki i powiedział:

– Słyszałem o niej.

– Zazwyczaj popchnięcie z niską prędkością, w pobliżu rafinerii. Jak niedokładne dokowanie. Zwykle to ich statki pomocnicze, po prostu zadrapią, zmuszą do zużycia czasu na sprawdzanie uszkodzeń. Ale tym razem pokonał go pan. Nie mogli was przegonić nawet z pomocą wiązki. Stawką był jego tyłek na równi z kompanią. Nie czas na szturchnięcia statków pomocniczych. Nie chcieli, żeby miał pan próbkę w rękę. Gdyby ją pan miał, chcieli się jej pozbyć. Cisza radiowa – z jego strony. Nic, co można by nagrać. Trzymał się kursu, wszystko sobie wyliczył, najciaśniejsza trasa na jaką się odważył, biorąc pod uwagę, że tak wielkiego sukinsyna nie wyhamuje się siłą woli. Wystraszyć was na śmierć. Wystraszyć was tak, żebyście zrobili cokolwiek powie. Ale poruszaliście się w stronę jego trasy, prawda? A takiej ewentualności nie przewidział.

– A co miałem zrobić?

– Większość zeszlaby mu z drogi.

– Moja partnerka była na zewnątrz!

– Niektórzy by mogli. Uciekliby na pełnym ciągu. Może po prostu powiedzieć AP, że przydarzył się wypadek. Pozwolić pchaczowi na zgłoszenie ratunku.

– Cholera! – Ale wiedział, że to nie był do końca kurs kolizyjny. Wiedział, że chcieli nim wstrząsnąć, chciał ich sprawdzić...

Oni sprawdzili jego.

– Cholerna pojedyncza poprawka – wymruczał. Wszystko co musieli zrobić. Odpalić kierunkowe i przyhamować. Do diabła, już wyhamował z wiązki, szedł dobrze wewnątrz swoich limitów manewrowych. Był równie zdolny do zatrzymania jak ja.

– Za sterem siedział pasiarz. I to jest statek klasy A. Zautomatyzowany do granic. Rozumnie mnie pan? Temu pilocikowi z Instytutu nawet nie przyszło do głowy, że mógł wykonać taki ruch – nie wymyślił tego, więc nie uwzględnił w programie komputera. Nie kierunkowe. Bez tego, lecąc na autopilocie – silniki nie odpalą, jeśli nie wyłączy się automat. Dobrze, próbował włączyć silniki. Ale z włączonym autopilotem, bez efektu. Statek trafił w was siłą rozpędu.

– Boże.

– Ja bym go odpalił. Cholernie pewne. Ale pchacz was uderzył. Ekspłodował zbiornik wyrzucając pana w strefę R2, jego statki nie mogły pana złapać bez wiązki, uderzył pan też w kamień – byli po uszy w gównie – a pani Salazar zginęła w eksplozji. Jesteśmy tego pewni. – Chce pan słuchać dalej? Nie musi pan, ma pan wybór.

– Chcę usłyszeć wszystko, co pan wie. Jestem już przyzwyczajony do myśli, że ona nie żyje. – Ale to nie było takie proste. Trzęsły mu się ręce. Objął ramionami klatkę piersiową, wsadzając dłonie pod pachy i słuchał dalej. Uderzył w nią statek. Ja

to zrobiłem. Sunderland mówił dalej:

– Kapitan Manning – to starszy kapitan tego pchacza, był tym, który w tym momencie przejął podejmowanie decyzji. Miał jedną martwą osobę i wyliczył, że ma pan zerowe szanse. Nie miał w ogóle wątpliwości, że kompania wyciszy całą tę sprawę. I tak zresztą nie pozwoliliby mu gonić statku, którego w ogóle tam nie powinno być. AP nie chciałaby mieć tego w logach. Wiedział, że sam musi się pozbyć ciała. Zgłosił więc, że ma skałę, AP nie zapytała co się stało – w tłumieniu przekazu informacji pomocny był Rejestr. Pański nadajnik awaryjny działał. Wyższe kierownictwo BCOM wiedziało co się dzieje, więc nie zadawało pytań. Nikt w kierownictwie nie zamierzał zadawać pytań – może tutaj. Przypisuję Manningowi myśl, że on mógł, ale też martwił się, że mógł pan przeżyć. W każdym razie nigdy nie wypełnił raportu, że uderzył w statek. Był błysk, który mogli wyłapać wojskowi – ale błyski w okolicy pchacza są czymś zwyczajnym. Pańskie radio nie działało i leciał pan niedaleko linii strzału pchacza, więc nikt by pana nie znalazł przez długi czas. Gdyby jakiś technik zgłosił wyłapanie pańskiego sygnału, to jestem gotów się założyć, że bardzo szybko zostałby wyciszony przez kierownictwo. Nie prosiliście o wiązkę, a ktoś usunął wasz statek z listy Statków, które się nie zgłaszały. Po prostu skasował. Był pan w strefie R2, nie było pana na ich wykazach i nikt nie zamierzał tam pana umieszczać. Nikt też nie wyliczał pańskiego kursu, może za wyjątkiem pchacza i kierownictwa, które chciało się upewnić że trafi pan do studni, co rozwiązałoby problem.

– Ale czemu wysłali tu Cory? Co on robił? Czego chciał dowieść?

– Będę zgadywał. Jego statki ruszyły za ciałem pani Salazar, nie mógł ich odwołać na misję ratunkową. Wiedzieli, że to było zderzenie, wiedzieli, że to potoczyło się źle, a Manning chciał ich wystraszyć tak, żeby nie rozmawiali. Więc uczynił współwinnymi całą załogę pchacza, techników, wszystkich na pokładzie – by strachem zmusić ich do milczenia, a może i po to, żeby dowieść, gdyby ktoś miał wątpliwości, że kompania to wyciszy. Czuł odrętwienie.

– Mogli ją wystrzelić do studni. Nie musieli zostawiać śladów.

– Nie mówię, że Manning nie jest szalony. Ale między nami i załogami kompanii nie ma miłości. Był wkurzony, jeśli chce pan znać moje zdanie, na pracę do której został wysłany, był wkurzony na AP, na zarząd, był niezadowolony jak diabli z powodu wypadku i nie miał najmniejszej wątpliwości, że kompania go poprze przeciw nam, kiedy znajdziemy ciało. To jak odbijanie, zła krew, zrzućcie części winy na nas – bo nic nie moglibyśmy udowodnić. Nawet z ciałem – bo nie byłoby żadnych zapisów. Byłaby jakaś plotka o wypadku z pchaczem. Nic by nie zrobiono. Dzieje się tak od kiedy obsadzono te statki załogami kompanii. A kompania trzyma ich tam przez trzy lata. Są zgorzkniali. Szaleni. Są cholernie zazdrośni o naszą umowę

z kompanią. Obwiniają nas za straty kompanii, bo oznacza to, że zostają tam na dodatkowe tygodnie. Ale nie są kompletnie zwariowani. Absolutnie nie przyszło im do głowy, że mógł pan przeżyć. To urzędnicy zajęli się sygnałem alarmowym, zbyt dużo powiedzieli Birdowi i Pollardowi zanim włączyły się wyższe poziomy i zgaduję, że zdecydowano, że równie dobrze mogą sprowadzić ten statek z powrotem, zdjąć go z rejestrów – nie chcieli, żeby Bird i Pollard opowiadali o jakimś sygnale alarmowym, o którym AP nic nie wiedziała. Werble wojenne. Nerwowy posterunek floty. Zdecydowali, że pozwolą na tę misję, w panice że znajdą pana żywego – ale trzeba im przyznać, że nawet nie pomyśleli o zabiciu pana. We własnych oczach nie byli zabójcami. To naprawdę był wypadek i nie zamierzali sprawić, żeby zginął pan w szpitalu czy na pokładzie. Ich błąd, dobrze dla nas. Wielu ludzi jest panu bardzo wdzięcznych, panie Dekker. Powiem panu, że pomimo wszelkich wpływów matki Cory, niezależnie od wszystkiego co moglibyśmy zrobić – gdyby nie został pan przy życiu i utrzymaniu się przeciw Kompanii, nie mielibyśmy nic oprócz ciała nad studnią. Nic co moglibyśmy dowieść. Kiedykolwiek. Więc zrobił pan coś. Wygrał pan. Jest pan bohaterem. Pan i Morris Bird. Ludzie go lubili, naprawdę go lubili...

Ciężko nawet zebrać myśli. Albo mówić o Birdzie. Nie potrafił.

– Jest pan ostatecznym zwycięzcą, panie Dekker. Dla Pasiarzy to coś niemal magicznego – i dla tej reszty z nas, która wie przeciw czemu pan stanął. Ale przychodzi czas – może teraz – żeby skończyć, póki jeszcze pan wygrywa.

– Co ma pan na myśli?

– Ma pan wroga, bardzo zajadłego wroga.

– Manning?

Sunderland potrząsnął głową, z dłońmi złączonymi na wysokości ust.

– Alyce Salazar. Nie jest rozsądna. Śmierć jej córki, sposób w jaki została znaleziona – to nie wpłynęło dobrze na jej stan umysłu. Nie jest pan już za zasłoną korporacji. KZ próbowała z nią rozmawiać. Pociągnęła za sznurki, by zmusić ZDO do śledztwa w ASTEXie, chciała, żeby ASTEX zostało wchłonięte – po prostu żeby mogła się dostać do ich zapisów i do pana. Praktycznie rzecz biorąc, ten rozkaz był rozważany, powstrzymywany przez KZ, ale leżał na biurku Dowódcy Floty dlatego, że Alyce Salazar obdzwoniła wszystkich senatorów którzy jej cokolwiek zawdzięczali – prosząc o przysługę, by wyrównać rachunek, na poziomie korporacji i rządu. Ona chce postawić pana przed sądem, panie Dekker. W tej chwili wojsko siedzi na aktach. Nie chce, żeby sytuacja w ASTEX znów się zagotowała, nie chce procesu i KZ też go nie chce, ale system prawny nie da się tak łatwo powstrzymać. Najbardziej prawdopodobnym oskarżeniem będą kwestie finansowe, ale spróbuje też oskarżeń kryminalnych.

To bolało. Z jakichś powodów naprawdę bolało, że matka Cory miała pretensje

do niego.

– Oczywiście, nie musi mieć racji. Nawet nie musi wygrać, żeby narobić szkód. Ona ma pieniądze na prawników i wpływy by przepchnąć to przez KZ. Naprawdę szczerze nie chcą pana zobaczyć w sądzie – z różnych przyczyn. Nie chcą, żeby został pan aresztowany, przesłuchiwany – czy żeby rozmawiał pan z komisjami senatorskimi – i nie chcą też problemów z górnikami, pracownikami fabryk i z nami, w bardzo strategicznej instalacji. A już całkiem na pewno nie chcą, żeby znalazł się pan na statku kierującym się do Studni – kiedy całe R2 o tym wie. Mogą nam pomóc. Ale z całą pewnością nie pozwolą panu zjechać.

To zmierzało w stronę, która nie wyglądała miło. Jak mawiała jego matka – ta sama piosenka tylko z innymi słowami. Po chwili milczenia Sunderlanda zapytał:

– Więc co zamierzają zrobić?

– Nasi ratownicy? Ten statek, który do nas leci? Wyciągną nas. Uratują nam wszystkim skóry. Ale pan nie wróci z powrotem na R2. Oni pana chcą – flota też. To był punkt sporny przez ostatnie dziesięć godzin. Próbowaliśmy. Opóźniliśmy. Ale teraz się ruszyli. Nie mamy innych opcji niż oni. Bóg wie, że nie możemy uciekać. A jeśli pana nie przekazemy – wejdą na pokład, dali nam to jasno do zrozumienia. W którym to wypadku wszystko co zrobiliśmy byłoby pustym gestem – ryzykowaliśmy ten statek, a różni ludzie mogliby zostać zranieni.

Miał problemy z oddychaniem. Nie czół własnych palców.

– Czy jestem aresztowany?

– Mówią, że nie. Został pan powołany.

Poczuł się, jakby odpadło mu dno żołądka.

– Gówno! – powiedział, zanim pomyślał do kogo to mówi i wytłumaczył sobie, że jest głupcem, że wyciągają ich ze studni, uratowali ponad setkę ludzi, nie miał powodu protestować...

...przeciwko wrzuceniu do wnętrza pancernika i zostać w ten sposób wysłanym w diabły.

– To może wcale nie być takie złe. Powiedzieli, że chcą pana z przyczyn które nie mają nic wspólnego z KZ. Chcą pana przeszkolić na pilota.

– Chcą mnie gdzieś, gdzie nie będę mówił. Myślą, że tym ściągną mnie na pokład. Będę miał szczęście, jeśli nie zaaranżują wypadku podczas szkolenia. Dużo ludzi zginęło w ten sposób.

– Jest pan bardzo podejrzliwym młodym człowiekiem, panie Dekker.

– Cóż, nauczyłem się nim być.

– A ja jestem jeszcze jednym uśmiechającym się draniem. Tak, jestem. I jest mi przykro. Nie podoba mi się rola, która mi przypadła. Ale nie mamy żadnego wyboru. Po pierwsze, ryzykowałem mój statek i załogę żeby pana stamtąd wydostać.

Ponieważ był pan aż tak ważny trzymałem się negocjacji najdłużej jak się dało i mówiąc otwarcie, dostaliśmy od nich, ile tylko można. Nie jesteśmy w stanie panu pomóc, a przyszedł czas na podjęcie decyzji. Do pewnego stopnia podejrzewam, że pewne urzędy wołałyby żebyśmy raczej wszyscy zginęli, niż żeby dotarł pan do sądu. W niektórych negocjacjach kompromisy stają się zbyt połowiczne, a rozsądek wyskakuje na spadochronie. Ludzie mogą ucierpieć, próbując pana ochronić. Dwa statki mogą pójść do piekła. Dosłownie. Rozumie pan, co mówię?

Nie rozumiał. Pomyślał o dzieciaku, który pomógł Meg z butelkami wódki. Głupcu, który nieustannie złościł się z powodu rzeczy, których ważności nie potrafił zapamiętać. Cholerny głupiec, pomyślał. Dureń. Nawet nie mógł się rozzłościć. Ten bajzel jest zbyt skomplikowany, zbyt szeroki, przetacza się po ludziach. Jak Bird i Meg.

Sunderland powiedział łagodniejszym tonem:

– Jeśli nie będą uczciwi, myślę, że może ich pan postawić w tej sytuacji, rozumie pan? Z tego co mówią, pański refleks jest w granicach górnych dwu promili tego się nie da wytrenować. Trzeba się z tym urodzić. Mówią, że przy szybkościach działania statków SNŚ nawet z komputerami sterującymi – ludzki czas reakcji musi się mieścić w tych granicach. Psychicznie i fizycznie. Zupełnie nowa gra, panie Dekker. I podam panu kolejny powód, dla którego nie chcą nas nastawiać wrogo. Flota patrzy w stronę pilotów i techników pasterzy są bardzo cennym surowcem. Nie patrzę na to życzliwie.

Będę robił to, co robiłem przez całe życie, tego pragnę. Ale młodszy, całkiem sporo młodszy – może robić coś innego, zanim skończą swoje kariery.

Teraz zrozumiał. Sunderland mu powiedział, a on uwierzył, bo chciał wierzyć. Sunderland przestał mówić, czar pękł, a on powiedział sobie że Sunderland jest głupcem albo kłamcą: wojskowi mieli mnóstwo powodów, by chcieć żeby Sunderland w to uwierzył – i bardzo oczywista przyczyna, dla której Sunderland może chcieć, żeby on uwierzył.

Na bardzo mało prawdopodobny wypadek, gdyby ten człowiek był naiwny, powiedział:

– Będę dla pana czymkolwiek. Mam nadzieję, że to w porządku. – Usłysz mnie, człowieku, obserwuj mnie, patrz, co się będzie działo. To będzie dla ciebie ważne...

Nie ufam niczym zapewnieniom. Może Meg, ale trzeba znać jej nastawienie.

Meg wiedziała o wiele więcej, niż powiedziała Birdowi. A Sal wiedziała więcej niż powiedziała któremukolwiek z nas. Nawet Ben do tego doszedł sam. Dlatego między nimi się ochłodziło... dlatego, w kryzysie liczą się tylko wspólnicy.

Mój jest już spłacony. Zrobiłem wszystko co mogłem, Cory...

Rozmowa była skończona. Obaj wstali. Sunderland wyciągnął rękę. Znalazł

w sobie dość łaskawości, by ją uścisnąć.

* * *

Ostre pchnięcie – nie mieli problemów, oprócz tego, że byli bez paliwa i spadali coraz bliżej Jowisza, a w konsekwencji pojawiło się makabryczne pytanie, czy spala się spadając, czy będą żyć dość długo, by usłyszeć jak statek wokół nich zaczyna być zgniatany. Problem intelektualny, który Meg przetrawiała w ciemnych zakątkach umysłu – domysły o wiele ciekawsze niż zastanawianie się co żołnierzyki zrobią z kompanią i jak to będzie w tej przyszłości, którą teraz mieli, żyjąc z łaski pasterzy.

Sal i Ben mogą sobie poradzić – Ben wciąż był przygaszony, wyglądał na wyciszonego – brak mu Birda i zapewne zadaje sobie to samo pytanie – jak żyć, skoro mieli teraz spore szanse nie umrzeć.

Punkt pierwszy: wciąż coś może pójść źle. Kiedy się wie, że spada się do tej dużej studni, skupiało się na próbowaniu różnych rzeczy, porządkowało się wszystkie możliwości według kryterium, które mają największą szansę zadziałać i dadzą się najszybciej przygotować. Ale kiedy wiedziało się, że ma się być uratowanym przez kogoś innego i że to cudze kompetencje lub ich brak cię wyciągną albo zepsują wszystko, wtedy wyobrażało się sobie wszystkie możliwe sposoby, którymi jakiś dureń mógł zniszczyć twoją szansę.

Punkt drugi: Sal była w tej chwili naprawdę dziwna wystraszona, nadwrażliwa. Postawiła się już kiedyś swoim wymarzonemu przyjacielom, kiedy Pasterze próbowali wcisnąć między nie klin, a teraz czuła to całą sobą. Pragnęła być z nimi tak bardzo, że aż wstyd było na to patrzeć – ale Sal z pewnością wysłuchiwała teraz tych sukinsynów – była tego niemal pewna – mówiących, że tak, jest świetnie, ale Kady to Jonasz – ma problemy z KZ, z którą będziemy musieli pracować...

– Jedyłą rzeczą jaką potrafi Kady jest latanie, powiedzą, mając gdzieś jej szanse, skoro ona ma gdzieś organizację i starszeństwo. Lepiej byłoby rozdzielić się z Sal, wynieść się z tej życia, przestać niszczyć jej szanse z odległymi krewnymi i znów zając się górnictwem – może z Benem, kto wie?

Ale, Boże, to będą interesujące czasy. Coraz więcej władzy w rękach *so'jers*. Będą słodko przemawiać do górników do chwili, kiedy będą mieli całą stację w garści, a wtedy podrą na strzepy wszystko, na co się zgodzili.

Dek – Dek może wyjść z tego bez szwanku, ale może nie domyślił się tego co usłyszała od lekarzy – jak złą sławą się cieszył, jakim gorącym się stał towarem – to z jego powodu KZ naciskała by ich uratować – nie mogli pozwolić mu spaść do studni, w przeciwieństwie od jakiejś głupiej załogi Pasterzy, która wpakowała się w kłopoty. Dekker był sławny na cały system, jak mawiał Bird. A to było zarówno

dobrze, jak i źle; domyśliła, że głównie źle dla dzieciaka, który dopiero pozbiarał swoje zabawki i nie radził sobie zbyt dobrze z dupkami.

Wielu dupków chciało wykorzystać sławnego człowieka. Wkurzyć któregoś, a można było dostać nożem w plecy. Tę lekcję już przerobiła.

Biorąc to pod uwagę, byłoby dobrze gdyby Pasterze zatrzymali go na *Hamiltonie*. Ale nie sądziła, żeby mogli to zrobić – dzieciak bez starszeństwa, sporą reputacją i równowagą umysłową na krawędzi... wszedłby na starszych pilotów z dobrymi nawykami. Masa krytyczna w ciągu tygodnia. A jeśli odstawią go z powrotem na R2, będzie to samo z nowym zarządem.

To zostawiało Sol i KZ. I oznaczało publikę oraz całe paskudztwo, które się z tym wiązało.

Poważnie się martwiła o Dekę. Wciąż zadawała sobie pytanie – podczas gdy inni mówili jak to cudownie, że nie zginą w Studni, a Ben i Sal wyglądali na bardziej wystraszonych niż wtedy gdy jeszcze nie wiedzieli, czy przeżyją...

...Zadawała sobie pytanie, co mówią Dekkerowi, u kapitana statku.

Może dają mu oficjalne informacje na temat jego partnerki. Do tej chwili wszyscy byli dosyć zajęci. A skoro wyłączono granie (dosłownie), starsi oficerowie prawdopodobnie odhaczali kolejne pozycje na listach spraw do załatwienia.

A może mówili mu coś całkiem innego.

Otworzyły się drzwi. Wszedł Dek, wyglądając na wyciszonego i nieszczęśliwego.

– Co jest? – zapytał Ben wstając. (Boże, udusi go kiedy tylko uwolnią jej rękę.)

Ale Dekker popatrzył na niego w taki sam sposób jak na nią, kiedy znalazła go na statku: bez gniewu. Tylko zagubione, zmieszane spojrzenie.

Może raz w życiu Ben zrozumiał, że powinien natychmiast się zamknąć.

Ale Dekker wkładał więcej uwagi w podejście od drzwi do końca jej łóżka – całkiem dobrze radząc sobie na nogami, zauważyła Meg, lepiej niż ona, na ile pozwolili jej się podnieść.

– W końcu dostałem wyjaśnienie – powiedział. – Niemal dokładnie to czego się sami domyśliliśmy z Cory. I to prawda, z tym statkiem w drodze. Wszystko z nami dobrze.

– A z tobą jest dobrze? – zapytała.

Nie odpowiedział od razu. Popatrzył na prześcieradło. W pokoju zrobiło się cicho. W końcu Sal pochyliła się i położyła dłoń na jego ramieniu.

– Jestem naprawdę zmęczony – powiedział.

Meg przesunęła nogi.

– Jest tu miejsce. Może przyjmiesz na chwilę pozycję horyzontalną? Nie myśl.

Wszystko jest w porządku, Dek.

Wydobył z siebie mocne, długie westchnięcie, pochylił się i położył dłoń na jej

kolanie. Po prostu trzymał ją tam, a ona nie wiedziała co ma powiedzieć. Sal podeszła i zaczęła mu masować ramiona. Ben zsunął się trochę na krzesło, które zajmował koło łóżka i zapytał:

– Ten statek, zamierzają rzucić nam hol i wyciągnąć, czy po prostu wyciągną załogę?

– Hol – odpowiedział Dekker. – Z tego co mówili. Statek chyba nie daje z siebie wszystkiego co może, nawet przy tej szybkości.

– Statek międzygwiazdny – powiedziała Meg, myśląc o pewnym locie. – Widziałam jak błyszczą, kiedy wchodzą w system.

– Transportowce – skomentowała Sal. – To coś innego.

Stara rąbka poczuła dreszcz myśląc o tym „czymś innym”, obok tego miłego wspomnienia. Pomyślała, że Ziemia jest ślepa. Całkiem ślepa.

Pyłki na wietrze. Kolonie nie wrócą.

Dzieci nie wracają do domu. Nie takie same, o nie.

* * *

Dużo hałasu. Dekker nie miał pojęcia jak duży jest okręt baza, ale dobrze ich złapał i mogli się poruszać, zebrać co potrzebowali zanim usłyszeli sygnał nakazujący przypięcie się do miejsc bo wyłączono rotację na lot powrotny do R2.

Ale jeszcze przed tym, połączyli linię do transportu osób, od śluzy do śluzy i przybyła eskorta, żeby go odebrać. Flota nie chciała ryzykować żadnego oporu – gdy spadali coraz bliżej magnetosfery.

Nie powiedział Meg i Sal, a także Benowi. Miał zamiar to zrobić po drodze do śluzy. W międzyczasie chciał po prostu zebrać razem swój bagaż. *Hamilton* wyciągnął ich rzeczy osobiste z *Trynidadu* zanim go odłączyli, rzeczy Birda też. W rafinerii byli spakowani i gotowi do wyjścia w trasę – żywność i wszystkie drobiazgi wrzucone na *Trynidad* – ale po tym szalonym locie, zwłaszcza z *Hamiltonem* wszystko było zupełnie pomieszane – ludzie z *Hamiltona* nie wiedzieli, co należy do kogo, więc zabrali wszystko. Znalazł starą, papierową fotografię – grupa ludzi, z przodu dwu chłopców, objętych ramionami, w tle wysokie góry.

Błękitne niebo. Nie wiedział kim byli ci ludzie dla Birda. Pomyślał, że jeden z chłopców wygląda jak on. Nie wiedział, jakie to były góry – znał księżyc lepiej niż Ziemię i jej geografę – kolejny przedmiot, do którego się nie przykladał.

Ale długo się przyglądał fotografii. Nie sądził, żeby było w porządku zabieranie rzeczy Birda – nie miał do tego żadnych praw. Ben miał. Ale można wsadzić obraz do głowy i pamiętać go, nawet po latach.

Jeśli będą jeszcze jakieś lata.

Zebrał swoje rzeczy. Założył bransoletę, którą kupiła mu Sal – pomyślał, że sprawi jej tym przyjemność. Prawdę mówiąc nie miał pojęcia, czy pozwolą mu cokolwiek zachować.

– Dek? – zapytała Sal.

I tak już kończył. Wcisnął koszulkę do torby, odsunął włosy z oczu i wstał opierając się o szafki.

Stali tam wszyscy, łącznie z Meg, podtrzymywaną przez Sal.

– Meg, na Boga, nie zamierzałem cię pominąć – lekarze cię zamkną.

– Pomyślałam, że pójdziemy z tobą – odpowiedziała Meg głosem, który nie dopuszczał sprzeciwu. – Piekielna sprawa, Dek.

– Cóż, nie chciałem was martwić. Wracajcie do swoich kabin.

– Radzę sobie, dziękuję. Zamierzam sprawdzić tych żołnierzyków. Zobaczymy czy spodoba nam się towarzystwo, w które cię pakują.

Podniósł swój worek, oparł dłoń na ścianie i podszedł bliżej. Znajome twarze. Twarze, które przywykł oglądać – nawet Ben. I Meg. Zwłaszcza Meg.

Nachylił się i ostrożnie pocałował ją w oba policzki. Powiedziała:

– Do diabła, Dek – i pocałowała, go bynajmniej nie w policzki, na tyle długo, by zrozumiał że nie żartuje, a przy całej jego bliskości z Cory, to co czuł w tej chwili było czymś odmiennym.

Sal też go pocałowała, w ten sam sposób. Ale nie tak samo. Nie potrafił nic powiedzieć.

Chwytając go za rękę, Ben powiedział:

– Jeśli myślisz, że ja też to zrobię, to jesteś w błędzie.

Z Benem nigdy nie było się niczego pewnym. Ben uratował go przed rozpadnięciem się. Wciągnął powietrze, prawie się zaśmiał i podniósł swój bagaż słysząc otwierające się drzwi.

– To chyba ci, na których czekam – powiedział. Lepiej się ruszmy żeby nas zabrali. To niebezpieczna okolica.

– Cóż, tak – potwierdziła Meg podążając za nim, oparta na ramieniu Sal. – Lepiej żeby się tobą zaopiekowali. Listy są dobrym pomysłem.

– Może trochę potrwać – odpowiedział idąc i zerkając do tyłu. Niezbyt dobrze wpłynęło to na zachowanie równowagi. – Ale napiszę. Jak tylko będę mógł. Jeśli dadzą mi jakieś pieniądze. Nie wiem gdzie będę, w stoczni czy gdzieś indziej. Może na Sol, po prostu nie wiem.

Próba wciśnięcia każdej myśli w garść pozostałych im minut. Myśl o szczelnej ochronie floty i jeszcze szczelniejszej wokół niego.

– Może jeśli poprosicie pasterzy, będą mogli się dowiedzieć, gdzie będę stacjonował. Może kapitan będzie mógł dostarczyć mi list, nawet jeśli ja nie będę

mógł pisać. Moja matka nazywa się Ingrid Dekker, jest w obsłudze technicznej na Sol – napiszcie do niej, jeśli to nie zadziała. Może ona będzie wiedziała gdzie mnie umieszczą.

A może nie, pomyślał kiedy doszli do rejonu windy, która miała go zabrać do służby. Blondyn w mundurze floty i dwóch żandarmów z bronią. Rozmawiali z Sunderlandem. Miał nadzieję, że nie założą mu kajdanek. Nie przed Meg, Boże, proszę...

– Pan Dekker? – zapytał młody oficer, z insygniami których nie znał. Wyciągnięta dłoń. Przyjął ją. Nie dostrzegł w tym gościu żadnej groźby. – Nazywam się Graff. Zamierzam zabrać pana i dopilnować, żeby się pan zapisał.

Nie brzmiało to jak groźba. Przynajmniej nie było kajdanek.

– To pańska załoga? – zapytał Graff.

– Meg Kady, Sal Aboujib, Ben Pollard. – Dostrzegł stojącego po prawej Sama Forda, z ramieniem na temblaku. – Sam Ford. Zajmował się łącznością. – Nie był pewien, czy Fordowi spodobała się ta zażyłość. Może nie powinien był otwierać ust. Ale nie obchodziło go, co flota zamierza zrobić z resztą. Zabierali tego, którego wytargowali, a Graff nie wyglądał na kogoś, kto robi notatki. Podał rękę kapitanowi, pomachał na do widzenia swoim towarzyszom i poddał się sygnałowi Graffa do odejścia.

Winda zabrała go wraz z Graffem i jednym strażnikiem – nie było miejsca na nikogo więcej. W drodze na górę Graff odezwał się:

– Szkolenia będą naprawdę szczęśliwe, że mogą położyć na panu rękę. Ten pański manewr mało nie doprowadził porucznika do zawału. Nie słyszał go pan.

Popatrzył Graffowi w twarz i zobaczył rozbawienie. Żandarm zagryzł wargi.

Winda wypuściła ich w doku. Trzęsąc się w panującym tam zimnie przypomniał sobie, żeby zapytać:

– Pozwolą mi zatrzymać moje rzeczy? Czy powinienem je zostawić?

– Pójdą na przechowanie do magazynu. Dostanie je pan za kilka miesięcy.

Wróciła winda. Otworzyły się drzwi.

Razem z żandarmem z windy wysiadł Ben.

– Myślałem, że się pożegnaliśmy – powiedział zdziwiony.

– Cóż, tak – odpowiedział Ben, po czym spytał Graffa: – Macie miejsce dla jeszcze jednego?

* * *

Inny rodzaj statku. Miał oznaczenie ECS5 – nie miał jeszcze nazwy i nie dostanie jej aż zostanie zatwierdzona. Szary i klaustrofobiczny, z wielkimi ruchomymi

sekcjami na mostku. Instrumenty, których nie rozumiał. Większość z nich ciemna. Załoga była minimalna albo pokłady jeszcze nie ożyły. Pierścień załogowy jeszcze nie pracował – to przyspieszenie pozwalało im chodzić po pokładzie, ponad jeden g, na dodatek z masą *Hamiltona*. Graff powiedział, że ich oprowadzi.

Dosyć ciche było to zwiedzanie. Statek pracował. Nie należeli do tego miejsca. Nie byli też aresztowani. Dekker odniósł wrażenie, że Graff chce zrobić na nim jak najlepsze wrażenie.

– Dobry program – powiedział na temat szkolenia pilotów. – Nie chcą, żeby wchodzić z dużym doświadczeniem, bo to nowe techniki. Zupełnie nowy rodzaj statku. Nie mogę o tym mówić. I o wielu rzeczach, z którymi mamy tu do czynienia.

Nie wiedział, co o tym myśleć. Urządzenia wokół niego nie przypominało niczego, co widział choćby na zdjęciach.

Nie było to jedyną rzeczą, która go zastanawiała. Kiedy Graff rozmawiał z technikami, zapytał Bena:

– Jesteś pewien, że wiesz co robisz?

Ben wzruszył ramionami. Wyglądał blade w świetle monitorów. Pocił się, choć wcale nie było tu ciepło.

– Nie mam przed sobą innej drogi. Straciłeś statek, chłopcze, siedzimy w długach po uszy... Ale człowiek z moją przeszłością – mogę tu mieć prawdziwą szansę. Wojsko może dać sposób na przetrwanie, biorąc pod uwagę stan rzeczy w R2. Flota jest drogą w górę. Pamiętaj, że to powiedziałem. Ta wojna będzie długa.

– Oszalałeś.

– Zanim odejdę będę oficerem. Odznaczenia i to wszystko. Tak tak, Dek, chłopcze, pamiętaj, że mnie znasz. Ty będziesz nimi latał, a ja będę siedział bezpiecznie w Kwaterze Głównej na Sol mówiąc im co mają robić. Chcesz się założyć?

– Oszalałeś – powtórzył cicho Dekker. Popatrzył dookoła na rzeczy, które chciał zrozumieć nie mogąc uciec przed myślą: Boże, powinna to zobaczyć Cory...

KONIEC TOMU PIERWSZEGO „WOJEN KOMPANII”

Dalsze przygody bohaterów „Czasu ciężenia” w tomie „Hellburner”